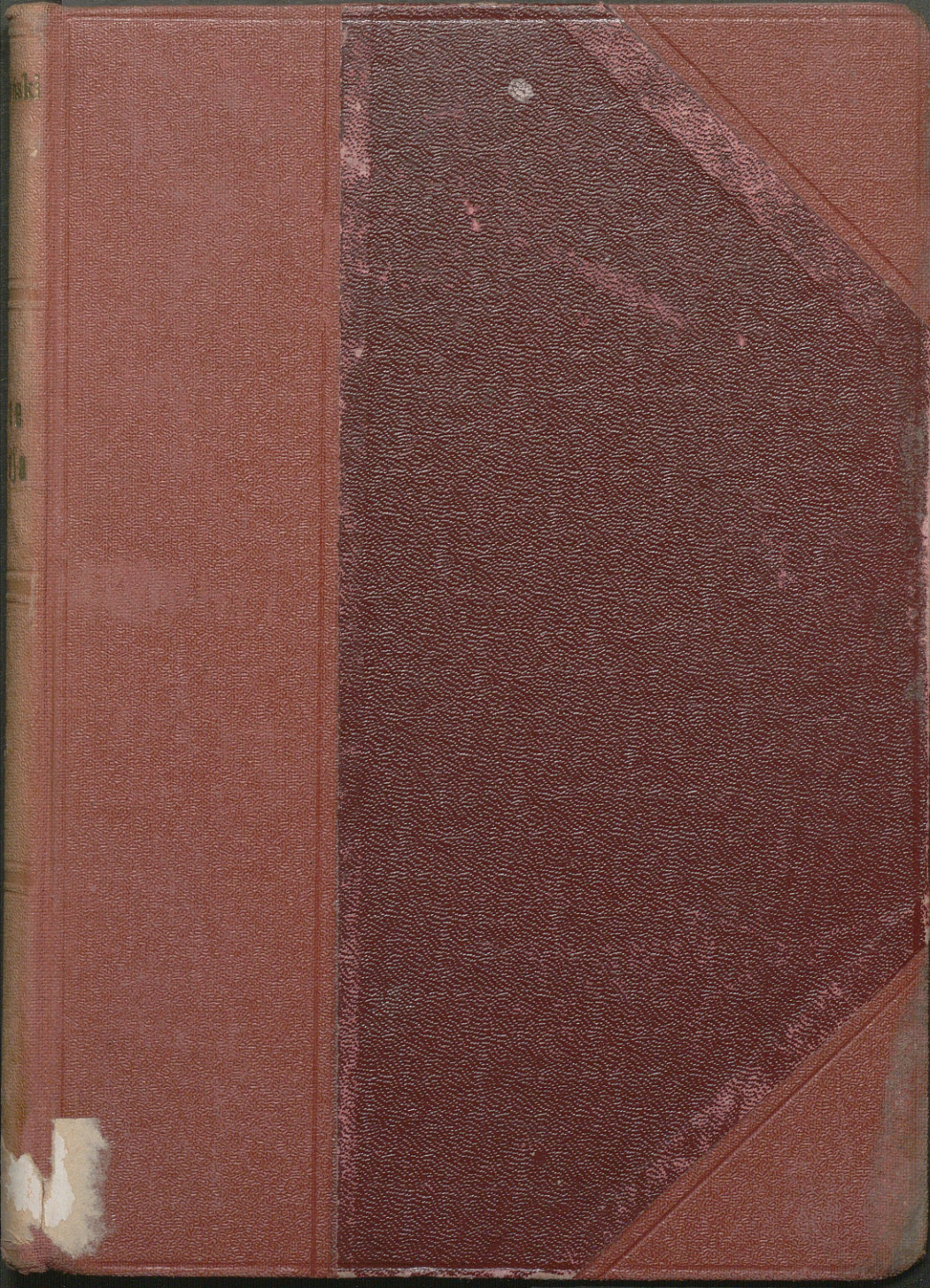
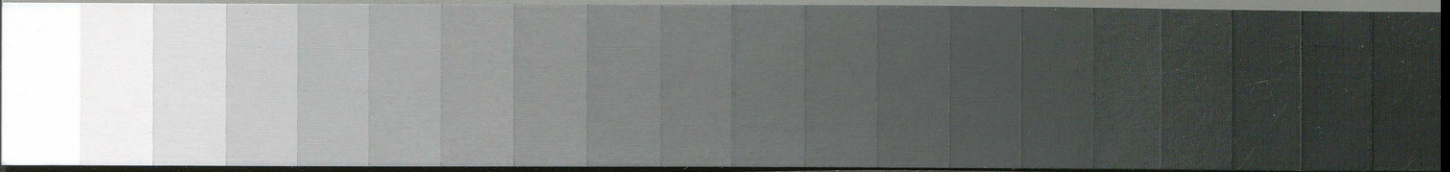




Grey Scale #13

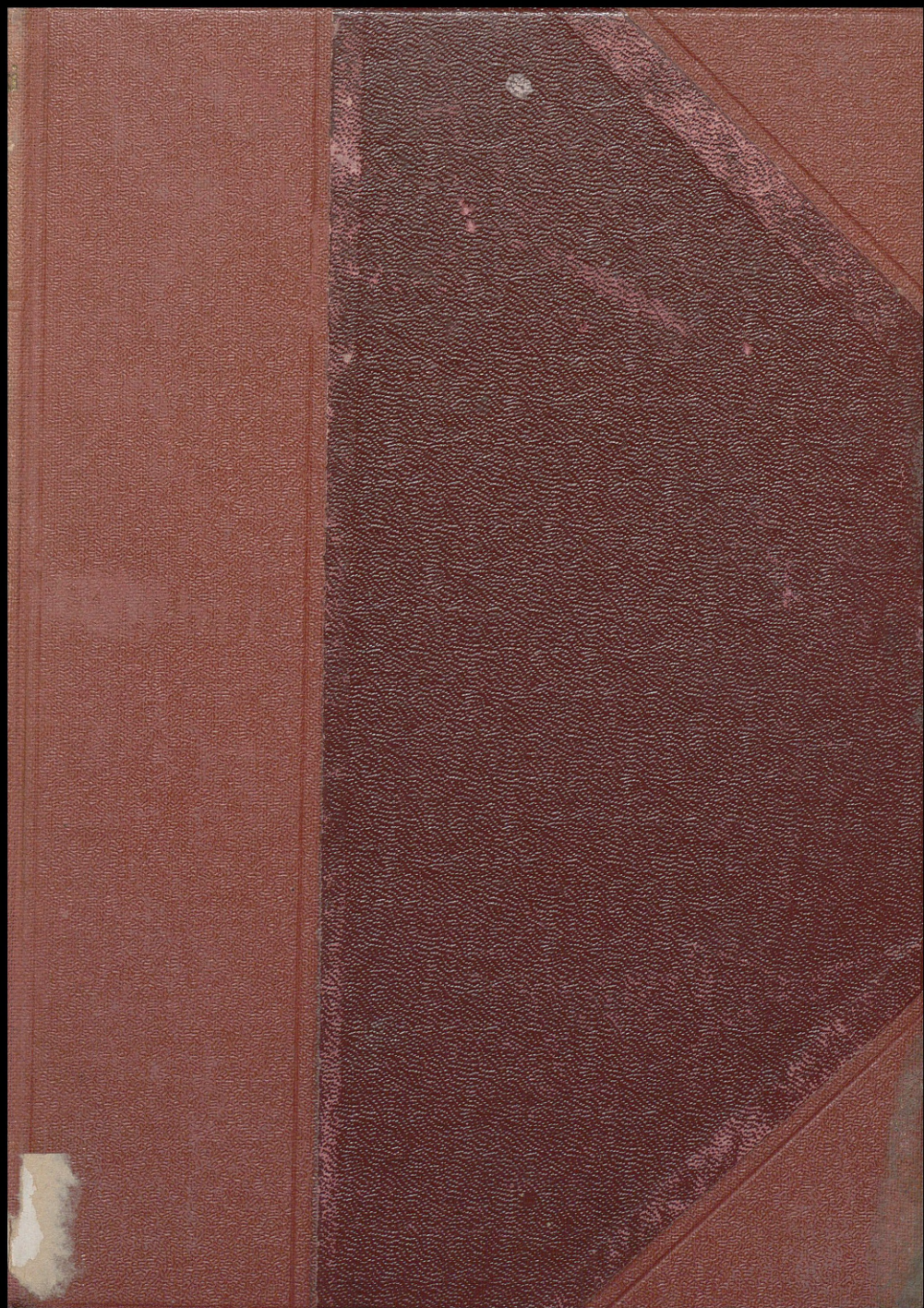


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13







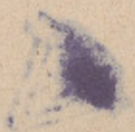
337/2

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

SZKICE I STUDJA HISTORYCZNE

Z PRZEDMOWĄ PROF. STAN. ESTREICHERA

TOM PIERWSZY



KRAKÓW 1922
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

93/438/

8615 / 2



Krakowska Spółka Wydawnicza zwróciła się do prof. Michała Bobrzyńskiego z propozycją wydania jego szkiców i studjów historycznych, rozprószonych po czasopismach i wydawnictwach zbiorowych. Uzyskawszy zgodę autora, ogłasza je obecnie w niniejszych dwóch tomach.

Nie obejmują one wszystkich rozpraw historycznych, jakie wyszły z pod pióra autora w ciągu jego półwiekowej działalności naukowej (1872—1922). Pozostało jeszcze kilka prac, bądźto większych, bądźto bardziej specjalnych, które do niniejszego zbioru nie weszły. I tak nie przedrukowano tutaj następujących jego prac: 1. O ustawodawstwie nieszawskim (1873); 2. Wiadomość o uchwałach zjazdu piotrkowskiego (Rozprawy Ak. Um., Wydz. hist.-fil. I, 1874); 3. Wiadomość o kodeksie Stradomskiego (Przewodnik nauk. i lit. 1873); 4. Wiadomość o kodeksie Lubomirskiego (ibidem 1874); 5. Ortyle magdeburskie (1876); 6. O założeniu wyższego sądu na zamku krak. (Rozpr. Ak. Um., Wydz. hist.-fil. IV, 1875); 7. O nieznanym układzie Sierakowskiego (ibidem VI, 1877); 8. Historycy podczas wojny (1919); 9. pracy o Długoszu, napisanej wspólnie ze Smolką (1893); 10. wstępów do różnych wydawnictw źródeł dziejowych, pomieszczonych w *Starodawnych prawa polskiego pomnikach* (tom III—VII); — nie licząc recenzyj i prac drobniejszych.

Potrzeby zebrania razem i ogłoszenia w jednym zbiorze

rze mało dotychczas dostępnego dorobku naukowego Michała Bobrzyńskiego nie potrzeba szerzej tłumaczyć. W historjografii polskiej ostatniego półwieku zajął stanowisko tak wybitne, a prace jego odgrywały i odgrywają rolę tak doniosłą, że naturalnem musiało być pragnienie, aby je oddać na użytek obecnego pokolenia. Wraz z jego *Dziejami Polski w zarysie*, ogłoszonymi w trzech wydaniach (1879, 1881, 1890), a obecnie oddawna wyczerpanemi, dają niniejsze rozprawy pełną możność zdania sobie sprawy, na czem to wybitne, pierwszorzędne stanowisko Bobrzyńskiego w nauce polskiej polega.

W chwili, kiedy zaczynał swoją działalność naukową, dokonywał się właśnie w historjografii polskiej podwójny zwrot. Polegał on z jednej strony na wprowadzeniu do niej metody źródłowego badania i na łączącej się z tem dążności, aby za pomocą krytycznych wydań rozszerzyć zasób źródeł, przedewszystkiem średniowiecznych, stojących historykom do dyspozycji. Do przodowników tego ruchu należał Bobrzyński; cały szereg doniosłych, a nieznanych dotąd źródeł wyszukał, wydał i objaśnił, oraz w pracach swoich dla nauki zużytkował. — Ale równocześnie także dokonywał się w naszej nauce inny zwrot, również przy jego wybitnem współdziałaniu. Polegał on na przeniesieniu się zainteresowania historyków ku kwestjom społecznym i politycznym, dotychczas w nauce historycznej zaniedbanym, a wskutek tego z wielką szkodą zarówno dla prawdy naukowej jak dla społeczeństwa zupełnie fałszywie przedstawianym.

Zarówno wykształcenie prawnicze jak i zamiłowania Bobrzyńskiego skłoniły go do poświęcenia niemal całej swojej działalności naukowej tym właśnie kwestjom. Rozprawy poniżej zamieszczone wszystkie do ich wyświetlenia zdążają.

Z współczesnym prądem francuskim i niemieckim (Fustel de Coulanges, Mohl, Waitz, Sohm) wychodził Bobrzyński z przekonania o niezmierniej doniosłości badań społecznych i politycznych dla zrozumienia całej historii, i przekonania tego w pierwszych swych pracach niejednokrotnie bronił. Objawy życia w przeszłości przedstawiają mu się przede wszystkim jako fenomen społeczny, w którym rola pierwiastków indywidualnych jest daleko mniejszej wagi, aniżeli czynnika zbiorowego. Interesuje go też głównie życie zbiorowe i zagadnienie jego prawidłowości. Sądzi on bowiem, że nie rządzi nim przypadek i dowolność silnych indywidualności, biorących w niem udział, ale pewne stałe prawa rozwoju i upadku, które nauki społeczne mogą ustalić, zaś nauka historyczna ma uczynić podstawą swojej oceny. On pierwszy w naszej nauce już w latach siedemdziesiątych porusza kwestję, tak żywo później interesującą historyków na przełomie XIX i XX wieku, jakie jest zadanie historyka w stosunku do zjawisk częściej się powtarzających (ob. niżej t. I, str. 8—10 lub 69), stwierdzając, że porównanie analogicznych faktów pozwala najlepiej naturę każdego poszczególnego faktu rozumieć; gdyż ono dopiero nam wyjaśnia, co w nim jest specyficznego, raz tylko zdarzonego, a co posiada on wspólnego z równoległymi zdarzeniami historycznymi.

Przekonanie metodologiczne, że historia jest nauką społeczną i że objawy życia zbiorowego powinny być szczególnie troskliwie przez historyków badane, prowadzi Bobrzyńskiego do zwrócenia uwagi w pierwszym rzędzie na dziedzinę politycznego życia narodu, gdzie moment społeczny najsilniej występuje. Rozwój polityczny ma w jego oczach znaczenie decydujące dla wszystkich innych działów cywilizacyjnego rozwoju. Nie jest pod tym względem wśród histo-

ryków polskich z końca XIX wieku odosobnionym, owszem, tworzy z kilkoma innymi, dzielącymi to samo przekonanie, pewną grupę, którą z biegiem czasu zaczęto nazywać grupą krakowską. Wspólnem jest im nietylko to, że na życie polityczne narodu, jak się Bobrzyński wyraża (tom I, str. 77), trzeba ich zdaniem położyć »przeważny nacisk«, — ale i przekonanie, że siła państwa, należyty jego ustroj, niepozostawanie w tyle poza ustrojem innych państw, — są to wszystko warunki, od których zależy cały cywilizacyjny postęp społeczeństwa. Zwłaszcza Bobrzyński akcentuje wszędzie silnie ten swój »polityczny« punkt widzenia, a krytykom swoim odpowiada z zupełną otwartością: »Choćby praca moja jednostronnością w tym kierunku grzeszyła, to i tak byłaby tylko naturalnem, a może i korzystnem uzupełnieniem historii polskich, pisanych przez księży, filozofów, poetów«.

Charakteryzowano często jego stanowisko jako tendencyjne w kierunku przeceniania jakiejś jednej formy rządu — mianowicie monarchicznej, albo w kierunku sądzenia form życia politycznego w przeszłości miarą dzisiejszą. I przeciw jednemu i drugiemu zarzutowi autor zawsze energicznie się bronił — a na niejednej karcie poniższej odpiera te zarzuty jako absolutnie niesłuszne. »Nie należymy zgoła do tych, którzy szczęście narodu uważają zależnem od jednej, ulubionej przez nich formy rządu, czyto republiki, czyto monarchji, czy wreszcie arystokracji. Każda forma rządu jest dobrą, która w danych warunkach zapewnia narodowi i państwu pieczę jego interesów, silny rząd i ogólny rozwój« (I, str. 215). Na niejednem miejscu wyraźnie też zaznacza, że dalekim jest od przypuszczania, żeby można jakieś urządzenie dawniejsze lub jakąś dawniejszą akcję polityczną oceniać miarą dzisiejszą (np. I, str. 246) — dobroć politycznych

urządzeń jest bowiem dla niego rzeczą względną. Najlepszą, najbardziej obiektywną dla niego miarą jest porównanie urzędzeń i pojęć polskich z zachodnio europejskimi. Wprowadzenie tego porównawczego kryterjum jest bardzo charakterystyczną cechą jego »studjów«, a jego zastosowanie praktyczne — z koniecznemi zastrzeżeniami i ograniczeniami — zajmuje go poniżej niejednokrotnie (np. I, 58, 78).

Wytworzenie, względnie zaniedbanie utworzenia silnego rządu, analogicznego do rozwoju politycznego Zachodu, zajmuje go tem więcej, iż jest to, jego zdaniem, klucz do zrozumienia zagadki naszych powodzeń i niepowodzeń w historii, a zwłaszcza naszego upadku w końcu XVII i w XVIII wieku. Zarzucano mu nieraz rzekomy »pesymizm« pod tym względem; — miał on polegać na przekonaniu, że Polska od samego niemal początku dążyła do upadku i do samodzielnego politycznego życia nie okazała się zdolną. Zarzut to fałszywy, na niedostatecznej znajomości jego prac polegający. W całym szeregu kart poniższych, tak jak w całych jego *Dziejach Polski w zarysie*, mamy apoteozę tych chwil w dziejach narodu i tych licznych usiłowań jego obywateli, które o zdolności do życia politycznego Polski świadczą. Nikt może nie nakreślił silniej i piękniej dziejów XV i XVI wieku z tego punktu widzenia (por. niżej I, 73—74), ale mało kto także przed nim z taką otwartością i z takim bezwzględnem dążeniem do ukazania prawdy pisał o upadku myśli politycznej polskiej w epoce elekcyjnej. Dzisiaj, kiedy sąd Bobrzyńskiego stał się już ogólną własnością i kół naukowych i społeczeństwa — nieraz bez świadomości, że właśnie prace Bobrzyńskiego torowały mu drogę, — dzisiaj trudno nam jest nieraz zrozumieć, dlaczego jego poglądy budziły początkowo tak wiele niechęci i oporu? Już nam jest trudno, a poko-

leniu przyszłemu wychowanemu w wolnej Polsce będzie to jeszcze trudniej zrozumieć, jak można było mniemać, że surowy wyrok na generację z końca XVII i z XVIII wieku mógł być poczytywany przez niektórych krytyków za usprawiedliwienie rozbiorów kraju. Trudno się już dzisiaj wmyśleć w psychologię chorego na niewolę społeczeństwa, któremu trzeba było tłumaczyć (I, str. 33), że »odsłonięcie wewnętrznej naszego organizmu rozterki wyjaśnia przyczynę, dlaczego w epoce rozbiorów dał się naród skrzywdzić, ale krzywda charakteru swego nie traci«. Trudno będzie też następcom naszym pogodzić się z faktem, iż w autorze, który dokonywał niewątpliwie trafnej diagnozy choroby, zwolna tylko i z wielkim oporem odczuto lekarza, dążącego tą drogą — jedynie zresztą trafną — do wynalezienia środków terapii.

Wady ustroju polskiego, fatalne objawy naszej anarchji, upadek cnót obywatelskich wskazywano zresztą i potępiano u nas oddawna, poczynawszy od kaznodziejów, moralistów i statystów współczesnych. Jeżeli analiza i ocena Bobrzyńskiego wywołała początkowo silny odruch sprzeciwu, to nie dla tego samego, że on te wady przypominał i krytykował, ale dlatego, że pierwszy tak wyraźnie i bezwzględnie obarczył odpowiedzialnością za nie całość narodu. W epoce Naruszewicza, Lelewela, Jarochońskiego — jednym słowem przed t. zw. szkołą krakowską — starano się szukać odpowiedzialności raczej w wybitnych jednostkach: w królach, dygnitarzach, posłach — lub pewnych grupach narodu, przedewszystkiem w możnowładztwie. Bobrzyński, zgodnie ze swoją socjalną teorią, iż nie jednostki, ale społeczeństwo tworzy samo swe dzieje, pierwszy postawił kwestję odpowiedzialności narodu za dobre i złe jego losy z całą właściwą mu jasnością; czynniki indywidualne grają w jego przedstawieniu rolę drugo-

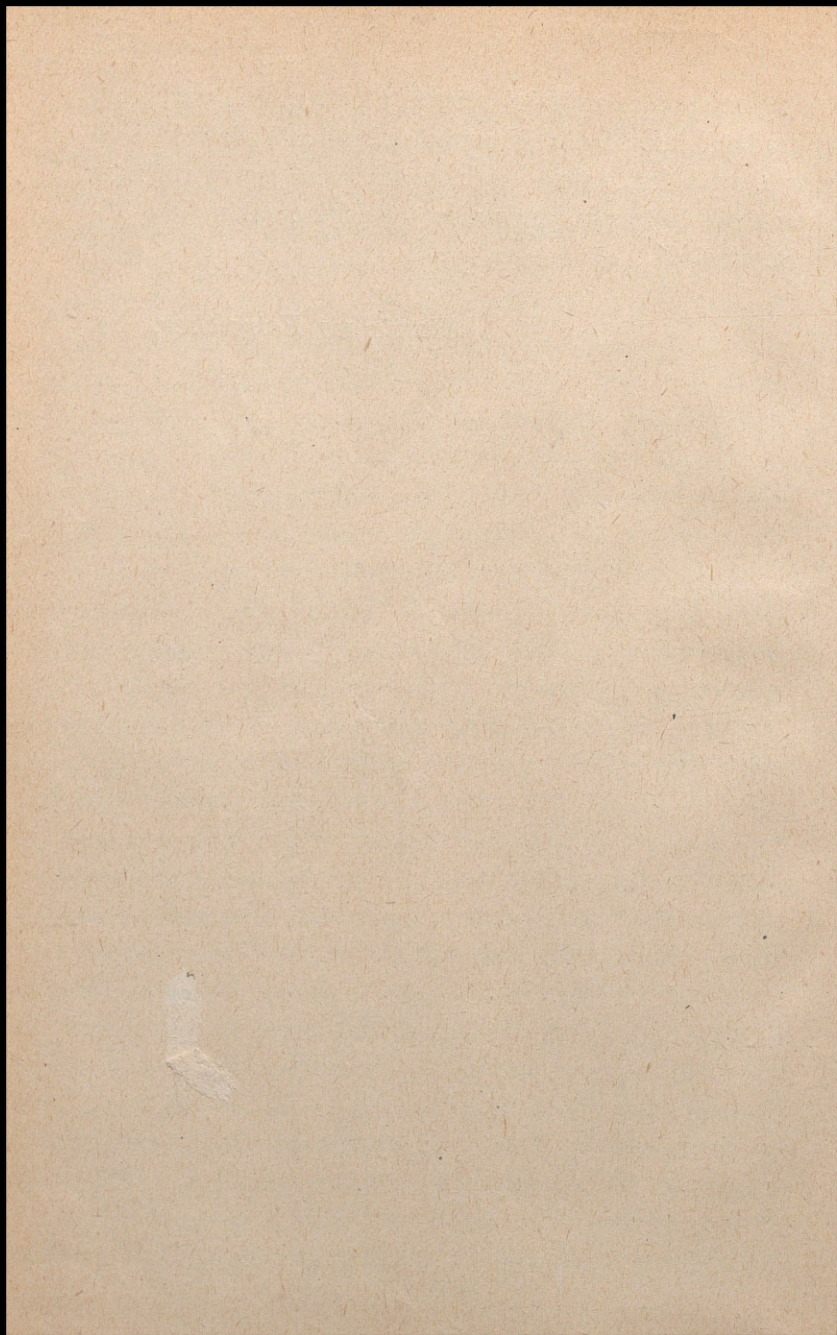
rzędna, na pierwszy plan występuje odpowiedzialność zbiorowa: »Cokolwiek przytoczylibyśmy na usprawiedliwienie pokoleń, które wtrąciły nas w przepaść, których ciężkie brzemie grzechów dziś jeszcze dźwigamy, to obrachunek z nimi inaczej wypaść, jak na ich niekorzyść, nie może«. »Możemy przytaczać okoliczności łagodzące naszą odpowiedzialność, ale ze względów nauki i korzyści społecznej na tę odpowiedzialność musimy kłaść n a j w i ę k s z y nacisk« (I, str. 73—4).

Nie brak w jego pracach starania, aby upadek myśli politycznej polskiej i objawy bezrządu w XVII i XVIII wieku wytłumaczyć dalej sięgającymi geograficzno-statystycznymi przyczynami (brak proporcji między ludnością a obszarem, rozprósenie sił na wschodzie); ale niewątpliwie pytaniem, które go najbardziej interesuje i boli, są kwestje czysto polityczne: na czym bezrząd polegał i dlaczego nie potrafiiono go opanować? Bobrzyński nie tai nigdy, że zajmując się tem pytaniem, ma zarówno cel czysto teoretyczny, jak i cel praktyczny na oku: dopomożenie narodowi do podniesienia się z niewoli. Jest przeciwnikiem zapatrywania, jakoby nauka historii była sama w sobie celem. »Mniemanie to nie da się uzasadnić« — powtarza z naciskiem (I, str. 15). Historia ma wedle niego dostarczać materiału naukom społecznym i politycznym, a to »kreśląc charakter narodu, jego warunki i zasoby, jego wybitne kierunki i dążenia, ażeby mu uwydatnić te naukowe zasady, które w jego rozwoju i życiu większą niż w rozwoju innych narodów odgrywają rolę, ażeby mu te zasady i prawa widomie postawić przed oczy«. Był też zdania, że bez wychowania historycznego naród polski nie znajdzie drogi do wyjścia z domu niewoli — a obowiązkiem historyków jest mu przez odślonięcie prawdy do tego właśnie celu dopomóc, »niechaj boli jako chce«.

Powyższe stanowisko Bobrzyńskiego w tak spornej teoretycznie już od czasów starożytnych kwestji, czy historia w założeniu swoim powinna być albo nie być *magistra vitae* — a tak jednakowo zawsze praktycznie rozwiązywanej! — można już oceniać dzisiaj z pewnej obiektywnej i chronologicznej odległości. Główna jego działalność naukowa na polu historii, której rezultatem są między innymi niniejsze dwa tomy, przypada na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte minionego stulecia. Niejedna karta, poświęcona źródłowemu badaniu, nie jeden może rezultat monograficznych jego dochodzeń są już dzisiaj bądź ogólną własnością, bądź — wobec nowo wykrytych źródeł i dochodzeń — w pewnych szczegółach przestarzałe. Ale całość tych studjów i szkiców, pomimo upływu lat trzydziestu i czterdziestu od czasu ich napisania, zdała świetnie egzamin swej żywotności. Nie straciła na znaczeniu, dzięki umiejętności politycznego i społecznego ujmowania każdego poruszonego naukowego problemu. Drga dotąd życiem, odpowiadając na pytania nigdy nie przestarzałe, dopokąd naród polski egzystować i politycznie działać będzie. Czuć w tych studjach i szkicach nietylko bystry naukowy umysł, umiejący formułować z prawniczą jasnością i precyzją sporne naukowe pytania; widnieje z nich nietylko metodyczna, na źródłach i na logicznej interpretacji oparta umiejętność odpowiadania na te pytania — ale, co równie charakterystyczne dla kart, jakie niżej czytelnik do rąk otrzymuje: czuć w nich wielki temperament polityczny i gorące serce obywatela i Polaka. Rozprawy te, jak i inne dzieła Bobrzyńskiego, będą na długie jeszcze czasy pierwszorzędą szkołą nietylko historycznej metody, ale także politycznego myślenia. W tej właśnie nadziei, wierząc, że oddaje prawdziwą usługę społeczeństwu polskiemu (które obecnie z podwójną usilnością powinno dą-

żyć do poznania i naukowej prawdy i społeczno-historycznej swej tradycji), przystąpiła Krakowska Spółka Wydawnicza do zebrania w jedną całość tych dwudziestu pięciu rozpraw znakomitego historyka, prawnika i polityka, jakim jest Michał Bobrzyński.

Stanisław Estreicher.



I.

W IMIĘ PRAWDY DZIEJOWEJ.

Rzecz o zadaniu historii i dzisiejszem jej stanowisku.

1. Nauka o źródłach.

Każde działanie i życie uwidocznia się w pewnych zewnętrznych objawach, które zowiemy faktami. Każdy też fakt moglibyśmy nawet po najdłuższym przeciągu czasu stwierdzić po jego śladach, gdyby ślady wielu faktów nie spływały się ze sobą i nie zacieraly tem samem nie do poznania. Wiele faktów zginęło przez to, lub ginie dla nas niepowrotnie; inne tylko dlatego są przed nami mniej lub więcej ukryte, że nie umiemy śladów ich odkryć i wyróżnić.

Cheąc też odgadnąć przeszłość tego wszystkiego, co nas otacza i uwagę naszą na siebie zwraca, musimy przedewszystkiem zbierać, stwierdzać i badać ślady, które ta przeszłość, złożona z nieskończonego szeregu faktów, pozostawiła po sobie, musimy nabyć w tej pracy doświadczenia, wyrobić sobie pewne zasady i niezawodzące sposoby. Nauka, która nas do tego celu prowadzi, zowie się nauką o źródłach dziejowych, bo każdy ślad pozostawiony przez przeszłość jest dla nas źródłem do jej bliższego poznania. Nauka ta przez bardzo długie czasy leżała w kolebce, a raczej, mówiąc szczerze, jako nauka nie istniała wcale. Każdy historyk zosobna, kierując się naturalnym swoim rozsądkiem i korzystając z przykładu danego przez innych, zbierał źródła z większą lub mniejszą starannością i korzystał z nich w miarę swojej pilności, uwagi

i dowcipu. Znajdowali się tacy, którzy posuwali rzecz dalej, nabierali większej baczości i wprawy, ale nikt nie formułował zasad zbierania i korzystania ze źródeł, nikt tych zasad nie zestawiał i w osobną naukę nie łączył. Wyniki, do których jeden lub drugi doszedł, były dla innych stracone. Stąd też po takim Długoszu, który w XV wieku obok osobistych wspomnień i tradycji zbierał już pamiętniki współczesnych, kroniki, roczniki, urzędowe akta i zapiski, i to wszystko w możebnym komplecie, mamy przez trzy wieki, aż do Naruszewicza, całe szeregi kompilatorów, którzy o czemś podobnem nie posiadali żadnego pojęcia i albo sposobem kronikarskim zapisywali współczesne im wypadki, albo, co gorsza, ograniczali się do wypisywania ze swych poprzedników, przede wszystkim oczywiście z Długosza. Toż samo powtórzyło się dosłownie po Naruszewiczu. Liczni jego następcy ani w równym stopniu nie umieli gromadzić źródeł, ani też tajników jego krytyki historycznej nie umieli odgadnąć. Potężnym swoim talentem i szerokim zapoznaniem się z literaturą historyczną Zachodu zwrócił Lelewel uwagę na mnóstwo źródeł, których istnienia nikt przed nim się nie domyślał, wniknął głębiej w źródła i krytykę ich nieskończenie podniósł, ale z całej plejady jego uczniów i naśladowców któż pod tym względem do niego się zbliżył?

Dzisiaj podobne zjawisko już się prawie powtórzyć nie może. Mogą następcy poprzednikom nie dorównać w talencie, ale w sztuce zbierania i wyzyskiwania źródeł muszą nad nimi górować. Nie mówi się tu o samoukach, którzy na nieswoje zrywają się rzeczy; mowa jest o ludziach, którzy chcą się na serjo w zawodzie historycznym wykształcić. W połowie naszego wieku, głównie zasługą Francuzów i Niemców, sformułowano zasady zbierania i korzystania ze źródeł dziejowych, powstała osobna nauka o źródłach, wszystkim dostępna, która z każdym rokiem wielkie robi postępy. Jest to nauka tak obszerna, że niepodobna tutaj jej zasad szczegółowo przedstawiać. O głównych tylko wspomniemy.

Nauka ta wykryła przedewszystkiem i zestawiała wszystkie rodzaje źródeł, na które historyk zwrócić musi koniecznie uwagę; obok wszelkiego rodzaju pism prywatnych i urzędowych postawiła mo-

nety, pieczęcie, budowle, dzieła przemysłu i sztuki, a nawet w nazwach osób i miejscowości znalazła ważne historyczne źródło.

Postawiła ona następnie zasadę, że zanim się z pewnego źródła zrobi użytek, należy przedtem źródło to samo przez się poznać, jego powstanie pod względem czasu, miejsca i przeznaczenia najdokładniej zbadać, jego pierwotną postać, jeżeli jest nadwerżonym, odtworzyć i przywrócić, a nareszcie jego wiarogodność i doniosłość ocenić. Praca ta skupia się teraz w wydawnictwie i opracowaniu źródeł, prowadzonym wszędzie na najszerzą skalę.

Nauka o źródłach podaje nam w ręce środki, w jaki sposób, w jakim kierunku i do jakiego stopnia z danego źródła można i należy korzystać, wskazuje nam, jak te źródła grupować, które z nich za główne, bezpośrednie, niezawodzące uważać, któremi tylko pomocniczo się posługiwać. Nie miano dawniej o tem należytego pojęcia; stawiając wszystkie źródła społeczne i późniejsze, bezpośrednie i pośrednie narówni, wybierano ze sprzecznych wiadomości przez nie podanych pierwszą lepszą, na przypadek lub domysł.

Nauka ta postawiła nam wreszcie dwie uzupełniające się metody historycznego badania. Jedna z nich polega na zużytkowaniu wszystkich źródeł, odnoszących się wprost do pewnej epoki lub danego faktu. Druga zowie się metodą odwrotną, a lepiej wsteczną. Jeżeli do pewnej epoki, np. do XII wieku w Polsce, za mało przechowało się źródeł i ze źródeł tych o epoce owej nie możemy sobie stworzyć należytego pojęcia, w takim razie zapoznajemy się z epoką późniejszą, do której mamy dość źródeł, a więc w Polsce z wiekiem XIII; postawiwszy sobie obraz tego wieku przed oczyma, badamy następnie, które szczegóły tego obrazu powstały dopiero w XIII wieku; znalazłszy takie szczegóły, wyjmujemy je z obrazu i otrzymujemy przez to najprawdopodobniejszy obraz XII stulecia, na którego tle źródła odnoszące się wprost do niego możemy ułożyć, wyjaśnić i niemi go uzupełnić. Metoda to jedyna, bo w miejsce zupełnej dowolności i fantazji pozwala nam postawić przypuszczenie oparte na pewnej podstawie i zbliżające się niezmiernie do prawdy.

2. Podstawa sądu historycznego.

Przypuśćmy teraz, że wyposażeni w wyborną metodę źródłowego badania, poznaliśmy już wszystkie historyczne fakta, że jesteśmy w stanie każdy z nich opisać i stwierdzić. Cóż z nimi poczniemy? Czyż je będziemy wszystkie jeden po drugim chronologicznie spisywać? Byłoby to rzeczą bezwarunkowo niemożliwą. Najpierw dla nieskończonej ilości faktów. Któżby im wszystkim podobał? Powtóre dlatego, że mnóstwo faktów występuje równocześnie. W jakimże je porządku umieszczać, — chyba w geograficznym, t. j. idąc od zachodu na wschód, lub od południa na północ? Potrzeba więc pomiędzy faktami uczynić pewien wybór, obojętne i mniej ważne pominąć, donioślejsze wysunąć naprzód. Potrzeba nakoniec wynaleźć jakiś sposób, ażeby i te ostatnie w pewien przegląd ułożyć, w pewnym związku zestawić. Do rozwiązania tych trudnych pytań nieprędko doszło dziejopisarstwo. Przechodziło ono w tym względzie przez trzy wybitne fazy swojego rozwoju.

Zrazu jedyną wskazówką w wyborze i ułożeniu faktów była dowolność i widzimisię piszącego. Na tym stopniu stoją rocznikarze i kronikarze, którzy piszą co chcą i jak chcą. Piszą oczywiście o tem, co jaskrawością swoją najwięcej im podpada pod zmysły, a co zarazem najmniej wydaje im się zrozumiałem. Zanotowanem tam jest cielę, które się urodziło o trzech głowach, powódź lub posucha i kometa na niebie, wybór przeora w jakimś podrzędnym klasztorze lub zgon osoby, która kościół obdarzyła jałmużną, obok zmiany dynastji panującej i zdobytej lub utraconej prowincji. Zaczyna się zwykle od stworzenia świata, mowa jest potem o cesarzach i królach, ale przychodzi potem cały wiek, z którego tylko jedna rzecz jest zapisaną, że złodzieje gdzieś okradli stodołę. Ci, którzy w tego rodzaju dziejopisarstwie doprowadzili najdalej, opisują zwykle kolejno po sobie następujących panujących, dają pewne wyobrażenie o ich charakterze, kreślą ich stosunki familijne głośniejsze sprawy domowe, stosunki dyplomatyczne i wyprawy wojenne, ale o życiu narodu, o jego gospodarstwie i oświacie, o urządzeniach społecznych i politycznych chyba przypadkiem jakąś podają wskazówkę. Przewodnikiem ich, w najlepszym razie, jest

mniej lub więcej wykształcony zmysł estetyczny. Pragną, ażeby ich opowiadanie przedstawiało zawsze pewną zajmującą całość, pewien zaokrąglony tok wypadków. Dlatego podają nam większą ilość faktów, ale dlatego też kreślą wszystkie wypadki, nie biorąc względu na różne epoki, zawsze podług jednego i tego samego szablonu, w jednym i tem samym współczesnem im świetle, a tam, gdzie im brak faktów, nie wahają się i komponują je jedynie ze swojej fantazji. Talent autora, jego zmysł estetyczny i dar spostrzegania osobliwie współczesnych mu wypadków — podnoszą wartość jego pracy, ale nie zmieniają jej charakteru. Tutaj zaliczyć musimy Liwjusza i jego u nas naśladowcę, Długosza, ostatecznie zaś może nawet Naruszewicza.

Drugi stopień dziejopisarstwa nazwaćbyśmy mogli filozoficznym. Pewien pogląd filozoficzny ułożony *a priori*, rozwinięty mniej lub więcej dokładnie w szczegółach, służy za podstawę do wyboru i ustawienia historycznych faktów. Wartość tego rodzaju historii zależy oczywiście od wartości poglądu filozoficznego, który jej podwalinę stanowi. Jeżeli pogląd opiera się jedynie na urojeniu — a ileż takich niedorzecznych nie stworzono poglądów! — to historia nie będzie miała najmniejszej wartości. Pomyślmy sobie np. pogląd oparty na metempsychozie, wychodzący ze założenia, że jeden i ten sam duch wciela się kolejno w różne wpływowe osobistości dziejowe i dokonywa przez to jakiegoś swego, zgóry wytkniętego, celu, np. pokuty lub zemsty. Piszący na podstawie takiego poglądu historyk, musi oczywiście w sposób najdowolniejszy wybierać niektóre tylko fakta, bo inne dla tego poglądu żadnej doniosłości nie mają, a ponieważ nawet te wybrane fakta jeszczeby niedorzecznego poglądu nie były w stanie poprzeć, musi więc fakta te rozmyślnie lub bezwiednie fałszować i do poglądu swego sztucznie przykrawać i naginać. Wybrałem przykład jaskrawy; istnieją poglądy filozoficzne rozsądniejsze, których pewna część składowa do prawdy się zbliża, a wskutek tego historia na nich oparta nie jest bez pewnych zalet, atoli zalety te nie są nigdy w stanie zrównoważyć błędów i grzechów historii, która jest sługą pewnego dowolnie ułożonego poglądu i na jego udowodnienie ma służyć. Historia tego rodzaju panowała wszechwładnie z końcem XVIII i z po-

czątkiem XIX wieku; wprowadził ją i do nas Lelewel, dla którego ideałem narodu jest gminowładztwo, i który też w tak jednostronny pogląd całe przedstawienie naszej przeszłości wtlacza. Historję taką nazwano filozofją historji, a poznawszy się na jej słabych stronach, stracono do niej słuszenie zaufanie. Nie można dzisiaj ostrzej potępić żadnej historycznej pracy, jak odmawiając jej charakteru historji a nazywając ją filozofją dziejów.

Z jednej ostateczności wpadano jednak przytem dość często w drugą. Zaczęto żądać od historyków, ażeby pisali dzieje na podstawie faktów, ażeby z nich samych wyprowadzili ich związek i ogólną budowę. Żądanie takie, jeśli je weźmiemy dosłownie, nie mniej jest niedorzecznem. Objasnimy to na przykładzie. Możemy każdego historyka porównać do paleontologa, który wykopał gdzieś szczątki kilku przedpotopowych zwierząt. Były tam kości, lecz oczywiście nie w zupełnym komplecie, były ślady skóry i sierści. Ze szczątków tych powinien paleontolog ułożyć przedpotopowe zwierzęta i obraz każdego z nich przed nami odtworzyć. Jeżeli do tego zadania przystąpi z pewnem dowolnie powziętem wyobrażeniem, np. że zwierzęta ówczesne w jednej połowie ciała miały budowę ryb, a w drugiej budowę ptaków, to w takim razie ze szczątków ryb i ptaków, jakie znajdzie w wykopalisku, ułoży nam ptako-ryby, jakie nie istniały wcale; jeżeli będzie się starał udowodnić, że wszystkie zwierzęta chodziły z ciałem podniesionem pionowo, to wszystkie znalezione szczątki nóg będzie u spodu, niżej kręgu pacierzowego, umieszczał, podobny w tem do historyka, który dowodzi, że ludy słowiańskie rządziły się pierwotnie samą miłością i cnotą, a nie potrzebowały prawa i kary, i który ze śladów historycznych, pozostałych po tych ludach, układa nam jakieś dziwotwory wysrubowane i niemożliwe. Jeżeli jednak ów uczony przyrodnik będzie się starał ułożyć szczątki owe w ich pierwotnym związku na podstawie tylko ich dokładnego zbadania, bez żadnej myśli przewodniej, to w takim razie prędko swej pracy zaniecha. Przecież żadna kość nie przylega tak szczelnie do drugiej kości, ażeby przy niej musiała stać koniecznie, przecież zniknęły między temi kośćmi ścięgna i mięsna, brak nieraz samychże kości. Nie pozostaje więc nic innego, jak każdą kość z osobna oczyścić, opisać, w osobne pu-

delko wstawić i szafę niemi zapełnić. Jakież z takiej nauki pożytek? Tak samo ma się rzecz z historykiem, któryby dane fakta dziejowe układać chciał na podstawie tych faktów. Wszakże między temi faktami mnóstwo luk i braków, rzadko który z nich tak do drugiego przystaje, żeby się bez wahania dały ze sobą złączyć. Historyk tego rodzaju skończyłby znów na ułożeniu słownika poszczególnych faktów w alfabetycznym porządku, a od wszelkiego ściśleszego ich połączenia zniechęcony odstąpił.

Jest to zresztą rzecz zupełnie zrozumiała i jasna. Fakta dziejowe mogą być tylko przedmiotem badania i sądu, ale chcąc je ocenić i osądzić, trzeba mieć do tego pewną ogólną, zasadniczą miarę, którąby do nich można i należało przyłożyć. Jeżeli ktoś popełnił przestępstwo, to jest ono przedmiotem sądu, ale z niego samego nie można go osądzić, bo żadne samo w sobie nie mieści wyroku i kary; potrzeba mieć ogólny przepis prawny, który orzeka, że za takie przestępstwo taka należy się kara, a stosując ten przepis do przestępstwa, wydaje się o nim sąd i wyrok. Układając też przedpotowe kości, można to uczynić tylko na podstawie ogólnej, naukowej znajomości budowy zwierząt i ich pojedynczych rodzajów i osobników. Kto się w taką znajomość uzbroidł, ten znalezione szczątki rozłoży najpierw na grupy: osobno te, które należą do ssących, osobno te, które są własnością ryb lub ptaków; postępując coraz dalej, znajdzie nakoniec kości jednego zwierzęcia, a wiedząc do jakiego ono należało gatunku, wiedząc jaki jest ustrój zwierząt tego gatunku, zdoła je z łatwością złożyć w prawdopodobną całość, uwydatnić w niej nawet zachodzące braki. Gdyby się znalazły rozrzucone szczątki jakiegoś takiego zwierzęcia, które do żadnej ze znanych grup zwierząt nie należało, które zupełnie odmienny posiadało ustrój i innym w życiu swoim] podlegało prawom, to szczątków tych połączyć w jedną rozumną całość nie zdołaliby nawet Cuvier i Darwin połączonymi siłami. Historyk, mający nam odtworzyć obraz dziejowego rozwoju ludzkości z pojedynczych faktów czyli objawów jej życia, musi też w ocenieniu i zbadaniu tych objawów oprzeć się na umiejętnej podstawie nauk, badających życie towarzyskie człowieka, stwierdzających warunki i prawa, którym ono podlega, t. j. nauk społecznych i politycznych.

3. Praca historyczna.

Praca historyka nie jest też niczem innym, jak zebraniem faktów dziejowych i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych.

Nauki to niezmiernie rozległe, a myliłby się wielec, kto by je tylko za umiejętności prawnicze poczytał. Ich przedmiotem jest wszystko, co się składa na życie towarzyskie człowieka, a więc związki etyczne, prawne i polityczne, związki mające na celu rozwój społeczeństw i jednostki we wszystkich możebnych kierunkach. Nauki te nie są żadną apriorystyczną filozofią, ale są umiejętnością ścisłą, rozwijającą się systematycznie, postępującą krok za krokiem, stwierdzającą pojedyncze zasady i prawa na drodze doświadczenia i indukcji, stawiającą na podstawie tych praw dalsze hipotezy i pracującą nad ich rozwiązaniem. Znaczenie to umiejętnie zdobyły one sobie dopiero w naszym wieku, kiedy do nich zastosowano metodę nauk ścisłych i przyrodniczych. Badają one przedewszystkiem, mianowicie za pomocą statystyki, obecne życie towarzyskie człowieka i jego wytwory, zarówno w szczegółach jakoteż w całości i związku, a sięgając na tej podstawie w przeszłość, pytają się, czy w przechowanych nam objawach dawniejszego życia, w historii, prawa dzisiejszego rozwoju ludzkości nie znajdują potwierdzenia, rozwinięcia i większej liczby przykładów, czy po pewnych faktach następowały zawsze jedne i też same skutki. Prawo takie rozwoju, widoczne dzisiaj, stwierdzone licznymi faktami w przeszłości, staje się umiejętnym pewnikiem.

Nauki społeczne i polityczne zakresłają też historykowi granice jego badania i pracy. Historyk, jeśli nie przedsięwzięje pisać dziejów powszechnych, t. j. całej ludzkości, musi sobie obrać za przedmiot dzieje pewnego związku ludzkiego, który posiada naturalny ustrój i samoistnem rozwija się życiem. Można więc pisać dzieje jednego narodu lub państwa, a choćby dzieje kościoła, gminy, dzielnicy i t. p., ale niepodobna pisać umiejętnie dziejów ludności mieszkającej np. między Wisłą a Niemnem, bo ludność ta nie tworzyła nigdy sama przez się jednego lub kilku z takich ustrojów, w których się życie nasze obraca i zamyka. Najważniej-

szemi są też dzisiaj prace historyczne, które sobie biorą za przedmiot przeszłość jednego narodu i państwa, bo naród i państwo jest to najwyższy, naturalny, samoistnie się rozwijający ustrój (organizm), na który się ludzkość dotychczas zdobyła.

Z nieuwzględnienia tych zasadniczych spostrzeżeń nauk społecznych i politycznych rodzą się często, również i w naszej historii, nader szkodliwe błędy. Dlatego, że Polska w dalszym swoim rozwoju wcieliła w swój skład Litwę i znaczną część Rusi, są tacy, którzy żądają, ażeby historję Polski, Litwy i Rusi — nawet przed ich złączeniem — w jednym obrazie, jako jedną całość przedstawiać. Jest to rzeczą wprost niemożliwą, bo każda z tych części składowych późniejszej Rzpltej stanowiła przedtem odrębny, odmiennie urządzony i rozwijający się organizm narodowy i państwowy, i odrębnie tylko w tej epoce swego rozwoju pojętą i określoną być może. Chybaby więc odwrócić fakta i wmówić w siebie i w drugih, że np. Rusini nie mieli nigdy samoistnego politycznego bytu, a język ich to tylko naszego narzecze. Prawda, znaleźli się u nas brukowi historycy, a raczej politycy, którzy i to powiedzieli, nie bacząc, jak nam przez to nietylko wobec obcych ale wobec nas samych smutne wydadają świadectwo. Politycy ci utrzymują, że Polska składała się pierwotnie z właściwej Polski, Litwy i Rusi, następnie połączyła się tylko w jedną polityczną całość, a rzucają kamieniem na tego, kto mówi o przyłączeniu Litwy i Rusi. Szkoda, że taki polityk nie zjawił się na sejmie z 1569 r.; byłaby mu szlachta nasza, przeprowadzająca unję w imię »inkorporacji« z r. 1413, piękny wyprawiła »huczek«. Pomijając to jednak, zastanówmy się: Jeżeli Ruś i Litwa już od Mieszka i Chrobrego były Polską, to znika cała zasługa naszych dziejów, polegająca na tem, żeśmy na dalekie przestrzenie Wschodu zanieśli pochodnię cywilizacji i naszej gospodarczej pracy. Tak to każde pogwałcenie zasad naukowych w historii doprowadza do fałszowania faktów i odzierania przeszłości z jej najchlubniejszych zasług.

Zakreśliwszy granice badania, nauki społeczne i polityczne dają historykowi w ręce pewną miarę do ocenienia doniosłości pojedynczych faktów, pozwalają mu mnóstwo drobniejszych faktów z wszelką zasadą i korzyścią pomijać, a te tylko podnosić i zazna-

czać, które w życiu badanego przezeń ustroju rzeczywiście odegrały rolę. One to, przedstawiając historykowi, że pewien ustrój, np. państwo, z takich a takich się składa czynników, zniwelają go do wyszukiwania i badania wielu objawów dziejowych, na które inaczej nigdyby nie zwrócił uwagi.

Historyk uzbrojony w nauki społeczne i polityczne, oznaczy z łatwością po niewielu faktach, z jakim znanym rodzajem ustroju państwa i społeczeństwa w danym wypadku się spotyka, a przykładając zbadane przez się stosunki i urządzenia do tego ogólnego wzoru, ułoży je w jedną harmonijną całość i z łatwością opisze, wskaże szczegóły, które w tym ustroju więcej niż w pospolicie są rozwinięte, wskaże zarazem jego niedostatki i braki, wyświeci przyczyny tych wad i zalet, a przez to indywidualność jego wybitnie naznaczy. W całym takim opisie i układzie nie będzie dowolności i samowoli, bo to wszystko, co niegdyś było organicznie ze sobą związane w przeszłości, ujrzy się w tymże samym związku odtworzone w historycznym obrazie.

Praca historyka na tem się jednak nie kończy. Każdy ustrój, który istniał w przeszłości, musiał się poruszać, to jest rozwijać lub cofać. Nie może też historyk poprzestać na opisanu pewnego dziejowego ustroju, musi skreślić nam jego życie w całym jego przebiegu dziejowym i w jego wszystkich objawach. Taki jest cel, takie zadanie i pojęcie historii. Otóż do rozwiązania i tej najtrudniejszej zagadki nauki społeczne i polityczne historykowi rękę pomocną podają. Znajdzie w nich skreślonym, w jaki sposób każdy ustrój się porusza, w jakich warunkach się rozwija, w jakich znowu upada, jakim, jednym słowem, prawom rozwoju i upadku podlega. Znając zaś to wszystko, tę fizjologję państwa i społeczeństwa, może już historyk śmiało iść za ruchami danego państwa i społeczeństwa, za pozostałym po tych ruchach śladem, może te ruchy zrozumieć, powiązać i wytłumaczyć, może w każdej chwili stwierdzić, czy ma do czynienia z upadkiem, czy z rozwojem, może przyczyny tych zjawisk w pewnych, zgóry przez naukę wskazanych faktach odnaleźć i tem samem wyjaśnić. Da się tu praca historyka przyrównać do pracy lekarza, który poznavszy na zasadzie ogólnych prawd anatomicznych ustrój pewnego człowieka, stwierdza

następnie każdej chwili z łatwością stopnie jego fizycznego rozwoju, rozpoznaje na podstawie zasad fizjologicznych każdy jego ruch i działanie, rozpoznaje zboczenia i wykazuje ich przyczyny i skutki.

Objaśnijmy rzecz na przykładzie. Znany jest i stwierdzonym fakt, że absolutna władza monarsza, stanowiąca dźwignię państwa pierwszych Bolesławów, zaczęła się chwiać po śmierci Krzywoustego i w ciągu średnich wieków, utraciwszy wiele ze swych prerogatyw, z przewagą możnowładztwa duchownego i świeckiego musiała się liczyć. Z faktu tego wielu historyków, dość wspomnieć Hoffmana i Hüppego, wyprowadzało wnioszek, że czasy świetności Polski kończą się ze śmiercią Krzywoustego, a od tej chwili rozpoczyna się już nieustanny rozkład, niczem niepowstrzymany upadek. Na czemże to jednak opierał się tak bolesny, upakarzający sąd o naszej przeszłości? Na nieznamości, powiedzmy wprost, najgłówniejszych prawd, w naukach społecznych i politycznych od dawna stwierdzonych.

Historycy owi, zwracając wyłączną uwagę na formę rządu, zapomnieli o społeczeństwie. Wskutek tego nie zauważyli zupełnie, że równocześnie z osłabieniem pierwotnej władzy monarszej — rozwija się u nas, budzi się do samoistnej pracy i mężnieje społeczeństwo, że władza monarsza musiała dlatego ustąpić nieco ze swoich prerogatyw na rzecz samorządu kościoła, miast i ziem, bez którego praca społeczna nie mogła się rozwinąć. Uwzględniając ten wynik nauk społecznych i politycznych, stwierdzony w dziejach tylu średniowiecznych ludów, byłiby historycy doszli do wprost przeciwnego wniosku i wykazali rzecz, dziś już powszechnie uznaną, że w ciągu XIII, XIV i XV wieku naród nasz nieustannie się rozwija, bo tracąc nieco na energii swej naczelnej władzy, zyskuje stokroć więcej na samorządzie społecznym. Historycy owi, patrząc jedynie na formę rządu, nie dojrzeli, że państwo polskie z patriarchalnego stało się patrymonjalnem, nie domyślali się, że to ostatnie odmienny musiało mieć ustrój i odmiennym prawom rozwoju musiała podlegać. Patrząc się na dzieje nasze średniowieczne w świetle militarnej monarchji, potępiali przywileje (np. koszycki z r. 1374), widzieli w nich objawy rozstroju i upadku, zamiast w nich uznać

zbawienne określenie samorządu stanów, na którym się każde państwo patrymonjalne koniecznie opiera.

4. Zadanie historii.

Skoro jednak historia polega na stwierdzeniu i sprawdzeniu ogólnych prawd naukowych w dziejach każdego narodu, to zdawaćby się mogło niejednemu, że ona nie przynosi nic nowego, a zatem nie ma żadnego posłannictwa i celu. Bynajmniej tak nie jest. Ma historia dwa odrębne zadania: — jedno naukowe a drugie społeczne.

Nie jest przedewszystkiem dla nauki obojętną rzeczą, że prawo jakieś, postawione na podstawie całego szeregu zawsze w tenże sam sposób powtarzających się zjawisk, stwierdzi się wybitnie i wyraźnie jeszcze na jednym przykładzie i doświadczeniu. Takie ogólne prawo rozpada się jednak na mnóstwo szczegółowych zasad, z których każda w pewnych się tylko warunkach objawia. Otóż w historii różnych narodów powtarzają się często i sprawdzają jedne i te same ogólne zasady, ale ponieważ historia każdego narodu ma swoje odrębne właściwości i w pewnych sobie tylko właściwych rozwija się warunkach, więc też każda historia daje pole do wykrycia wielu drobniejszych praw, grupujących się około znanej ogólnej zasady. Jest też w naukach społecznych i politycznych, jak w każdej umiejętności, wiele praw ważnych, niezupełnie jeszcze sprawdzonych, są takie, które nie wyszły z obrębu mniej lub więcej uzasadnionych hipotez. Każda nowa historyczna praca o takie prawa potraça, każda może się niepomatu do ich stwierdzenia lub sprostowania przyczynić. Istnieją nakoniec w życiu politycznym i społecznym człowieka fakta, któreśmy już raz i drugi dostrzegli, ale których jeszcze dotychczas nie zdołaliśmy wyjaśnić, powiązać, ocenić i choćby pod pewne przypuszczalne prawa podciągnąć. Jakież to pole dla historyka do wynalezienia większej ilości poddanych faktów i do rozwiązania nierozwikłanej dotychczas zagadki. Pomiędzy nauką o społeczeństwie i państwie a historją zachodzi więc jak najściślejszy związek: pierwsza toruje drogę i sta-

nowi podstawę i punkt wyjścia dla drugiej, — druga gromadzi dla pierwszej nowe materiały, a nieraz ją wprost nowemi spostrzeżeniami z bogaca. O wartości historyka i jego pracy rozstrzyga też głównie ta okoliczność, o ile umie korzystać z wyników nauk społecznych i politycznych i o ile nawzajem zdoła swą pracą przyczynić się do ich dalszego rozwoju. Tylko ta praca historyczna budzi prawdziwy naukowy interes, w której widzimy, że autor o tem swoim istotnem zadaniu nieustannie pamiętał i z niego wywiązać się umiał, w której widzimy dokładne rozróżnianie faktów podług tego, czy są znanych spraw stwierdzeniem lub sprostowaniem, czy też na nowe naprowadzają prawa. I za jedno i za drugie należy się historii dobrze pojętej miano pracy umiejętnej, nieskończenie ważnej. Do takiego pojęcia historii doszliśmy jednak niedawno, daleko nam jeszcze i dzisiaj do tego, abyśmy pojęcie to i zadanie w zupełności przeprowadzić zdołali. Przedtem w umyśle historyków błąkały się oczywiście pewne pojęcia o państwie i społeczeństwie, na podstawie których wydawali swój sąd, a wydając ten sąd, poruszali nieraz o nowe pojęcia i prawa, ale wszystko to działo się niemal bezwiednie, z dowolnością bez granic, bez żadnej utartej drogi i metody historycznego badania. Całe też dziejopisarstwo dawniejsze, nie wyłączając stąd najznakomitszych historyków starożytności, błyszczące nieraz swoją formą i bystrością spostrzeżeń w pewnym, dość jednostronnym kierunku, ale nieświadome swego istotnego celu, nie rozporządzające umiejętnością badania, — nie było pracą umiejętnością w prawdziwym i wzniosłym tego słowa znaczeniu.

Nauki społeczne i polityczne są więc jedynym sądu pracy historycznej probierzem. Łatwy ten zarzut: Ależ nauki te, niedawno powstałe, tak jeszcze mało są rozwinięte! — Zarzut ten jednak nie dowodzi niczego.

Prawda, że uczeni pracujący nad nauką o społeczeństwie i państwie za mało dotychczas skorzystali z wyników prac historycznych, — daleko od tego, aby je wyczerpnęli wszystkie. Niejeden historyk zna lepiej pewien szczegół do nauk tych integralnie należący, niż nawet taki Mohl lub Roscher. Ale wniosek stąd naturalny: Jeżeli ze studjów swych historycznych poznałeś coś lepiej

niż dotychczas w nauce o państwie i społeczeństwie jest wyłożonym, to z tego w dalszej swej pracy historycznej i owszem korzystaj; czego zaś sam lepiej nie wiesz, to z nauk owych przyjmuj z wdzięcznością, badaj i sprawdzaj, ale zaprzestań raz wierzyć w swoją fantazję i widzimisę. Do czego w naukach społecznych i politycznych nie znajdziesz klucza, do czego sam nietylko nie postawisz prawa, ale nawet hipotezy umiejętniej, to zanotuj tylko, zapisz fakta, a wyjaśnienie ich pozostaw następcom.

Jedną z największych wad historyków jest niewątpliwie ta, że silą się zrozumieć i wytłumaczyć ostatecznie wszystkie objawy dziejowe, o których piszą, równocześnie zaś nie uwzględniają mnóstwa faktów, do których wydobyć i ułożenia nauki społeczne i polityczne — takie, jakie są — już im pewne podają podstawy. Jeżeli nauki te nie rozwijają się tak szybko, jakbyśmy pragnęli, to historycy w znacznej części temu są winni. Zamierza np. polityk zbadać dokładnie objaw »kolonizacji«, sformułować prawa, którym ona podlega, zbierze wszystko, co historycy o pojedynczych kolonizacjach napisali, i przekona się, że mało który fakt kolonizacji opisany jest ze zrozumieniem jej natury, o większej części takich faktów historycy podali najubożniejsze szczegóły, pomijając zasługujące na największą uwagę. Opisywali nieraz, jak wyglądał okręt przewożący kolonistów, a zapomnieli dodać, na jakich podstawach koloniści nową ziemię objęli, jak się w niej osiedlili. Jakież z takich prac historycznych pożytek?

Dopóki też pomiędzy historykami a uczonymi badającymi naturę państw i społeczeństw nie zapanuje najściślejszy związek, dopóki jedni nie będą znać wyników prac drugich i wyników tych między sobą wymieniać, dopóty o istotnym, prędkim postępie obu umiejętności nie może być mowy.

Obok naukowego celu, historia każdego narodu ma jeszcze wobec tego narodu osobne, niepospolite zadanie. Każdy naród w życiu swem i rozwoju korzystać może i powinien przede wszystkim z wyników nauk społecznych i politycznych, które mu wskazują drogę, prawa i środki działania. Na tem jednak nie można poprzestać. Ogólne wyniki nauk nie dadzą się wprost i w tenże sam sposób zastosować do każdego narodu i państwa, muszą ulec

pewnym, przewidzianym zresztą nieraz w nauce, zboczeniom i wyjątkom, bo każdy naród i państwo posiada pewne warunki, zasoby i dążenia, które jego indywidualność stanowią. Otóż zadaniem jest historii, ażeby stosując ogólne naukowe zasady do przeszłości tego narodu, nakreślić jego charakter, jego warunki i zasoby, jego wybitne kierunki i dążenia, ażeby mu uwydatnić te naukowe zasady, które w jego rozwoju i życiu większą niż w rozwoju innych narodów odgrywają rolę, ażeby mu te zasady i prawa widomie postawić przed oczy. O zadanie to może się zresztą praca historyczna zupełnie nie troszczyć, może o niem zupełnie zapomnieć, — spełni je zawsze bezwiednie, jeśli tylko pierwszego naukowego celu z oka swego nie spuści i urzeczywistnić go zdoła. Już Cycero powiedział: *historia est magistra vitae*; — tylko że historia, nieujęta w karby umiejętności, nader często dała się nadużywać i zamiast do nauki, do obalamucenia umysłów służyła.

Nie można tu nareszcie pominąć i tego mniemania, które obok powyższych dwóch celów przyznaje nadto historii trzeci cel samoistny. Historia sama przez się, t. j. sam obraz przeszłości, ma być — i to umiejętnym — celem. Mniemanie to atoli nie da się uzasadnić. Przedmiot historii oraz nauk społecznych i politycznych jest jeden i ten sam: życie towarzyskie człowieka; a cała treść historii, wszystkie wykryte przez nią objawy i prawa rozwoju ludzkości w naukach społecznych i politycznych w zupełności się mieszczą. Historia, dostarczywszy tym naukom wszystkich swoich wyników, sama przez się nie może też już żadnego innego umiejętnego zadania posiadać.

5. Hipoteza w historii.

Jest więc historia pracą umiejętną, a jako taka nie ma końca i granic. Im bowiem na polu nauk społecznych i politycznych do większych i obfitszych dochodzimy pewników, tem dokładniejszą zyskujemy miarę do zrozumienia i ocenienia dawno już zbadanych i przedstawionych, ale niezupełnie odgadniętych objawów dziejowych. Sąd historyka nigdy nie może być ostatecznym, bo się opiera



na podstawie, która się sama nieustannie ulepsza i wznosi. Jeden i tenże sam historyczny przedmiot daje pole do coraz głębszych badań, coraz to szerszych wyników.

Jako prawdziwie umiejętna praca ma też historia najzupełniejsze prawo do posługiwania się tem, co się hipotezą naukową nazywa. Ci, którzy historję pragnęli zniżyć do rocznikarstwa, do suchego zapisywania faktów, zwykle się na hipotezy historyczne zrywają; mają one jednak swoje istotne znaczenie, zarówno kiedy zastępują, jakoteż kiedy wyprzedzają historyczną prawdę i drogę do jej poznania z mozołem torują.

Są takie epoki w historii każdego narodu, mianowicie pierwotnej, do których tylko nader szczupłe i urywkowe przechowały się źródła. Po ich najszczegółowszem zbadaniu i wyczerpnięciu zyskujemy ilość faktów tych tak ograniczoną, że niema nietylko podobieństwa, ale nawet nadziei, ażeby na podstawie tych źródeł dal się wznieść obraz prawdziwy tak zamierzełych czasów. Wówczas historyk, czyto za pomocą metody odwrotnej, o której wspomnieliśmy wyżej, czy też posługując się analogją z historii innych narodów, na tym samym stopniu rozwoju się znajdujących, zmuszony jest dopełnić sobie fakta, których brak do obrazu, i przypuszczalny obraz epoki postawić. Obraz taki nie może się sprzeciwiać w niczem wynikom nauk społecznych i politycznych, winien wszystkie rzeczywiście dochowane fakta dokładnie tłumaczyć, ale zawsze jest tylko hipotezą i pozostać nią musi. Czyż dlatego ma ją historyk porzucać i do zarejestrowania faktów się ograniczyć? Nie, bo takiej jego wstrzeźliwości nie naśladowałby wcale ogół publiczności. Ogół ten, folgując naturze ludzkiej, wyrabiałby sobie i tak wyobraźnią swą pewne o tej epoce ogólne pojęcie. Lepiej więc, że historyk powołany do tego i wyposażony metodą historycznej konstrukcji poda hipotezę, o której przynajmniej nie będzie można powiedzieć, że jest nieprawdziwą i niemożliwą, — niż żeby ogół tworzył sobie fantastyczne obrazy, nietylko niemożliwe i wprost nieprawdziwe, ale nadto mącaące w wysokim stopniu późniejsze historyczne zjawiska. Hipoteza naukowa ma tu wielkie zadanie, ażeby zastąpić historyczną prawdę.

Do innych zato epok przechowała się ilość faktów tak dalece obfita, że lata musiałyby upłynąć, zanimby historycy przy największem wysileniu i pracy zdołali fakta te wydobyć z ukrycia, opracować i zużytkować, a wówczas dopiero z faktów tych da się złożyć prawdziwy, stwierdzony we wszystkich szczegółach i wyjaśniony historyczny obraz. Czyż jednak historycy aż do tej chwili czekać mają z utworzeniem sobie o tej epoce przypuszczalnego pojęcia. Byłoby to niemożliwem, bo z natury ludzkiej wynika, że historyk, mając już tylko pewną, niezbędną ilość faktów, łączy je zaraz w umyśle swoim w pewien ogólny obraz i — w miarę poznawania dalszych faktów — obraz ten dopiero uzupełnia, prostuje i stwierdza. I tu hipoteza w pracy historycznej rolę ogromną odgrywa, a hipoteza taka nie powinna się również w ciasnym kółku uczonych zamykać. Szczęśliwym jest naród, który na podstawie całego szeregu historycznych badań ma już o całej swojej przeszłości dokładne, stwierdzone pojęcie. Choć jednak naród jakiś takim opracowaniem swoich dziejów pochlubić się nie może, to potrzebuje zawsze o całej swojej przeszłości mieć pewne pojęcie, a lepiej w takim razie, żeby historycy obznajamiali go z najnowszemi swemi hipotezami, niż żeby hipotezy takie miał sobie dowolnie tworzyć lub w hipotezy naukowe dawno już porzucone wierzyć.

Są wreszcie w każdej historii całe szeregi znanych już i stwierdzonych faktów, których dlatego tylko nie umiemy połączyć ze sobą i wyjaśnić, że w umiejętnościach społecznych i politycznych, niedość jeszcze rozwiniętych, nie znajdujemy do tego pewnej i niezawodnej podstawy i klucza. Zanim go też nowe wyniki tych nauk dostarczą, możemy, o ile siły nasze na to rzeczywiście starczą, chwycić się hipotez, z których jedna i druga zawiedzie, ale ostatecznie się sprawdzi i nieraz nawet do wykrycia nowego, nieznanego prawa, któremu życie społeczne lub polityczne podlega, istotnie się przyczyni.

W tych dwóch ostatnich wypadkach hipoteza toruje drogę historycznej prawdzie. Zamiast więc hipotezą w historii lekkomyślnie pomiatać, należy tylko dbać o jej naukowe podstawy i najrozsądniejszy z niej wyciągać pożytek.

6. „Gdyby“ w historii.

Czy wolno historykowi w opowiadaniu zdarzeń dziejowych używać rozumowań tego rodzaju: »Gdyby ten lub ów był to a to zrobił, inaczej niż zrobił, gdyby naród posiadał ten a ten charakter, lub znajdował się w tych a tych warunkach, to w takim razie dzieje narodu poszłyby innym torem«? Na pytanie to wielu odpowiadało przecząco i wreszcie na słowo »gdyby« w historii padła zupełna klątwa. Historyk, tak rozumowano, powinien opowiadać, co się działo, jak i dlaczego się działo, a nie bawić się przypuszczenia, nie dyktować innego biegu wypadkom, nie odwracać dziejów. Rozumowanie to miało niewątpliwie swe dobre strony, w epoce bowiem, kiedy historia nie posiadała w umiejętnościach społecznych i politycznych trwałej podpory, kiedy jej nadużywano systematycznie do udowodnienia różnych politycznych i filozoficznych systemów i mrzonek, zakaz »gdyby« zwracał ku stronie faktycznej dziejów i kładł rozbujaniu myśli i wyobraźni skuteczną zapórę. Dziś jednak, kiedy obawy te u historyków, rozporządzających wyborną, umiejętną metodą, rozpraszają się, ponówny pytanie, czy zakaz »gdyby« bezwarunkowo utrzymanym być musi? Rozróżnijmy przedewszystkiem odmienne wypadki, w których historyk rozumowaniem tem mógłby się posługiwać.

Jeżeli historyk powiada: »gdyby kraj nasz posiadał warunki takie, jak inny ze znanych krajów, to w takim razie dzieje jego byłyby się rozwinęły inaczej«, — to zwrot tego rodzaju nie ma w sobie niebezpieczeństwa, leżącego w słowie »gdyby«, bo jest tylko odwróceniem całkiem innego twierdzenia. Jest to nieco dokładniejsze wypowiedzenie zdania: »kraj nasz posiadał tylko takie a takie warunki, a więc tak się musiał rozwijać«. Objaśnijmy rzecz na przykładzie. Jeżeli mówimy: »Gdyby państwo polskie znajdowało się w położeniu takim jak Anglja lub Hiszpanja, to nie byłby je spotkał rozbiór«, to wyrażamy przez to jedynie myśl: »Państwo polskie nie posiadało naturalnych, obronnych granic, a wskutek tego miało utrudnioną obronę«, wypowiadamy spostrzeżenie, które nietylko nie jest niebezpiecznem, ale owszem, którego nie można pominąć.

Toż samo mówiąc: »Gdyby charakter Polaków był gorętszym, to przekonawszy się o zdradzie Zygmunta III, byłiby go gwałtem pozbawili tronu«, chcemy tylko powiedzieć: »łagodny charakter Polaków pozwalał Zygmuntovi III działać wprost na zgubę kraju«. Można się tylko sprzeczać, który z tych dwóch sposobów wypowiedzenia jednej i tej samej myśli jest odpowiedniejszym, ale nie więcej.

Inna rzecz jeśli historyk powie: »Gdybyśmy byli to a to zrobili, to byłibyśmy z tego takie zebrali owoce«. Jeżeli kto stawia przypuszczenie, które w danym kraju i w danych warunkach było niemożliwem, to przypuszczenie takie niczego nie objaśnia i jest szkodliwem dlatego, że jest zbyt czynnem i na mylnej polega podstawie, np.: »Gdyby Jan III dla złamania anarchji szlacheckiej był się oparł na żywiole mieszczańskim...«. Ależ za Jana III żywiołu mieszczańskiego, nie było w Polsce wcale lub żadnego nie posiadał znaczenia. Postawmy jednak w tem samem zdaniu zamiast Jana II Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Za ich panowania żywioł miejski istniał rzeczywiście i niemałą przedstawiał siłę. Jeżeli zaś stwierdzimy z rozważnego zbadania faktów, że królowie ci mogli stanąć skutecznie w obronie miast przeciw szlachcie, a nie stanęli, jeśli sobie postawimy przed oczyma zasadę, że panujący dla złamania przewagi klas wyższych opierali się wszędzie skutecznie na niższych, to w takim razie przypuszczenie nasze i wnioski, dające się z niego wyciągnąć, będą uzasadnioną krytyką rządów obu Zygmuntovi. Objaśnimy rzecz niezmiernie, mówiąc: »Gdyby Zygmuntovi oparli się dla złamania przewagi szlachty na miastach, byłiby utrudnili wyłączną przewagę szlachty i dla tronu zachowali szacowną podporę«. Oczywiście i wnioski wyprowadzone z prawdziwego założenia, muszą być oparte na naukowej zasadzie. Wniosek wyprowadzony z powyższego zdania: »to Polska nie byłaby upadła« lub: »to szlachta nie byłaby nigdy przyszła do władzy«, jako nie poparty przykładem innych krajów, byłby szkodliwy i błędny. Weźmy inny przykład: »Gdyby Zbigniew Oleśnicki nie był powstrzymał narodu od przyjęcia husytyzmu, to byłibyśmy mieli do walczenia ze społeczną anarchją«. Premisa jest zupełnie stwierdzoną, wniosek opiera się na pewniku w dziejach czeskich, a po-

części i naszych, stwierdzonym, że ruch husycki niósł ze sobą so-
cjalną dezorganizację, warunki obu krajów wobec husytyzmu były
też same, u nas może nieco gorsze, spostrzeżenie więc nasze wy-
jaśnia i stawia we właściwym świetle politykę Oleśnickiego. Je-
szcze jeden przykład: »Gdyby Zygmunt August był się nakłonił ku
reformacji, to mógł z tego dla wzmocnienia władzy rządowej sko-
rzytać«. Premisa jest możebną, bo tylko od Zygmunta Augusta
zależało ostateczne zwycięstwo reformacji w Polsce, wniosek uza-
sadniony jest spostrzeżeniem, stwierdzonym w historii wszystkich
współczesnych krajów, które reformację przyjęły, uwaga historyka
wyjaśnia drogi, które Zygmunutowi Augustowi stały otworem.

Wyciągając teraz z tych i z wielu innych przykładów ogólny
wniosek, możemy powiedzieć, że »gdyby« historyczne jest możli-
wym i pożytecznym, jeżeli: 1) przypuszczenie faktyczne, na którem
się opiera, jest prawdziwym lub w danej chwili możliwym; 2) je-
żeli wniosek, z przypuszczenia wyprowadzony, uzasadniony jest
w umiejętności; 3) jeżeli postawienie przypuszczenia i wyprowa-
dzenie wniosku objaśnia istotnie różne kierunki i drogi, których
w danej chwili naród lub osobistość historyczna mogły być się
chwycić. Wszakże potępiając kogokolwiek za jego działanie, mo-
żemy to uczynić tylko na podstawie przekonania, że mógł postą-
pić sobie lepiej; chwalać, musimy przypuszczać, że mógł postąpić
sobie gorzej. Jeżeli zaś historykowi wolno chwalić i ganić, t. j. wy-
kazywać złe lub dobre pewnych czynów następstwa — a tego nikt
mu nie może odmówić — to oczywiście nikt mu nie powinien
mieć za złe, że owe »gdyby« stawia w sposób wyraźny lub doro-
zumiany, lub innymi słowy, że o narodzie lub jego osobistościach
historycznych nieco jaskrawszego wyrażenia: »powinien był uczy-
nić« używa.

Nie ulega wątpliwości żadnej, że błędne lub lekkomyślne uży-
wanie historycznego »gdyby« szkodzi historycznej pracy, ale dla-
tego, że jeden może z pewnej rzeczy zły zrobić użytek, nie można
jej zabronić innym, którzy nią zdołają z wielkim pożytkiem
władać.

7. Kunszt historyczny.

Nie dość jest dobrze badać źródła i trafny o nich sąd wydać. Chcąc być historykiem w całym tego słowa znaczeniu, potrzeba jeszcze umieć opowiadanie swoje i uwagi skreślić w odpowiedniej, pod względem artystycznym nienagannej formie. Inaczej praca historyczna nie stanie się przystępną dla wszystkich, lub, co gorsza, niedołączną formą rzetelne swoje wyniki zamąci i skazi. Forma zwróciła też na siebie o wiele wcześniej niż rzecz sama uwagę; kiedy jeszcze nie myślano o nauce źródeł, opracowywano już zasady kunsztu historycznego, na który składa się i wytworny styl, i siła wyobraźni, i jasność wywodów, i werwa opowiadania. Gdy jednak dawniej dla wykwintnej formy zapominano nieraz o rzeczy, dziś historyk musi zachować w pamięci, że największe zalety formy polegają na ścisłym jej zastosowaniu się do wybornej treści.

Historyk, który zwraca niepotrzebnie uwagę na mnóstwo szczegółów i drobiazków, nie mających żadnej doniosłości, nie ustrzeże się rozwlekłości w opowiadaniu, choćby był najlepszym stylistą. Taka jedynie praca może zabłysnąć formą i utrzymać w naprężeniu uwagę czytającego, w której każdy szczegół jest potrzebnym i ściśle z innymi się wiąże, w której dzieje pewnego organizmu rozwijają się przed oczyma czytelnika zrozumiale we wszystkich ich przyczynach i skutkach.

Nie może też historyk znaleźć bardziej artystycznego rozkładu i ugrupowania szczegółów historycznych nad ten ich układ, jaki niegdyś posiadały w życiu, w rzeczywistości. Wszelkie układy dowolne nie tylko że szkodzą treści, ale muszą być koślawe i brzydkie, bo są nieprawdziwe. Zasada ta uwidocznia się mianowicie w dwóch głównych kierunkach.

Kreśląc przeszłość narodu, musi historyk uwzględniać wszystkie, tak różnorodne objawy jego życia, a więc obok stosunków politycznych i społecznych także i geografję, piśmiennictwo, obyczaje, religję, przemysł, handel, gospodarstwo i sztukę. Historyków, którzy to uwzględniali, mamy już wielu, mało jednak takich, którzy dla rzeczy umieli znaleźć odpowiednią formę. Pospolicie opisuje

się dziś jeszcze na początku wypadki, a następnie w osobnych rozdziałach kreśli się rozwój prawa, gospodarstwa, piśmiennictwa, obyczajów, sztuki. Jest to ze strony historyka w każdym razie nieporadność, lub co gorsza, brak zrozumienia rzeczy. Przecież w rzeczywistości żadna z tych stron życia narodu nie rozwijała się odrębnie, wszystkie były ze sobą nierozzerwalnie splecione, wszystkie nawzajem zależały od siebie, ze wszystkich dopiero razem wytwarzały się polityczne wypadki. Jakże np. zrozumieć walki nasze parlamentarne za czasów Zygmunta Augusta, jeśli się poprzednio nie skreśli wszechstronnie dwóch wielkich prądów dziejowych, humanizmu i reformacji, które do walk tych przygotowały podstawę i wszelkich im dostarczyły zasobów! Bez tego czytać będziemy opis tych walk, bezbarwny i nużący, bo niezrozumiały, i dopiero gdzieś na końcu książki znajdziemy w osobnych rozdziałach rzeczy, które nam pomału, i oczywiście niezupełnie, wątpliwości wyjaśnią. A ile przy takim układzie musi być koniecznych powtarzań, ile luk i opuszczeń. Historyk, rozdzieliwszy sobie w tak nienaturalny sposób materiał, łatwo też zmieniać będzie nieustannie swe stanowisko, w rozdziale o stosunkach kościelnych da się rychło uwieść interesowi kościoła, w rozdziale o prawie interesowi dobrego sądownictwa i kodyfikacji, a zapomni łatwo, że w historii narodu wszystkie te podrzędne interesa muszą się podporządkować jednemu ogólnemu interesowi rozwoju narodu, i że tylko z tego ogólnego stanowiska oceniać je trzeba.

Drugim głównym wymogiem kunsztu historycznego, podyktowanym przez treść, jest należyty podział historii na okresy. Do podziału takiego posiadamy głębokie przyczyny. Widzimy mianowicie, że każdy naród i państwo pod wpływem pewnych historycznych prądów i zdarzeń porzuca od czasu do czasu dotychczasowe podstawy i kierunek swego dążenia i rozwoju, a nowe sobie wytwarza lub przybiera i na nich dalej się kształci. Otóż każdy taki jeden przeciąg czasu, w którym naród na tych samych podstawach pracuje, urządza się i rozwija, nazywamy w historii jego osobnym okresem czyli epoką jego życia. Każde zaś zmienienie tych podstaw zaznaczamy jako przejście do nowego okresu. Nie chcąc też pojedynczych stosunków i wypadków wrywać z ich naturalnego

związku, lecz pragnąc każdy z nich na ich właściwej, wspólnej im podstawie nakreślić, należy każdy okres dziejowy w osobnym obrazie przedstawić i zamknąć. Najłatwiejszą i najpewniejszą miarą tego podziału jest zmiana ustroju politycznego i społecznego narodu. Podział tego rodzaju, np. na okres państwa patriarchalnego, patrymonjalnego i prawnego, nie jest jednak, jakby się napozór zdawało, podziałem czysto prawniczej natury. Gdy bowiem w ustroju państwa i społeczeństwa wszystkie kierunki uczuć, myśli i działalności człowieka obracają się i mieszczą, gdy ustrój ten najściślej od nich zależy, jest ich naturalnym wyrobem i wynikiem i z ich zasadniczą zmianą niewątpliwie się zmienia, więc też do podziału tych wszystkich kierunków jest on wiernym i nie zawodzącym nigdy drogowskazem.

Jest to zasada sprawdzona w historii tych wszystkich narodów, które dzieje swoje mają już opracowane. U nas najmniej ona dotychczas zapuściła korzeni. Podziałów naszych dziejów mamy nieskończone mnóstwo, ale jakich podziałów? Jedni dzielą historję na okres rozwoju, kwitnięcia, upadku, nie bacząc na to, że niema żadnej przyczyny do tworzenia osobnych okresów, jeśli naród rozwijał się, kwitnął i upadał na podstawie i w ramach jednej i tej samej organizacji ustroju. Drudzy dzielą historję podług zmian formy rządu, nie bacząc na to, że zmiana formy rządu nie poociąga jeszcze za sobą bynajmniej zasadniczej zmiany w ustroju społeczeństwa i państwa, w którym się życie narodu obraca, a nieraz na wszystkie najważniejsze urządzenia pozostaje bez wpływu. Tem mniej oczywiście posiada przyczyny podział na okresy, uzasadniony zmianą panującej dynastji, okolicznością czysto przypadkową, nieraz bez żadnego głębszego znaczenia. Łatwiej zato bronić podziału na epoki według wielkich terytorjalnych nabytków, np.: Polski samej do r. 1386, Polski połączonej z Litwą unją personalną do r. 1569, i Polski z Litwą połączonych parlamentarnie. Podział ten nie tłumaczy nam *atoli tego, o co nam przy podziale na okresy idzie, t. j. zmiany w podstawach życia czyli urządzeniach społecznych i politycznych. Mogły się wskutek unji powiększyć zasoby i środki, rozszerzyć widnokrąg polityczny, ale unja, otwierając ustrojowi naszemu szerokie pole do działania i wpływu,

nie zmieniała jego natury i istoty, a tem samem praw i warunków, w których go należy oceniać.

Dzielimy historję na okresy tylko dlatego, ażeby ugrupować fakta na jednych i tych samych urządzeniach oparte; o podziale na okresy może tylko roztrzygać zmiana urzędzeń, nie zaś zmienne objawy dostrzegane w faktach. Podział na okresy, który ciągłość urzędzeń, t. j. pewien ustrój społeczeństwa i państwa, dla jakichkolwiek względów ubocznych rozrywa, nie tylko też przedstawienia nie wyjaśnia, ale owszem niepomału je mąci.

8. Krytyka pracy historycznej.

Cieszyć się musi historyk, jeżeli po ogłoszeniu swej pracy spotyka się z jednym i drugim jej ocenieniem, napisanem przez ludzi, którzy własnymi swemi pracami i samą oceną również dają dowód, że rozumieją znaczenie historji i ściśle naukową metodą badania władają. Tego rodzaju krytyki wyświecą istotne jego pracy zalety i naukowe zdobycze, wykażą mu zarazem jej usterki i wady. Krytyka, napisana z naukowego stanowiska, wykaże fakta, które historyk opuścił lub błędnie przedstawił, i wytłumaczy to albo nieuwzględnieniem pewnych historycznych źródeł, albo niedostatecznym ich opracowaniem. Krytyka naukowa wykaże mu, gdzie pomylił się w sędziu swym historycznym i do błędnych doszedł naukowych wniosków, i wyjaśni to albo niedostateczną z jego strony znajomością pewnego prawa, stanowiącego część nauki o społeczeństwie i państwie, albo też niezręcznym i niewłaściwym stosowaniem tego ogólnego prawa do faktów, które miał zestawić i ocenić. Nic też pożyteczniejszego dla rozwoju nauki, jak spory naukowe prowadzone przez ludzi, którzy stojąc na tem samem umiętnem stanowisku, kontrolują nawzajem swój talent i pracę, i prostując przez to swoje usterki, dążą do rozwiązania wielkich zagadnień przeszłości.

Nie ma też historyk piękniejszej za swe trudy nagrody nad tę, jeżeli szeroka publiczność pracę jego rozchwyci, jeżeli ją czyta, jeżeli się do niej zaciekawi i za przedmiot swojej rozwagi i roz-

mów obierze. Nie każda wprawdzie historyczna praca może sobie w ten sposób do szerszych kół utorować drogę; badania specjalne, przygotowawcze, muszą się w cieńszym gronie uczonych zamykać. Dzieło atoli, które całość dziejów lub większe ustępy obejmuje i ostateczne naukowe badania podaje wyniki, powinno koniecznie stać się własnością wykształconego i czytającego ogółu. Jeśli to nie nastąpi, winne jest same dzieło, a raczej, gdy się o niem krytyka naukowa wyrazi z uznaniem, jego nieprzystępna forma.

Dbając jednak niezmiernie o sąd publiczności, który się w rozszerzeniu książki, czytaniu jej i roztrząsaniu objawia, historyk na właściwy sąd tej publiczności wcale się nie może i nie powinien oglądać. Im więcej bowiem jakaś historyczna praca podaje nowych, nieznanych przedtem szerszym kołom wyników, im więcej z dawnych błędnych mniemań wywraca i prostuje, tem większą musi ona w pierwszych chwilach wywołać w tych szerszych kołach niechęć, oburzenie i krzyki. Już się to tylekroć powtórzyło, że przestało gorszyć i dziwić. Zresztą, rzecz naturalna, jest to jedynie dowodem, że historia, obok swego naukowego zadania, ma jeszcze olbrzymi wpływ i zadanie społeczne.

Każdy myślący i wykształcony człowiek, wyrabiając sobie kierunek swej pracy, swych myśli i uczuć, opiera go w znacznej części na wiadomościach historycznych, które sobie czyta z nauki szkolnej, czy też z własnego czytania przyswoił. Było mu z tem tak wygodnie, tak dobrze, cieszył się i dumnym był z równowagi, jaka zachodziła pomiędzy jego działaniem i wiedzą. O dalsze rozwijanie tej wiedzy, mianowicie w historycznym kierunku, odtąd już się zupełnie nie troszczył, a zresztą nie każdemu pozwalał czas i stosunki, żeby postęp historii, objawiający się w mnóstwie szczegółowych dzieł i rozpraw, nieustannie mógł śledzić. Tymczasem w ciągu kilkunastu lat wiedza historyczna zrobiła olbrzymie postępy i nagle wychodzi książka podręczna, wszystkim dostępna, która szerszej publiczności wykazuje, że dawniejszy pogląd na przeszłość był błędnym, że historycy już bezpowrotnie go porzucili, — książka, która opierając się na ich szczegółowych pracach, nowy obraz przeszłości buduje i cały szereg nowych spostrzeżeń

i faktów przed oczy czytelników przywodzi. Książka tego rodzaju burzy równowagę i spokój wewnętrzny wielu jednostkom, napawa nieufnością do wielu rzeczy, które się ukochało z przeszłości i na świeczniku stawiało, każe natomiast w przeszłości tej szukać nowych punktów oparcia, zastanawiać się nad nią i nowe dla dzisiejszej pracy wyprowadzać wnioski. Dla nikogo nie jest to łatwo, dla wielu zapóźno. Czyż zatem można się dziwić, że książka taka wywołuje pewien zamęt, niedowierzanie, obawy, zarzuty? Czy jej to jednak odejmuje w czemkolwiek wartości?

Pomyślmy teraz, że ów czytelnik jest politykiem z zawodu, a w szczególności politykiem-publicystą, że oddawna i skutecznie reprezentuje pewien polityczny kierunek, że od utrzymania się tego kierunku zależy jego stanowisko, wpływ, dochody i sława. Wtem wychodzi książka historyczna, o której mówiliśmy wyżej, a książka taka, choćby była najznakomitsza, chociażby w niej nie było cienia i śladu oglądania się na obecne dążenia i kierunki, nie może na te dążenia pozostać bez wpływu. Dążenia, które się opierały w znacznej części na błędnem o przeszłości mniemaniu, widzą się, gdyby nowy pogląd zwyciężył, zagrożone w swym bycie; inne zmuszone są porzucić wiele skutecznych argumentów, czerpanych przedtem z wywróconego już obecnie poglądu, widzą się zniewolonemi do pewnej zmiany swego programu, a w każdym razie do odświeżenia nieraz wielce już zaśnieżonego arsenału swych historycznych wywodów. Potrzeba się z czemś nowem liczyć, potrzeba się tej nowej rzeczy nauczyć, a to dla ludzi, którzy dokonywający się w cichości rozwój nauki oddawna już spuścili z oka, którzy tylko do uczenia drugich się przyzwyczaili, tak jest ciężkiem i trudnem. Tym, którzy panowali dotychczas, grozi walka z jednym lub drugim, dobrem czy złem, ale ruchliwszem dążeniem, które nowe wyniki nauki z pewnością pochwyli i słusznie czy niesłusznie na swoje koło obrócić się postara. Czyż to nie dość powodów, ażeby politycy-publicyści na widok takiej książki w pierwszej zaraz chwili z największą się na nią zajadłością rzucili? Może się takiem wystąpieniem powiedzie książkę tę potępić i zabić. A jeżeli się nie powiedzie? Wówczas jeszcze dość będzie czasu do odwrotu, wówczas będzie trzeba nowym wynikiom nauki uważniej się przypa-

trzyć, a w wynikach tych znajdzie się przecież i jedno i drugie i trzecie, co na rzecz każdego kierunku przemówi. Tymczasem wojna nazabój. Na szczęście nie są straszne ani śmiercionośne tej wojny publicystycznej pociski.

Wielkiem jest niewątpliwie i poważnem zadanie dziennikarstwa, ale ma ono swoje granice, których mu pod grozą utracenia tej powagi nie wolno przekraczać. Taką granicą dla dzienników jest przedewszystkiem pole krytyki naukowej. Wykluczam tu oczywiście te wypadki, w których dziennik umieszcza krytykę podpisaną przez imię, które ma swoją wagę w naukowym świecie, i które, traktując rzecz z naukowego stanowiska, bierze za krytykę odpowiedzialność. Mówię o recenzji, która napisana przez publicystę, ma jedyną firmę w samymże dzienniku. Jeżeli taka recenzja jest wiernem sprawozdaniem z naukowej pracy, jeżeli porównawszy ją z dawnymi, zaznaczy dobrze jej nowe wyniki, jeżeli w sposób trafny możliwy wpływ tych wyników zapowie, a o prawdzie i wartości ich sąd uczonym zostawi, jeżeli zaczekawszy na ten sąd, następnie go ogłosi, — to sprawozdanie takie pojmuję ze strony dziennika jako rzecz obowiązku. Jeżeli jednak dziennik, nie czekając na ten sąd, zgóry apodyktycznie wyrokuje o naukowej pracy, to niewątpliwie zadanie swoje przekracza. Trudno wprawdzie nie stwierdzić i na tem polu wielkiego postępu. Niedawno temu każdy jeszcze znał się na meteorologii i stawiał horoskop pogody lub deszczu; dzisiaj z meteorologami i obserwatorjami meteorologicznemi¹ współzawodniczą już tylko prorocy kaalendarzowi. Ale o hipotezie naukowej Darwina wyrokuje już wielu; znawstwo historii, a cóż dopiero historii literatury, przyznaje sobie każdy, co pisze, a ten, co drukuje, uważa je za rzecz swojego honoru. Jakby to nie były umiejętności, i to jedne z trudniejszych, jakby one nie wymagały zupełnego im oddania się i mozolnych a fachowych studjów!

Jeżeli też krytyki prac naukowych, oparte na takiej szlachetnej niewątpliwie ale bezpłodnej, a nieraz nawet szkodliwej ambicji, nie są gołosłownym wyrokiem, to jakichże to na ich poparcie nie można się naczytać argumentów. Dbając mniej o obronę pewnej danej książki, niż o wyjaśnienie dzisiejszego stanowiska historycznej pracy i otaczających ją warunków, ograniczę się do tych

zarzutów, z którymi każda książka historyczna naukowa w krytyce dziennikarskiej zawsze się spotyka.

9. Bezstronność historyka.

Mało jest książek historycznych, którychby, mianowicie w dziennikach politycznych, nie spotkał przedewszystkiem zarzut stronności. Cóż to jest bezstronność historyka, o której tak często jest mowa?

Otóż bezstronności w ścisłym tego słowa znaczeniu nie można się nigdy od historyka domagać. Bezstronnym może być tylko fakt historyczny, który dla historyka jest przedmiotem badania. Historyk zaś, chcąc ten fakt ocenić, musi do tego pewne stanowisko zająć, jakieśmy o tem w ust. 2. obszernie mówili. Stanowisko historyka może i powinno być naukowem, może być wysokiem i coraz wyższem, ale zawsze musi być pewnem stanowiskiem i punktem widzenia. Jego następcą, który na wyższe stanowisko się wzniesie, będzie widział szerzej, będzie oceniał bezstronniej i lepiej, ale i ten znajdzie znów kogoś, co go w tym względzie przewyższy. Historyk, któryby dążył do niemożebności, t. j. pragnął być zupełnie bezstronnym i żadnego stanowiska nie chciał zająć, byłby podobnym do człowieka, który błądzi wśród lasu, ociera się o drzewa, czuje ich woń, widzi pnie i korzenie, ale nie obejmuje jednej rzeczy, t. j. samego lasu.

Bezstronnością historyka, w dobrem i korzystnym tego słowa znaczeniu, nazywamy też jedynie usiłowanie jego, ażeby w sądzie swoim wy dobyć się z pod wszelkich obcych prawdzie historycznej i naukowemu jego przekonaniu celów. Jest to najtrudniejsze dla niego zadanie. Najłatwiej jeszcze, mianowicie w skreśleniu dawniejszych czasów, przychodzi mu oswobodzić się od wszelkich korzystnych lub niekorzystnych względem pewnych osób historycznych uprzedzeń. Trudniej już uczynić to wobec instytucyj, które istnieją jeszcze dzisiaj, z którymi historyk się spotyka, od których może zależeć, z którymi może jako człowiek i obywatel-polityk, a tym mu być przecież wolno, walczy. Jeszcze trudniej uczynić toż

samo wobec stronnictw, jakie istniały w przeszłości i po których dzisiejszym stronnictwom zawsze się jakaś dostała spuścizna. Do jednego z tych stronnictw historyk należy, jednego dążenie pochwała, drugich zato potępia, cóż łatwiejszego, że tę dzisiejszą chęć i niechęć na stronnictwa dawniejsze, które ocenia, bezwiednie nawet przeniesie. Najtrudniej wreszcie strząsnąć ze siebie uprzedzenie wobec narodu, którego dzieje się kreśli. Jeśli to naród historykowi obcy i narodowi jego wrogi, to bardzo łatwo stać się wobec jego przeszłości niesprawiedliwym, a tak samo wobec przeszłości własnego narodu pobłażliwością zgrzeszyć. Bezstronność historyka określiliśmy też tylko jako jego szczere usiłowanie, które uwieńczone jest mniejszym lub większym skutkiem. Głęboka wiedza, wyborna metoda badania i wytrwała praca idą temu usiłowaniu z pomocą, ale nigdy skutek tego usiłowania nie jest zupełnym, bo historyk jest zawsze człowiekiem. Inni historycy wykryją zawsze w pracy jego szczegóły, którym słusznie pewną bezwiedną stronniczość zarzuca.

Nie dokażą tego celu zwykle nie-historycy, bo są to dla nich w dobrej historycznej pracy za drobne, za subtelne rzeczy. Czynią mu oni zarzut stronniczości popolicie z tego, że wyniki umiejętności społecznych i politycznych, jak był powinien uczynić, zastosował do historycznych faktów. Według tych wyników nie było nigdy w dziejach żadnego urzędnika czy stronnictwa, któreby nie miało obok dobrych także i złych skutków, któreby obok epoki swego rozkwitu nie miało także epoki swojego upadku. Historyk, stosujący te zasady do pewnej instytucji lub stronnictwa występującego w dziejach, wykaże niewątpliwie jego zasługi, ale także i błędy i grzechy. Jeżeli zaś pomiędzy temi grzechami wykazanymi w jego pracy znajdują się grzechy dawniej nie podniesione, jeżeli nawet historyk dawno znane grzechy wyraziście powtórzył i napiętnował, zamiast je osłabić lub z nich zupełnie oczyścić, to krytyk-publicysta, który pracę historyczną ocenia tylko z tego, zrozumiałego zresztą, stanowiska, o ile ona jego stronnictwu nie przynosi szkody, z pewnością historyka zarzutem stronniczości uraczy. Historyk np., który podniesie działalność Jezuitów w Polsce w XVI wieku, który nawet czyniony im zarzut nietolerancji religij-

nej ówczesnymi stosunkami i korzyścią polityczną wytłumaczy, — jeżeli zarazem nie oczyści Possewina i O. Voty i systemu wychowania jezuickiego w epoce upadku z pod wszelkiego zarzutu, jeżeli nadto np. odłoni po raz pierwszy szkodliwe zachowanie się zakonu podczas rokoszu Zebrzydowskiego, może być pewnym, że ściągnie na siebie ze strony Jezuitów i ich stronników gromy.

Zaślepienie idzie tu niezmiernie daleko. Płytki jakiś krytyk z demokratycznego obozu, który się u nas np. na reprezentanta dzisiejszym demokratycznym interesom narzuca, a o demokracji, jej celach i prawach nie ma widocznie żadnego pojęcia, nie czyta całej historycznej książki dającej nowy obraz przeszłości narodu, a jeżeli czyta, tem gorzej dla niego, bo nie widzi, jak książka ta pierwsza wykazuje, że u nas wogóle kiedyś w XVI wieku jakieś demokratyczne stronnictwo istniało, że ono miało swój rozsądny program, w którego obronie walczyło, że miało swoich ludzi a chwilowo nawet osiągnęło przewagę. Dowiedziawszy się po raz pierwszy o czemś podobnem, powinienby podskoczyć z radości i krzyczeć: zwycięstwo! Ale on tego wszystkiego nie widzi, on się czepia czego innego. Gniewa go, że historyk w przeszłości naszej śledzi troskliwie wszelkich usiłowań, które wśród ogólnej anarchji mogły doprowadzić do zbudowania wogóle władzy rządowej, bo trapi go zhora, że demokracja a silna władza rządowa to dwa sprzeczne pojęcia, i dlatego historyka o tendencje absolutystyczne posądza. Jakimby to był historyk, któryby nie liczył się z takim naukowym pewnością, jak ten, że żadne państwo bez silnej władzy rządowej ostać się nie może, coby był wart sąd historyka, któryby tego pewnika do dziejów naszych nie stosował, — tego można nie wiedzieć, ale to pewna, że taki krytyk wart takiego demokraty, a taki demokrata wart takiego krytyka.

I gdyby to tego rodzaju zarzuty podniesione były w formie poważnego roztrząsania i naukowego sporu! Ale krytycy takiego chowu, dopatrzwszy się raz tendencji, już nic dobrego i nic nowego w książce się nie dopatrzą, gotowi twierdzić, że w książce takiej niema wzmianki o Kochanowskim (prawda, że go szukają w pierwszej połowie XVI wieku), że niema w całej książce nic o rozwoju prawa, choćby wszyscy inni utrzymywali, że prawem

jest przeładowaną. Jedyłą też pociechą historyka jest ta okoliczność, że krytycy-publicyści, każdy ze swego stanowiska, tyle mu stronnicy — klerikalizm jeden, liberalizm drugi, wsteczństwo trzeci, postępowość czwarty, i t. d. zarzuca, że szersza publiczność, przeczytawszy to wszystko, może nareszcie uwierzyć, że bezstronnym być usiłował i na naukowem trzymał się stanowisku. Idzie tu jedynie o publiczność, bo historyk musiałby być naiwnym, gdyby tego zgóry nie przewidywał lub też tem wszystkim się gorszył. Dla niego istnieje tylko krytyka naukowa; z tej niejedno przyjmie z wdzięcznością, z czem innem będzie się równą bronią potykał i albo swego zdania dowiedzie, albo upadnie. Wobec tej krytyki milkną też wkrótce wszystkie niepowołane głosy.

10. Prawda historyczna.

Zarzucając historykowi stronnicy, krytyki publicystyczne winią go równocześnie o to, że w pewnym kierunku nie jest stronnicy, że z całą bezwzględnością odsłania gorzką nieraz i cierpką historyczną prawdę. Powtarza się tu cała litanja oklepanych argumentów. Chociażby to wszystko, co w tej książce jest powiedzianem, było zupełną prawdą, to historyk przystępujący z miłością do pisania dziejów swojego narodu, powinien jego błędy osłonić, tłumaczyć, a w żadnym razie nie przedstawiać ich z całą bezwzględnością prawdy. Inaczej historia tego rodzaju zrobi nam wstyd u obcych, usprawiedliwi krzywdy, jakie nam wyrządzili, i nas samych, a osobliwie naszą młodzież, do dalszej pracy zniechęci.

Ile słów w tej argumentacji, tyle w niej fałszów. Tyle razy ją wywrócono i zbito, i u nas któż nie pamięta druzgocących gromów, które na argumentację tę spadły z przedmowy do *Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta*, a jednak zawsze ona się odezwie, zawsze, choćby już bez żadnego skutku, podniesie głowę.

»Historyk powinien przystępować z miłością do pisania dziejów swojego narodu«, — jest to frazes, który niczego nie dowodzi, niczego nie wyjaśni, a który ma historykowi służyć tylko za pozór do sprzeniewierzenia się swemu posłannictwu. Że historyk nie może

wnosić do pracy swej żadnej tendencji, a tem mniej tendencji oczernienia i szkalowania przeszłości, to już z ogólnego pojęcia historii wynika. Że powinien mieć umysł wrażliwy, wyobraźnię żywą, uczucie gorące, ażeby mógł wiernie odtworzyć przeszłość, uwydatnić jej zalety i odsłonić jej wady, rzecz oczywista. Że się powinien żywo zajmować przedmiotem, że powinien mu poświęcić wszystkie swe myśli, uczucia i siły, że mu powinien oddać samego siebie, rzecz jasna. Inaczej nigdyby nie pokonał olbrzymich trudności. Ale co tu ma do czynienia miłość? Miłość jest ślepą, miłość historykowi przysłoniłaby tylko bystrość i przenikliwość jego wzroku, ograniczyła widnokrąg jego myśli, zniżyła niezmiernie stanowisko. I to miłość ta ma być potrzebną tylko wówczas, jeśli się pisze dzieje własnego narodu. A zatem jest to miłość, która zakryć ma prawdę.

Ci, którzy takiej miłości od historyka żądają, nie wahają się też, wcześniej czy później, zażądać od niego, ażeby o ujemnych stronach przeszłości albo milczał, albo je osłaniał, usprawiedliwiał.

Kiedy historyk, zagłębiając się w epokę upadku, patrząc na jej straszne objawy, przechodzi przez okropną walkę wewnętrzną, kiedy w wędrówce takiej radby sobie oczy co chwila zasłonić, ale pomny swego obowiązku i posłannictwa, dobywa wszystkich sił ażeby je otwarte naokół utrzymać, całą siłę swej woli dla opanowania swych wrażeń wyteżę, a powróciwszy z takiej wędrówki kreśli jej wzruszające obrazy mimo bólu, który mu pióro z drżącej ręki co chwila wytrąca, — ludzie, którzy o zadaniu i pracy historyka nie mają żadnego pojęcia, żądają, ażeby z całą flegmą okłamywał siebie i drugich, ażeby w miejsce prawdy podawał liche zlepki banalnej erudycji, głaskające ich próżność i miłość własną.

»Odsłonięcie nagiej prawdy zniestawi nas u obcych!« O małoduszni, więc chcecie czekać, ażeby ci obcy odsłaniali wam prawdę, ażeby ci obcy pisali wam dzieje waszego upadku, z pominięciem oczywiście wielu rzeczy, który je istotnie łagodzą, tłumaczą; i na-przeciw takim badaniom zamierzacie stawiać teatralne dekoracje, w których prawdziwość nie wierzycie sami. Więc nie macie tego poczucia własnej godności, że człowiek czy naród, który się sam do własnych błędów i grzechów przyznaje, który przyczyny i na-

stępstwa ich bada, okazuje tem samem, że chwila zapomnienia nie była dla niego chwilą zupełnego upadku, że się w nim przechowały zdrowe czynniki i siły, które się jeszcze mogą potężnie rozwinać.

»Odślonięcie nagiej prawdy usprawiedliwi krzywdy, jakie jednemu organizmowi wyrządziły drugie!« Tak jest, odślonięcie wewnętrznej tego organizmu rozterki wyjaśni przyczynę, dlaczego w takiej chwili pozwolił się skrzywdzić, ale krzywda charakteru swojego nie zmieni. Organizm, który miał siły i tylko dla ich rozterki na szkodę się naraził, nie będzie szukał ratunku w ślepych trafie i losie, lecz z całą ufnością w swoje siły poszuka go w sobie samym i w swojej pracy. Czyż takie prawdy, oparte na niezawodzących nigdy sprężynach charakteru ludzkiego, szerzej potrzeba tłumaczyć?

Krytycy owi, mając książkę historyczną pod ręką, nie czytają jej całej; pomijają milczeniem, że książka ta na każdej karcie siłę i żywotność narodu, zalety jego charakteru i urzędzeń, prawdziwie świetne, niebłyskotliwe ale rozumne jego czyny nieraz pierwsza dopiero odślania, — ale rzucają się z zapamiętałością na tych kilka ustępów, w których historyk skreślił obraz chwilowego upadku, i nie odmawiając mu prawdziwości, wołają przecież, że taki obraz zrodzi szkodliwy pesymizm, kiedy narodowi w wyjątkowym jego położeniu potrzeba otuchy, zrodzi zniechęcenie do przeszłości, kiedy ta przeszłość powinna być niewyczerpaną kopalnią ufności w swe siły. Gdzież to jednak, spytajmy, i kiedy blichtr i samochwalstwo stało się dźwignią pracy i podstawą rozumnego działania. Przyzwyczajają one do lekceważenia swojej przeszłości, odstręczały od jej badania i korzystania z jej doświadczeń, bo historia przekrecona, pozbawiona charakteru prawdy, nie mogła zajmować, nie mogła rzeczywistego obudzić zajęcia. Raczono się chwilami cukrowaną łakocią, dopóki prędko zawsze nie nastąpił przesył, odurzano się narkotycznym napojem, rodził się płytki entuzjazm, który popychał do nierozważnych czynów, ale jeszcze prędzej niż wybuchnął, ostygł. Próbowaliśmy już nieraz z takim entuzjazmem, wiemy jaka jego siła, do czego on wiezie; popróbujmy raz z tą trzeźwą rozważą, z tem rozumnem poznaniem swoich sił, z tą męską ener-

gją wytrwania, jaką dać może tylko cała, w niczem nieosłonięta historyczna prawda. Im trudniejsze położenie, tem niebezpieczniejszy fałszywy entuzjizm, tem potrzebniejsza prawda, niosąca ze sobą skarby prawdziwego zapału i energję pracy.

A cóż powiedzieć o tym dość częstym argumencie, że ludzie dojrzałi, z wyrobionym sądem, mogą prawdę historyczną czytać i powinni, ale młodzież... nigdy! Więc ta młodzież ma dojrzewać na fałszu, na sztucznem rozwijaniu w niej uczucia ze szkodą rozwagi i rozsądku, a dopiero przeszedłszy taką szkołę, ma być dopuszczoną do dziejowej prawdy! Więc za mało kosztowało nas doświadczenie, więc nie wiemy, do czego doprowadzał ów rozbrat pomiędzy młodzieżą a ludźmi rozwagi, że młodzież głucha na głos doświadczonych wodzów, szła na lep ludzi, którzy ją, nieraz w dobrej, nieraz też i w złej wierze, do każdego nierozważnego kroku umieli pozyskać. Jeżeli kto, to właśnie młodzież powinna karmić się prawdą, o ile tylko wykształceniem swoim objąć ją potrafi i zdoła. Dzieciom nie można oczywiście tłumaczyć stosunków prawnych lub ekonomicznych, bo ich nie pojmą, ale w tem, co się im podaje, nie powinno być nigdzie czułości, nieprawdy, przesady. Młodzież dorastająca, rozwinięta, tylko na całej, ale na całej prawdzie historycznej może i powinna dojrzewać.

Czy ją to do historii zniechęci? Bynajmniej. Owszem, nie tak nie zniechęca do przeszłości, jak fałszywe i sztuczne jej przedstawienie. Młodzież zanadto wogóle jest wykształcona, aby nie czuła, że w tem, co jej podają, niema istotnej treści; zniechęcona do przedmiotu, który prawdą swoją nie budzi jej istotnego zajęcia gotowa łatwo przypuszczać, że winien temu przedmiot tak jałowy, tak suchy, że się z niego nic nie da wycisnąć. Kto ma z młodzieżą styczność, ten już nieraz z bólem serca zjawisko to dostrzeżł.

Że zaś prawda historyczna owszem najwięcej do zastanawiania się nad przeszłością zachęca, tego najlepszym u nas dowodem cały zastęp młodych stosunkowo historyków, którzy mając na swoim czele Szujskiego i Kalinkę, nad zbadaniem naszej przeszłości pracują. Mogą pomiędzy nimi być różnice zdania, może każdą porażającą się pracę spotkać ostra krytyka naukowa, bo wartość pracy od talentu i usilności indywidualnej zależy, ale stanowisko,

które oni wszyscy zajmują, metoda, którą się posługują, jedna jest i taż sama. Mając za sobą wyrobiony kierunek, mając prawdziwy zapał i nieoszczędzając pracy, mając z katedr uniwersyteckich i z pism naukowych ogromny wpływ na historyczne wykształcenie garnącej się do historii młodzieży, reprezentują oni siłę, której lekceważyć niepodobna, a wiedzą, że prędzej czy później zdobędą w społeczeństwie naszym powszechne uznanie swemu hasłu: »W imię dziejowej prawdy«.

R. 1879.

II.

O PODZIALE HISTORJI POLSKIEJ NA OKRESY.

Dla książki, która nie miała zamiaru szczegółowo stwierdzać i opisywać faktów historycznych, lecz pokusiła się o to, ażeby nakreślić program umiejętnego odbudowania przeszłości, jedynie istotnemi i zasadniczymi mogą być te zarzuty, które starają się nadwątlić i obalić postawiony przez nią szkielet przyszłej historycznej budowy. Takim szkieletem jest podział historji na okresy, charakterystyka pojedynczych okresów, oznaczenie tych punktów, w których się każdy okres zaczyna i kończy, wydobycie i wytlumaczenie tych wszystkich zjawisk, które spowodowały stanowcze zmiany w dziejowym rozwoju narodu. W książce mojej *Dzieje Polski w zarysie*, Warszawa 1879, porzucając dotychczas używane podziały historji naszej na okresy, postawiłem podział nowy, polegający na wyróżnieniu dziejów pierwotnych do połowy XIII wieku, dziejów średniowiecznych do końca XV wieku, i dziejów nowożytnych; a ktokolwiek miał cierpliwość, ażeby pracę moją uważnie przeczytać, ten zapewne dostrzegł, że około uzasadnienia i przeprowadzenia tego podziału obraca się cała jej treść, że na utrzymaniu się tego podziału polega cała jej, jeśli ją posiada, rzeczywista wartość. Każde dalsze źródłowe badanie może i musi pojedynczo szczegóły i ustępy dziejowe, mylnie lub niedokładnie dotychczas pojmowane, prostować i wyświecać; ale jeśli te wszystkie nowe zdobycze dadzą się w nakreślonych przezemnie ramach wygodnie pomieścić, jeśli ich nie naruszą, jeśli się ogólna budowa

ostoi, a tem samem do wyjaśnienia i ocenienia każdego szczegółu istotnie przyczyni, to książka moja odniosłaby zwycięstwo, które najambitniejsze marzenia przechodzi.

Wystąpiwszy z nowym podziałem dziejów i widząc w nim główny cel mojej pracy, muszę też przedewszystkiem wyjaśniać wątpliwości, do jakich daje pracownikom na niwie historycznej pochoch, bronić go od podnoszonych przeciw niemu zarzutów. Zarzuty takie podnieśli najpoważniejsi nasi historycy, ks. Walerjan Kalinka¹ i Józef Szujski², w recenzjach, któremi książkę moją raczyli ocenić. Pierwszy z nich, nie odmawiając mojemu podziałowi racji bytu, stawia tylko z tego powodu szereg pytań; drugi odrzuca cały podział z pewnemi tylko zastrzeżeniami, a w obronie innego podziału kopję kruszy.

1.

»Niech nam wkońcu wolno będzie powiedzieć — mówi pan Szujski — że podział taki lub inny niema tak wysokiego w historii znaczenia, jakie mu przypisuje p. Bobrzyński. Szkolna to przeważnie, metodyczna, dydaktyczna rzecz, a nie naukowa«. Słowa te uwydatniają najwięcej różnicę naszego stanowiska, od nich też musimy rozpocząć.

Wedle prof. Szujskiego podział historii na okresy ma znaczenie metodyczne, t. j. podaje uczonemu, piszącemu historję, pewne punkta, na których może odpocząć, jeszcze raz wstecz okiem rzucić i pracę swoją na tomy i rozdziały podzielić. Byłaby to zatem rzecz jedynie kunsztu czyli artyzmu historycznego. Ma też oczywiście znaczenie dydaktyczne, t. j. ułatwia czytającemu historję spamiętanie mnóstwa faktów, ugrupowanie faktów mniej ważnych około ważniejszych. O tem nie można wątpić. Ale czy na tem metodycznem i dydaktycznem ułatwieniu znaczenie podziału historii

¹ *O książce M. Bobrzyńskiego »Dzieje Polski w zarysie« słów kilka.* W Krakowie 1879.

² *Kilka uwag o »Dziejach Polski w zarysie« M. Bobrzyńskiego.* Odbitka z »Niwy«. Warszawa 1879.

na okresy się kończy? Tego i p. Szujski nie przypuszcza; przypisuje mu owszem także i naukowe znaczenie, ale znaczenie wielce ograniczone, przed metodycznym i dydaktycznym ustępujące. Czy to jest rzeczą możebną?

Wszakże podział na okresy wtedy tylko może historykowi napisanie, a czytelnikowi nauczanie się historii ułatwić, jeśli się zgadza z podziałem umiejętnym, jeśli się na nim bezwzględnie opiera. Inaczej podział taki byłby sztucznym, nienaturalnym, rozrywałby fakta, które były z sobą związane w rzeczywistości, i które dlatego umiejętność odtwarzająca tę rzeczywistość ze sobą spaja i łączy. Podział, nie będący ściśle umiejętnym i naukowym, nie mógłby więc mieć najmniejszego metodycznego i dydaktycznego znaczenia. Umiejętne znaczenie podziału historii na okresy jest więc pierwszorzędnym i rozstrzygającym, a jakiegokolwiek inne znaczenie jest tylko jego koniecznym¹ objawem i wynikiem. Mówiąc też o kwestji podziału historii na okresy, przywróćmy jej całe jej serjo, czyli umiejętność znaczenie i spytajmy się, na czem się umiejętny taki podział zasadza?¹

Jedyna na to odpowiedź: — na rzeczywistości. Gdyby historia była¹ tylko nieprzejrzany szereg faktów, w luźnym ze sobą zostających związku, w takim razie moglibyśmy na każdym fakcie zatrzymać się, od każdego nowy okres rozpocząć, i podział na okresy byłby zbytecznym i niepotrzebnym. Odmawiając pacierze na różańcu, możemy na każdym *Ojcie nasz* przestać, i tylko gałkę, na której przestaliśmy, sobie zaznaczyć. Historia atoli nie jest szeregiem gałek różańcowych, czyli faktów na jedną nawleczonych nitkę. Nie, czyli wątek historyczny — to najściślejszy pomiędzy faktami dziejowymi przyczynowy związek. Przeszłość, czyli życie narodów — to ich praca, a każda praca musi mieć swój program, musi mieć swój cel i środki, musi zbierać materiały, musi z nich następnie wznosić budowę, musi z niej wyciągnąć¹ odpowiednie

¹ W krótkości, jeszcze przed pojawieniem się recenzji pp. Szujskiego i Kalinki, przedstawiłem zdanie moje w tym względzie w rozprawce: *W imię prawdy dziejowej. Rzecz o zadaniu historii i dzisiejszem jej stanowisku*. Warszawa 1879.

skutki. Cel tej pracy od czasu do czasu się zmienia, a za każdą taką zmianą naród, państwo lub ludzkość stosuje się do nowych warunków działania, nową sobie wytwarza organizację, nowe kierunki swoich uczuć i myśli, na nowych podstawach kształci się i pracuje. Otóż w przeszłości narodów to tylko może być uważane i przedstawione umiejętnie jako jeden okres, co obejmuje sobą jedną taką fazę dziejowej ich pracy. Cechą konieczną każdego dobrze zrozumianego i naznaczonego historycznego okresu jest zatem: 1) pewien nieznan przedtem cel, pracy narodu wytknięty, 2) odpowiednia temu celowi nowa organizacja w najszerszym tego słowa pojęciu, 3) w następstwie tego nowy, zmieniony charakter moralny, intelektualny i obyczajowy narodu. Kiedy to wszystko pod wpływem nowych prądów, warunków i zdarzeń się zmienia, wówczas też nowy okres zaznaczyć należy.

Z takiego pojęcia okresów dziejowych wynikają dwa konieczne następstwa. Ponieważ różne strony działalności narodu są ostatecznie objawami jego jednej i tej samej pracy i najściślejszy pomiędzy nimi w rzeczywistości zachodzi związek, czyli innemi słowy — ponieważ ogólna zmiana kierunku i sposobu pracy na wszystkich jej gałęziach odbić się koniecznie musi, więc dobry podział historii pewnego narodu na okresy powinien się dać zastosować do wszystkich poszczególnych życia tegoż narodu objawów: do historii jego dyplomacji, prawa, literatury, kościoła, obyczajów i t. p. Nauka, która dla każdego z tych działów odmienne naznacza okresy, dowodzi tylko, że na trop właściwego, wspólnego wszystkim podziału się nie dostała.

Tak samo też narody i państwa, które zostawały przez wieki, pod wpływem jednych i tych samych cywilizacyjnych czynników np. narody zachodniej i środkowej Europy, które pod wpływem tych czynników jednostajnie cel swojej pracy zmieniały i tę samą, w głównych przynajmniej zarysach, wytwarzały sobie organizację, muszą też w historii swojej zgodne ze sobą w zasadzie przedstawiać okresy.

Zgodziwszy się na takie umiejętne pojęcie podziału historii na okresy, nietrudno też odgadnąć, jakie z niego wynikają korzyści. Tylko na podstawie dobrze i zgodnie z prawdą określonego

tła epok dają się narysować i ugrupować pojedyncze fakta, tylko na takiej podstawie dadzą się one sprawiedliwie ocenić. Oceniać fakta ze stanowiska bezwzględnej teorii, nie na wiele to historykowi się przyda. Chcąc wydać sąd historyczny o jakimkolwiek fakcie, potrzeba zbadać jego doniosłość wobec społecznych stosunków, potrzeba wiedzieć, czy ten fakt odpowiadał celom ówczesnej pracy, czy budowę ówczesną społeczną utrwalał lub wątpił? Potrzeba, jednym słowem, znać te cele i tę organizację, wiedzieć, na jaką przestrzeń czasu się rozciągają, potrzeba znać okresy i każdego z nich odrębny charakter. Weźmy np. fakt powszechnie znany, jakim jest niewola. W okresie dziejów europejskich, który możemy chrześcijańskim nazwać, w czasie, kiedy rozwój jednostki jest jednym z najważniejszych pracy człowieczej celem, instytucja niewoli jest szkodliwą i zgubną; w państwie klasycznym, które dążyło do najwyższej potęgi państwa, podeptanie praw ludzkich pewnej liczby jednostek mogło mieć swoją zasadę i zamierzonemu celowi służyć. Jednak ta instytucja tak była ściśle z państwem i społeczeństwem klasycznym złączoną, że nauka chrześcijańska musiała się z nią liczyć i wtedy dopiero wpływem swoim zdołała ją złagodzić i uchylić, gdy już świat starożytny runął, a na jego gruzach ludzkość w nowy okres swego rozwoju wstąpiła. Trzeba więc niewolę ówczesną charakterem ówczesnej organizacji tłumaczyć, nie zaś, narażając się na śmieszność, prawić z tego powodu kazania Rzymianom i Grekom.

Praktyczne przeprowadzenie tak pojętego podziału historii na okresy napotyka jednak na jedną zasadniczą trudność, nad którą już na tem miejscu musimy się zastanowić. Wiedząc, ile i jakich mamy wyróżnić okresów, łamiemy się z wielkimi przeszkodami, jeśli chcemy oznaczyć tę chwilę dziejów, w której jeden okres się kończy, a następny zaczyna. Wynika to stąd, że wszelkie stanowcze zmiany w dążeniu i organizacji narodów dokonywają się powoli, przygotowują długo, występują w pewnych kierunkach głośno, w innych nieznacznie, lub o wiele później dopiero wyraźnie się zarysowują. Nie można więc nigdy powiedzieć, że pewien rok, lub nawet dziesiątek lat granicę okresów stanowi. Pamiętać tylko należy, że granica ta schodzić się musi z ogólnym stanowczym prze-

lomem w ustroju narodów i pracy, że nie można jej cofać do wypadków, choćby najwybitniejszych, które ten przełom tylko przygotowują. Nie można więc za kres świata starożytnego uważać chwili narodzenia się Chrystusa, ani nawet przyjęcia chrześcijaństwa przez Konstantyna, chociaż znaleźli się tacy, którzy to z fałszywie rozumianego petyzmu czynią i historję w śmieszny sposób rozrywają i gwałcą. Wszakże pierwszy z tych wypadków minął dla państwa rzymskiego niepostrzeżenie, drugi nie zdołał natury świata klasycznego zmienić, a tak dopiero wędrówki ludów barbarzyńskich, przyjmujących chrześcijaństwo, nowy otwierają okres. Byłoby również i to niemałym błędem, gdybyśmy trwanie pewnego okresu przedłużali poza jego rzeczywiste granice, t. j. poza chwilę rzeczywistego przełomu, a to tylko dlatego, że chwila ta żadnym wybitnym, jaskrawym wypadkiem się nie zaznacza. Tak np. w dziejach kościoła katolickiego trudno pierwszą połowę XVI wieku zaliczać do średniowiecznego okresu dlatego, że ustawy soboru trydenckiego dopiero z r. 1563 datują. Wszakże walki w obrębie filozofji scholastycznej toczony już się oddawna skończyły, a z humanizmem i reformacją nowi dla kościoła powstałi nieprzyjaciele; wszakże kwestja wyższości soboru nad papieżem i średniowieczna władza polityczna papieża w Rzpltej chrześcijańskiej już dawno przed soborem trydenckim upadła.

Oto ogólne zasady i pojęcia, na których podział historii polskiej na okresy starałem się oprzeć i w książce mojej przedstawić. Zobaczmy, czy ten podział zasadam wypowiedzianym powyżej czyni istotnie zadość, czy wobec szczegółowych zarzutów, podniesionych przez J. Szujskiego i W. Kalinkę, zdoła się ostać.

2.

»Reforma p. Bobrzyńskiego — mówi p. Szujski —... z pewnymi poprawkami mogłaby być dostatecznie usprawiedliwioną dla historii prawa i państwa polskiego, lub dla historii konstytucji polskiej (Verfassungsgeschichte)«. Zaczniemy zatem od tych poprawek

zwłaszcza że zarzuty W. Kalinki głównie się do tej strony mojego podziału odnoszą.

Obaj szanowni recenzenci godzą się na to, że pierwszy okres w organizacji naszej społecznej i politycznej jest to okres państwa pierwotnego, patriarchalnego, państwa, w którym społeczeństwo było jednolitem polskim, rząd zaś wychodził wyłącznie od panującego, jako od głowy jednej wielkiej rodziny — narodu. Obaj występują jednak przeciw naznaczeniu temu okresowi granicy i końca w połowie XIII wieku. Granicę tę widzi prof. Szujski dopiero w roku 1374 z przywilejem koszyckim, a stając zatem w obronie piastowskiego okresu, dzieli go na dwa podokresy: 1) epokę wyłącznego prawa książęcego, do śmierci Krzywoustego w r. 1139, 2) epokę »współlistnienia praw« (t. j. prawa książęcego nad ludnością polską obok prawa kościelnego i prawa niemieckiego osadników) aż do powszechnego uprzywilejowania w r. 1374. Zdanie to zdaje się także podzielać ks. Kalinka, chociaż mniej stanowczo je wypowiada.

Na odparcie tego, zdaniem mojem, zupełnie nie dającego się uzasadnić poglądu, zapytam przedewszystkiem, jaką to zmianę w historii naszego prawa i państwa, t. j. w organizacji społecznej i politycznej, rok 1139 zaznacza? Prof. Szujski uważa podział Polski przez Krzywoustego za przyczynę i hasło do łamania prawa książęcego przez *immunitas* kościoła, możnych i prawo niemieckie. Że podział władzę książęcą rozdrobnił, a tem samem osłabił, i wyłamywania się pojedynczych warstw społecznych z pod tej władzy zapomocą przywilejów ułatwił, nie omieszkałem tego w książce mej podnieść. Atoli podział ten nie był ani jedyną, ani główną samorządu społecznego przyczyną. Spójrzmy na Czechy. Tam również w XIII wieku, ale w chwili jedności, w chwili największej potęgi, za Ottokarów, samorząd i przywileje stanów powstają. Bo nadanie samorządu stało się wymogiem czasu. Rząd patriarchalny zrobił już swoje — utworzył z luźnych czynników naród i państwo; potrzeba było teraz zbudzić społeczeństwo do samoistej gospodarczej i cywilizacyjnej pracy, a praca taka bez ulżenia ciężarów książęcego prawa, bez samorządu, bez przywilejów była wręcz niemożliwą. Czy może ktokolwiek przypuścić, że bez podziału pia-

stowskiego w r. 1139 nie mielibyśmy przywilejów, nie byłyby się zdobyły na samorząd kościoł, osadnicy niemieccy, a nakoniec szlachta? Podział ten ma więc dla sprawy samorządu jedynie drugorzędne znaczenie, żadnej nowej instytucji sam przez się nie stworzył, organizacja każdego księstwa była ślepem naśladownictwem dawnej organizacji patryarchalnej całego kraju i dlatego rok 1139 w historii prawa i państwa polskiego do ustanowienia podokresu tak samo żadnego nie daje powodu, jak nikomu jeszcze nie przyszło na myśl, ażeby w państwie patryarchalnym frankońskim tworzyć chociażby podokresy z chwilą, kiedy Merowingowie pomiędzy sobą zaczynają je dzielić. Sam podział w państwie patryarchalnym nie jest żadną nowością, bo kraj stanowi tam własność prywatną dynastji panującej. Były też i u nas podziały przed Krzywoustym.

Przypuśćmy jednak, że podział Krzywoustego był istotnie główną przyczyną samorządu stanów: to przecież od przyczyny do skutków było jeszcze niezmiernie daleko. Mnóstwo świeżo ogłoszonych źródeł, a zresztą znakomite rozprawy: J. N. Romanowskiego *Otia Cornicensia. Sprawa z duchownymi* (Poznań 1861) oraz Stosława Łaguny *Dwie elekcje w Polsce XIII wieku* («Ate-neum», Warszawa 1878), są niezbitym dowodem, że o samorządzie kościoła przed XIII wiekiem w Polsce nie może być mowy. Męczeństwo św. Stanisława, o którym ks. Kalinka wspomina, nie wydało jeszcze swoich owoców; kościół był instytucją polityczną, Mieczysław Stary trzymał się wobec niego niezachwianie tradycji pierwszych Bolesławów, biskupi występowali w zapasach z władzą książęcą na tych samych podstawach z możnowładczą hierarchją urzędniczą świecką i w najściślejszym z nią związku. Jakim zresztą był ten kościół polski przed XIII wiekiem, o tem wiemy aż nazbyt dokładnie z synodów odprawianych przez legatów papieskich. Wszakże synod łęczycki dopiero na rok 1180 przypada. Przed reformą dokonaną przez wielkich papieżów, a przeprowadzoną w Polsce dopiero w XIII wieku, duchowieństwo polskie, bez nauki i karności kościelnej, żądało dóbr i zwiększenia ich dochodów, udziału w polityce świeckiej, ale nie myślało się wcale w osobny stan zamknąć, prawem kanonicznym i przywilejami *immunitatis*

obwarować. Wszystko to jest dopiero dziełem XIII wieku. Na rok 1254 przypada też kanonizacja św. Stanisława i abdykacja Piastów z dawnego ich wobec kościoła stanowiska; w połowie XIII wieku (r. 1252) zjawiają się przywileje książęce, stanowiące podstawę samorządu pojedynczych biskupstw.

Cóż dopiero mówić o kolonizacji niemieckiej i samorządzie osadników. Dochowane dotąd tak zwane przywileje datują wprawdzie już z XIII wieku, ale są to dokumenta darowizn ze strony książąt. Przywileje właściwe, nadające samorząd i *immunitatem*, zjawiają się dopiero w wieku XIII, a te, które istnieją przed r. 1250 można prawie na palcach policzyć. Rzadkie wyjątki nie stanowiły reguły, nie zmieniały w niczem ogólnej patryarchalnej organizacji. Kolonizacja obca tylko na Śląsku w pierwszej połowie XIII wieku się rozpościera, w reszcie kraju dopiero z drugiej połowy datuje. Ogólnych przywilejów niema, ale każda osada obca otrzymuje osobny przywilej według jednego ogólnego ułożony wzoru, co na jedno wychodzi, a liczba osad rośnie do tego stopnia, że przestają być wyjątkiem i tworzą odrębny stan niemiecki, odrębnem się prawem rządzący. Zgodziłbym się też raczej na to, ażeby powstanie odrębnego niemieckiego stanu w Polsce dopiero na koniec XIII wj. położyć, ale mówić o nim w XII wieku jest rażącym anachronizmem.

Jednem słowem, do połowy XIII wieku o żadnem współistnieniu prawa kościelnego i niemieckiego wobec prawa książęcego nie może być mowy, a tworzenie jakiegokolwiek podokresu z rokiem 1139 jest tak samo sztucznem przepołowieniem okresu patryarchalnego, jak podział historii rzymskiej z rokiem narodzenia Chrystusa jest przypisaniem wątpliwej przyczynie tego znaczenia które dopiero można do następstw jej stuletnich przywiązać.

Cofając w ten sposób, wbrew rzeczywistości historyczne, i jawnym świadectwom źródłowym, samorząd kościoła i osadników obcych aż do r. 1139, ciż sami autorowie przedłużają stosunek patryarchalny króla wobec ziemian, czyli rycerstwa polskiego, aż do przywileju koszyckiego z r. 1374. Jeżeli chcą przeto powiedzieć, że samorząd ziemian nie zaszedł przed rokiem 1374 tak daleko, jak samorząd kościoła i miast, mają zupełną słuszność: wszakże i po

r. 1374 stosunek króla do ziemian był o wiele bliższym, o wiele więcej do patryarchalnego zbliżonym, niż stosunek jego do miast i duchowieństwa. Myliliby się jednak bardzo, ktoby ten stosunek za Kazimierza W. lub Łokietka jako dawny stosunek patryarchalny uważał. Rozważmy dokładnie szczegóły.

Nie zgadza się najpierw z prawdą twierdzenie, jakoby przywilej koszycki z r. 1374 był pierwszym przywilejem ogólnym dla ziemian. Już w r. 1355 wydał Ludwik w Budzie ogólny przywilej. Istniało więc już za Kazimierza W. poczucie, że stosunek panującego do ziemian opiera się na umowie, bo inaczej byłby Kazimierz W. samowolnie naznaczył po sobie następcę. Istnienie ogólnego przywileju nie tu jednakże nie stanowi: wszakże ani kościoł, ani też miasta ogólnych przywilejów nie posiadały; mogło zresztą nie być żadnego spisane go formalnego przywileju, a stosunek króla do ziemian mógł się ułożyć siłą prawa zwyczajowego w sposób kontraktowy, pojęciom patryarchalnym przeciwny. Zamiast więc czepiać się jedynie przywileju, szukajmy owszem z mnóstwa innych źródeł tej chwili, w której się samorząd ziemian wytwarza, a władza patryarchalna książęca ustaje. Mamy do tego niemało danych.

Przywileje z roku 1355 i 1374 nie zmieniły wcale sukcesji tronu polskiego. Od chwili złamania bezwzględnej zasady dziedziczności, uświęconej jeszcze w akcie Krzywoustego z r. 1139, — a nastąpiło to w ciągu XIII wieku — tron polski w tym samym stopniu był elekcyjnym za Piastów, jak później za Jagiellonów, i żadnej w tym względzie prawo publiczne polskie nie wykazuje różnicy. Już w XIII wieku pojedyncze dzielnice wybierały sobie z pomiędzy licznie rozrodzonych Piastów bez żadnej zasady swych ksiąząt, przyzywały niejednokrotnie wydziedziczonych poprzednio Piastów śląskich; przed Ludwikiem węgierskim panował już w Polsce Wacław czeski; sam wreszcie Łokietek po r. 1306 w ten tylko sposób dzielnice polskie pod swoim berłem złączył, że go duchowieństwo, ziemianie i miasta każdej pojedynczej dzielnicy na tron tejże dzielnicy powoływali. Ustaje też od połowy XIII wieku (z wyjątkiem Śląska i Mazowsza, trwających przy dawnej zasadzie) dalsze rozdrabnianie pojedynczych dzielnic: widocznem jest dążenie ku politycznej jedności; zniknęło więc patryarchalne pojęcie, że kraj jest

własnością prywatną dynastji; panujący obejmują tron na zasadzie publicznego prawa, na zasadzie mniej lub więcej wyraźnej umowy z pojedynczemi stanami.

Przywileje z r. 1355 i 1374, określając dokładnie i ograniczając ciężary publiczne ponoszone przez pojedyncze stany, a mianowicie służbę wojenną i podatki ziemian, dowodzą obok tego wyraźnie, że już poprzednio ciężary te nie były nieograniczone, że ich panujący nie mógł dowolnie nakładać i zwiększać, jak to miało niegdyś miejsce, za patryjarchalnej monarchji. Nie było ogólnego przywileju, ale zwyczaj, do którego przywilej z r. 1355 się odwołuje, granice ciężarów publicznych już za Łokietka i Kazimierza zakreślał¹, a zatem o stosunku patryjarchalnym za panowania tych monarchów niepodobna już mówić.

Przywileje z r. 1355 i 1374 nie stworzyły wreszcie ziemiańskiego stanu. Stan ten oddawna już istniał, w chwili wydania wspomnianych przywilejów samoistnie występował i działał, miał swoją organizację, miał swoje wolności i swobody, które sobie w przywilejach tych kazał wyraźnie zatwierdzić².

Kiedyż, spytajmy teraz, stan ziemiański powstał i na jaką zdobył się organizację? W pierwotnych czasach nie było, jak wiadomo, odrębnego ziemiańskiego stanu. Na służbie królewskiej i książęcej wyrabiał się rycerstwo, ale rycerstwo to przeważnie się z tej służby żywiło, mieszkało w grodach książęcych, a książę mu część swoich danin, składanych przez włościan, na utrzymanie wydzielał. Powoli zaczęło się nadawanie rycerstwu przez książąt dziedzicznych folwarków. Na folwarkach tych mieszkało rycerstwo ze swoją

¹ ...nullas collectas seu exactiones... exigi faciemus a regnicolis praenotatis, quas recolendae memoriae dominus pater ipsius domini regis aut idem dominus rex aliquibus ex causis *ultra consuetam et solitam libertatem*... exigi fecissent, sed his contenti erimus, quae ipsi *consueverunt* solvere ab antiquo... Przywilej Ludwika z r. 1355. *Jus polonicum* Bandtkego p. 156.

² *Pacta autem, conventiones, dispositiones et ordinationes quascumque et instrumenta confecta super ipsis temporibus, quibus supra, ... ratificamus*... Insuper omnes duces, praelatos, ecclesias ecclesiasticasque personas, *barones, proceres, milites nobiles*, civitates, villas, eorumque populos et inquilinos in *eorum libertatibus* promittimus *conseruare*, nec eos contra illas intendimus *aggravare*... Przywilej tenże. *Jus pol.* p. 157.

służbą, niewolnikami, ale nie miało jeszcze żadnych osad włościan-
skich, żadnych wsi, nie miało żadnej nad włościanami władzy. Jako
urzędnicy książęcy miało rycerstwo znaczenie, jako stan — żadnego
nie posiadało. Sumienna, źródłowa praca Romualda Hubego:
Prawo polskie w XIII wieku (Warszawa 1874) dostarcza nam
zato dowodu, że w ciągu trzynastego wieku nastąpił pod tym wzglę-
dem stanowczy przełom. Obok prawa książęcego wykształciło się
oddzielne prawo rycerskie (str. 256), a lepiej mówiąc — ziemiań-
skie, i stało się w równym rzędzie z wyrabiającem się społecznie
prawem kościelnem i miejskiem.

Rycerstwo rzuciło się do roli; korzystając z ogólnego koloni-
zacyjnego prądu, zaczęło na pustkach, należących do jego folwar-
ków, zakładać osady wiejskie, otrzymywało wiele osad wiejskich
darem książęcym, otrzymywało nad temi osadami władzę patry-
monjalną, t. j. sądownictwo i prawo nakładania ciężarów, a korzy-
stając z tej władzy, urządzało swoje osady wiejskie na prawie nie-
mieckiem. Niema wprawdzie ogólnego przywileju, któryby ziemia-
nom władzę patrymonjalną nad włościanami przyznawał, ale istnieje
nieskończona liczba przywilejów specjalnych, które to orzekają
i które przywilej ogólny czynią zupełnie zbytecznym. Oto pierwsza,
na przywilejach i zwyczaju powszechnym polegająca, swoboda zie-
miańskiego stanu.

Nieco później wyrobiła się druga. Pojedyncze dzielnice pod-
dały się Łokietkowi, ale na zasadzie czysto personalnej unji, z za-
strzeżeniem całej swojej dotychczasowej organizacji. Rzecz jednak
jasna, że panujący nie mógł na takiej unji personalnej poprzestać,
że musiał działać w interesie całego państwa, że musiało się wy-
tworzyć pojęcie ogólnego polskiego państwa, które w koronacji Ło-
kietka z r. 1320, przygotowanej koronacją Przemysława i panowa-
niem czeskiem, znalazło swą sankcję. Panujący utworzył sobie od-
rębną hierarchję urzędniczą na swoim dworze, zorganizował od-
rębną hierarchję skarbową królewską, ustanowił wreszcie po całym
kraju odrębnych urzędników królewskich, starostów. Wobec całej
tej nowej hierarchji urzędniczej, od króla bezwzględnie zależnej,
w jego imieniu w interesie państwa działającej, dawni urzędnicy
książęcy w pojedynczych ziemiach: wojewodowie, kasztelanowie,

podkomorzowie, sędziowie i t. d., stojący za straży interesów swych ziem, musieli przybrać charakter urzędników ziemskich, autonomicznych, a w ten sposób już z początkiem XIV wieku stan ziemiański zdobył sobie w swoich ziemiach odrębną organizację urzędniczą, samoistną, w obronie jego interesów na zjazdach publicznych występującą, kiedy urzędnicy królewscy: starostowie i prokuratorzy, zdala się od tych zjazdów trzymali¹.

Nie skończyło się bynajmniej na tem. Wspomniana powyżej praca Hubego jest jednym dowodem, że w dziedzinie prawa prywatnego, karnego i procesu stan ziemiański w XIII wieku zupełną samoistość sobie zdobył, że wytworzył sobie swoje własne prawo zwyczajowe ziemskie, w każdej ziemi do pewnego stopnia odmienne, którego panującemu samowolnemi ukazami nie było wolno narzucać.

Stosunek panującego do ziemian za Kazimierza i Łokietka bliższym był, niż stosunek jego do miast i duchowieństwa, panujący więcej mianowicie do sądownictwa ziemiańskiego się mieszał; ale ustawa o urządzeniu sądów wyższych niemieckiego prawa, oraz ustawy dziesięcinne Kazimierza W. są dowodem, że samorządu miast i kościoła nie pozostawiał również bez swego dozoru. Ciężary publiczne, w określonej przywilejami i zwyczajem granicy, ponosiło zarówno z ziemianami duchowieństwo i miasta. Łudziłby się więc wielce pozorami, toby mniemał, że stosunek Łokietka i Kazimierza do ziemian był dawnym patryarchalnym stosunkiem. Władza królewska była tu już władzą publicznego prawa, niepodzielną, samorządem ziem ograniczoną.

Przywileje z r. 1355 i 1374 są jedynie stwierdzeniem, i to tylko częściowem, stanu rzeczy, który się już w drugiej połowie XIII i z początkiem XIV wieku wyrobił, nie są nowością, od której nowy w historii prawa polskiego można rozpoczynać okres. Wszystkie instytucje prawne z czasów ostatnich Piastów istnieją

¹ Dla uniknięcia łatwego zarzutu zaznaczam tu, że na podstawie dokładniejszych późniejszych studjów zmieniłem w *Dziejach Polski* zdanie wypowiedziane niegdyś w pracy mej o ustawodawstwie nieszawskim, jakoby wojewodowie, kasztelanowie i t. d. byli urzędnikami królewskimi i tylko osobę króla reprezentowali.

za pierwszych Jagiellonów. Zwiększają się wskutek przywileju koszyckiego z r. 1374 i dalszych przywilejów jagiellońskich swobody szlachty, ale wskutek tych samych lub równorzędnych przywilejów zwiększają się tak samo swobody kościoła — edykt wieluński stawia je na szczycie; zwiększają się wskutek nowych przywilejów i wykupna województw swobody miast, ale podstawy organizacji pozostają też same i dzielenie epoki średniowiecznej rokiem 1374 doprowadziłoby w dziedzinie prawa tylko do zamętu i nużących powtórzeń.

Nie rok 1139 i nie rok 1374, ale połowa XIII wieku jest chwilą rozgraniczającą dwa okresy: patryarchalnej pierwotnej i średniowiecznej, na przywilejach i samorządzie stanów polegającej, organizacji¹. Zgadniają się na to znakomite prace prawnicze Hubego, Romanowskiego, Tschoppego i Stentzla, a wreszcie najlepszy autor pierwotnych naszych dziejów, Roepell, w połowie XIII wieku t. zw. *Bruch der altpolnischen Verfassung* zaznacza. Jeżeli więc prof. Szujski pomiędzy r. 1139 a 1374 tworzy okres przejściowy o niewyraźnej i zamacanej charakterystyce, to czyni to tylko na błędnej podstawie, że: 1) z rokiem 1139 wiąże samorząd kościoła i osad niemieckich, który chociażby skutkiem roku 1139, ale o sto lat później się rozwinął, 2) przywilejowi z r. 1374 przypisuje znaczenie twórcze, kiedy przywilej ten jest częściowem sformułowaniem samorządu ziemian, który się społecznie z samorządem miast i kościoła o sto lat wcześniej wytworzył.

¹ Jako fakt zewnętrzny, stojący na samym przełomie i dający do niego ostateczne hasło, podałem napady Mongołów. Szan. recenzenci pytają się jednak, czy napady te dotknęły całą Polskę? Zapewne, nie dotknęły jej całej bezpośrednio, ale nikt na chwilę nie przypuści, żeby całej Polski nie miały wstrząsnąć i na całej się odbić. Nie palili Mongołowie siół wielkopolskich i nie uprowadzali ludności tamtejszej w niewolę, ale rycerstwo wielkopolskie spieszyło na pomoc swej małopolskiej braci, ludność wielkopolska musiała się następnie rzucić na wschód dla zajęcia pustek, jakie napady Mongołów w Małopolsce po sobie pozostawiły. Napady te nie tylko więc moralnie, ale także materialnie Wielkopolską wstrząsnęły.

»Przechodząc do drugiego okresu, zapytamy autora, — pisze ks. Kalinka — jakie to są przywileje średniowieczne, które złamał Kazimierz Jagiellończyk? Prócz wydarcia kapitułom prawa obioru biskupów, podobno innego złamania nie znajdzie. Fakt to był ważny, wpłynął niezmiernie a bardzo szkodliwie na kościół i na społeczeństwo, ale epoki politycznej sam jeszcze nie stanowi«. Odpowiedź wyraźną na to pytanie znajdzie szan. recenzent w § 62 mej książki. Szło o złamanie przywilejów, któremi zaślaniało się duchowieństwo, możni panowie i miasta od ponoszenia ciężarów publicznych, t. j. służby wojennej i podatków. Że tego dokonano, na dowód służą ustawy wojskowe i poborowe, ogłoszone w *Voluminach legum* i *Jus polonicum* Bandtkego, częścią nie drukowane dotychczas, a wzmiankowane przezemnie w rozprawie *Sejmy polskie za Olbráhta i Aleksandra* (»Ateneum« 1876). Były to przywileje rzeczywiście ważniejsze, niż przywilej kapituł; dotyczący obioru biskupów, bo o całym ustroju państwa i społeczeństwa praktycznie decydowały.

Na rozgraniczenie organizacji naszej średniowiecznej od nowożytnej zgadza się natomiast niemal w zupełności p. Szujski. Różnica pomiędzy nami polega w tem, że p. Szujski konstytucję radomską z r. 1505 uważa za chwilę przełomu, kiedy ją poczytuję ją znowu tylko za sformułowanie parlamentaryzmu, który się już za Olbrachta wyrobił i w r. 1493 całkiem normalnie występował i działał. Drobna to jednak różnica. Ważniejsza, chociaż mniej dostrzegalna, polega w tem, że p. Szujski zbyt wielki, mojem zdaniem, kładzie nacisk na sam parlamentaryzm, czyli na formę rządu. Nie sama forma rządu rozstrzyga bowiem o naznaczeniu nowego okresu z końcem XV lub początkiem XVI wieku. Gdyby w Polsce ówczesnej zamiast rządu parlamentarnego powstał był rząd absolutny, ale w nowożytnym tego słowa pojęciu, tem pewniej musielibyśmy mówić o nowym okresie. Gdyby natomiast utworzył się sejm, ale jako władza wyłącznie ustawodawcza, bez prawa nakładania ciężarów publicznych, t. j. służby wojennej i podatków, i bez prawa

uchylania istniejących w tej mierze przywilejów średniowiecznych, o żadnym nowym okresie nie byłoby mowy.

Jakim jest rząd, absolutnym, konstytucyjnym, czy nawet republikańskim, — jest to tylko drugorzędna kwestja, bo na pierwszy plan w organizacji państwa i społeczeństwa wysuwa się pytanie jakim jest stosunek rządu do narodu, czego się rząd mianowicie w podatkach i usłudze wojennej może od narodu domagać i do czego nawzajem wobec narodu jest obowiązany. Ten stosunek zmienił się zasadniczo z końcem XV wieku i w tem leży istotna rozdziła dwóch okresów przyczyna. W średnich wiekach rząd wszystkie potrzeby państwa, wszystkie obowiązki swoje zaspokajał głównie z dochodów wielkich dóbr koronnych, a tylko w nadzwyczajnych razach uciekał się do podatków, obowiązki rządu były też małe: utrzymanie wewnętrznego spokoju i obrona od nieprzyjaciół. Z końcem XV wieku rozszerzyło się pojęcie o obowiązkach rządu, mianowicie wewnętrznych, wystąpiła konieczność popierania pracy społecznej, potrzeba administracji, zwiększyły się też zadania polityki zewnętrznej, zjawiła potrzeba utrzymywania stałej i wyćwiczonej armji. Na pokrycie zwiększonych przez to w niepomierny sposób wydatków nie mogły dochody zadłużonych prędko dóbr koronnych wystarczyć; potrzeba było uciec się w pierwszym rzędzie do podatków; musiało zbudzić się we wszystkich stanach poczucie nieograniczonego obowiązku ponoszenia ciężarów publicznych, innemi słowy — poczucie obywatelstwa i miłości ojczyzny. Bez tego naród i państwo wobec zmienionych warunków i celów nie mogły na chwilę istnieć, a za taką zasadniczą zmianą poszły dopiero odpowiednie zmiany w urządzeniach społecznych i politycznych, które stanowią znamiona nowego okresu, ale nie jego istotę i cechę. Dla tego samego podział naszych dziejów opierający się na rozróżnieniu samej formy rządu: monarchicznej, arystokratycznej, gminowładczej, przyjęty przez Lelewela, a z pewnemi zmianami przez całą jego szkołę, nawet w historii prawa i państwa polskiego wszystkich objawów nie obejmuje, nie tłumaczy, i nie może się dlatego utrzymać.

Zgadając się jednak na stanowczą zmianę, dokonaną z końcem XV wieku, oceniając w jej duchu reformy przeprowadzone

i usiłowane za Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta, można tu podnieść jedną, trudną do rozwiązania wątpliwość. Czyni to ks. Kalinka w słowach: »Dość dziwnie się zdarza, że owe państwo nowożytne... owe państwo *prawne* nastąpiło w Polsce równo z anarchią sejmów wszechwładnych, z pogwałceniem włości, a wkrótce potem i mieszczan«.

Przedewszystkiem skąd ten przekaz, z jakim się ks. Kalinka w recenzji swojej i tu i na innych miejscach o państwie *prawem* odzywa. Nazwa ta »państwo prawne« nie podobała się wprawdzie wielu bezimiennym krytykom, gdy ją, muszę przypuszczać, pierwszy raz w książce mej przeczytali. Nie wiedzieli, że nazwę *prawnego* (*Rechtsstaat*) dała umiejętność państwu nowożytnemu dlatego, że ono dąży ostatecznie do zrównania wszystkich mieszkańców kraju w obliczu prawa. Wszak jeden z nich zapytał: czy inne państwa nie znały prawa, a zatem nie były prawnymi? Na to tylko jedna odpowiedź: *Sit eis* z tą erudycją polityczną *terra levis!* Tak wytrawny znawca umiejętności politycznych, jak ks. Kalinka, wie jednak do czego zmierza. Państwo nowożytne w rozwoju swoim popełniło niemało błędów, nie tylko np. pozbawiło kościół dawnej jego politycznej przewagi, ale przekroczyło niejednokrotnie granice swojej władzy i swego zadania wobec kościoła i do jawnej z nim wystąpiło walki. Stąd owa głęboka niechęć do tego państwa ze strony tej całej szkoły politycznych pisarzy, do której ks. Kalinka się liczy. Wolno jednak z katedry kościelnej, czy świeckiej potępiać nowożytne państwo, wolno do jakiejś innej, lepszej organizacji — której jeszcze nikt nie określił — posyłać westchnienia, ale nie wolno zapoznawać historyków, że to państwo prawne, pomimo wszystkich swoich zbrodni i błędów, jest i było tą konieczną formą, w której się obraca i na której poczęści buduje cała nasza od początku XVII wieku cywilizacja. Historyk musi się z tem liczyć, musi państwo nowożytne, jakkolwiek je nazwiemy, poważnie, bez przekąsu traktować.

Wracając jednak do rzeczy, zaznaczmy fakt, że Polska zrobiła śmiały zapęd ku nowożytnemu państwu; urzeczywistniwszy je częściowo, nie zdołała budowy jego wykończyć, popsuła ją nawet, choćby tylko przez *pacta conventa* w 1574 roku. Zamiast władzę

rządową, co było rzeczą konieczną, umocnić, a przez dziedziczność tronu samoistną uczynić, oparto ją przez *pacta conventa* na kontrakcie, na pełnomocnictwie, a z początkiem XVII wieku zaostrożono jeszcze artykuł *de non praestanda obedientia*, co się sprzeciwiało wręcz naturze i warunkom istnienia nowożytnego państwa. Wstrzymano przez to rozwój jego instytucyj, zbliżono się do średnich wieków, bez ich warunków i korzyści, i dopiero za Stanisława Augusta starano się złe popelnione naprawić. Jakże więc można mówić w dziejach naszych o okresie nowożytnego państwa; czy może lepiej, jak tego żąda p. Szujski, z r. 1574 nowy okres, czy podokres utworzyć? Oto serjo pytanie.

Odpowiemy na nie, zwracając uwagę na dwie ważne okoliczności. Chociaż *pacta conventa* były instytucją nawskróś średniowieczną, to jednak miały one czysto ujemne znaczenie: organizacji średniowiecznej, zburzonej bezpowrotnie poprzednio, ani nie chciały ani nie mogły przywrócić; organizacja nowożytna, zbudowana za ostatnich Jagiellonów, pozostała w całości, tylko nie mogła skutecznie działać, nie mogła się dalej prawidłowo rozwijać. Dalej, warunki naszego rozwoju i bytu, zarówno wewnętrzne jak zewnętrzne, przez *pacta conventa* ani na włos się nie zmieniły; żądały one nadal, i to w sposób coraz to natarczywszy, pod groźbą coraz straszniejszą, nowożytnego państwa, nowożytnego rządu i społecznej budowy. Nie jest więc sztucznym włączaniem przeszłości w teoretyczną formułkę, jeśli się wszystkie fakta naszych dziejów XVII i XVIII wieku ze stanowiska państwa nowożytnego ocenia, jeśli się fakta nieodpowiadające wymogom tego państwa potępia. Czynią to przedewszystkiem, i czynią słusznie, p. Szujski i ks. Kalinka. Potępiając jednak i piętnując nasze *pacta conventa*, *liberum veto*, rokosze i t. p. ze stanowiska nowożytnego państwa i jego wymogów, czemuż do tego stanowiska nie chcą otwarcie się przyznać?

Od końca XVI wieku tylko o państwie i społeczeństwie nowożytnem może być w Polsce mowa i dlatego cały ten ustęp dziejów w jeden nowożytny okres należy uchwycić. Na zrobieniu nowego podziału z rokiem 1574 nie zyskamy nic dla historii prawa

i państwa, a zmuszeni przeto będziemy do nieustannych powtarzań wszystkich instytucyj, które przed i po roku 1574 istniały.

Zamiast siedmiu okresów dla historii naszej organizacji społecznej i politycznej, jakich żąda p. Szujski, latami 1139, 1374, 1505, 1574, 1775 i 1789 od siebie odgraniczonych, lepiej więc poprzestać na trzech okresach, które w książce mojej starałem się przedstawić, a w uwagach powyższych dodatkowo jeszcze uzasadnić. Odpowiadają one, mojem zdaniem, lepiej naturze rzeczy, a mają za sobą zaletę jasnego odgraniczenia i prostoty.

4.

Organizacja prawna społeczeństwa i państwa — to jednak tylko forma zewnętrzna; pozostaje jeszcze cała treść cywilizacyjna, która się w tej formie obraca. Ponieważ jednak prawo jest, tak samo jak obyczaje lub piśmiennictwo, wyrobem tej samej cywilizacji i najściślejszy pomiędzy niemi zachodzi związek, przeto też same okresy rozwoju, które się uwidoczniają w prawie, jeśli są dobrze zbadane, muszą także uwidoczniać się we wszystkich innych gałęziach cywilizacji narodu, jak o tem już na wstępie wspomniałem, mianowicie zaś w jego oświacie i piśmiennictwie. Jest to tak niezbita prawda, że gdyby rozwój naszej oświaty inne wykazywał okresy, niż te, które postawiłem ze względu na prawo, to w takim razie musiałbym w słuszność mojego podziału nawet dla samego prawa natychmiast zwątpić i lepszego podziału szukać.

Nie pozostaje mi przeto nic innego, jak zastanowić się nad podziałem na okresy naszej oświaty i literatury. Trudne to dla prawnika zadanie i nigdybym też ze swoim stanowczem zdaniem nie ośmielił się w tej mierze wystąpić. Szczęściem dla mnie, że mogę się tu odwołać do opinii prof. Małeckiego, uznanej na polu naszej oświaty i literatury powagi. Opinia ta, jak wiadomo, streszczona jest na podstawie jego uniwersyteckich wykładów w dziełku A. Kulickowskiego: *Zarys dziejów literatury polskiej* (wyd. 2. Lwów 1876), a zasadza się na rozróżnieniu w dziejach literatury naszej dwóch epok, rozdzielonych od siebie początkiem XVI wieku.

W pierwszej epoce piśmiennictwo zamyka się w obrębie duchowieństwa, hołduje średniowiecznemu scholastycznemu kierunkowi, jest wyłącznie łacińskim. Drugą epokę otwiera i podtrzymuje odrodzona literatura klasyczna — humanizm. Literatura, poparta potężnym środkiem druku, wychodzi z ciasnego zakresu kościoła i szkoły i na wszystkie warstwy narodu się rozszerza, na wzorach starożytnych kształci się zmysł krytyczny i artystyczne poczucie, wyrabia piśmienny język polski, i literatura staje się narodową. Czyż te obie literatury, czyż te oba kierunki oświaty i myśli nie odpowiadają najściślej społecznej im organizacji średniowiecznej i nowożytnej? Czy w państwie patrymonjalnem średniowiecznem, na przywilejach opartem, we wszystkich jego formach i urządzeniach nie przebija się scholastycyzm? Czy cała teoria ówczesna polityczna nie jest, np. w pismach takiego Pawła Włodkowica, na nauce scholastycznej opartą i przez nią uzasadnioną? A nawzajem komuż jest tajno, że urządzenia nasze nowożytne nawskróś duchem humanizmu przesiąkły; że one w literaturze politycznej starożytnej nieustannie szukały swych wzorów; że w pismach Ostroroga, Przyłuskiego, Modrzewskiego na każdym kroku wpływ klasycyzmu przebija; że humanizm, rozszerzywszy zakres myśli ludzkiej, zbudziwszy do niej szerokie warstwy narodu, tem samem szersze podstawy państwa nowożytnego umożliwił i niezbędnej jego formom dostarczył treści?

Podział historii naszej literatury na okresy: średniowieczny i nowożytny nie odpowiada jednak podziałowi, jaki w historii naszego prawa czynimy pomiędzy państwem patryarchalnem pierwotnem a patrymonjalnem średniowiecznem. Jest to tylko pozorna niezgodność. Wszakże cała nasza literatura łacińsko-polska rozpoczyna się dopiero z Kadłubkiem, a zatem z XIII wiekiem; od tego też dopiero czasu i o scholastycyzmie i o rozszerzeniu szkół duchownych, głównie zasługą świeżo do nas wprowadzonych franciszkanów i dominikanów, może być mowa. Początek literatury naszej średniowiecznej zgadza się więc zupełnie z powstaniem średniowiecznego państwa w połowie XIII wieku. W dalsze czasy dla braku pomników nie sięgają dzieje literatury; gdybyśmy jednak o oświacie naszej przed XIII wiekiem mieli sobie stworzyć jakieś

wyobrażenie, to byłoby ono od obrazu następnych wieków stanowczo odmienne. Oświata ówczesna chrześcijańska w Polsce, reprezentowana przez garstkę cudzoziemców, nie mającą bliższej z narodem umysłowej styczności (benedyktyni przyszedli do nas już w epoce upadku swego i tylko około ekonomicznego podniesienia kraju położyli zasługi), na społeczeństwo polskie jeszcze nie zdołała oddziaływać, nadawała mu co najwyżej tylko jakiś powierzchowny pokost. Treść i zasób myśli i uczuć społeczeństwa tego wieśniaczego i wół pogańskiego datowała jeszcze z dawnych słowiańskich czasów, dawne pieśni i podania ludowe utrzymywały się jeszcze, i dopiero w XIII wieku za wpływem spotęgowanego działania reformy kościelnej zniknęły. Był to zatem różny od scholastycznego, odrębny okres literatury ludowej, państwu patriarchalnemu zupełnie odpowiadającej.

Przejdźmy do sztuki. Wszakże okresy stylu romańskiego, gotyckiego i renesansu — i czasem swego istnienia i duchem swoim najzupełniej się z podanymi przezemnie okresami naszej organizacji społecznej i politycznej zgadzają.

Tak samo w obyczajach, prawda że dotychczas tak mało źródłowo zbadanych. Czy obyczaje nasze pierwotne z przed XIII w., nawskróś i wyłącznie niemal wieśniacze, surowe, wół jeszcze pogańskie, nie odstają jaskrawo od obyczajów średniowiecznych, na które składały się i uczoność kościelna i przemysł miast i rycerska ogłada przynajmniej zamożniejszych ziemian? Czy wreszcie te średniowieczne obyczaje mają jaką wspólność z obyczajami pokolenia, które w XVI wieku wzorów swoich szukało w polorze włoskim, a w XVII w polorze francuskim?

Podajmy dla objaśnienia tego wszystkiego przykład, bijący w oczy każdego, kto o przeszłości naszej ma jakiegokolwiek wyobrażenie. Gdybyśmy mogli wskrzesić z martwych ludzi żyjących w Polsce w XVI, XVII i XVIII wieku, np. Tomickiego, Jana Zamoyskiego, Skargę, Jerzego Ossolińskiego, Andrzeja Maksymiljana Fredrę, jednego z Morsztynów, nareszcie Konarskiego i Andrzeja Zamoyskiego, i w jedno towarzystwo sprowadzić, to ludzie ci mieliby sobie wiele nawzajem do powiedzenia, do wyjaśnienia, sprzeczałiby się zapewne

między sobą nie mało, ale rozumieliby się wszyscy, pojmowali dobrze, zbliżali ku sobie sympatycznie, bo wszyscy żyli wśród tych samych urządzeń, byli dziećmi jednego okresu cywilizacji. Ale niechby w środek tego grona wprowadzić Kadłubka, Mikołaja wojewodę krakowskiego, wójta Alberta, Maćka Borkowicza, Wierzyńka, Alberta Jastrzębca, Derśława z Rytwian, a choćby nawet Zbigniewa Oleśnickiego, to od tych ludzi XIII, XIV i XV wieku, pomiędzy sobą zupełnie się rozumiejących, wszyscy tamci odskoczyliby z pewnym rodzajem zgrozy, po dłuższem obcowaniu jeszczeby ich nie zdołali zrozumieć; nie mogliby im przebaczyć czyto barbarzyńskiej mowy, czyto nieokrzesanych obyczajów, czy wreszcie całkiem odrębnego kierunku uczuć, dążeń i myśli. I nawzajem, dla tych wszystkich wybitnych średniowiecznych postaci, stworzonych przez odmienną cywilizację, wśród odmiennych urządzeń żyjących, wszystko, coby słyszeli od swoich następców, byłoby tem więcej niepojętem i niezrozumiałem. Historyk, który te postacie dziejowe kreśli, musi więc jak najdokładniej zdawać sobie sprawę z odmiennego tła, na którem one się poruszały, musi przełom dwóch okresów dziejowych rozumieć, nie może z jednego do drugiego farb zapożyczać.

Niechże mi więc mój szanowny przeciwnik raczy przyznać, że w oznaczeniu okresów kierowałem się nie tylko formą, ale i treścią naszych dziejów, że budując okresy jako prawnik, głównie na prawno-politycznej i ekonomicznej podstawie, na treść cywilizacyjną zwracałem, o ile umiałem, uwagę, i że w ścisłym związku rozwoju cywilizacji naszej z rozwojem ustroju państwa i społeczeństwa widzę największe potwierdzenie trafności mego podziału.

Drugą nader ważną okolicznością, za podziałem tym przemawiającą, jest zgodność jego z przyjętym powszechnie podziałem historii narodów zachodnio-europejskich, z którymi łączyła nas wspólność cywilizacji, na okres frankoński, średniowieczny i nowożytny. »Niezawodnie należymy do ostatnich, — pisze prof. Szujski — którzyby temu przeczyć chcieli«. Dodaje jednak zaraz: »Tylko że należenie do pewnego koła cywilizacji nie pociąga za sobą spólczesności chronologicznej: owszem w tym wypadku szczególnym

w historii polskiej dostrzegamy objaw wbrew przeciwnej natury. Uludne uprzedzanie Europy w pewnych fazach jej rozwoju graniczy u nas o miedzę z rzeczywistością i niedającym się zaprzeczyć zatrzymywaniem instytucyj epok minionych... Nie można więc w historii i dla historii polskiej stawiać kryterjum analogicznego z rozwojem Zachodu; działa na nią Zachód: ale nie utrzymuje jej, bo nie może utrzymać na wysokości przebytych walk i metamorfoz własnych; ma ona tu odpowiednią młodszość swojej i oddaleniu od walk zachodnich drogę, a pan Bobrzyński wie o tem...» Trafne te w zasadzie uwagi służą p. Szujskiemu do tego, że koniec pierwszego okresu w ogólnej naszej historii przedłuża do r. 1386, koniec drugiego okresu do r. 1572. Najgłębsze atoli teoretyczne wnioski nie mogą usuwać faktów. Teorja powyżej wyluszczone sprawdza się faktycznie w pierwotnych naszych dziejach o tyle, że u nas pierwszy okres rozpoczyna się w X wieku, w chwili kiedy na Zachodzie się kończy, faktem jest bowiem niezaprzeczonem, że o pięć wieków później od Zachodu wstąpiliśmy na widownię dziejów. Faktem jest jednak również, że okres pierwotny trwa u nas tylko do połowy XIII wieku, jak to wyżej starałem się wykazać, a gwoli teorji nie można go do końca XIV stulecia przedłużać. Tem mniej można zaś okres drugi przeciągać aż do r. 1572, skoro cały szereg faktów wyluszczonych w mej książce i popartych powyżej dowodzi, że w pierwszej połowie XVI wieku już się obracali w nowożytnych stosunkach. Ścigając bowiem Zachód przez pięć pierwszych wieków naszych dziejów, nie zrównaliśmy się z nim wprawdzie w wyrobieniu sobie równego doświadczenia i siły woli, ale zrównaliśmy się zupełnie co się tyczy społecznego obierania sobie tych samych celów i środków naszej pracy. Od początku XVI wieku pracowaliśmy gorzej, ale równorzędnie z Zachodem, a tem się tłumaczy, że okres nowożytny społecznie u nas jak i na Zachodzie się rozpoczyna.

5.

Wszystkie zarzuty, które dotychczas przedstawiłem i starałem się odeprzeć, nie mają jednak w oczach samego p. Szujskiego cechy stanowczej. Wznosząc się też ponad nie i przypuszczając, że odpartemi być mogą, wydobywa prof. Szujski na końcu całkiem odmiennie względy, które mają za dotychczasowym podziałem na epokę piastowską, jagiellońską i elekcyjną w sposób zupełnie stanowczy przemawiać. Użyję tu własnych słów szan. recenzenta:

»Wybór czynnika dzielącego (okresy) winien być wyprowadzonym z istoty dziejów narodu, które się traktuje. U narodów silnego samorodnego rozwoju, jak Rzymianie i Anglicy (zapewne także Francuzi), schodzić on się może z etapami drogi, po której kroczone do nadawania sobie odmiennych form bytu; u rzesz o odmiennych polityczno-religijnych polaryzacjach, jak niemiecka, walka wewnętrzna i rozwój tych polaryzacji znaczą odmianę i przewrót w historii; u narodów, które wyszedłszy z pierwotnej ciasniejszej szkoły, walczą następnie z przestrzeniami nabytych i połączonych terytorjów, terytorja te niosą z sobą nieobliczone zawikłania, a dzieje ustawiają się jak szereg dowodów dojrzałości lub niedojrzałości w pokonaniu geograficznej przestrzeni. Do tej kategorii należą sąsiadujące z sobą dzieje Polski i Rosji«. A więc istota dziejów Polski polega nie na rozwoju jej samej, nie na rozwoju jej wewnętrznym, ale na cywilizowaniu dalszego Wschodu. Dlatego, według p. Szujskiego, przyzwanie na tron polski Jagiełły i unja personalna z Litwą w r. 1386 jest faktem pierwszorzędного znaczenia, dzielącym okresy; dlatego unja lubelska z r. 1569, schodząca się ze śmiercią ostatniego Jagiellona w r. 1572, łącząca oba państwa parlamentarnie, jest drugim takim faktem znowu dzielącym okresy.

Jeśli się istotnie ze stanowiska terytorjalnych nabytków i ich asymilacji dzieje narodu rozważa, to za podziałem powyższym można przemawiać. Mielibyśmy więc dwa odmiennie od siebie podziały dziejów naszych: jeden ze względu na wewnętrzny nasz rozwój, drugi ze względu na rozszerzenie owoców tego rozwoju. Dwa

podziały z dwóch różnych względów dadzą się jednak pomyśleć, ale nie dadzą się w jednym i tem samym przedstawieniu dziejów połączyć. Wynikłaby stąd istna wieża Babel, której p. Szujski przez podział dalszy swoich okresów i utworzenie podokresów napróżno zaradzić się stara. Jeden albo drugi podział musi być rozstrzygającym i przeprowadzonym, a zgodziwszy się na tę zasadę — oczywiście podział pierwszy. Chcąc rozszerzać cywilizację, trzeba ją mieć, trzeba ją sobie wyrobić, a ta ostatnia praca jest ważniejsza, jest twardsza, jest więcej rozstrzygającą od pierwszej. Zadanie rozszerzenia cywilizacji spełniliśmy zwycięsko, ale to nie zbawiło nas od upadku; zadania wewnętrznego rozwoju nie zdołaliśmy dokonać, i dlatego nas dosięgnął upadek. Ktoby więc wewnętrznemu naszemu rozwojowi głównej nie poświęcił uwagi, ktoby go nie obrał za podstawę do ujęcia dziejów naszych w okresy, tenby tych dziejów nie mógł jasno i zrozumiale określić.

Najlepszego przykładu na poparcie tego zdania dostarcza mi p. Szujski w tem, co mówi powyżej o Niemczech. Fakt rozbicia się Niemców na małe i najmniejsze państewka — w dziejach Niemiec ważną niewątpliwie odgrywa rolę, a jednak historycy niemieccy nie trzymają się go wcale w podziale swoich dziejów na okresy. Powinniby według p. Szujskiego ustanowić okres z r. 1220, kiedy Fryderyk II sankcjonował t. zw. *Landeshoheit*, t. j. rozbicie się Niemiec na terytorja, następny zaś okres dopiero z pokojem westfalskim w r. 1648, sankcjonującym niezawisłość tych terytorjów i orzekającym formę ich związku na zasadach międzynarodowego prawa. A jednakże uczeni niemieccy tego nie czynią. Dla nich ważniejszym jest rozwój Niemiec wewnętrzny: prawny, ekonomiczny, cywilizacyjny, dokonywający się choćby w rozbitym na państewka kraju, i dlatego po epoce frankońskiej uznają tylko epokę organizacji i cywilizacji średniowiecznej do końca XV wieku, i epokę organizacji i cywilizacji nowożytnej, następnej. Naśladujmyż ich, bo mają zupełną w tem słuszność.

Z historją Rosji zupełnie co innego. Rosyjscy historycy całkiem słusznie w dziejach swoich dwie wyróżniają epoki: przed Piotrem Wielkim i od Piotra Wielkiego.

Wróćmy jednak po tem zboczeniu do głównego przedmiotu i zapytajmy, czy względ na Litwę każe nam rzeczywiście rok 1386 i 1569 jako chwile przelomu naznaczać. W historii Litwy lata te niezmierną rzeczywiście odgrywają rolę: rok zaprowadzenia chrześcijaństwa i chwila złamania feudalizmu, na którym się cały ustrój litewski opierał. W historii Polski nawet ze względu na Litwę nie te jednak chwile są rozstrzygające.

W stosunkach naszych zewnętrznych mieliśmy w każdym okresie naszego wewnętrznego rozwoju odrębne cele. O ile państwo nasze pierwotne broniło linii Elby i Odry przeciw zaborczemu działaniu Niemiec, o tyle dla państwa naszego średniowiecznego przez cały wiek XIV i XV istniała jedna tylko w stosunkach zewnętrznych kwestja żywotna: odzyskanie ujść Wisły, pogrom Krzyżaków. Pod tem hasłem zbliżyliśmy się do Litwinów już za Łokietka, w imię tej idei przyzwaliśmy na nasz tron Jagiellonów. Za udział w bitwie Grunwaldzkiej potrzeba się było czemś Litwinom wywdzięczyc, daliśmy im jedno i drugie: apostołstwo i horodelską unję, ale Litwa przez cały wiek XV tworzyła całkiem odrębne państwo, miała nawet niemal stale odrębnych swych wielkich książąt do 1501 roku. Że ogół polskiego narodu o rozszerzeniu swojej cywilizacji na Litwę, o asymilacji Litwy w XV wieku nie myślał, że nawet taki Zbigniew Oleśnicki kwestji litewskiej wcale nie rozumiał, że mądra w tym kierunku polityka Kazimierza Jagiellończyka w Polsce nietylko nie została uznana i zrozumiana, ale najzacieklejsze z powodu Podola i Wołynia wywoływała wrzaski, o tem wie najlepiej prof. Szujski.

Wszystko to zmienia się dopiero z końcem XV wieku.

W nowożytnym okresie, unja lubelska z 1569 r. była tylko jednym z etapów na drodze naszej polityki asymilacyjnej i cywilizacyjnej wobec Litwy, która to polityka dopiero z początkiem XVI wieku z wielkiem oddziaływaniem na nas samych się rozpoczyna i nietylko mojego podziału na okresy nie nadwiera, ale go owszem najmocniej utwierdza. Prof. Szujski, zarzucając mi niejednokrotnie, że się formułą prawną bez względu na faktyczny tok dziejów daję niebacznie uwodzić, sam widocznie uległ tu pokusie, i do przywilejów z r. 1386 i 1569 przywiązał tak przesadne zna-

czenie, jakiego one wobec innych faktów dziejowych, w tym samym kierunku działających, bynajmniej nie mają.

Na tem kończę mój wywód, dziękując szan. recenzentom, że mi swojemi, zawsze w samo jądro rzeczy trafiającemi, zarzutami do rozwinięcia i obrony mego zapatrywania podali pożądaną sposobność.

R. 1880.

III.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA „DZIEJÓW POLSKI W ZARYSIE“.

Najlepszą odpowiedzią na cały szereg krytyk, najlepszą zarazem obroną książki mojej będzie jej drugie wydanie. Podaje mi ono zarazem sposobność do odparcia zarzutów i do zaznaczenia zajętego wobec nich stanowiska.

Trudne to nader zadanie, bo na przeważną część zarzutów odpowiadać niema przyczyny i niema sposobu.

Cóż przedewszystkiem odpowiedzieć recenzentom, którzy pomijając zupełnie założenie mej książki, nie zwracając zgoła uwagi na to, z czem w istocie w niej występuję, nie zastanawiając się wcale ani nad podaną przezemnie charakterystyką okresów, ani nad obrazem wewnętrznych stosunków, ani nad sposobem uchwycenia i wyjaśnienia nici naszego dziejowego rozwoju, wykazywali mi szereg prawdziwych lub urojonych pomyłek w drobiazgowych datach i faktach, a znalazłszy mylnie napisaną lub błędnie wydrukowaną datę bitwy lub datę śmierci jakiegoś książyka, znalazłszy np. w jednym miejscu traktat welawsko-bydgoski wydrukowanym »wawelsko-bydgoskim«, obwinili mnie o ignorancję historyczną i zawołali z triumfem, że się nie pisze intuicją historii? Dziękując za wskazanie i mnie i zecerowi pomyłek, żałując, że nie podali wszystkich, triumfalnego usposobienia przeciw tym pp. krytykom nie będę odbierał. Trzeba je pozostawić ludziom, którzy przestając w pracy swojej na sprawdzeniu kilkunastu lub kilkudziesięciu hi-

starych faktów, uważają za ignorantów wszystkich współtowarzyszów, pracujących w innym, a mianowicie ogólniejszym kierunku. Powstali u nas w ostatnich latach historycy, którzy chętnie się otwarcie tem, że o całej historii narodu nie mają wyobrażenia, ale znają zato aż do najdrobniejszych szczegółów przebieg poselstw dyplomatycznych z lat dziesięciu lub piętnastu, i na tem polu wielkich dokonali odkryć. Dziwne to odkrycia, które, pozabawiając się z umysłu wszelkiego szerszego poglądu, łatwowiernością swoją w przykre wprawiają zdumienie. Zasadą tych poszukiwań staje się ślepa, bezwarunkowa wiara w literę tego, co napisanem jest w źródłach wyraźnie, z pominięciem istotnego znaczenia i treści. Jeżeli np. widocznym celem i następstwem jakiegoś traktatu jest zupełne ustępstwo pewnej polityki, uczynione przez jedno państwo drugiemu, jeżeli do tego celu wszystkie postanowienia traktatu zmierzają, ale go wyraźnie nie wypowiedzianym, to odkrycie polega na wykazaniu, że cel nie jest wypowiedzianym, a stąd wniosek, że go nie było. Jeżeli minister popełnił błąd nie do darowania i w nocy dyplomatycznej stara się bezskutecznie upozorować przegraną, to historia powinna, zdaniem owych panów, notę tę wziąć literalnie i twierdzić, że minister sprawy nie przegrał i ze zwycięstwa się cieszył. Kto też, pisząc chociażby najogólniej historję, streszcza fakta nie podług literalnego brzmienia źródeł, ale podług ich istotnego znaczenia, kto wszystkich owych odkryć nie wyliczy, komu się zdarzy, że o jednym lub drugim dla błahości rzeczy zapomni, ten może być pewnym, że krytyka, wychodząca z tego obozu, za zbrodnię mu to poczyta, a pracę jego od wszelkiej wartości odsądzi. Mniejsza o autora, który tego rodzaju krytyk, zaprawnych czasami w oryginalną sentymentalność i koturnowy patos, nie bierze przecież na serjo, ale żal publiczności, która zamiast spodziewanej recenzji słyszy znowu, po raz nie wiedzieć już który, o wszystkich owych odkryciach, z najskrupulatnijszem bibliograficznym przytoczeniem rozpraw, ekskursów i adnotacyj. Krytyki te pisane są zresztą pospolicie w takim tonie i z takim doborem wyrazów, że ktoby chciał z nimi polemizować, temu staną na myśli zaraz słowa Orzechowskiego, który przestrzeżony,

żeby o Długoszu »w karczmie przed naszymi Lachy nie mówił«, odpowiedział: »Iście nie będę, wziąłbym pewnie pełną w łeb«.

Cóż dalej odpowiedzieć recenzentom, którzy dołożyli wszelkich usiłowań, ażeby mnie nigdzie nie rozumieć i istotnego znaczenia moich słów nie odgadnąć? Piszący recenzje, ludzie, o których muszę przecież przypuszczać, że przynajmniej ogólnem wykształceniem władają, — okazowali niepojętność, przechodzącą czasem w zupełną naiwność. Jeżeli się np. autor wyraził, że społeczeństwo nasze szlacheckie w XVII lub XVIII wieku za mało posiadało krwi, to chociaż z całego ustępu wynika, że tu mowa o głębszych, wytrwalszych, gwałtowniejszych namiętnościach i dążeniach, krytyk bierze wyrażenie dosłownie, i porównyując zamasyte postacie naszych przodków, jakie na obrazach widzimy, z typem współczesnym Anglików lub Włochów, mierzy krew ich nieledwie kwartą i tym dowodem zabija oczywiście autora. Wyrwywając wyrażenia przedzielone od siebie kartkami, odnoszące się do czego innego, z ich logicznego wyjaśnienia i związku, wykazano mi szereg niekonsekwencji i sprzeczności, których nikt oprócz krytyka nie znalazł i nie znajdzie. Krytyk tego rodzaju wskaże i przytoczy dosłownie dwa wyrażenia, z których niewątpliwie wynika, że autor politykę jednego i tego samego króla raz nazwał »złą« a drugi raz »dobrą«; sprzeczność oczywista, ale tylko dla takiego czytelnika książki, który nie chce zrozumieć, że za pierwszym razem mowa jest o polityce zagranicznej, za drugim o polityce wewnętrznej. Chwytnąjąc się jaskrawszych słów, pozbawiając ich tego, jakie w mojej książce w związku z innemi posiadają, znaczenia, układano sobie mozaiki, ujęte w ramy wymownych znaków zapytania i wykrzykników, każących się czytelnikowi strasznych rzeczy i tendencji domyślać. Wybierając szereg zdań mówiących za, a przemilczając wszystko mówiące przeciw, podsuwano mi twierdzenia, których nietylko nigdzie nie wyraziłem, ale których nawet nie mogłem pomyśleć. Nadaje się do tego wybornie historia, która nie jest żadnym ściśle w sobie zamkniętym filozoficznym lub politycznym systemem, ale szeregiem zdarzeń, za i przeciw każdej teorii przemawiających. Kto nie patrzy na całość, kto tego »za« i »przeciw« sumiennie nie zważy, ten z historii wszystkiego do-

wiedzie, ten historyka z łatwością za nihilistę lub za skrajnego konserwatystę, jak mu dogodniej, poczyta. Tego rodzaju krytyka spotkała mnie przeważnie ze strony dzienników. Czytając dziś uważnie, co o książce mojej napisały mianowicie dzienniki warszawskie, nie mogę się obronić wrażeniu, że nie o mnie toczyła się sprawa. Jedno z pism, szukające za każdą cenę wyznawców swych radykalnych zasad, znalazłszy w mojej książce ustępy, przemawiające za koniecznością dźwignięcia się z wad narodowych i liczenia z warunkami położenia i czasu, nie pytało się dalej, na jakich podstawach wszelki rozwój i postęp rozumem, nie zważało na to, że na zaszranowanie zdrowej po przeszłości spuścizny i rzeczywistych sił społeczeństwa kładę nieustannie nacisk, że zatem całość mojej pracy wybitnie przeciw jego kierunkowi przemawia, i powitało we mnie »oddawna oczekiwanego sprzymierzeńca«. Najbardziej tę charakterystykę przyjęły pisma przeciwnego obozu jako rzecz daną, a nie pytając się, czy ona prawdziwą, rade ze sposobności zmanifestowania swych zachowawczych zasad, rozpoczęły walkę nie ze mną, ale z owym pismem, które pierwsze się odezwało. Z książki mojej wyrwali wprawdzie recenzenci wyrażenia i słowa dla upozorowania swej polemiki, ale zanadto dobre mam o inteligencji ich wyobrażenie, ażeby mógł przypuszczać, że ją czytali całą, i że przeczytawszy ją uważnie, mogli to o niej pisać, co napisali.

Gdybym im chciał odpowiadać, musiałbym napisać drugą książkę i ustęp w ustęp dowodzić błędnego rozumienia i tłumaczenia mej pracy; rzecz zbyt mozolna w stosunku do możebnego z niej pożytku. Ktoby miał czas i cierpliwość, ażeby podobną obronę wertować, ten z pewnością zdobędzie się na to, ażeby samą książkę przeczytać i wykretnym jej tłumaczeniom nie da się uwieść. Znaleźli się wprawdzie recenzenci, którzy pozując na stróżów naszego społecznego zdrowia, rzucili na moją pracę kłutwę i od czytania jej starali się przez to publiczność powstrzymać. Stara to, ale dzięki Bogu zużyta już i zardzewiała broń, wręcz przeciwny tylko wyrzecz zdolowała skutek. I historyk z zawodu nie jest wolny od błędów i zbroceń, ale źleby już było ze społeczeństwem, któreby dla lekkomyślnie rzuconych oskarżeń nie chciało nawet wysłuchać

człowieka, który wszystkie swoje siły zbadaniu jego przeszłości poświęca, a tem samem do wypowiedzenia swego, chociażby odmiennego zdania zdobył sobie prawo.

Cóż wreszcie odpowiadać recenzentom, którzy na każdym kroku zdradzają zupełną niezajomość elementarnych pojęć o zadaniu i stanowisku historii? Można się wstydzić, że u nas dziś jeszcze znajdują się literaci, rozprawiający o absolutnej bezstronności historyka, o szkodzie, jaką naród z wykrycia swojej prawdy dziejowej ponosi, o konieczności budzenia entuzjazmu przez kłamliwe upiększanie przeszłości i t. p. Ludzie ci, zarzucając arogancję historykowi, który się ośmielił i w jednym i w drugim przeciw utartym poglądom stanowczo, bo na podstawie studjów i z głębi przekonania, wystąpić, sami zwykle z arogancją przekraczającą wszelkie granice udzielają historykom lekcyj. Nie wspominam tu o lekcjach, jakie się dostały mnie samemu, nietylko na polu historii, ale nawet na polu polskiego prawa, ale trudno żebym pominął tego krytyka, który — może znakomity uczony w każdym innym kierunku, ale nie historyk, a w żadnym razie wydawca historycznych źródeł, — dowodził błędnego wydania aktów XIV stulecia — Piekosińskiemu!! Recenzenci ci orzekają śmiało, że wszystkie zdania i opisy zawarte w książce, o której wyrokuja, czytali już gdzieś indziej, nawet w podręcznikach z XVIII wieku, a jeżeli nie czytali, to przynajmniej sami o wszystkim wiedzieli. Dlaczego się zatem na książkę gniewają? Pół biedy jeszcze dopóki ją potępiają za to, co w niej jest, ale kiedy ją dopiero zaczną potępiać za to, czego w niej niema, kiedy np. podnoszą zarzut, że prawnik nie napisał nic o prawie polskiem prywatnem z XI i XII wieku, to już strach ogarnia autora, który, chociaż jest profesorem prawa polskiego w uniwersytecie krakowskim, przecież o źródłach prawa polskiego z tych czasów nic nie wie, z zupełnego braku lub niedostateczności badań nawet nad prawem polskiem późniejszym zdaje sobie sprawę, i cieszy się już tem, jeśli tu i owdzie jakąś nową myśl do rozświecenia tego przedmiotu rzucił. Kiedy wreszcie panowie ci, potępiając *Dzieje Polski w zarysie*, równocześnie za prace moje monograficzne raczyli mnie wymownie pochwalić, zastanowiłem się nad tem, że w pracach tych — o ustawodawstwie nieszaw-

skiem, sądach Kazimierzowskich, kodyfikacji Zygmuntońskiej, sejmach za Olbrachta i Aleksandra, literaturze politycznej XV wieku, — wypowiedziałem też same zasadnicze zapatrywania, które w książce podręcznej rozprawdzam i streszczam, i stanąłem wobec logicznego problemu, jak jedno i toż samo twierdzenie może być dobrem w monografji, złem w podręczniku? Do rozwiązania tej kwestji siły moje nie starczą. Na wszystkie tego rodzaju recenzje trzeba jedynie oddziaływać popularyzowaniem ogólnych o historii pojęć¹, ale odpowiadać na nie można tylko jednym zdaniem: »*Ne sutor ultra crepidam*«.

Pomijając jednak w ten sposób wszystkie te krytyki i zarzuty, których nie można rozsądnie i niema celu odpiierać, nie mogę na chwilę zapomnieć, że książkę moją ogłosiłem nie za streszczenie gotowych już, dowiedzionych wyników nauki, ale za program do napisania dziejów Polski, za rzecz naukowego rozbioru i dyskusji. Otóż w bezdennem morzu namiętych lub lekko-myślnych recenzji znalazłem jedną i drugą rozsądniejszą uwagę, w życiu codziennem i listownem zetknięciu się z poważnymi ludźmi spotkałem się z niemałą liczbą wątpliwości, nareszcie w dwóch ze znajomością rzeczy napisanych recenzjach, prof. J. Szujskiego² i ks. W. Kalinki³, ujrzałem cały szereg mniej lub więcej doniosłych zarzutów. Z temi uwagami, wątpliwościami, zarzutami mogłem się liczyć, muszę też stanowisko, jakie wobec nich po sumiennej rozwadze zająłem, o ile miejsce pozwala, zaznaczyć.

W rozprawce *W imię prawdy dziejowej* wypowiedziałem zdanie, że sąd historyczny musi się opierać na dokładnej znajomości nauk społecznych i politycznych w ich najszerszem pojęciu,

¹ Staralem się to uczynić w rozprawce: *W imię prawdy dziejowej Rzecz o zadaniu historii i dzisiejszem jej stanowisku*. Warszawa 1879 r.

² *Kilka uwag o »Dziejach Polski« Michała Bobrzyńskiego*. Warszawa 1879. Odbitka z »Niwy«.

³ *O książce M. Bobrzyńskiego »Dzieje Polski w zarysie«*. W Krakowie 1879.

że jest zastosowaniem wyników tych nauk do zbadanych krytycznie historycznych faktów. Przeciw temu prof. Szujski i Smolka¹ zastrzegli się stanowczo; przyznając konieczność znajomości nauk społecznych i politycznych, twierdzą, że znajomość ich daje historykowi tylko zdolność do rozpoznania, zestawienia i ocenienia faktów. Zarzut ten mogę wyjaśnieniem rzeczy zupełnie usunąć. Mówiąc o stosowaniu nauk społecznych i politycznych do historycznych faktów, nie miałem nigdy na myśli niewolniczego stosowania, ani uniwersalnej recepty; wiem i powiedziałem wyraźnie, że żaden fakt w historii ślepo tak samo się nie powtarza, podniosłem wybitnie, że historyk, stosując doświadczenie zebrane z porównania faktów znanych do nowego, rozbieranego przezeń faktu, musi z jego właściwościami się liczyć i badać, o ile w tym fakcie znane zasady i w jakiej kombinacji się sprawdzają, o ile zaś ulegają sprostowaniu, o ile wreszcie nowy fakt na odkrycie nieznaney dotychczas zasady i zbogacenie nauk społecznych i politycznych naprowadza uważnego badacza. Jeżeli też rzekomi moi przeciwnicy zechcą mnie w ten sposób zrozumieć, to przyznają niewątpliwie, że nasze określenie sądu historycznego tylko w słowach, nie zaś w treści się różni. Zgadzaemy się w równej mierze na pożytek nauk społecznych i politycznych dla historii, zgadzamy się na to, że znajomość tych nauk daje historykowi możność i zdolność do ocenienia historycznych faktów, a ja nakoniec podałem przyczynę, skąd się ta zdolność bierze. Powstaje ona stąd, że też same przyczyny wywołują w historii też same skutki. Historyk, znalazłszy pewien fakt, szuka podobnych faktów, które już w nauce wyjaśniono pod względem przyczyn i skutków, i z całą naukową swobodą i samostannością bada, czy i o ile się te przyczyny i skutki przy danym fakcie sprawdzają. Oceniając go zaś na takiej podstawie, stosuje przecież wyniki nauk do faktu, co właśnie twierdziłem. Na nicby mu się oczywiście to stosowanie nie przydało, znając najgruntowniej nauki społeczne i polityczne nie miałby zdolności do ocenienia faktów, gdyby fakta te nie ulegały pewnym prawom dziejo-

¹ *O pojęciu, zadaniu i stanowisku historii* (>Ateneum< tom III. Warszawa 1879).

wym, gdyby te prawa w faktach się nie objawiały, gdyby, in-nemi słowy, pewna przyczyna nie wywołała tych samych zawsze skutków.

Zastrzeżenia pp. Szujskiego i Smolki wyniknęły też stąd, że stosunku mojej definicji do groźnej i niemiłej zawsze historykom teorii Bucklego wyraźnie nie wypowiedział. Obaj pp. recenzenci, przeczytawszy książkę moją, przekonali się oczywiście, że do szkoły Bucklego zaliczyć mnie niepodobna, tem usilniej też domagają się odemnie wyraźnego oświadczenia się wobec teorii Bucklowskiej. Żądaniu temu mogę z łatwością uczynić zadość. Zgadzam się z Bucklem w tem, co w nim nie jest nowem, co wziął wprost z nauk społecznych i politycznych. Jako prawnik nie mogę nie wierzyć, że wszystkie objawy życia społecznego i politycznego narodów pewnym podlegają zasadom i prawom, nad których wydobyciem i zestawieniem historia i nauki społeczne i polityczne pracują. Przyznaję Brucklemu zasługę, że uwagę historyków na nauki te, na prawidłowość, objawiającą się w faktach historycznych, zwrócił, że samowolę dawniejszych historyków w kombinowaniu faktów historycznych skarcił. Nie zgadzam się zato z Bucklem stanowczo w jego indywidualnem przekonaniu, że prawa rządzące ludzkością są już zupełnie odkryte i znane, że, o ile nie były jeszcze znane, to Buckle ostatnie o nich powiedział słowo; nie zgadzam się na to, żeby płonne, nieudowodnione wcale, ekscentryczne hipotezy brać za podstawę do ocenienia najzawilszych zjawisk dziejowych; w książce Bucklego widzę też tylko sztuczne wtłaczanie faktów historycznych w formułki naprędce ukute. Wszakże w mojej rozprawce *W imię prawdy dziejowej* z największą stanowczością przeciw takiemu wtłaczaniu historii w formuły *a priori* ułożone się oświadczam, wszakże wyraźnie twierdząc, że nieskończona ilość zjawisk dziejowych jest dla nas jeszcze zupełnie niewyjaśnioną i niezrozumiałą, i do prostego zapisania takich zjawisk radzę się ograniczyć. Buckle, genialny może dyletant, ale nie historyk i nie prawnik-polityk, rozumie i tłumaczy wszystko, i w tem błądzi i grzeszy.

Poruszywszy już Bucklego, niepodobna mi pominąć zarzutu, który zwolenni filozofji pozytywnej u nas przeciw książce mojej

podnieśli. Zganili mnie za to, że w przedstawieniu naszej, mianowicie nowożytnej, historii mówię o odpowiedzialności dziejowej narodu i jednostek, kiedy odpowiedzialności żadnej w historii niema, bo, zdaniem tej szkoły, jednostka i naród nie ma żadnej woli i jest zewnętrznego lub wewnętrznego przymusu narzędziem. »*Tout comprendre c'est tout pardonner*«. Na to odpowiem, że wierząc najmocniej w istnienie wyższych praw, którym podlegają zarówno jednostki jak całe narody, ale prawa te w małej dopiero części znając, nie możemy wszystkiego w historii zrozumieć, a temsamem wszystkiego przebaczyć. Istnienie praw nie wyklucza też wolnej woli jednostki ludzkiej i społeczeństw. Kto zamierzał zejść ze stromej góry, ale zamiast uważnie schodzić prosto, w przepaść się rzucił, ten złamał nogę: prawo grawitacji objawiło się w groźnej swojej potędze, ale człowiek działał z wolnej swej woli i jest za swój czyn odpowiedzialnym. Tak samo dzieje się w sferze wyższego porządku. Rząd jakiegoś państwa chwycił się błędnej polityki finansowej i pogrążył kraj w materialną ruinę; stwierdziło się przez to prawo ekonomiczne, ale czy osobistości składające rząd musiały koniecznie zbłądzić, nie są za ten błąd odpowiedzialne? Naród, który np. porzucił wszelkie religijne zasady, wskutek wewnętrznego rozprzężenia na wielkie wystawił się klęski: prawo, że naród żaden bez religii utrzymać się i rozwijać nie może, pomściło się na nim strasznie, ale naród ten działał z własnej swej woli, czyż przestał być odpowiedzialnym? Historia działalności ludzkiej, na wolnej woli ostatecznie pomimo wszelkich wpływów i warunków opartej, nie przestanie być sądem, przed który odpowiedzialność jednostek, państw i narodów zawsze się wytoczy. Odpowiedzialność tę łągodzą niewątpliwie warunki, wśród których działalność ludzka się rozwija, wpływy, którym ona ulega, ale nie jej nie zdoła uchylić. Z bardzo poważnych ust, a mianowicie profesora Szujskiego, usłyszałem jednak zarzut, że w książce mojej zanadto silnie uwydatniłem tę odpowiedzialność dziejową, za mały na warunki i wpływy położyłem nacisk. Zgadza się ze mną prof. Szujski — a sądę, iż zgadza się każdy politycznie myślący człowiek — że Polska dla braku rządu utraciła byt polityczny, zgadza się także na podane przezemnie w końcowych uwagach przyczyny,

które zbudowanie silnego rządu nam utrudniły. Jedną z nich jest nasza młodość, bo o pięć wieków później od Zachodu wstąpiliśmy na widownię jego cywilizacji; drugą — rozległość wyłącznie rolniczego obszaru w stosunku do liczby ludności, a nadto rzucenie najlepszych sił naszych na Wschód, na Ruś i na Litwę, wskutek czego siły pozostałe w kraju, wycieńczone i osłabłe, do wzniesienia nowożytnego rządu nie mogły się spotęgować. Zgadza-
 jąc się na to wszystko, pyta jednak p. Szujski, dlaczego w ramach tych zasadniczych uwag nie przedstawiam całych naszych nowożytnych dziejów, i wnioskuje słusznie, że uwydatniając te zasady przy każdym pojedynczym historycznym fakcie, możnaby smutnemu obrazowi naszego upadku odjąć jego przerażającą ja-skrawość. Zarzut to obmyślany bardzo głęboko, a jednak po najsumienniejszem zastanowieniu się nie było mi podobna ani trafności jego uznać, ani do niego w opracowaniu drugiego wydania się zastosować.

Zważmy przedewszystkiem, że historia polska nie jest histo-
 rją starożytnego Egiptu. Dawni Egipcjanie zniknęli; rola, jaką ode-
 grali w dziejach, stoi przed oczyma historyka skończoną, zam-
 kniętą, wiemy, do czego doprowadzili w chwili swego najwyższego
 rozwoju. W historii Egiptu możemy więc charakter i działalność
 narodu zestawić z warunkami klimatu, ziemi i t. p., możemy ją
 temi warunkami usiłować spokojnie tłumaczyć, może historyk zdo-
 być się na odwagę i powiedzieć: wśród takich warunków taki
 mógł tylko istnieć i rozwijać się naród, to mógł stworzyć, wten-
 czas i dlatego musiał upaść i bezpowrotnie zginąć. Godziż się
 jednak tę metodę tak bezwarunkowo stosować do narodu, który
 jeszcze istnieje, który zadania swego nie spełnił, o którym nikt nie
 śmie przewidzieć, jak się jeszcze rozwinie, jakie osiągnie zadania
 i cele? Wszakże ten naród i w ciągu średnich wieków w tych sa-
 mych, pod wieloma względami twardszych znajdował się warun-
 kach, a pomimo tego tak świetnie się rozwijał, tak odważnie Za-
 chód w pracy jego i oświacie sięgał. Jeżeli mógł wówczas, dlicze-
 góż nie miał moc później? Czy Zygmuntowie nie znajdowali się
 w stokroć lepszych stosunkowo warunkach od Mieczysławów, Bo-
 lesławów, Kazimierzów? A jednak wielcy Piastowie zdziałali cuda,

Zygmuntowie błędną i niedołęzną polityką zmarnowali najlepsze siły i zasoby narodu. Przecież zadanie zbudowania nowożytnego rządu w XVI wieku nie może iść nawet w porównanie z tak olbrzymim przedsięwzięciem, jakim było niegdyś stworzenie polskiego narodu i państwa. Wyliczone przezemnie przyczyny słabości naszych sił tłumaczą nam też — takie jest moje przekonanie — jedynie tę okoliczność, że naród nasz w XVI wieku mimo słabych królów, wbrew nim nie dokonał koniecznej politycznej reformy, ale nie tłumaczą wcale panujących, którzy sami jedni mogli ją przeprowadzić a nie przeprowadzili, nie tłumaczą, nie uwalniają od odpowiedzialności żadnej z tych historycznych postaci, które dla prywaty swej, z samowiedzą przykładały rękę do wewnętrznego rozstroju.

Przeprowadźmy tylko konsekwentnie zasadę, na którą taki nacisk kładzie p. Szujski, że młodość nasza i warunki geograficzne usprawiedliwiają nas i tłumaczą, a do czego dojdziemy? Do największego zwątpienia, — bo skoro niema żadnych widoków, ażeby warunki te się zmieniły, ażebyśmy się znaleźli w szczęśliwym położeniu Anglii, Włoch, Francji lub Rosji, to tem samem skazani jesteśmy na nieodwołalny upadek, wszelka zniknęła nadzieja. Kiedyś niewątpliwie historia zdejmie z nas znaczną część odpowiedzialności, bo wpływy i warunki nasze zewnętrzne lepiej zdoła zrozumieć i na podstawie szerszego doświadczenia zbadać. Dziś, kiedy nikt istotnej ich doniosłości nie zdoła ocenić, możemy je przytaczać jako okoliczności łagodzące naszą odpowiedzialność, ale ze względów nauki i korzyści społecznej na tę odpowiedzialność musimy największy kłaść nacisk. Błąd możemy naprawić, ale upośledzenia umysłowego lub fizycznego, do którego byśmy się raz przyznali, nigdy.

Niema też mylniejszego zarzutu z pośród wielu, jakimi obarczono mą pracę, nad ten, że ona pesymizmem grzeszy. Zarzut taki mógł podnieść, kto jej w całości nie czytał. Wszakże w literaturze naszej dzisiejszej spotkać się można na każdym kroku ze zdaniem, że państwo polskie zaczęło się psuć i rozstrajać zaraz po śmierci Krzywoustego, że szlachta polska jako żywioł burzący występuje już za czasów Łokietka, a od tej chwili wszystko po-

woli ale nieustannie chyli się do upadku. Przeciw takiemu pojęciu naszych dziejów wystąpiłem stanowczo i przedstawiłem — nie wchodzę tu, o ile zgodnie z prawdą — że państwo i społeczeństwo polskie przechodzi w ciągu średnich wieków przez wiele przesilen, ale przebywa je zawsze zwycięsko; pierwszy wśród historyków nakreśliłem obraz konsekwentnego, nieustannego rozwoju naszego aż do początków XVI wieku. O wieku XVI, dla braku ogłoszonych źródeł, wiedziano u nas do niedawna bardzo mało, tem więcej popłacały czeze frazesy o świetności Zygmunto-wskich czarów; kto sięgał głębiej, ten mówił tylko o zupełnym wewnętrznym rozstroju, zapatrywał się na szlachtę ówczesną w świetle znanego faktu wojny kokoszej, a reformację jako zawichrzenie religijne na polu kościelnem traktował. W miejsce takich wyobrażeń podałem cały szereg planów reformy politycznej, wychodzącej ze szlachty, przedstawiłem społeczeństwo szlacheckie jako warstwę myślącą, pracującą, walczącą w sprawie podźwignięcia państwa z grożącego mu upadku, przedstawiłem wiek XVI w świetle chyba tylko zannadto optymistycznym, za co mnie pp. Szujski i Kalinka strofują. Zarzut pesymizmu można zatem zrobić tylko mojemu skreśleniu dwóch ostatnich wieków, — wieków niewątpliwego, uznanego przez wszystkich upadku. Przedstawiłem je, nie przeczę, jaskrawo. Dziwne to jednak żądanie, ażeby upadek wyjaśnić przez to, że się go upozoruje i usprawiedliwi. Zdaje mi się, że cokolwiekbyśmy przytoczyli na usprawiedliwienie pokoleń, które wtrąciły nas w przepaść, których ciężkie brzemie grzechów dziś jeszcze dźwigamy, to obrachunek z nimi inaczej wypaść, jak na ich niekorzyść, nie może. Prawda historyczna nie pozwala na to, żeby to, co jest w istocie czarnem, w opowiadaniu stało się białem. Czy jednak w wypowiedzeniu tej prawdy leży pesymizm? Mojem przekonaniem ten właśnie, kto smutną prawdę stara się zasłonić, pesymizmem grzeszy. Liche ma o narodzie, o jego żywotności wyobrazenie, kto mniema, że ten naród gorzkiej prawdy nie zniesie. Jeżeli więc w kreśleniu wstrząsających obrazów upadku nawet przesadził, to tylko optymizmu mojego wina. Sądziłem i sądzę, że społeczeństwo nasze już się z najgorszych swoich wad dźwignęło, że otwartem, jawnem wypowiedzeniem ich ostatecznie je od siebie odpycha

i zrzuca. Posądzają też książkę moją o pesymizm ci, którzy właściwie panegiryku w historii żądają. To już rzecz dobrego smaku i gustu. Odezwałem się np. kilkakrotnie o Szajnosze z wielkiem a zasłużonem uznaniem, wypowiedziałem jednak i zdanie krytyczne, przy którym najmocniej obstaję, zaliczyłem go do szkoły Lelewelowskiej, bo zasadnicze poglądy i całe wyobrażenie o stosunkach naszych wewnętrznych, nawet metodę w badaniu krytycznym źródeł Szajnocha w znacznej części wziął z Lelewela; za to jednak spadły na mnie gromy ze strony p. Kalickiego, dla którego cały świat na Szajnosze się zaczyna i kończy. Nie znalazł też p. Kalicki innego na poparcie swego zdania argumentu, jak ten, że mnie za krytykę Szajnochy nihilistą (sic) ogłosił. Czy się tu śmiać, czy płakać? W ocenie Lelewela jeśli zgrzeszyłem, to chyba panegiryzmem, przedstawiłem go przecież jako tytana, dźwigającego ruch nasz dziejopisarski przez całe pół wieku, ale znalazł się ktoś, który windykował prawo nieomylności Lelewelowi, a jeśli się nie mylę, poparł to zdanie argumentem, że Lelewel dwadzieścia tomów wydrukował.

Powracając po tem zboczeniu do zarzutów na serjo, podnieść muszę z kolei zarzut ks. W. Kalinki, że fakta historyczne oceniam nie według moralnej wartości ich zamiaru, lecz według ich następstw i skutków. Zarzut to do pewnego stopnia prawdziwy, ale jakież z niego punkt wyjścia? Nad moralnością w historii, nad jej wpływem na losy państw i społeczeństw zastanawiano się już od niepamiętnych czasów, ale nikt jeszcze nie doszedł do żadnych wyników. Trafnie pisze o tem Długosz: »Jeżeli kto zechce przepatrzyć dzieje, ujrzy zwykłą losów ludzkich kolejną mężów najzacniejszych w niedoli i upadku, występnych zaś pochlebniemi szczęścia darami wyniesionych do szczytu pomyślności. Taka dola ludziom wydawaćby się mogła przykrą, gdyby dusze po opuszczeniu ciała nie przenosiły się do wieczystych siedlisk dla odebrania kar za złe czyny a nagrody za dobre«. Można bardzo łatwo potępić każdy czyn niemoralny napotkany w dziejach, ale będzie to tylko frazes, bo prawa moralnego porządku ludzkości są przed oczami naszymi zupełnie niemal zakryte. Kto z moralnego stanowiska będzie oceniał historję, ten zapewni ją szeregiem pięknych wykrzykników, ale

niczego nie wyjaśni, nie wytłumaczy. Zygmunt I miał niewątpliwie wysokie poczucie moralne, społeczeńsi mu monarchowie europejscy zupełnym brakiem moralności grzeszyli, do czegoż oni a do czego Zygmunt doprowadził? Takich przykładów daje historia tysiące. Zanim też z wpływu moralności na tok historycznych wypadków zdamy sobie sprawę, możemy niemoralne czyny piętnować, ale dla wyjaśnienia historii musimy je ze stanowiska politycznego oceniać. Dla historyka najwyższem hasłem nie może być żadna, chociażby najwznioślejsza teoria, lecz dobro narodu, którego losy bada i kreśli. Co się do rozwoju narodu przyczynia, co się dobrem, pożytecznym okazuje w następstwach i skutkach, to historyk musi podnieść i uwydatnić; najświetniejsze, najmoralniejsze, ale nieudane, szkodliwe w skutkach swoje zamiary i czyny, musi jako niepolityczne, źle obmyślane, szkodliwe zaznaczyć. Historia nie jest sądem sumienia społeczeństw i jednostek, ale sądem wypadków i wiążących się ze sobą przyczynowo zdarzeń. Z tego stanowiska traktują ją wszyscy najznakomitsi historycy, z tego stanowiska traktuje ją także w dziełach swoich ks. Kalinka, którego do nich pierwszy zaliczam. W każdym trudnem przejściu, w którym się Stanisław August znajduje, stawia ks. Kalinka najpierw pytanie: jak powinien był postąpić, słuchając jedynie głosu sumienia i głosu honoru? Odpowiadając na nie, kończy szan. autor najczęściej wykrzyknikiem: »byłby upadł z honorem«. Ale po takiej nawiasowej niemal uwadze, która na tok jego dalszego opowiadania nie ma żadnego wpływu, przystępuje znakomity badacz do rozbioru drugiego pytania: jak powinien był postąpić politycznie, słuchając głosu rozważki, mając na względzie następstwa swego kroku dla dobra narodu, — i na rozwiązaniu tego pytania cały swój sąd historyczny opiera. Wszakże, sądząc z moralnego stanowiska, Stanisław August powinien wypaść najgorzej, stronnictwo patriotyczne sejmu czteroletniego najlepiej, a jednak w dziełach ks. Kalinki rzecz się ma przeciwnie. Uczyniony mi przez ks. Kalinkę zarzut odnosi się też głównie do mojego przedstawienia reformacji i następującej po niej katolickiej reakcji. Miałem zbłądzić w tem, żem jedną i drugą nie ze stanowiska moralnego, religijnego, lecz ze stanowiska politycznego oceniał, żem się głównie o to pytał, o ile jeden i drugi z tych

wielkich prądów dziejowych mógł nam dopomóc do rozwiązania kwestji naszego bytu, t. j. do zbudowania władzy rządowej. Stanowisko to byłoby niewłaściwem w wykładzie religji katolickiej czy protestanckiej, gdzie o wartość wewnętrzną zasad teologicznych idzie, byłoby niewłaściwem w historii kościoła, w której dobro i rozwój kościoła najwyższym jest celem, ale jest jedynie możebnem w historii narodu, w której dobro tego narodu, potrzeba jego ówczesna najwyższą jest dla oceny jakiegokolwiek faktu i musi być miarą. Ocenienie polityczne nie wyklucza sądu zasadniczego, ani mu nie przeszkadza.

Zarzut ks. Kalinki słyszałem zresztą powtórzony niejednokrotnie gdzieindziej, lubo w ogólniejszem pojęciu. Podawszy bardzo piękne określenie historii, p. Plebański, niewątpliwie jeden z najzdolniejszych chociaż nie najpłodniejszych naszych historycznych pisarzy, zarzuca mojej książce, że jest historją polityczną¹. Znaczenia tego zarzutu, wyznam otwarcie, mimo uważnego zastanawiania się nad nim, nie mogę odgadnąć? Czyż historia ma być »niepolityczną«? Ktoby tego żądał, a u nas znajdują się może i tacy, ten niech zwróci na to uwagę, że mamy już tyle religijnych, filozoficznych, poetycznych a niepolitycznych obrazów naszej przeszłości, — i odpowie, czy one przez to są lepsze, czy je za dobre i wystarczające uznano? Że też praca moja na polityczną stronę historii kładzie przeważny nacisk, w tem przecież nie może grzeszyć. A zresztą choćby jednostronnością w tym kierunku grzeszyła, to i tak byłaby tylko naturalnem, a może i korzystnem uzupełnieniem historyj polskich, napisanych przez księży, filozofów, poetów.

Możem ja jednak stosunki polityczne polskie ze stanowiska polityki dzisiejszej oceniał, i przez to pracę moją do rządu »historji politycznej« zniżyć? Zapewne byłyby to błąd niemały, gdyby ktoś, przyswoiwszy sobie teorię dzisiejszego państwa, w świetle tej teorii stosunki i urzędzenia naszej przeszłości oceniał i robił dawnym pokoleniom zarzuty, że nie dokonały tego, na co się ludzkość dzisiaj dopiero zdobyła. Tego błędu jednak nie mogłem się w książce

¹ Artykuł w dziele zbiorowem: »Pięćdziesięcioletnia działalność J. I. Kraśzewskiego«. Warszawa 1880.

mojej w porównaniu z innemi dopatrzeć. Nie mylę się twierdząc, że ogół historyków naszych, z rzadkimi nader wyjątkami, oceniał przeszłość naszą polityczną zapomocą pojęć dzisiejszych. W pojęciach tych było u historyków naszych aż nazbyt wiele niejasności, niedokładności, niekonsekwencji, ale były to pojęcia dzisiejsze. Jeden i ten sam szablon gminowładczy, monarchiczny i t. p. przykładano do całej historii, żądano zwykle tego samego od XIV co od XVII wieku. Otóż książka moja — może błędnie i niezgodnie z prawdą, to inna kwestja, — ale jasno i stanowczej od wszystkich innych zaczęła się liczyć w historii polskiej z wymogami czasu, wprowadziła podział historii, oparty głównie na rozróżnieniu politycznych stosunków, oceniała je w każdym okresie z odrębnego, wyraźnego, właściwego temu okresowi stanowiska. Nie żądałem nigdy od stosunków polskich więcej nad to, na co się zagranica wśród podobnych warunków, dążąc do tego samego celu, na co się państwa zachodnie, z którymi się związaliśmy, już poprzednio zdobyły. Nie jest więc np. anachronizmem domagać się w Polsce od XVI wieku nowożytnego rządu, jeżeli ten rząd istnieje już współcześnie na Zachodzie i jeżeli Polska ówczesna nad stworzeniem go faktycznie pracuje. Więcej się XVI wiekowi ubliża, jeśli się go wbrew prawdzie ze stanowiska średniowiecznego ocenia, niż jeśli się powie, że nad nowożytnym zadaniem, lubo bezskutecznie, pracował. Że zaś historyk z nagromadzonego skarbu nauk politycznych, z doświadczenia wieków następnych w ocenieniu stosunków politycznych dawniejszych korzysta, byłoby źle, gdyby tego nie czynił. Wszakże uzbrojony w to doświadczenie lepiej będzie np. *liberum veto* oceniał, niż gdyby żył w XVIII stuleciu. Wracamy do zasady: sądzić nie podług zamiarów, nie podług doktryn, ale podług następstw i skutków.

Może wreszcie zarzut historii politycznej, uczyniony mojej książce, pochodzi stąd, że ona jakimś dzisiejszym, stronniczym, politycznym celom ma służyć? Na to zapytam się: jakim? Na posądzeniach nie zbywa, ale żaden z pp. krytyków owej tendencji mojej politycznej nie sformułował. Ja sam do żadnej się nie poczuwam. Inne pytanie, czy historia moja niczego, żadnej prawdy politycznej nie dowodzi? Dowodzi ich, może i nie jednej, ale byłoby

to największą ujmą przeszłości naszej, żeby ona niczego nie dowodziła, w niczem doświadczenia naszego politycznego nie zbogaciła, żeby polityka przeszłości nie miała i nie mogła być dla polityki dzisiejszej przestrożą i wskazówką. W takim razie możnaby śmiało o niej rzec, że jest »niepolityczną«. Taką, dzięki Bogu, nie jest. Jeżeli też czytelnik mojej książki, rozważywszy podany w niej rozwój nasz dziejowy, jedno i drugie spostrzeżenie polityczne z niej wyniesie, jeśli się z niej dla polityki dzisiejszej czegoś nauczy, to za to przecież obwiniać nie będzie autora. Możem ja jednak te nauki praktyczne, wynikające z mojego przedstawienia naszej przeszłości, sam formułował i naprzód wysuwał? Odpowiadając na to przypuszczenie, przytoczę słowa następne moich »uwag« końcowych: »Umysł polski obejmował więc niegdyś szersze poglądy, pierwsza polska karmiła wznioślejsze dążenia od tych, w które nas zakula ciemnota i krótkowidzenie w epoce upadku, a które wyidealizowała chorobliwa polityka i błędna historjografia ostatnich czasów. Dziełko niniejsze, pragnąc przedewszystkiem zwrócić uwagę na mało dotychczas znane czasy naszego dziejowego rozkwitu, spełni już wielkie zadanie, jeśli się przyczyni do utorowania drogi przekonaniu, że pozostając Polakiem, nie potrzeba w myśli swojej i dążeniach się cofać, można iść równym krokiem z najnowszym rozwojem ludzkości, że szanując przeszłość, nie potrzeba się zasuszać w mumję, ale z doświadczenia dziejów rozsądnie i trzeźwo korzystać«.

Ustęp ten, a jest on wiernem streszczeniem zajętego w tym względzie w całej książce stanowiska, nietylko na rzecz żadnego z dzisiejszych naszych politycznych kierunków wyłącznie nie przemawia, ale odpiera, zdaje mi się niedwuznacznie, nakręcanie historii naszej na usługi jednego jakiegokolwiek stronnictwa. Pisząc to, zdawałem sobie też dobrze sprawę, że historia zebranymi w niej skarbami doświadczenia polityka praktycznego niezmiernie poucza i kształci, ale do rozwiązania żadnej praktycznej kwestji, w której nowe czynniki wielką odgrywają rolę, nigdy wystarczyć nie może. Stronnictwo, któreby udowodnienia całej swej teorii szukało w historii, okazywałoby przez to, że tylko z tem, co było, ale nie z tem, co jest, pragnie się liczyć, albo też w miejsce historii stawiałoby

mniej lub więcej zręczny utwór własnej swej potrzeby i wyobraźni. Pamiętając o tem, starałem się też otworzyć karty naszych dziejów dla każdego, kto z nich dla stosunków dzisiejszych pragnie wyciągnąć pożytek, ale wystąpiłem właśnie w imię historii i polityki zarazem przeciw złej woli lub nieuctwu, które zamykając się przed znajomością prawdziwej politycznej historii, stawia w jej miejsce oklepane, błędne, a ostatecznie ubliżające naszej przeszłości frazesy, i w ich obronie z zapalem godnym lepszej sprawy walczy.

Broniąc w ten sposób zasadniczego stanowiska mej pracy, odłączam od obrony inne pytanie, czym to stanowisko umiał konsekwentnie przeprowadzić i zużytkować. Nie taję na chwilę ani przed sobą, ani też przed czytelnikiem, jak daleko w wykonaniu poza zamierzonym pozostałym celem. Wydając też pracę moją po raz wtóry, musiałem dołożyć starań nie ku temu celowi, ażeby uczynić ją doskonałą, ale ażeby ją ulepszyć, o ile na to pozwolił czas oraz inne zajęcia i prace.

Nie potrzebowałem przedewszystkiem zaparcia się miłości własnej, ażeby sprostować usterki, wykazane mi w przedstawieniu pojedynczych faktów, ażeby ściślej pod względem stylistycznym sformułować te wyrażenia, które, o ile wiem, do przekręcania mojej myśli dawały najczęściej powód. Skorzystałem niemało z uwag, mianowicie p. Szujskiego i ks. Kalinki, odnoszących się do pojedynczych ustępów, i ponownemu poddałem je obrobieniu. Nie zawsze z uwagami temi było mi podobna się zgodzić, na niektóre odpowiedziałem już w osobnej rozprawie¹, na inne znajdę może czas i sposobność odpowiedzieć w źródłowych pracach i zdanie me udowodnić. Na polemikę szczegółową i cytowanie źródeł niema w podręczniku miejsca, starałem się jednak wszystkie odmienne zdania, które w krytykach znalazłem, zanotować w przypiskach, ażeby czytelnik mógł się dowiedzieć, które z moich poglądów

¹ *O podziale historii polskiej na okresy*. Warszawa 1880. Odbitka z »Niwy«.

i obrazów najwięcej w gronie historyków napotkały oporu i wątpliwości. Przytaczam oczywiście tylko zdania historyków z zawodu. Nie mogłem też, mimo usilnej z wielu stron zachęty, uwzględnić w przypisach odmiennych zapatrywań literatury naszej historycznej, ukazanie się pierwszego wydania mojej pracy poprzedzającej, bo przytaczając wszystkie różnice wyrabiającego się dzisiaj historycznego poglądu i konstrukcji wobec zdań dawniejszych, liczbę przypisów w nieskończoność wypadłoby pomnożyć. Rozszerzyłem jedynie ustępy, które pod tytułem Literatury przed każdym rozdziałem umieszczam.

Uwzględniłem zato zarzut, że książka moja nie podała faktów, lecz same rozumowania. Zarzutu tego nie mogłem wprawdzie wziąć dosłownie, o jakich bowiem faktach jest mowa? Istnieją fakta nadające się do malowniczych opisów: koronacje, intrygi dworskie, bitwy, rokowania dyplomatyczne. Istnieją jednak obok tego inne, nie rozumowania, lecz również fakta: stosunki narodu wewnętrzne, urządzenia jego polityczne, sądowe, administracyjne, skarbowe, ugrupowanie stronnictw, ich zapasy i walki. Mając zaś dzieje narodu zamknąć w krótkim zarysie, zapytam się, na które fakta należało główną zwrócić uwagę? Przyzna każdy, na drugie, a tem samem uniewinni mnie zapewne, że na kilkunastu arkuszach druku nie mógł zamieścić więcej faktów w sprawiedliwej ich równowadze. Historia licząca się z tą konieczną równowagą faktów, a zapuszczająca się w szczegółowy ich opis, musiałaby być co najmniej cztery razy większą. Pragnąc też książce mojej jej pierwotny charakter podręcznika i zarysu dziejów zachować, nie mogłem jej w tym kierunku, przez krytykę wskazanym, zasadniczo przerabiać, ale dołożyłem starania, ażeby ważniejsze wydarzenia, rzeczywiście zbyt pobieżnie wspomniane, dokładniej określić.

O wiele więcej wzrosło jednak niniejsze wydanie przez wciągnięcie do niego mnóstwa spostrzeżeń i uwag, które, występując z próbą ogólnego poglądu i wyteżywszy całą uwagę na uchwycenie nici przewodniej naszych dziejów, pomiąłem pierwotnie. Uwzględniam przede wszystkim dwa czynniki, które niegdyś w historii naszej nader ważną odgrywały rolę, a o których w pierwszym wydaniu zaledwie wspomniałem. Jednym z nich jest geogra-

fja historyczna, wpływ warunków geograficznych na nasz rozwój dziejowy. Umieszczając ogólny przegląd geograficzny w osobnych rozdziałach jako objaśnienie do dołączonych map, staram się każdy czynnik geograficzny przedstawić w tym ustępie dziejów, w którym odegrał rolę i najsilniej się uwydatnił. Drugim bardzo ważnym czynnikiem w naszym rozwoju historycznym jest stopniowe rozszerzanie naszej cywilizacji na rozległe przestrzenie Wschodu, Litwy i Rusi. Zajęty niemal wyłącznie rozwojem naszym wewnętrznym, o losach naszych ostatecznie rozstrzygającym, ważną naszą zasługę dziejową, na rozszerzeniu cywilizacji polegającą, podałem pierwotnie tylko w najogólniejszych zarysach. Teraz musiałem je koniecznie, o ile mogłem i umiałem, wypełnić.

Pragnąc zaś czytelnikowi porównanie pierwszego wydania z drugim ułatwić, umieszczam na końcu książki wykaz wszystkich ważniejszych, świeżo wtrąconych ustępów.

Radbym niezmiernie w drugim wydaniu przekroczyć również chronologiczne granice, które książce mojej musiałem w pierwszym położyć. Smutne dzieje ośmnastego wieku, na których się opowiadanie moje kończyło, których pomimo wszelkich zarzutów w niczem nie chcę i wbrew przekonaniu nie mógłbym upiększać, nie byłyby dla czytelnika ostatniem wrażeniem. Mam też głębokie przekonanie, że historia upadku, w książce mojej podana, przestałaby, jak dotąd, razić, gdybym zdołał skreślić historję późniejszego odrodzenia i oczywiście zaznaczyć te wszystkie wyniki, które przez epokę anarchji zdrowo przetrwały i na których usiłowania późniejsze mogły się oprzeć i rozwinać.

W Krakowie d. 20 lutego 1880 r.

IV.

PRZEDMOWA DO TRZECIEGO WYDANIA „DZIEJÓW POLSKI W ZARYSIE“.

»Najlepszą odpowiedzią na cały szereg krytyk, najlepszą zarazem obroną książki mojej, będzie jej drugie wydanie«. Od tych słów zaczynałem przedmowę do drugiego wydania, a przystępując obecnie do trzeciego, mogę jedynie stwierdzić, że się oczekiwanie moje, wypowiedziane przed sześciu laty, w wielu przynajmniej punktach zupełnie spełniło.

Poddawano pracy mojej tendencję polityczną, łączono ją gwałtem z różnemi usiłowaniami, które panowały na widowni politycznej w chwili pierwszego jej wydania, przypisywano ją koniecznie pewnemu stronnictwu, nie wahano się nazwać jej polityczną broszurą, a nawet dosadniej pamfletem. Ile w tem było prawdy, okazał najlepiej czas, który dla najznakomitszych płodów literatury politycznej tak jest niemiłosiernym i tak prędko je podaje w niepamięć. Książka moja, mimo zmienionych prądów i stosunków politycznych, utrzymała się na widowni jako naukowa, historyczna praca i jako taką wydają ją dzisiaj. Zmian i poprawek znajdzie czytelnik w niej wiele, ale żadnej pośród nich takiej, któraby politycznemi względami była podyktowaną. W przekonaniu mojem, że brak silnego rządu stał się główną przyczyną naszego upadku, żadna nie zaszła zmiana, bo spostrzeżenie to nie było wynikiem jakiejś predylekcji dla absolutnych rządów, nie było wyrazem podsuwanej mi doktryny o wszechwładzy państwa, lecz wy-

dobyło się samo przez się z rozważenia całych naszych nowożytnych dziejów, wydobywa się z nich coraz silniej, im je lepiej badamy, coraz tragiczniej, im więcej porównujemy je z położeniem obecnem.

Drugi zarzut zabójczy polegał w tem, że moim *Dziejom Polski* odmówiono znaczenia »historji«, mianując je zaledwie historjofiją. Miała ona nie podawać faktów, miała do nauki zupełnie być nieprzydatną. I tu czas mnie skutecznie obronił. Ukazały się dwie nowe podręczne historje Polski, jedna napisana przez samego Szujskiego, druga przez historyka i pedagoga Lewickiego, i cóż powszechnie im zarzucono? Oto, że za wiele podają szczegółowych faktów, że wskutek tego jednym ciągiem nie dadzą się czytać, że wymagają nauczyciela, któryby owe szczegóły umiał łączyć ze sobą i wyjaśniać. Tak więc książkę moją nazwano historjofiją dlatego, że ona dziejów wewnętrznych od zewnętrznych nie rozrywa, pierwszym, jako ważniejszym, więcej poświęca miejsca i związek między faktami rozświecić się stara. Że zaś przeczytać ją można jednym ciągiem bez nauczyciela, że się z niej uczyć mogą nawet tacy, którzy o historji polskiej nie słyszeli, o tem przekonało też doświadczenie, utwierdzając mnie w zdaniu, że układu i sposobu napisania zmieniać nie mam żadnego powodu.

Trzeci zasadniczy zarzut streszczał się w tem, że książka moja od utartego szlaku zbyt odbiega a za nowością goni. Przeciwi temu bronić się nie było przedtem żadnego sposobu, bo nowe zdanie nie jest w dziejopisarstwie bynajmniej grzechem, jeżeli późniejsze badania trafność jego wykażą i udowodnią. Mogłem jedynie przytoczyć, że owe pewniki, które ośmieliłem się podać w wątpliwość lub naruszyć, opierały swoją siłę częściej na ustawicznym powtarzaniu niż na źródłowych dowodach, że zatem śmiałość moja ani była zbyt wielką, ani też niebezpieczną. Dziś od zarzutu nowości bronić się łatwiej. Od pierwszego wydania mojej książki mija lat ośm, w których historycy polscy zaprawdę nie próżnowali. Mnóstwo nieznanych źródeł ujrzało światło dzienne, mnóstwo poważnych i znakomitych prac historycznych ukazało się w druku. W wielu punktach można już ocenić, czy one zdanie moje poparły i uzupełniły, czy też przeciw niemu się oświadczyły.

Sąd ten wyrobi sobie każdy, ktoby zadał sobie trud porównać poprzednie wydania mojej książki z obecnem. Przerobiłem w niem całą naszą literaturę z lat ostatnich i sprostowałem wszystko, co przez tę literaturę lepiej wyjaśnionem, uzupełnionem i sprostowaniem zostało, dodając oczywiście także wyniki moich nowych poszukiwań i studjów. Zdania innych badaczy, o ile za nimi nie idę, uwzględniam w przypisach. Kilka punktów spornych, mających zasadniczą doniosłość, niechaj mi będzie wolno już tutaj wyjaśnić.

Pierwszy z nich dotyczy genezy społeczeństwa a pośrednio także i państwa polskiego. Zdanie moje, wypowiedziane w *Dziejach*, starałem się uzasadnić w osobnej źródłowej rozprawie; napotkałem na przeciwników, głównie w Smolce i Piekosińskim. Polemika naukowa przeprowadzona między nami doprowadziła do zupełnej zgody w wielu punktach, wydobyła najaw mnóstwo nieznanych szczegółów i pozwoliła wiele chwiejnych przedtem domysłów rozprzedać i za pewnik poczytać. Obraz pierwotnych dziejów naszych wyda się dlatego w obecnem wydaniu czytelnikom rzeczą zupełnie niemal nową. Jeżeli zaś w polemice owej pozostały jeszcze pytania sporne, to pamiętać należy, że dyskusja nie jest zamkniętą, a pewna swoboda zdania pozostanie tu zawsze, bo źródła zbyt są lakoniczne i w niektórych punktach tylko hipotezą wypełnione być mogą. Nie miałem przeto przyczyny i potrzeby zmieniać zdania, które w tej kwestji poprzednio wypowiedziałem.

Tem mniej mógłbym to uczynić w drugiej zasadniczej sprawie, w ocenieniu politycznem humanizmu i reformacji. Pogląd mój spotkał się tu zaraz z przeciwnym poglądem Szujskiego, tak, że różnice obu już w drugim wydaniu mogłem być uwydatnić. Od tego czasu wiele szczegółów przybyło, ale kwestja pozostała jak dawniej otwartą. Chociaż też spodziewać się trzeba, że dalsze badania wiele wątpliwości wyświecą, to jednak do zupełnej zgody na tym punkcie długo jeszcze nie przyjdzie, nietylko w historii naszej, ale także w historii powszechnej. Proces historyczny reformacji nie jest dotychczas zamknięty, wszystkie jego ostateczne następstwa jeszcze najaw nie wyszły, do ocenienia go niema zatem pewnej

niezawodnej historycznej podstawy, a jedno zdanie przed drugim nie musi kapitulować.

Inny, wielki punkt sporny, to podział historii polskiej na okresy. Może się zdawać, że na tym punkcie poniosłem zupełną porażkę. Żaden historyk za moim podziałem się nie oświadczył, wszyscy, przyznając mu pewną wartość dla dziejów naszych wewnętrznych, zastrzegają się przeciw temu, ażeby go na ogół historii rozciągać, a podział dotychczasowy na epokę piastowską, jagiellońską i elekcyjną, znajduje z pewnemi zmianami wymownych obrońców. W polemice, która się toczy, mogę jednak na moją korzyść przywieść dwie okoliczności. Żaden z przeciwników moich nie napisał jeszcze książki obejmującej całość dziejów naszych i nie pokazał, czy podział jego da się praktycznie przeprowadzić, czy wszystkie zjawiska historyczne dadzą się w nim zrozumiale pomieścić, a jednak jest to najlepszy, rozstrzygający dowód trafności podziału na okresy. Dopóki go ktoś nie przeprowadzi, nie mam też powodu z podziałem moim ustępować z pola historycznych badań, a to tem mniej, że podział ten faktycznie coraz to więcej uciera się i przyjmuje. Sam Szujski, walcząc z nim teoretycznie, poparł go przecież najsilniej napisaniem rozprawy *Odrodzenie i reformacja*, w której tak silnie uwydatnił przełom, jaki się w dziejach naszych dokonał na schyłku XV i w początkach XVI stulecia; cały zaś szereg nowszych prac nad dziejami naszej cywilizacji w XV i XVI wieku coraz to jaskrawiej oddziela historję polską średniowieczną od nowożytną. Z nomenklaturą tą spotkać się można coraz częściej; historycy podzielili się na specjalistów, jedni historii polskiej średniowiecznej, drudzy nowożytną, w wydawnictwie źródeł podział ten oddawna się przyjął. Silniejsze jeszcze poparcie znajduje podział historii średniowiecznej na pierwotną, do połowy XIII wieku, i średniowieczną w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Całe bowiem dzieło Smolki o Mieszku Starym jest uzasadnieniem tego przełomu, którego już Roepell dostrzegł był swoim bystrem okiem.

Oto w krótkości przyczyny, dla których czytelnik w nowem wydaniu mojej książki w kwestjach zasadniczych nie znajdzie istotniejszej zmiany. W szczegółach będzie ich bardzo wiele, lecz tych nie potrzebuję na tem miejscu tłumaczyć. Z jednym wyjątkiem-

Wypadło obecnie przerobić zupełnie ustępy, w których przed każdym rozdziałem podaję literaturę historyczną. Przed sześciu laty musiałem w nich umieszczać tytuły dzieł i rozpraw dawniejszej szkoły historycznej, które wprawdzie się przestarzały, ale nowszemi pracami nie zostały jeszcze wyparte. Dziś to wyparcie dokonało się już na całej niemal linii, do dzieł i rozpraw dawniejszych wobec świeżych badań rzadko już tylko potrzeba się uciekać, mogłem je więc prawie pominąć, a do dzieł i prac dzisiejszej szkoły historycznej się ograniczyć. Dla łatwiejszego przeglądu podaję też osobno dzieła odnoszące się do całych okresów i mające ogólniejsze znaczenie, osobno zaś dzieła i rozprawy odnoszące się do pojedynczych ustępów dziejowych.

W Krakowie dnia 1 sierpnia 1886.

V.

GENEZA SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku.

Ciekawą niewątpliwie jest rzeczą dowiedzieć się o tych panujących, którzy państwo i naród polski zbudowali, kto oni byli, według jakiego działali planu, jakich chwytały się sposobów i środków i do jakich doprowadzili wyników. Trudno jednak odpowiedzieć na te wszystkie pytania, jeśli się nie wie, z jakim materiałem mieli do czynienia ci pierwsi budowniczości, jaką była ludność, którą do złożenia państwa i narodu użyli, jakie były tej ludności społeczne stosunki w ostatnich chwilach przed i w pierwszych chwilach po powstaniu naszego państwa.

Pomyślmy sobie społeczeństwo nasze pierwotne silnem i rozwiniętem, to od historii jego dalszej żądać będziemy wielkich czynów i szybkiego postępu, a nie znajdując ich, musimy historję tę kreślić w świetle zastoju i upadku. Pomyślmy zaś sobie społeczeństwo to słabem i nierozwiniętem, to w dalszej jego historii zadowolnimy się każdym dodatnim faktem; na powolniejszy rozwój przygotowani, znajdziemy go łatwiej i w jego świetle ocenimy wypadki. Słusznie więc geneza społeczeństwa polskiego stanowi oddawna przedmiot szczegółowych i usilnych badań, jeżeli od jej wyjaśnienia zależy ocenienie i przedstawienie całego naszego historycznego rozwoju.

A jednak badania te nie doprowadziły dotychczas do jasnych i powszechnie uznanych wyników. Wielka rozmaitość metody, wielka

niedostateczność źródeł, a nareszcie odmienna nieraz tendencja, — wszystko to razem wzięte wywołało cały szereg sprzecznych ze sobą hipotez.

Cheąc je wyliczyć, stosunek ich wzajemny ocenić i myśli ich zasadnicze przedstawić, potrzebaby osobne napisać dzieło. Byłoby to nader ciekawe studjum literackie, ale jaki z niego dla zbadania samejże kwestji, t. j. genezy społeczeństwa polskiego, pożytek?

Czy poznawszy wszystkie hipotezy, moglibyśmy za jedną z nich się oświadczyć? Bynajmniej. Przyczynę łatwo odgadnąć. Przeważna część hipotez przedstawia nam się w licznych rozprawach i dziełach tylko w postaci surowych pomysłów, rzuconych na papier bez żadnego źródłowego uzasadnienia. Te usuwają się z pod krytyki najzupełniej. Można w jedną z nich wierzyć, przysięgając *in verba magistri*, ale nie można twierdzić o niej, że jest udowodniona.

Druga wielka grupa hipotez podaje nam źródłowe dowody, ale tylko sposobem przykładu. Wygląda to bardzo pokaźnie, przytoczone ustępy źródeł zdają się twierdzenia autora niezbitcie popierać, ale dla człowieka, który rzeczy bierze ściślej, tego rodzaju dowody są tylko wskazówką, w jaki sposób autor doszedł do swojej hipotezy, nie zaś źródłowym tej hipotezy udowodnieniem.

Posiadamy wreszcie dwie hipotezy, Roepella¹ i Smolki², które od wszystkich innych wyróżniają się usiłowaniem wyczerpnienia całego materiału źródłowego i źródłowym każdego szczegółu poparciem. O pierwszej jednak zauważyć tu trzeba, że postawiona przed czterdziestu laty nie mogła uwzględnić wielkiej liczby źródeł, ogłoszonych ostatnimi czasy, — o obu zaś powiedzieć muszę, że nie wystarczają. Tak Roepell jak Smolka pisali o społeczeństwie polkiem tylko w ogólnej historii narodu, nie zwracając więc na kwestję tę wyłącznej uwagi, pominęli wiele wzmianek źródłowych, nie zastosowali wszystkich sposobów badania i tem samym głównych jeszcze nie rozwiązyali trudności.

Z prac poprzedników możemy też korzystać tylko w podwójnym kierunku.

¹ *Geschichte Polens*. Gotha 1840.

² *Mieszko Stary i jego wiek*. Kraków 1880.

Znajdujemy w nich najpierw poruszony cały szereg pytań, które czekają odpowiedzi. Wyliczymy tu najglówniejsze:

1) Czy społeczeństwo polskie z jednolitego, czy też z różnorodnych złożyło się żywiołów?

Jedna, i to nader rozpowszechniona, hipoteza opiera się na przypuszczeniu, że społeczeństwo polskie składa się z ludności najezdniczej i z ludności podbitej: pierwsza dała początek szlachcie, druga ludowi wiejskiemu. Inna hipoteza twierdzi, że społeczeństwo polskie jest pod względem plemiennym całkiem jednolitem, a różnice stanów są skutkiem historycznego rozwoju. W każdym razie uwzględnić tu należy jeńców wojennych i luźnych przybyszów i zbadać, jaką odegrali rolę.

2) Czy podział na stany istnieje już przed powstaniem monarchji polskiej, czy też dopiero wskutek tej monarchji powoli się wytwarza?

3) Czy podział na stany opiera się na prawach i obowiązkach osobistych ludności, czy też na prawach jej i obowiązkach rzeczowych, — czy na jednych i na drugich?

Jedna, nader rozpowszechniona, hipoteza za podstawę różnicy stanów podaje rozmaity stosunek ludności do ziemi, odmienne stanowisko: wielkich właścicieli ziemskich, drobnych właścicieli gruntowych, wieczystych dzierżawców, najemników i sług osobistych. Inna hipoteza za podstawę różnicy stanów przyjmuje odmienną zatrudnienia: służbę wojskową i państwową, pracę rolną i pracę przemysłową. Wiele wreszcie hipotez twierdzi, że dopiero odmienną posiadania i odmienną zatrudnienia razem wzięte złożyły się na różnice stanów.

4) Czy własność ziemską indywidualną istnieje już przed powstaniem monarchji polskiej, czy też monarchja ta opiera się na wspólnej własności ziemskiej, skupionej w ręku panującego, a wszelka własność indywidualna tylko w nadaniach monarszych ma swoje źródło.

5) Czy wszystkie warstwy społeczne stoją w bezpośrednim stosunku do monarchji, czy też pewne warstwy podlegają drugim w stosunku mniej lub więcej rozwiniętego poddaństwa?

Mając przez poprzedników zwróconą uwagę na te zasadnicze pytania, mając na każde pytanie gotowych po kilka sprzecznych oopowiedzi, znajdujemy nadto w pracach ich (mianowicie Roepella, Smolki i Wojciechowskiego) cały szereg ustępów źródłowych, wraz z sposobem ich tłumaczenia, oraz cały szereg argumentów logicznych, które za różnemi przemawiają hipotezami, chociaż żadnej z nich — w mojem przynajmniej przekonaniu — stanowczo nie zdołają dowieść i uzasadnić.

Jeżeli też praca nasza nad genezą społeczeństwa polskiego do pewniejszych ma doprowadzić wyników, to korzystając z danych wskazówek, nie spuszczać z oka postawionych już pytań, musi się ona zwrócić samoistnie do źródeł i:

a) wyczerpnąć je w większym, niż się to działo dotychczas, stopniu,

b) obmyśleć sobie lepszą metodę badania, z natury źródeł tych wynikającą.

Nie w przykładach, branych dowolnie ze źródeł, i nie w argumentach logicznych, ale w zestawieniu i wyjaśnieniu wszystkich źródeł leży niewątpliwie rozstrzygnięcie kwestji.

Źródła to powszechnie znane:

1) Źródła historyczne sąsiednich, pokrewnych nam ludów lechickich, dawniejsze od naszych, pozwalające drogą analogji wyjaśnić stosunki polskie pierwotne.

2) Kronika Galla z początku XII wieku i najbliższe jej zapiski, przechowane w dyplomatach naszych z XII wieku.

3) Liczne dyplomata oraz inne źródła XIII wieku, między nimi *Liber claustris de Heinrichow.*

4) Statuty Kazimierza Wielkiego oraz inne źródła XIV i XV stulecia.

Ze wszystkich tych źródeł korzystano dotychczas i łącząc je razem, szukano w nich odpowiedzi na każdą pojedynczą kwestję. Metoda ta byłaby jednak dobrą, gdyby te wszystkie źródła dla kwestji obracającej się w X i XI wieku równą posiadały wagę, gdyby o społeczeństwie polkiem już w X wieku rozpoczynały się wiadomości obfite, nieprzerwane i pewne. Tak atoli bynajmniej nie

jest. Źródła owe przedzielone są od siebie i znacznymi odstępami czasu, odmienną tylko drogą dają się dla kwestji naszej zużytkować i różną dla niej posiadają wagę. Łączenie ich i stawianie na jednym poziomie było też główną przyczyną błędnych mniemań i wniosków.

O czem n. p. całkiem wyraźnie nie rozpisał się Gallus, to brano śmiało z *Liber de Heinrichow* lub nawet ze statutów Kazimierzowskich, a jednak dokładniejsze zbadanie Galla byłoby wykazało, że jest tam i o danym stosunku mowa, mniej wyraźnie może, ale w każdym razie w sposób wykluczający *Liber* i Statuty, bo żaden stosunek w ciągu wieków nie pozostał bez zmiany. W ten sposób źródła społeczne, skąpe ale pierwszorzędnej wagi, poświęcano dla źródeł drugorzędnych, ale o wiele mowniejszych.

Korzystano do obrazu stosunków naszych pierwotnych wiele i z predylekcją ze źródeł ludów pokrewnych lechickich, mianowicie czeskich, nim jeszcze własne zbadano; metoda nie dająca się niczem usprawiedliwić, bo analogja częstokroć jest złudną, a największe prawdopodobieństwo, wyprowadzone drogą analogji, wobec najskąpszej ale bezpośredniej wzmianki źródłowej żadnego nie posiada znaczenia.

Korzystano z rozkoszą ze statutów Kazimierzowskich, — czy słusznie? Może w nich znajdują się szczegóły datujące jeszcze z XI wieku, ale czy jest najmniejsza podstawa, jak je z pośród innych, późniejszych odnaleźć? Wszak czasy Kazimierza przedzielone są od stosunków naszych pierwotnych olbrzymim przewrotem społecznym z XIII wieku, kolonizacją niemiecką i uprzywilejowaniem stanów. Ostrożny badacz najlepiej też robi, jeśli statuty Kazimierzowskie i źródła XIV wieku przy rozbiórce stosunków pierwotnych zupełnie pominie. Wszak w tych źródłach niema niemal nic takiego, o czemby się już z obfitych źródeł XIII wieku nie można dowiedzieć.

Korzystano i ze źródeł XIII wieku, i tym razem słusznie, bo organizacja nasza społeczna pierwotna zmieniła się stanowczo dopiero w ciągu XIII wieku i w chwili przełomu wyraźnie się jeszcze nieraz uwydatniła. Można więc, z pewną ostrożnością, ze stosunków XIII wieku na stosunki wcześniejsze wstecznie wnioskować. Przeniesiono jednak u nas wartość tego wnioskowania, zapominano, że

znaczenie jego może być tylko pomocnicze, posiłkujące, że wszelkie wsteczne wnioski przed wiadomościami źródeł XI i XII wieku muszą bezwarunkowo ustąpić, i na te ostatnie źródła nie zwrócono należytej uwagi.

Wykazując w ten sposób usterki poprzedników, znajdujemy właściwą drogę, która nas ma doprowadzić do celu. Pomijając narazie i źródła obce i źródła późniejsze, ograniczam się do jednej tylko, najważniejszej grupy materiału źródłowego, t. j. do kroniki Galla i dyplomatów XII wieku.

Że ten materiał, że nawet sama kronika Galla do skreślenia zupełnego obrazu pierwotnego naszego społeczeństwa wystarcza, tego dowodem będzie niniejsza praca. Może się ona komu wyda zbyt subtelną, zbyt drobiazgową. Nie przeczę też, że wołałbym i ją znaleźć w Gallu wiele rzeczy dokładniej wyświeconych i wprost określonych, ale na to zgodzić się powinien każdy, że więcej ma wagi szczegół, wyprowadzony z tej kroniki nawet drogą mozolnej interpretacji, niż wszystkie wnioski i domysły na późniejszych lub na obcych oparte stosunkach.

Jeżeli zaś Niemcy w rozbiorze *Germanii* Tacyty nad każdym jej słowem napisali tomy, to słuszna rzecz, aby nasza *Polonia* przez polskiego napisana Tacyty, t. j. kronika Galla, doczekała się choć jednej osobnej rozprawy.

Zanim atoli przystąpię do rzeczy, muszę jeszcze wspomnieć słów kilka o naturze tej kroniki i dyplomatów XII wieku i o ich wzajemnym do siebie stosunku.

Opowiadanie Galla obejmuje wypadki od Piasta aż do połowy panowania Bolesława Krzywoustego, a jednak wszystkie wzmianki o ustroju społecznym, które w nim znajdziemy, odniesiemy do końca XI i początków XII wieku, rzecz bowiem jasna, że Gallus, jak wszyscy kronikarze średniowieczni, z powolnych przeobrażeń społeczeństwa nie zdawał sobie zupełnie sprawy i wypadki dawniejsze w świetle znanych sobie urządzeń społecznych opowiadał i kreślił. Znajdziemy w nim obszerny opis rządów Bolesława Chrobrego, a jednak z całą ścisłością możemy twierdzić, że wszystkie jego szczegóły zapożyczone są z czasów Krzywoustego, tylko podniesione

do wyższego tonu. Mogło bowiem do czasów Galla dojść wspomnienie i zapiski znakomitych czynów Bolesława Chrobrego, mogła się dochować pamięć jego świetnych i sprawiedliwych rządów ale zatarła się pamięć powolnych a ważnych zmian w organizacji społecznej. Chciał też Gallus przedstawić rządy Chrobrego nie dlatego, że o nich pewnych szczegółów się dowiedział, tylko dlatego, ażeby tradycję o wielkości i sprawiedliwości tego monarchy czemś uzasadnić, ażeby uczynić zadość legendzie o złotym wieku, ażeby Krzywoustemu i jego następcom stawić przed oczy, jak rządzić powinni. Brał więc urządzenia społeczne, t. j. z czasów Krzywoustego, i przedstawiał, co na ich podstawie zbudować może wielki panujący. Wszystko więc, co Gallus mówi o urządzeniach społecznych z czasów Chrobrego, możemy śmiało odnieść do czasów Krzywoustego, z tą tylko różnicą, że pewne amplifikacje, n. p. przesadne pochwały bogactw, liczby rycerstwa, zaludnienia kraju, położymy na karb legendy o złotym wieku.

Co się tyczy kilku dziesiątek dyplomatów, które obok kroniki Galla uwzględniamy, to formą swoją pochodzą one z XII stulecia, oparte są jednak na dawniejszych zapiskach i dlatego śmiało obok niej postawione być mogą, czego już o dyplomatach późniejszych niepodobna twierdzić. Stawiając jednak najstarsze dyplomata, n. p. gnieźnieński i tyniecki, obok kroniki Galla, musimy na to być przygotowani, że nie znajdziemy w nich wzmianek o każdym szczególe wspomnianym przez Galla, dyplomata bowiem wydawano podówczas na stwierdzenie tylko niektórych, kościelnych stosunków, i to właśnie stosunków takich, które ulegały przeobrażeniu.

Postawmy wreszcie pytanie to ostatnie wobec samejże kroniki Galla. Wielu historyków rozwiązywało je dotychczas przecząco, przypuszczało, że Gallus mógł nawet najważniejsze urządzenia społeczne zupełnie przemilczeć i że z późniejszych źródeł uzupełnić je można i należy. Błędne to jednak przypuszczenie. Że Gallus wiele szczegółów zupełnie pominął, że o innych tylko lakoniczną uczynił wzmiankę, to rzecz oczywista. Żeby jednak o ważnym jakim stosunku społecznym ani jednym słowem nie wspomniał, żeby n. p. istnienie pewnego stanu lub warstwy społecznej zupełnie przemilczał, to już wręcz niepodobna. Każde istotnie ważne urządzenie

społeczne musiało się objawić w jakimś historycznym wypadku choćby raz jeden, a tem samem wzmiankę w kronice wywołać. A nadto, jeśli Gallus mógł przy opisie wypadków pominąć jakieś urządzenie społeczne, to nie mógł tego uczynić tam, gdzie przy Bolesławie Chrobrym daje nam zupełny sam przez się obraz państwa i społeczeństwa. Tam n. p. mówiąc o różnych warstwach społecznych, nie mógł pominąć jednej, i to najważniejszej. Jeżeli zatem o jakimś ważnym urządzeniu społecznym nie znajdujemy w kronice Galla żadnej wzmianki, to musimy przypuszczać na pewno, że go podówczas nie było, i nie wolno nam ani z fantazji urządzenia takiego dorabiać, ani z późniejszych źródeł w czasy Galla go przenosić. Co z ważnych urzędzeń znajdzie się w późniejszych źródłach, a w Gallu go niema, to dopiero w czasach po Gallu wzięło swój początek. Jeden jeszcze dowód tego twierdzenia: oto w dyplomatach najdawniejszych z XII wieku znajdujemy wiele wyjaśnień Galla, ale nie znajdujemy żadnej ważniejszej rzeczy, o którejby Gallus zupełnie przemilczał.

1. Niewolnicy.

Zanim powiemy o ludziach wolnych, zapytajmy przedewszystkiem, czy w Polsce pierwotnej istniała niewola w ścisłym tego słowa znaczeniu, czy istniał stan, w którym człowiek nie miał żadnego stanowiska w obliczu prawa, nie doznawał, jako człowiek, żadnej jego opieki, lecz stał narówni z rzeczą, był stosunków prawnych jedynie przedmiotem?

W kronice Galla spotykamy niejednokrotnie wyrazy »servus«, »servi«, »servitium«, niezawsze jednak w tem samym znaczeniu.

Jeżeli mowa jest o Zbigniewie, bracie Krzywoustego:

»Non servitutum sed regnaturum designabat« (*Mon. Pol.* I. 479, 6),

lub o księciu pomorskim:

»se servitio et militiae deputavit« (454, 3),

to myśleć tu musimy o stosunku zależności natury prawno-publicznej.

Jeżeli mowa jest o Masławie:

»Kazimirus indignans (Meczslaum, pincernam patris sui et ministrum), servum patris sui ac suum Mazoviam violenter obtinere« (417, 13),

to choćbyśmy z wieloma historykami, tłumaczącymi ten ustęp, stanąć mieli w sprzeczności, myślimy tu raczej o tem, że Masław jako urzędnik nadworny służył królowi. Czy panujący obok swojego duchowieństwa, rycerstwa, sług i włościan miał także swoich niewolników, nad tem pytaniem zastanowimy się później. Tu stwierdzamy jedynie, że wyraz »servus«, użyty bez bliższego wyraźnego określenia w stosunku do króla, nie uprawnia nas jeszcze do przypuszczenia niewoli. Niewolnik występuje tam tylko wyraźnie, gdzie ma swojego pana w osobie prywatnej. Mamy jednak i takie ustępy w kronice Galla:

»In dominos servi, contra nobiles liberati se ipsos in dominium extulerunt, aliis [zapewne: illis] in servitio vice versa detentis« (415, 13);

»Dominus sicut servus captivitatis vinculo mancipati« (455, 22).

Tu już trudno myśleć o czem innem jak o niewolnikach, w pierwszym wypadku dla wyrażenia: »in servitute detentis«, w drugim wypadku dla słów: »vinculis mancipati«, co było rzeczą pospolitą dla »servus«, a w tym razie równało go z »dominus«,

Znajdujemy też ustępy, w których »servus«, »ancilla« przeciwstawieni są ludziom innym wogóle, a więc wolnym:

»Viros et mulieres, pueros et puellas, servos et ancillas captivavit« (478, 17);

»Rustici, pastores, artifices, operadores, parvi quoque pueri et puellae, servi in super et ancillae« (424, 3).

»Servi et ancillae« odróżnieni tu są, i to tak wybitnie, przez »insuper« od najniższych warstw społecznych, t. j. od rolników, pasterzy i rzemieślników, że o ich odrębnym, upośledzonym wobec tamtych stanie wątpić niepodobna.

Skąd się brali niewolnicy? I na to pytanie znajdujemy odpowiedź w kronice Galla, a w szczególności:

a) dostarczali niewolników przedewszystkiem jeńcy wojenni:

»Pagani, si Poloniam depraedantes captivos abducebant, sta-

tim eos venundandos ad barbarorum insulas transportabant« (451, 19).

To, co robili sąsiedzi z jeńcami polskimi, toż samo robili niewątpliwie Polacy z jeńcami, których przyprowadzali do kraju z wypraw swoich w kraje sąsiadów. Jakież inny cel miały nieustanne wyprawy Krzywoustego na Pomorze, Prusy, Czechy i Morawę, jak nie jeńców i łupy? Opowiada o nich tak często kronika Galla, którą w połowie XII stulecia uzupełnia Herbord:

»Ferunt autem, quod . . . 8000 cum uxoribus et parvulis ad terram suam captivos (Krzywousty z Pomorza) abduxit (*Mon. Pol.* II. 76, 12).

Mowa tu wprowadzie o tem, że sam król jeńców sprowadził, ale czyż wykluczeniem jest przypuszczenie, że rycerze jego pewien udział w jeńcach otrzymali?

b) Niewola była jedną z kar za pewne zbrodnie:

»Setheus alios vili occasione transvendebat, alios de patria propellebat« (431, 20). Gorszy się tu Gallus nie tem, że Sieciech sprzedawał niewolników, ale tem, że to robił »vili occasione«, a więc bez dostatecznej w danych wypadkach podstawy prawnej; istniały zatem wypadki, których niewola była następstwem prawnym i nikogo nie gorszyła. Ciekawa rzecz, dlaczego Sieciech niewolników »transvendebat«, t. j. sprzedawał za granice kraju? Czy nie istniało w Polsce, jak w Rzymie, prawo, że Polak nie mógł być niewolnikiem we własnym kraju?

c) Niewolników dostarczał wreszcie handel, którym podówczas trudnili się żydzi:

»Quae mulier (matka Krzywoustego) in pauperes et captivos opera pietatis exercebat et multos christianos de servitute Iudaeorum suis facultatibus (majątkiem) redimebat« (428, 28).

Czyż wobec tych wzmianek tak klasycznego współczesnego świadka, jakim jest Gallus, można wątpić, że w Polsce XII i XI wieku istnieli niewolnicy, i to jako klasa odrębna od »rustici, pastores, artifices, operadores«, jakiegokolwiek było stanowisko tych ostatnich. Niewolnicy ci:

- 1) Mieli swoich panów, osoby prywatne.
- 2) Mogli od nich otrzymać wyzwolenie.

3) Byli w ich ręku rzeczą, częścią majątku, przedmiotem kupna sprzedaży.

4) Tem samym, wnioskować musimy koniecznie, nie mieli przystępu do sądu publicznego i opieki prawa, nie mogli skarżyć swojego pana i jedynie przed sądem jego dworskim odpowiadali. Zależni we wszystkim od swoich panów, nie ponosili żadnych ciężarów i nie pełnili żadnych posług publicznych.

O stanowisku ekonomicznem niewolników nic natomiast pewnego nie podaje nam kronika Galla. Jeden jej ustęp, wyróżniający niewolników od rolników, pasterzy i rzemieślników, każe nam się domyślać, że pełnili przedewszystkiem posługi osobiste u swych panów i we dworach ich pracowali za ich rozkazem i na ich rachunek. Trudno jednak znaleźć przyczynę, dla czegoby pan nie mógł niewolników swoich osadzić na gruncie poza swym dworem i pewną pracę rolniczą, pasterską lub rzemieślniczą im poruczyć. Może więc także i niewolnicze istniały osady.

Ważne i zupełnie wystarczające wiadomości Galla o niewolnikach znajdują stwierdzenie i uzupełnienie w dyplomatach XII wieku.

Najmniej pouczają nas te uposażenia kościelne z łaski monarszej, w których obok wsi zamieszkałych przez ludność wieśniaczą, zwaną »aratores, rustici, possessores, heredes, homines« lub specjalnie »artifices, coci, pistores«, spotykamy tylko wyraźnie wymienione osady niewolne i niewolników:

W uposażeniu klasztoru tynieckiego:

»Coyanow cum sale et cum servo Zului et fratribus eius... Kzegnyci cum taberna et servis Sokol et filiis euis Nedamir, Zmiluy, Zgliza«.

W uposażeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego:

»Villae archiepiscopi circa Calis: Raysco et alia servidola, quam super Zvandri aquam appellaverunt Hilme et cum omnibus incolis suis... et super campum DambSCO omnes servi cum villa eorum... ábbatia s. Mariae in castello Lanciciae cum centum servis et villis eorum«.

W nadaniu Joannitów z r. 1153:

»Do etiam in Zagost iumenta L cum V emissariis, servos quoque eiusdem gregis pastores, quorum haec sunt nomina, Esgler et Szilga«.

W uposażeniu kościoła P. Marii z Sandomierzu z r. 1191;

»Sedleche cum servis, Gronovo cum sanctuariis, Ostrov cum servis, Ladusnici cum servis«.

Możemy w tem widzieć tylko nowy dowód: 1) że istnieli niewolnicy, nazywani tak i odróżniani od reszty ludności wieśniaczej; 2) że istnieli nawet w dobrach monarszych; 3) że nie byli przywiązani do gleby, lecz zostawali w czysto osobistej zależności, skoro chcąc ich darować wraz z gruntem, na którym mieszkali, niedość było darować grunt, lecz trzeba było wymienić niewolników; 4) że tworzyli osobne osady niewolne lub mieszkali razem z inną ludnością, pełniąc szczególne posługi, jak w Zagościu.

Istotnie zato ciekawe i ważne wiadomości o niewolnikach spotykamy w nadaniach prywatnych:

W uposażeniu biskupstwa wrocławskiego czytamy:

»Ex dono Korane villas hereditatis sue . . . in morte etiam sua, que iuste possidere videbatur, servos scilicet et ancillas, curtem intra civitatem cum pertinentiis suis«.

W podobnym testamencie Dzierzka z r. 1190 (?) czytamy, że żona jego pozostać ma w dwóch wsiach »cum familia sua, servis videlicet et ancillis«.

Nareszcie ów klasyczny ustęp z uposażenia kościoła P. Marii na Piasku we Wrocławiu: »Radon, qui cum debeat monasterio marcam et dimidium fertonem, Vlodymirus solum pro eo debitum tenet, esset homo sancte Marie ecclesie (zatem za długi dostał się do niewoli). Goleneč, Vangl faber cum fratribus . . . Velepa faber cum fratribus datus est ecclesie a duce Boleslavo. Isti dati sunt tali modo: ligabantur ducendi aliis (czy alias, t. j. gdzieindziej, zapewne za zbrodnie) et concessum est eis, ut non ligarentur sed essent homines ecclesiae. Hi sunt servi ecclesie emptitii comitis Petri et . . . Carneta et Bil filius fratris eorum (zatem kupieni przez Piotra Własta i darowani kościołowi). Turryti, Vilcost, Godec, Svantec . . . tali modo devenerunt in servitum ecclesie tem-

pore avi ducis Boleslai. Boleta cum debito tabernae, tandem a duce B. reductus, adiudicatus ecclesie servituti perpetuo. Quem comes Petrus datum sibi a duce dedit ecclesie, cuius filii Zenovid et istius, predicti voluerunt evadere servitute coram duce B. et retracti, sunt educti de ecclesia s. Johannis a Domitiano et Andrea et Nessebrando. (Za dług czy za karę księżę pozbawił Boletę, zapewne włościanina swego, wolności, darował go Piotrowi, Piotr kościołowi. Synowie Bolety, przypominając sobie, że ojciec ich był włościaninem księżęcym, zbiegli z niewoli kościelnej, księża ścigają ich, zbiegowie chronią się do kościoła św. Jana jako miejsca azylu, sprawa wytacza się przed księcia, który przyznaje ich kościołowi P. Marji; po wyroku wyprowadzeni są przemocą z kościoła św. Jana.)

W ustępach tych źródłowych mamy potwierdzone, że niewola była dziedziczną, że niewolnicy mieli swoich prywatnych panów, że stanowili przedmiot kupna sprzedaży, że niewola była także następstwem długu lub kary i że ją księżę orzekał swoim wyrokiem. Dowiadujemy się zaś nowych szczegółów: 1) że niewolnika zbiegłego mógł właściciel jego ścigać i drogą sądu wracać w jego posiadanie; 2) że niewolnicy, uważani za ruchomość, mogli stanowić przedmiot testamentu; 3) że na dworach swych panów pełnili posługi osobiste jako czeladź dworska (familia).

Oprócz tych ustępów, w których dyplomata tak wyraźnie mówią nam o niewoli i niewolnikach, spotykamy jednak w dyplomatach cały szereg wzmianek, w których niema wyraźnie mowy o »servi«, które jednak z całą pewnością lub z wielkim prawdopodobieństwem musimy odnieść do niewolników.

a) Zaraz w powyżej przytoczonej zapisce kościoła św. Wincentego we Wrocławiu znajdujemy ustęp:

»Olesnich villa data a Coseborio, cognato comitis Petri, cum familia ista: Hostec cuius filii sunt Gostinyc et Nistis Raden et Radich quatuor filii sunt Hualenta Mirec Mila ascripti ecclesie«.

»Familia« czyli czeladź dworska dóbr pana Cosebora są to niewątpliwie niewolnicy, tak, jak owa »familia« znana nam z testamentu Dzierzka.

b) Najbliżsi po »familia«, których do klasy niewolników zali-

czyć musimy, są »adscripti«, ludzie przypisani przez dawniejszego ich pana nowemu panu, a mianowicie kościołowi, i wypisani rzeczywiście imiennie w dyplomie nadawczym, jak n. p. dyplomie owym wrocławskim z końca XII wieku. W ustępie przytoczonym tego dyplomatu nazwani są niewolnikami (familia), a dopiero wskutek nadania ich kościołowi otrzymują miano »ascripti ecclesiae« (nie »glebae«, bo to późniejsze pojęcie).

W tymże dyplomie czytamy jednak zaraz dalej:

»Ecclesiam s. Adalberti dedit Boguslaus, frater comitis Petri, cum villa Mochbor, cuius ascripti sunt: Zbiluc cum filiis Dados, Zanis, Radon, qui cum deberet monasterio marcam, esset homo sanctae Mariae ecclesie«.

Tu człowiek, który za dług idzie w niewolę kościoła, nazwany jest również »ascriptus«.

Nie mamy też żadnej przyczyny nie uważać za co innego jak za niewolników ludzi przypisanych kościołowi w tymże dyplomie przez osobę prywatną ze wsią Janikowem, chociaż o nich nie dowiadujemy się nic więcej nad to, że z pod pana dawnego przeszli pod kościół, jako jego »adscripti«.

Cały szereg takich niewolników, po imieniu nazwanych, z potomstwem ich (cum filiis, cum fratre, cum cognatione) nadał książe kościołowi mogilneńskiemu (dyplom z r. 1165), i to dodatkowo do darowanych mu poprzednio posiadłości, nazywając ich: »haec sunt nomina servorum ascriptitorum, quos eidem contuli ecclesiae cum omni iure«

Niewolnikami są też wymienieni w dyplomie tynieckim »Lantiki cum ascriptitiis, Kasow cum ascriptitiis«.

c) Ośmieleni tym rezultatem, szukajmy dalej. Przypatrzmy się najpierw, jaka była organizacja niewolników książęcych. Oto w dyplomie gnieźnieńskim z r. 1136 czytamy: »abbatia s. Mariae in castello Lanciciae cum centum servis et villis eorum . . . pistores etiam et coci, agazones et sutores cum omnibus, quae ministracioni abbatae eiusdem sunt ordinata«.

Jeżeli zaś owych piekarzy, kucharzy, koniarzy i szewców mamy szukać pomiędzy tem »centum« niewolników, to domyślamy, że panujący niewolników swoich umieszczali w osadach

u stóp swoich dworów, t. j. warownych grodów, dla pełnienia posług (ministratio) w charakterze piekarzy, kucharzy, koniarzy, szewców i t. p., dla zaopatrywania grodu w żywność, a może także w danym razie dla jego obrony.

• Otóż domysły te udowadniają się z innych społecznych źródeł. W znanej kronice Herborda czytamy:

»Ferunt autem, quod (Boleslaus de Pomerania) octo millia cum uxoribus et parvulis ad terram suam captivos abduxit et in periculosis marchiarum locis, in urbibus et castris eos collocans, quo terrae suae praesidio forent et cum hostibus suis, gentibus scilicet externis, bella gererent, indixit« (*Mon. Pol.* II. 76, wiersz 12).

Ci, co bronili grodu w czasie wojny, w czasach spokojnych musieli mu oczywiście służyć. Spotykamy też osady służebne i przy innych, oprócz Łęczycy, grodach.

Istniały one w Tyńcu, który został nadany Benedyktynom:

»Cum omni castellatura (t. j. z całą posługą należąca się do grodu, jakim był Tynec, a mianowicie:) tam pistoriibus, lagenariis, quam cocis et camerariis, piscatoribus et pecorariis«.

Mieszkali więc pod Tyńcem, dla jego obsługi, piekarze, łagiewnicy, kucharze, komornicy, rybacy i pasterze, dalej w pobliskich osadach, Liszki i Kaszów, »ascriptitii«, zaś w sąsiedniej osadzie Czulów »sardonones«, których zatrudnienia z dyplomatów XII wieku nie możemy wyjaśnić. Czyż można wątpić, że ci służebnicy grodowi są niewolnikami? Wszak pomiędzy nimi są »ascriptitii«, których dlatego nie nazwano inaczej, bo pracowali na roli, nie mając osobnej posługi, a jednak to niewolnicy.

Podobną posługę miał gród gnieźnieński, a po nim objął ją kościół arcybiskupi. Mówi dyplomata gnieźnieński na końcu, po poprzednim wyliczeniu wszystkich posiadłości arcybiskupich:

»Adicimus quoque, ut nemini fas sit ecclesiam b. Adalberti super possessione rusticorum infestare; quorum nomina haec sunt et officia. Ad officium agazonum hi sunt... lagenarii vero sunt hi... rustici vero sunt hi... item iuxta Ilme... hi vero sunt carpentarii... hospites vero sunt hi... milites quoque hi sunt...«
Ci wszyscy pełnią osobiste posługi, i z wyjątkiem może hospites i milites, o czym rozdz. 4-tym, zapewne są niewolnikami. Owi »rustici«

t. j. »adscriptitii« »iuxta Ilme« w poprzednim ustępie tegoż dyplomu nazwani są wyraźnie »servi«.

Że »officiales« (służebnicy) mogą być niewolnikami, pouczają nas dyplomata zagojskie z r. 1153. Po darowaniu Zagościa Joanitom, »aratores« mogli »liberi recedere«, ale »servi pastores« i »vineari« oraz »rustici decimi Chobriani« (o których później):

»hos omnes cum supradicta possessione do praedicto hospitali cum omni posteritate sua in perpetuum iure hereditario libere possidendos, ita tamen ut praetaxati officiales in suis officiis serviant, Chobriani vero et artifices more liberorum hospitalum, nunquam tamen a praedicta possessione recessuri«.

Niewolników »officiales« daje książę zakonowi na własność wieczystą i o tyle tylko przy tej sposobności los ich zabezpiecza, że nie pozwala ich używać do innych, t. j. cięższych posług.

Nie śmielibyśmy wszystkich rzemieślników i wogóle wszystkich ludzi pełniących osobiste posługi dworskie, jeśli nie są wyraźnie nazwani »servi«, zaliczyć do niewolników, bo może pomiędzy nimi byli także ludzie wolni, wynajmujący się do posług dobrowolną umową. Nazwy: »agazones, camerarii, coci, pistores, lagenarii, carpentarii, sutores« i t. p. oznaczają tylko zatrudnienie, powołanie, nie zaś stanowisko prawne, — ale to pewna, że przeważna część tej ludności liczyła się do niewolników, i naodwrot, że niewolnicy używani byli głównie do osobistych posług.

d) Liczba »centum servi«, wypowiedziana w dyplomacie gnieźnieńskim, naprowadza na domysł, że niewolnicy książęcy zorganizowani byli w dziesiątki i setki. Potwierdzają domysł ten inne dyplomata.

W dyplomacie wrocławskim z r. 1155 czytamy:

»Ex dono Korane villas hereditatis suae quattuor . . . Quintam, quae vocatur Grogessevisi, cum hominibus, quorum haec sunt nomina: Groges, Paulus, Dobrenta, Sul, Korvad, Radost cum duobus filiis et Miloslav, quos omnes cum dux Mesico convictos decimos Gedchenses vellet abducere, eidem ecclesiae restituit«. Znalazła się więc w posiadaniu biskupstwa wrocławskiego osada, zamieszkała przez ludzi w liczbie dziewięciu, którzy, należąc niegdyś jako dziesiętnicy do grodu książęcego Gdecza (?), zbiegli stamtąd.

Przekonani o to (convicti) mieli wrócić do księcia, lecz ten z łaski pozostawił ich kościołowi.

Czy »decimi« byli jednak niewolnikami. O tem poucza nas przytoczony już dyplomata zagojski z r. 1153:

»His omnibus etiam addo ad inserviendum praefati hospitalis rusticos, qui aliquando decem erant in Choher, quos frater meus aliquando transmiserat in Cuiaviam, sed eosdem etiam ipso concedendos (concedente?) in praedictam Zagost reduxi ibidem perpetuo remansuros, quorum haec sunt nomina...« Nadając tych Chobrzezanów, ulżył książę ich los, jak widzieliśmy wyżej, ale ludzie, których książę z jednej strony państwa w drugą, z Sandomierskiego do Kujaw przerzucił, napowrót sprowadzał i kościołowi na własność darował, byli niewolnikami. Stwierdza to i drugi dyplomata zagojski z r. 1173:

»Exceptis quattuor decimis hominibus de Ki, quibus ibidem mansio concessa fuerat ad tempus, donec alibi eis provideretur.«

Tych znowu czterech dziesiętników pozostawia książę w dobrach zagojskich nadanych Joannitom, ale tylko do czasu, zanim gdzieindziej ich umieści. Inaczej, jak zobaczymy, działo się z włościanami.

Nie opuszcza też decimów album klasztoru lubińskiego:

»Elisabeth ducissa uxor Mesiconis dedit villam Złub in via Poznaniensi cum hominibus decimis, his videlicet...«

A dalej pomiędzy osobami przyjętymi do konfraterni stoi także:

»Scodroh decimus«.

e) Nazwa »rustici« w dyplomatach zdaje się oznaczała często samych niewolników. Widzieliśmy już dwa razy, w dyplomacie gnieźnieńskim z r. 1136 i zagojskim z r. 1153, »rusticos« związanych z niewolnikami, »servi«, kiedy w tychże dyplomatach włościanie zwani są »possessores« lub »aratores«. W dyplomacie wrocławskim z r. 1155 nadani są sami »rustici« bez ziemi, a więc niewolnicy:

»Ex dono ducis Boleslavi rusticos, quorum nomina sunt haec...«

W dyplomacie wrocławskim z r. 1193 spotykamy ich nawet w posiadaniu osoby prywatnej, według wszelkiego prawdopodobieństwa jako niewolników:

»Decimam omnium possessionum, quae Petrum quondam comitem ex parte avi et patris sui iure hereditario contingebant et servitium rusticorum ab eodem comite ecclesiae concessum«.

Zobaczymy jednak w rozdz. następnym, że nazwa »rustici« nieraz i włościan książęcych obejmuje.

f) Mieszczą się nieraz niewolnicy w ogólnych nazwach »homines ecclesiae«, czego przykład pod b), chociaż, jak zobaczymy, nazwa ta i na włościan się rozciąga.

Stwierdzają więc dyplomata XII wieku najdobitniej wszystko, co nam o niewolnikach podaje kronika Galla, uzupełniając ją następującymi wiadomościami:

1) Że niewolnicy byli klasą ludności w XII wieku już bardzo stosunkowo liczną.

2) Że pełnili głównie osobiste posługi, rzadziej zaś tworzył osobne osady rolnicze.

3) Że w dobrach panującego mieli odrębną organizację, i pełniąc posługi w osadach służebnych u stóp grodów, używani byli nawet do ich obrony. Czy i jaka istniała różnica między niewolnikami prywatnymi a książęcymi, o tem powiemy w rozdz. następnym, poznaawszy pierwiej los ludności włościańskiej w dobrach książęcych zamieszkałej.

2. Włościanie książęcy (Dziedzice?)

Wybitnie, jak widzieliśmy, wyróżnia kronika Galla niewolników prywatnych od włościan książęcych, których stale »rustici« nazywa.

Cechą ich charakterystyczną — praca. »Rustici laboriosi« odzywa się Gallus na wstępie kroniki w opisie Polski.

Różna to była praca, stąd »rustici« dzielili się na »rustici« w ścisiejszem znaczeniu, inaczej »aratores« (396, 8) lub »agricolae« (397, 11; 413, 20) czyli rolników, dalej na »pastores« pastrzy i »artifices, operadores« rzemieślników (424, 3). Odpowiada to ówczesnemu rozwojowi ekonomicznemu Polski, w którym rolnictwo

łączyło się jeszcze ściśle z pasterstwem i przemysłem domowym.

Już z nazwy »rustiei« wynika, że mieszkali po wsiach, które, jeśli się znajdowały u stóp warownego grodu, zwały się »suburbia«, podzamecza. W takim »suburbium« mieszkać miał »arator« Piast (396, 8).

Czy wszyscy »rustici« byli ludźmi wolnymi, nie śmielibyśmy tego twierdzić, bo wszakże panujący posiadał także swoich niewolników. Wszak »servi et ancillae« opiekują zgon Chrobrego, a więc płaczą nad nim jako nad swoim panem.

Zestawiając jednak wszystkie wzmianki o włościanach z kroniki Galla, musimy twierdzić, że wszyscy »rustici«, którzy nie byli niewolnikami, mieszkali tylko w dobrach monarchy, albowiem:

a) Niema nigdy wzmianki, ażeby »rusticus« miał jakiego prywatnego pana. Tylko »servi« mają swoich »dominos«, o czym mówiliśmy wyżej, zaś we wzmiankach o »rustici« jest ich panem zawsze tylko »dux«:

»Rusticus ille pauper, quando dominus suus dux« (396, 9, 6);

»Boleslaus suos quoque rusticos non ut dominus coercebat« (408, 8).

b) Włościanie nie posiadali własności gruntowej, ale pracując na gruntach monarszych, oddawali księciu ciężkie, oznaczone daniny i powinności:

»Suos quoque rusticos (Boleslaus) non ut dominus in angariam coercebat, sed ut pius pater quiete eos vivere permittebat. Ubi enim suas stationes suumque servitium determinatum habebat...« (408, 8).

Dlatego zastanawiają Polaków ówczesnych i kronikarza stosunki pruskie: »positio regionis (prussiae)... per sortes hereditarias ruricolis et habitatoribus dispartita« (478, 14).

Widocznie więc włościanie polscy nie mieli prawa własności indywidualnej nieruchomości, lecz osadzeni byli na gruntach monarszych. Jeżeli jednak mogli żyć »quiete«, jeżeli uiszczali panującemu oznaczone (determinatum) daniny i powinności, to przypuszczać koniecznie musimy, że mieli samoistne stanowisko ekonomiczne, że mieli swoje zagrody, domostwa (domunculum aratoris

396, 8), w których z rodziną swoją mieszkali, że oddawszy z pól swjej pracy to, co się należało, monarsze, resztę obracali na swój użytek, że mogli mieć własność ruchomości. Do kogo należał inwentarz potrzebny do uprawy roli, — do nich, czy też do księcia — tej kwestji kronika nam nie rozstrzyga.

c) Stosunek włościan do panującego był czysto osobistym. Dlatego panujący musiał dbać o ich utrzymanie:

»(Rex) dampnum rustici violenter ab hostibus illatum castello reputat vel civitati perditae (?) conferendum« (400, 20).

Dlatego z drugiej strony panujący brał ich w opiekę przed czyjakolwiek krzywdą i dopuszczał ich do sądów swoich, t. j. publicznych:

»Si rusticus pauper vel muliercula quaelibet de quovis duce vel comite quereretur, Boleslaus rem pettractabat, conquerentem alicui fideli suo commendabat, qui eum procuraret . . . et sic rusticum quasi pater filium admonebat« (505, 24).

Ustęp ten, a mianowicie słowa jego: »conquerentem alicui fideli suo commendabat«, jest jednym dowodem więcej, że wszyscy »włościanie« należeli pierwotnie do panującego. Jako swoim włościanom przydaje im panujący w sądzie adwokatów ze swego ramienia. Mówi też Gallus »de quovis duce vel comite quereretur«, t. j. o skardze włościan na urzędników królewskich, którzy w imieniu księcia nad włościanami sprawowali władzę, a przecież gdyby włościanie mieli panów prywatnych, byłby z natury rzeczy mówił wyraźnie o skargach włościan na ich panów, na »dominos«, o których mówi zawsze przy niewolnikach. Wszak tradycja, chwala Kazimierza Wielkiego, przypisywała mu przedewszystkiem, że włościan przed uciskiem ich panów brał w opiekę. Nie mówiła tego tradycja o Chrobrym, bo za jego czasów włościanie nie mieli panów prywatnych, nie mogli od nich doznawać ucisku i nie potrzebowali przed nimi obrony.

Nakoniec jedno pytanie. Czy w dobrodziejstwach tych, służących włościanom książęcym, nie mieli także udziału niewolnicy książęcy? Nie odpowiada na to pytanie kronika Galla, ponieważ atoli nazwa »rustici« wszystkich włościan książęcych, wolnych i niewolnych, oznacza, zaś nazwę »servi« daje tylko niewolnikom

prywatnym, więc zdaje się, że niewolnicy książęcy lepsze mieli stanowisko.

Szczupłe ale wyraźne wiadomości Galla o włościanach, byle im nie podsuwać znaczenia, jakiego same przez się nie mają, stwierdzają się w sposób zadziwiający w dyplomatach XII wieku.

Mamy w nich liczne nadania dóbr ziemskich, czynione na rzecz kościoła przez monarchów i przez możnych panów. Kiedy jednak panujący nadają kościołom dobra najczęściej razem z ludnością wieśniaczą — na co dowody przytoczymy później — to osoby prywatne nadają kościołom same dobra, a jeżeli wyjątkowo dają im zarazem ludność, to tylko swych niewolników.

Zbyt ważne to spostrzeżenie, abyśmy nie mieli go szczegółowo uzasadnić. Może brak wyraźnych wzmianek o ludności wieśniaczej, położyć trzeba tylko na karb lakonicznego stylu dyptomatów XII wieku, może tam, gdzie mowa jest o nadaniu kościołowi wsi, ma się rozumieć wieś wraz z ludnością na niej osiadłą i do niej przywiązaną? Zarzut ten, który przy pierwszym czytaniu dyptomatów przychodzi na myśl, upada jednak po bliższej rozprawce z następujących powodów:

a) Posiadamy dyplomata, jak trzemeszeński z r. 1145, wrocławski z r. 1155, mogilneński z r. 1165, w których wyliczone są włości nadane kościołom przez książąt i włości nadane im przez osoby prywatne. Otóż przy pierwszych znajdujemy wymienioną ludność wieśniaczą, przy drugich niema o niej najmniejszej wzmianki. O przypadkowym lub domyślnem opuszczeniu ludności w dyptomatach tych nie może zatem być mowy. Widocznie osoby prywatne nadawały kościołowi dobra bez ludności.

b) Często w dyplomatach mowa jest o nadaniu włości przez osobę prywatną z dodatkiem: »cum omnibus suis utilitatibus«, lub »cum omnibus suis pertinentiis«. Nie można jednak w wyrażeniach tych domyślać się ludności. Mamy bowiem w nadaniach włości książęcych dodatek: »cum hominibus et omnibus suis utilitatibus« (dypl. trzemeszeński z r. 1145), a więc »utilitates« oznacza coś

odrębnego od »homines«. Mamy też gdzieindziej (dypl. Joannitów z r. 1173) określone pojęcie »pertinentiae«:

»Cum omnibus suis pertinentiis, silvis videlicet, agris, pratis, atque mellificiis«.

c) W dyplomacie lubiążskim z r. 1175 spotykamy nadanie włości przez osoby prywatne z wymienieniem nawet ruchomości:

»Bezelinus comes tradidit ecclesiae duos boves et equum et villam iuxta Broste ex toto cum agris. Micora quoque dedit Soravin cum agris et equabus XXV et bubus VI ac tribus vaccis, cum taberna et ponte«.

Czyżby, wymieniając, to wszystko, opuszczono wzmiankę o ludności, gdyby ją razem z temi dobrami nadano.

d) Jeżeli osoby prywatne razem z dobrami nadawały niewolników, to wymieniają niewolników tych dyplomata wyraźnie, jak tego dowody przytoczyliśmy w rozdz. 1.; dlaczegóżby nie wymieniały włości, gdyby ich osoby prywatne posiadały i z dobrami mogły być nadawać.

Wszak włości, nie byli również przywiązani do gleby, jak to udowodnimy w dalszym ciągu.

e) W zapisce kościoła na Piasku we Wrocławiu z końca XII wieku, przytoczonej w rozdz. 1., mamy dowód, że książę Piotrowi (Włastowi) wówczas dopiero darował włości, swego Boletę, gdy go za karę skazał na utratę wolności, a zatem jako niewolnika. Nie miałyby to znaczenia i nie byłoby mogło nastąpić, gdyby książę innych włości, nie skazanych na niewolę, mógł osobom prywatnym rozdarowywać. Jeśli zaś panujący nie mógł włości, swoich nadać osobom prywatnym, skąd się mieli wziąć w ich posiadaniu.

Z tych wszystkich powodów musimy na podstawie dyplomatów, tak samo jak na podstawie kroniki Galla, twierdzić stanowczo, że tylko niewolnicy mogli się znajdować w posiadaniu osób prywatnych, wszyscy zaś włości, zależeli wyłącznie od księcia i w jego dobrach mieszkali.

Jak jednak z tem spostrzeżeniem pogodzić fakt, stwierdzony w dyplomatach, że panujący nadają razem z dobrami kościołom nietylko, jak widzieliśmy w rozdz. 1., swych niewolników, ale zarazem swych włości?

Przypatrzmy się włościanom tym książęcyom a następnie kościelnym w dyplomatach XII wieku. Spotkamy ich tam pod różnemi nazwami:

a) Heredes (dziedzice?). Stanowisko ich najlepiej określone w pierwszej części dyplomu tynieckiego z r. 1105:

»Prandnyk cum una taberna, cuius heredes Mars et Ratey, tres scotos solventes«. Są to zatem ludzie, którzy trzymali w dziedzicznej dzierżawie karczmę kościelną i opłacali z niej czynsz zgóry ustanowiony. Nie mieli własności gruntu, ale mieli samoistne stanowisko ekonomiczne czynszownicze, dziedziczne. Takimi samymi spotykamy ich w dyplomie sulejowskim z r. 1178:

»Contuli capellanis meis in Sulco in eleemosinam in perpetuo possidendam Sgimir Coqualiz camerarium meum et fratres eius cum hereditate eorum, Milco et fratres eorum cum hereditate eorum«.

Istnieli więc dziedzice-czynszownicy na roli książęcej, jedni na czynszu, drudzy na posługach książęcych, jak ów Sgimir komornik. Spotykamy dziedziców w nadaniu królowej Judyty na rzecz klasztoru tynieckiego: »villam Tuchow, heredes: Medwech, Rsech, Mych, Woyan«.

Obok tych dziedziców w Tuchowie mamy jednak w dalszym ciągu wymieniony cały szereg wsi książęcych nadanych klasztorowi z ludźmi wymienionymi imiennie, lecz bez dodatku »heredes«. Spoczywały na nich wszystkich ciężary książęce:

»Hi omnes homines pertinentes ecclesiae Thinciensi tributum et strozam cum pomochno solvunt«, tj. książę, nadając ich klasztorowi z należąciami od nich dochodami, zastrzegł sobie nadal pewne ciężary publiczne.

W innym wypadku, dyplomie sulejowskim z r. 1176, nastąpiło uwolnienie od tych ciężarów (jeśli odnośny ustęp nie jest późniejszą interpolacją):

»His addimus Chennam cum heredibus suis... foro autem praedictae ecclesiae confero plenam libertatem et omnis tributariae servitutis immunitatem etc.«

b) Possessores, stanowią niemal całą ludność nadaną arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu z dobrami przy pierwszym jego

uposażeniu. Spotykamy tu kilkadziesiąt »villae« nadanych »cum possessoribus« albo »cuius possessores sunt« — wyszczególnieni imiennie.

Niektórzy z nich, stanowiąc osobne osady, trudnią się myślistwem (*villa sagittariorum*) lub rybołóstwem (*villa piscatorum*), t. j. dzierżawią polowanie i rybołóstwo książęce, reszta pracuje na roli, składając również czynsze, nadaje ich bowiem panujący kościołowi: *cum decimis* (z dziesięciną książęcą, składaną zapewne tytułem czynszu), *cum foro* (z opłatą targową), *cum lacubus et cum omni iuriditione saeculari* (o tem dalej).

Jeśli też całe ich stanowisko porównamy ze stanowiskiem t. zw. »heredes«, to przyjdziemy do przekonania, że są to dwie nazwy użyte w różnych dyplomatach na oznaczenie jednego pojęcia, że »possessores« tłumaczyć mamy przez »dziedzice«.

c) *Aratores*. Dwa razy tylko mowa o nich w dyplomatach. Pierwsza wzmianka, którą znajdujemy w dyplomie gnieźnieńskim: »*villa, quam tenuit olim Stan arator episcopi*« — niewiele nas poucza. Druga zato nader jest ważna. Czytamy w nadaniu Zagościa z r. 1153:

»*Cum aratoribus, ita tamen, ut his quae debent restitutis, aratores liberi recedant.*«

A zatem »*aratores*«, dopełniwszy swoich powinności, mogli z dóbr nadanych kościołowi jako ludzie wolni ustąpić.

d) *Rustici*, wieśniacy. Spotkaliśmy się z tą nazwą już poprzednio na oznaczenie niewolników. Mamy jednak jeden ważny ustęp w dyplomie zagojskim z r. 1173, w którym ona wogóle włościan książęcych i niewolników oznacza:

»*Addens hominibus omnibus s. Johannis libertatem omnium tributorum vel servitorum, quae more polonico ab aliis rusticis fieri solent, etc.*«

e) Toż samo możemy powiedzieć o ogólniejszej jeszcze nazwie *homines*, którą spotkaliśmy często mieszczącą w sobie tak »*servos*« jakoteż i »*heredes*«. Przytoczymy tu jednak przykłady, w których ona oznacza samych tylko dziedziców; i tak z dyplomu wrocławskiego z r. 1155:

»*Homines, quos dux cum hereditatibus suis ecclesiae restituit.*«

Z dyplomatu sandomierskiego w r. 1191:

»Decimae . . . cum grano per totam castellaniam super homines ducales, Sedliche cum servis . . .« (wyraźne zatem odróżnienie jednych od drugich).

Z dyplomatu mogilneńskiego z r. 1165:

»Villam Raniglow homini meo Nanzlav petenti contuli« [na własność (?), a więc wolnemu].

Istniała zatem w dobrach monarszych obok niewolników klasa, zowiąca się prawdopodobnie dziedzicami, przeważna swoją liczbą i stanowiąca niewątpliwie większość zaludnienia, skoro pierwotnie zajmuje całe kasztelanje. Od niewolników prywatnych wyróżnia się ona wybitnie bezpośrednim stosunkiem do panującego, kiedy niewolnicy prywatni, zależni w zupełności od swoich panów, nie mieli żadnego stosunku z panującym i żadnego przystępu do publicznego prawa. W czym atoli dziedzice książęcy różnią się od niewolników książęcych? Na pytanie to odpowiadają dyplomata XII wieku:

a) Odmiernem pochodzeniem. Niewolnicy książęcy, jak wogóle niewolnicy, pochodzą z jeńców wojennych, ludzi zakupionych lub skazanych na niewolę za karę. Dziedzice książęcy są zaś klasą narodu pierwotną.

b) Odmierną nazwą. Nazwy oparte na różnicy zawodu czy zatrudnienia, oznaczające wieśniaków, sługi, rzemieślników, są wprawdzie obu klasom wspólne, o ile wspólne łączyły ich zatrudnienia, ale to z natury rzeczy wynika. Ilekroć jednak przy nazwaniu brano wzgląd na pochodzenie i stanowisko prawne, nazywano jednych niewolnikami (servi) lub czeladzią (familia), drugich dziedzicami (heredes, possessores). Nazwa »dziedzice«, jeżeli istniała, nie opierała się na pojęciu własności nieruchomości, bo tej dziedzice nie mieli, lecz na pojęciu sukcesji, t. j. dziedzicznej, niepamiętnej osiadłości.

c) Odmierną organizacją. Niewolnicy książęcy, jak to w rozdz. 1. przedstawiliśmy, zorganizowani byli na podstawie systemu dziesiętnego i osadzeni przeważnie u stóp grodów książęcych dla ich obsługi. Inaczej dziedzice. I dla nich gród książęcy był ogniskiem czyto sądownictwa czy też ciężarów książęcych, ale organizacja ich miała charakter prawno-publiczny. Podlegali grodowi, o ile gród

był stolicą jednego z okręgów, na które się dzieliło państwo, t. j. kasztelanji. Gród istniał dla nich, nie oni dla grodu. Widoczne to z dyplomatów XII wieku:

W dyplomacie gnieźnieńskim mamy najwyraźniej dowód, że panujący uposażył arcybiskupstwo całą kasztelanją żnińską, t. j. całym jej terytorjum i wszystkimi zamieszkującymi ją »dziezdicami«:

»Provincia de Znein ... his contenta villis ... cum his possessoribus ...«

Tak samo dyplomata biskupstwa krakowskiego z r. 1189 świadczy, że do jego uposażenia należała kasztelanja chropska: »Chropensium provincia«.

Jeżeli też panujący nadają biskupstwu część dochodów swoich, mianowicie dziesięcinę z ludności swojej, to wymieniają ją według grodów. I tak arcybiskup gnieźnieński otrzymał dziesięcinę:

»De Gnezden, de Ostrov, de Lecna, de Nakel usque ad fluvium Plivitz, de Landa, de Calis, de Chezram, de Ruda .. de Miliche castello per totum ex hac parte Bariche, de castello Ziraz, Spitimir, Malogost, Rospra, Lunciz, Voibor, Sarnow, Skrin .. tam in ipsis castellis quam in locis ipsis adiacentibus per omnes, quotquot sunt de Chrustov usque ad in Vislam iuxta fluvium Pelza plenarias decimationes annonae, melis et ferri, tabernarum, placitorum (opłaty sądowe), pellicularum mardurinarum et vulpinarum, porcorum, telonei«.

W podobny sposób nadane są klasztorowi mogilneńskiemu (dypl. z r. 1165) dziesięciny z kasztelanij »Grudench, Zacroczin, Syrozch, Ripin, Scechin, Seprch, Novum-Radecz, Oszeloch, Zyremdzko, Cechonow, Stolpsco, Grebezno, Nasylsco, Wyszegrod, Ploczch, Dobrzin, Wlodislaw, Przypusth, Plonzch«.

Zaś kościołowi sandomierskiemu (dyplomata z r. 1191):

»Decimae harum villarum .. cum grano per totam castellaniam super homines ducales«.

d) Wolnością osobistą. Przytoczyliśmy przykłady, że panujący niewolników swych przerzucali z jednego końca państwa na drugi.

O dziedzicach milczą w tym względzie źródła, pewno też tak samowolnie przerzucać ich nie mógł panujący¹.

Niewolnicy nie mieli żadnego związku z ziemią, widzieliśmy też przykłady, że panujący nadawał ich kościołowi i osobom prywatnym częstokroć bez ziemi, na której poprzednio siedzieli. Tymczasem dziedzice tylko razem z ziemią, t. j. z dziedzictwem ich (czynszowem) nadanymi być mogli. W dyplomie czerwińskim z r. 1161 nadany jest niewolnik »Nedan cum suis filiis«, zaś »Zduy heres cum sorte sua«. Tak samo w dyplomie mogilneńskim z r. 1165 nadaje panujący »sortem Curani cum eodem Curano et filiis suis«, zaś cały szereg »servorum ascriptitiorum cum omni iure« bez żadnego gruntu. Jeżeli też panujący nadawał kościołowi z jakichś względów samą ziemię uprawną, bez ludności — a przykładów takich mamy w dyplomatach wiele — to niewolników przenosił bezwarunkowo na inne swoje dobra (alibi eis provideretur), dziedzicom zaś pozostawiał wolność opuszczenia gruntu (liberi recedant) i szukania sobie innego stanowiska, jak tego w dyplomatach zagojskich przytoczyliśmy wyraźne przykłady. Nie byli też dziedzice przywiązani do gruntu (glebae adscripti), i dlatego nadanie ziemi nie było jeszcze nadaniem dziedzica, lecz panujący musiał go osobno nadać, czego liczne w dyplomatach przykłady.

Niewolników wreszcie mógł panujący nadawać i osobom prywatnym, dziedziców zaś tylko kościołowi. Zrozumiemy dlaczego, zrozumiawszy ówczesny stosunek kościoła do państwa, jak nam go podaje Gallus:

»Rex Boleslaus erga divinum cultum in ecclesiis construendis et episcopatibus ordinandis, beneficiisque conferendis devotissimus existerat... Si forte aliquis principum contra quemlibet clericorum vel pontificum litigii causam inhoabat, vel si quiquam de rebus ecclesiasticis usurpabat, ipse cunctis manu silentium imponebat et sicut patronus et advocatus pontificum causam ecclesiae defendebat« (407, 16).

Kościół tworzył więc w Polsce pierwotnej instytucję państwo-

¹ W tym jednym szczególe cofam moje zdanie wypowiedziane w *Dziejach Polski*.

wą, poddaną w sprawach swoich zewnętrznych królowi, duchowieństwo tworzyło jedną gałąź hierarchji urzędniczej państwa, dobra służące na jego utrzymanie znajdowały się pod patronatem panującego, który nad nimi zwierzchnią zatrzymywał władzę. Dyplomata biskupstwa krakowskiego z r. 1189 przechował nam wspomnienie ciekawego faktu, że jeszcze Kazimierz Sprawiedliwy:

» A multis retro neglecta eiusdem provinciae (Chropensium, t. j. kasztelanji chropskiej, nadanej biskupstwu) dispendia tutelae officio suscipimus corrigenda, tutorio nos iure obstringentes, ut ecclesiasticae pupillationis conditionem faciamus potiore... provinciam, quam emendandam suscepimus, ad nutum praedicti capituli emendatam restituimus«.

Jeżeli więc panujący zamiast samemi dziesięcinami nadto jeszcze dobrami swojemi i ludnością swą, na nich osiadłą, uposażał kościół, to mógł to śmiało uczynić, bo wszakże dobra te otrzymywały tylko specjalne przeznaczenie, ale zawsze na cel państwowy, i razem z ludnością pozostawały pod władzą panującego, czego o dobrach nadanych osobom prywatnym nie można było powiedzieć.

W tem wszystkim różnili się dziedzice wybitnie od niewolników, zarówno książęcych jak prywatnych. Istniały nadto jednak pewne stosunki, w których dziedzice wyróżniali się wybitnie tylko od niewolników prywatnych, mniej zaś o wiele od niewolników książęcych:

e) Stanowiskiem wobec prawa i sądu. Mieli do niego przystęp dziedzice książęcy, nie mieli go wcale niewolnicy prywatni, zależąc we wszystkim od swoich panów. Co się zaś tyczy niewolników książęcych, to możemy domyślać się, że panujący otaczać ich musiał prawną opieką, chociażby tylko jako swą własność. Nie jest wykluczonem przypuszczenie, że niewolnicy książęcy w sądownictwie podlegali urzędnikom książęcym skarbowym (vastandiones zwie ich Gallus), dziedzice zaś urzędnikom publicznym (comites). Jakkolwiekby, różnica ta pomiędzy dziedzicami a niewolnikami książęcymi nie mogła być faktycznie doniosłą.

f) Stanowiskiem ekonomicznem. Dziedzice pracowali w dobrach książęcych na wyznaczonej sobie roli na swój własny rachun-

nek, a panującemu składali tylko oznaczone daniny lub powinności, płacili nawet cło, jak to widzieliśmy pod *c*) w dyplomie gnieźnieńskim, mieli więc niewątpliwie samoistne stanowisko ekonomiczne. Niewolnicy dzielili się pod tym względem na dwie klasy:

- 1) pracujących jako czeladź na rachunek pana.
- 2) pracujących na swój rachunek i składających panu czynsze.

Pomijamy tu okoliczność, że tych ostatnich spotkać można było prawdopodobnie tylko w dobrach książęcych. Jeśli jednak istnieli w dobrach prywatnych, to oznaczenie rodzaju i wysokości czynszów zależało bezwarunkowo od pana i zmieniało się często według jego rozkazu i woli. Inaczej w dobrach książęcych, nie dlatego, żeby prawo księcia wobec jego niewolników miało być mniejsze, ale dlatego, że ogrom dóbr książęcych i porządniejsza ich administracja wymagała stalszego oznaczenia czynszów niewolniczych. Zbliżali się więc niewolnicy książęcy do dziedziców tem, że powinności ich i daniny były może większe, ale oznaczone stale. Zbliżali się jeszcze więcej tem, że ciężary ich były pod względem ich rodzaju takie same, jak ciężary dziedziców, bo panujący, nie biorąc względu na różnicę prawa i pochodzenia, pragnął osady niewolne, tak samo jak osady dziedziców, dla celów swych użytkować. Używał też niewolników swych nawet do takich posług, którebyśmy dziś nazwali publicznymi, mianowicie do straży i obrony grodów.

Ważny ten fakt mamy stwierdzony w dyplomatach XII wieku. Książęta, nadając kościołom niewolników i dziedziców, każdych z osobna, gdy następnie zastrzegają sobie od nich pewne ciężary, lub gdy od nich uwalniają, nie robią nigdzie różnicy między włościanami a niewolnymi, lecz odnoszą postanowienie swoje wogóle do »homines« lub »rustici«, t. j. do ogółu ludności nadanej.

Przy drugim nadaniu tynieckim zastrzega książę:

»Hi omnes homines (byli tam »heredes« i »servi«) cum villis in Kxzegnych, pertinentes ecclesiae Thinciensi, tributum et strozam cum pomochno solvunt.«

Przy nadaniu zagojskiem daje książę (dyplomata oryg. 1173 r.):

»Libertatem omnium tributorum vel servitiorum, quae more polonico ab aliis rusticis fieri solent: ne solvant tributum in foro,

ne hospites ducant vel pascant, ne falconarios vel canumductores suscipiant, ne in expeditionem vadant, ne ad opus castri serviant sive solvant, ne post boves solvant.«

Przy nadaniu miechowskiem orzeka książę (dyplomata oryg. z r. 1198).

»Omnes hereditates ab omnibus publicis exactionibus et servitiis, quae in ducatu Poloniae fiunt, essent penitus absolutae.. homines in villis habitantes ad expeditionem non eant, castrum non edificent, poralne et strozam non dent, monetario non obediant, povoz et podwode non tribuant.«

W każdym więc razie los niewolników książęcych, i dla stałszego uregulowania ich ciężarów i dla użytej im przez panującego opieki prawnej, lepszym był od losu niewolników prywatnych.

Klasyczny na to mamy dowód w przytoczonej już zapisce kościoła na Piasku we Wrocławiu. Książę, skazawszy włościanina swego, dziedzica, za karę na niewolę, nie pozostawił go już nadal w swoich dobrach, bo w takim razie niewola jego nie dałaby się w całej pełni urzeczywistnić, nie byłaby widoczną, darował go więc zaraz osobie prywatnej.

Tem się też tłumaczy, że tak Gallus, jak dyplomata, gdy mówią o sądownictwie i o ciężarach książęcych, używają nazwy »rustici« lub »homines«, obejmującej tak niewolników książęcych, jakoteż włościan.

3. Poddani kościoła.

Przechodzili pod władzę kościoła i włościanie książęcy i niewolnicy książęcy i niewolnicy prywatni. Jakiż jednak był los tej ludności po nadaniu jej kościołowi? Przypatrzmy się każdej z tych klas z osobna.

Co się tyczy włościan, których książę nadał pojedynczym kościołom, to przypuszczać możemy, że w położeniu ich żadna nie zachodziła zmiana. Wszak stanowisko ich już wobec panującego było określone ściśle i stale, wszak nadawał ich panujący kościołowi tylko jako instytucji publicznej, państwowej. Zmieniali pana, ale warunki ich nie zmieniały się wcale. To, co uiszczali pierw

księciu, to uiszczali teraz kościołowi, z wyjątkiem chyba pewnych powinności, n. p. służby wojennej lub budowy zamków, które panujący sobie zastrzegał i od których niekiedy tylko specjalnie uwalniał. Pod względem sądownictwa książęcego, któremu podlegali dziedzice, musieli pod niem pozostać i po nadaniu, bo nie mamy żadnego śladu w autentycznych dyplomatach XII wieku, żeby je panujący nowemu ich panu, kościołowi, przekazywał. »Omnis iuriditio saecularis« dyplomu gnieźnieńskiego oznacza tylko władzę całkowitą pod względem pobierania dochodów.

A jednak los dziedziców, przekazanych z gruntem kościołom, zmieniał się faktycznie, i to niewątpliwie na gorsze. Dopóki należeli do księcia, stanowili oni część składową tego olbrzymiego gospodarstwa, które należało do księcia, i nie byli przywiązani do roli, na której siedzieli. Jeśli w innej okolicy znaleźli lepsze warunki bytu, otrzymywali od księcia z całą łatwością pozwolenie przeniesienia się tamże, bo panującemu było rzeczą obojętną, czy tu, czy tam mieszka jego ludność, a mogło mu tylko zależeć na tem, aby ona w najdogodniejszych dla siebie znajdowała się warunkach. Ustawało to zupełnie z chwilą nadania dziedziców kościołowi. Przywiązywało ich to do gleby, jeżeli nie do tego kawałka gleby, na którym w chwili nadania siedzieli, to przynajmniej do dóbr stanowiących uposażenie kościoła, któremu podlegli.

Powtórę, przez nadanie kościołowi zmniejszała się faktycznie opieka prawa książęcego, którą się dotychczas szczylicili. W razie ucisku ze strony kościoła mogli wprawdzie skarżyć się na kościół przed panującym, ale panujący nie miał już takiego jak przedtem interesu bronić ich przed uciskiem, bo z nich bezpośrednio nie ciągnął korzyści. Kościół był instytucją potężną, przeważną w państwie, trudno było doprosić się przeciw niemu sprawiedliwości.

Zmieniała się wreszcie natura stosunku, który dziedziców łączył przedtem z ich panem, monarchą. Był to stosunek ani ściśle prawno-publiczny, ani też ściśle prawno-prywatny, lecz oba te czynniki łączyły się nierozzerwalnie z sobą w pojęciu patryjarchalnym. Lud był rodziną, panujący ojcem. Tak go też wobec włościan nazywa Gallus: »ut pius pater«, »quasi pater filium«. Ponieważ jednak monarcha był jedynym reprezentantem państwa, a dobra i do-

chody jego tem samem dobrami i dochodami państwa, więc w poddaństwie patriarchalnym włościan książęcych czynnik prawno-publiczny niewątpliwie przeważał. Z chwilą zato, w której oni podlegli kościołowi, w stosunku ich do nowego pana czynnik prawno-prywatny faktycznie brał górę i potęgował się w miarę tego: 1) im więcej kościół tracił cechę instytucji państwowej, 2) im więcej panujący uwalniali poddanych kościelnych od ciężarów książęcych, a tem samem związek ich z władzą i prawem książęcem zmniejszali.

Gorszy o wiele los czekałby niewolników książęcych z chwilą przekazania ich kościołowi, traciliby bowiem dotychczasowe swoje faktyczne korzyści: opiekę prawa książęcego i stałość ciężarów, i stawali narówni z niewolnikami prywatnymi. Byłby to los tak ciężki a tak niezasłużony, że panujący nieraz nie wahali się w chwili nadania niewolników swych kościołowi wyzwolić ich faktycznie z niewoli i narówni z włościanami ich postawić. Ciekawy przykład tego mamy w dyplomie zagojskim z r. 1153, w którym panujący, nadawszy kościołowi niewolnych swoich rolników, pastery i rzemieślników, rzekł jednak:

»Hos omnes cum supradicta possessione do praedicto hospitali cum omni posteritate sua in perpetuum iure hereditario libere possidendos ita tamen, ut praetaxati officiales in officiis suis serviant (niewolno ich zatem było do cięższych prac używać), Chobriani vero et artifices more liberorum hospitum, nunquam tamen a praedicta possessione recessuri« (a więc przywiązani do gleby, ale na stosunku wieczysto-czynszowym).

Miał w tem panujący zresztą i swój własny interes. Gdyby niewolników swoich jako niewolników nadawał kościołowi, byłby się pozbawiał nie tylko wszelkiej nad nimi, jako nad niewolnikami prywatnymi, władzy, ale także wszelkich od nich korzyści. Wolał więc panujący zastrzegać sobie pewne od nich ciężary, zachowywać pewien związek ich ze sobą, a tem samem przynajmniej do pewnego stopnia z niewoli ich wyzwalać. Przykłady tego i dowody podaliśmy w rozdz. 2-gim, w ustępach, w których panujący wszystkich poddanych kościoła od pewnych ciężarów swoich uwalnia i pomiędzy włościanami-dziedzicami a niewolnikami nie robi różnicy.

O ile więc tracili włościanie, o tyle zyskiwali niewolnicy, i obie

klasy zlewały się prawie w jedną osobną klasę poddanych kościoła: »homines ecclesiae«.

Że poddani kościoła wyżej stali od niewolników prywatnych, niżej zaś od dziedziców książęcych, na to klasyczne dowody przytoczyliśmy, — w rozdz. 1-szym — w zapisce kościoła na Piasku we Wrocławiu z końcem XII wieku. Ludzie skazani na niewolę otrzymują łaskę (sed concessum est eis): poddaństwo kościelne. Poddani zaś kościelni, przypominający sobie dawne czasy, kiedy ojcowie ich byli dziedzicami książęcymi, zbiegają napowrót do dóbr książęcych i kościół drogą procesu musi napowrót ściągać ich pod swoją władzę.

Cóż wreszcie działo się z niewolnikami prywatnymi, nadanymi kościołowi? Nadawano ich kościołom tak nielicznie, że niewątpliwie w ogólnej masie poddanych kościelnych niknęli. Duch zresztą kościoła, sprzeczny z niewolą, i porządniejsze gospodarstwo kościelne równało ich prędko z resztą kościelnych poddanych.

4. Ludzie wolni.

Już w kronice Galla mamy wskazówki, które nam pozwalają przypuszczać, że w Polsce XII wieku istnieli ludzie wolni w całym tego słowa znaczeniu, t. j. mogący dowolnie obierać sobie miejsce pobytu i rodzaj pracy, a nie posiadający wyższych praw, t. j. nie należący do rycerstwa.

Wspomina Gallus najpierw o »liberati« (415, 14), a zatem o wyzwolencach. Nazwę tę z trudnością przyszyłoby nam odnieść do dziedziców książęcych, bo stanowisko ich w porównaniu z niewolnikami książęcymi nie było o tyle wyższe, ażeby do przejścia z niewolnika książęcego na dziedzica potrzeba było osobnego aktu »wyzwolenia«, wystarczyła pewna ulga i zrównanie w ciężarach książęcych. Trudno też wyzwolonym nazwać niewolnika, który przeszedł w poddaństwo kościoła. Jeżeli zatem może być mowa o człowieku, który jest »liberatus«, a nie jest rycerzem, to przypuszczać musimy, że wyzwolencem był niewolnik lub nawet dziedzic, którego pan, a względnie książę, zupełnie z pod władzy swojej i po-

winności wypuścił, a tem samem wolność pracy i pobytu mu nadał. Wszystko to mówimy w przypuszczeniu, że «liberatus», o czem poniżej, nie został zarazem rycerzem.

Druga wzmiankę, wyraźniejszą, znajdujemy w słowach:

»quicumque probus hospes apud eum (Boleslaum) in militia probabatur« (410, 8);

byli więc może i tacy »hospites«, t. j. cudzoziemcy, którzy przybywali do Polski nie dla służby rycerskiej. Pisze też Gallus dalej:

»Habebat etiam (Boleslaus) aucupes et venatores omnium fere nationum« (409, 16), a więc sprowadzonych z zagranicy; wspomina o kupcach przechodzących przez Polskę (394, 9), a czyż żaden z nich w Polsce się nie osiedlił; wspomina nareszcie o żydach handlujących niewolnikami (429, 2). Jakież stanowisko ci ludzie zajęli. W rycerstwo niewątpliwie nie weszli, a wszak nie nato przybywali do Polski, ażeby przyjmować poddaństwo choćby takie, jak dziedziców książęcych. Miejsce dla nich było tylko w klasie ludzi wolnych, nie-rycerzy, a jeśli takiej klasy nie było, to oni ją pomalą tworzyli.

Więcej o »ludziach wolnych« dowiadujemy się z dyplomatów. Początek tej klasy był dwojaki:

a) z dziedziców, których książę od poddaństwa swojego uwolnił; czytamy w dyplomie zagojskim z r. 1153:

»His, quae debent, restitutis, aratores liberi recedant«.

Jeśli więc mogli w charakterze wolnych ludzi ustąpić z gruntu książęcego, darowanego kościołowi, to oczywiście mogli się udać, gdzie chcieli, i nowego stanowiska swobodnie sobie szukać.

b) z cudzoziemców, przybywających do Polski a nie szukających rycerskiego zawodu, lecz osiadających w dobrach prywatnych lub książęcych na mocy dobrowolnej umowy, w charakterze rzemieślników lub rolników. Wspomina o nich, zowiąc ich »advenae« lub »hospites«, wyraźnie już dyplomata gnieźnieński z r. 1136. Stanowisko ich określa jednak dokładnie tylko dyplomata zagojski z r. 1153:

»Artifices (nadani przez księcia) more liberorum hospi-

tum serviant, nunquam tamen a praedicta possessione recessuri«; a więc »liberi« mogli »recedere«, t.j. miejsce pobytu i rodzaj pracy sobie obierać, skoro książę, równając swych »artifices« z »liberi«, musiał zastrzec, że o tyle nie będą im równi, iż nie będą mogli »nunquam recedere«.

Czy ludzie wolni mogli nabyć ziemię na własność, a przez to nie wejść jeszcze w rycerstwo? Odpowiadamy, że mogli, bo, jak widzieliśmy, ciężary książęce spoczywały tylko na poddanych książęcych, nie zaś na gruncie, a rycerstwo, jak zobaczymy, nie było jeszcze wcale przywiązane do własności ziemskiej, lecz stanowiło czysto osobisty zawód. Mamy zresztą przykład, że żydzi nabywali dobra ziemskie, a przecież nikt do rycerstwa ich nie zaliczy. Zapiska kościoła na Piasku we Wrocławiu z końca XII wieku przechowała nam ten fakt w słowach:

»Villam Tinech emit comes Petrus a Judaeis«.

Wątpliwszą jest pod względem swego znaczenia wzmianka dyplomatu mogilneńskiego z r. 1165:

»Villam Raniglow... ab ipso (abbate Mogilnensi pro villa Krzitha) accepi (Boleslaus) et homini meo Nanzlav petenti contuli«, możemy ją bowiem tłumaczyć w trojaki sposób: 1) książę włościanina swego osadził na wsi Raniglow jako zwykłego czynszownika, 2) książę służebnikowi swemu nadał wieś Raniglow na własność w nagrodę, a tem samem uczynił go wolnym, 3) książę nadał mu wieś w nagrodę jako rycerzowi.

O stanowisku ludzi wolnych wobec sądu i prawa nie wspominają nic dyplomata. Musimy jednak przypuszczać, że mieli dostęp do sądu i prawa, bo przecież nie mogli niżej stać od dziedziców książęcych, którzy opieką prawa publicznego się cieszyli. Więcej o ludziach wolnych możemy dopiero powiedzieć w rozdz. następnych, w których zobaczymy, że do nich przechodziły, a raczej spadały, jednostki ze stanu rycerskiego i duchownego. Tutaj powiemy zaś, że ludzie wolni — w powyższem znaczeniu — zjawiają się w XII wieku tylko nielicznie i wyjątkowo, powstają świeżo i stanowią zawiązek klasy, która może później się rozwinęła, ale w XII-tym wieku jako wolna klasa jeszcze wybitnie nie występuje.

5. Rycerstwo.¹

Pieśń na śmierć Chrobrego, umieszczona w Gallu, wyliczając stany oplakujące Chrobrego, »omnis ordo«, wspomina jednak w Polsce pierwotnej nietylko włościan, lecz także rycerstwo i duchownych: »miles, clerus, insuper agricolae« (413, 21).

Rycerstwo stanowi osobną warstwę, oddzieloną nietylko od duchowieństwa, ale także od włościan swoim powołaniem, rzemiosłem wojennem:

»Patria, ubi milites bellicosi, rustici laboriosi« (395, 5).

Czy jednak wszyscy ci, których panujący w razie wojny powoływał do obrony kraju, tworzyli rycerstwo? Zbadajmy to pytanie bliżej.

Mamy w Gallu wiele ustępów, z których wynika, że ogół ludności, z wyjątkiem chyba niewolników prywatnych, obowiązany był do służby wojennej.

Potwierdzają nam to wyraźnie dyplomata w tych ustępach, przytoczonych powyżej, w których panujący uwalnia wyjątkowo poddanych kościoła — dziedziców i niewolników — od »expeditio, opus castri, stroza«. Z tego, cośmy na podstawie dyptomatów i wiadomości Herborda powiedzieli o organizacji dziedziców i niewolników książęcych, możemy nawet przypuszczać, że ostatni głównie bronili grodów książęcych, pierwsi zaś stanowili popolicie ruszenie. Zgadza się z tym wnioskiem Gallus, o ile wyróżnia obronę grodów od służby wojennej w polu.

a) System ówczesnej obrony kraju polegał przede wszystkim na obronie wielu grodów warownych książęcych, gęsto na granicy rozsianych. W razie mianowicie napadu nieprzyjaciół, ludność oko-

¹ Dyplomata XII wieku, zajmując się nadawaniem ludności wieśniaczej i podając wskutek tego tak liczne o niej wiadomości, bardzo mało mówią o rycerstwie. Z samych dyptomatów niepodobnaby nam też było utworzyć sobie obrazu rycerstwa polskiego z XII wieku. Dlatego zmieniamy tu dotychczasowy porządek przedstawienia i zamiast wiadomości o rycerstwie, zaczerpnięte z dyptomatów, osobno na końcu zestawiamy, włączymy je w obraz rycerstwa, oparty na kronice Galla, przy tych ustępach, do których one należą.

liczna zbierała się do grodu takiego dla jego obrony, n. p. w r. 1109 dla obrony Głogowa przed wojskiem cesarza Henryka:

»Plurimis . . . qui castrum defendere venerant et extra castrum in tentoriis residebant« (467, 26).

Ludzie broniący grodów książęcych (castra, castella, civitates) zwani są »castellani, oppidani, cives«, bez żadnej między temi słowami różnicy (n. p. 433, 6; 433, 15; 467, 17, 18, 22, 26; 483, 26, 9), najczęściej jednak »castellani«, t. j. ludzie grodowi, zamkowi (440, 20; 458, 26; 466, 17), czasem tylko »oppidani« (432, 8; 436, 2), czasem tylko »cives« (395, 95).

Każdy gród obok obrony przez ludzi okolicznych ma jednak swoją stałą załogę dla obrony przed niespodzianym napadem, a załoga ta składa się z rycerzy, osadzonych w grodzie przez panującego; n. p. Krzywousty, odbudowawszy spalony gród Koźle,

»eoque (castello) munito necessariis, suos ibi milites collocavit« (458, 25).

Ci »milites« grodowi musieli się zatem oddawać rycerskiemu rzemiosłu, ubiór, uzbrojenie i żywność pobierali od panującego:

»Suis villicis ac vicedominis, quid de indumentis in festis annualibus praeparatis, quidve de cibis et potibus in singulis civitatibus fieret, interrogantibus . . . (Boleslaus) singulos singulis castellis et civitatibus deputabat, qui loco sui castellanis et civitatibus convivium celebrarent ac indumenta aliaque dona regalia, quae rex dare consueverat, suis fidelibus praesentarent« (409, 27).

b) Grody stołeczne pojedynczych powiatów czy prowincyj były ogniskiem wojskowej organizacji; w nich zbierała się i z nich wychodziła na rozkaz monarchy na wojenną wyprawę ludność, do służby wojennej w polu obowiązana. Gallus podaje nawet liczbę tego żołnierza z pojedynczych powiatów i grodów za Bolesława Chrobrego (404, 9), a mianowicie:

Z Poznania 1300 »milites loricati«, a 4000 »milites clipeati«,
z Gniezna 1500 »loricati«, a 5000 »clipeati«,
z Władysławia 800 »loricati«, a 2000 »clipeati«,
z Gdyczyna 300 »loricati«, a 2000 »clipeati«.

W innym miejscu wspomina, że:

»Castrum Crusvitz militibus opulentum« (432, 8; 433, 7).

Zbrojni, wychodzący z jednego grodu i powiatu, tworzyli osobny zastęp i trzymali się razem na wojennej wyprawie:

»Quaeque provincia quam cohors armata in sua statione persistit« (476, 3).

Biorąc to na uwagę, przypuścić musimy, że obowiązek służby wojennej w polu był bardzo rozległym, co jednak nie przeszkadza wcale wyrabianiu osobnej warstwy ludności, oddającej się rycerskiemu rzemiosłu. Może owi »loricati«, t. j. ciężko uzbrojeni, pochodzili z rycerstwa, zaś »clipeati«, t. j. lekko uzbrojeni, z ogółu ludności.

Widzimy dalej, że wojsko (exercitus) na wielkiej wyprawie wojennej składało się z żołnierzy i ciurów:

»Cum armis militum in meridium dormientium Boleslavi parasitorum exercitus super Ruthenorum multitudine triumphavit . . . coci, inquilini, apparitores« (406, 20);

»Militibus quotquot erant in duobus tantum agminibus ordinatis, ceterae multitudinis alii pabulum equorum, alii victualia quaeritabant, alii vias et tramites et adventum hostium observabant« (464, 24).

Znaczna zatem część ludności czyniła zadość obowiązkowi swemu uczestniczenia w wyprawie wojennej już przez to, że pełniła posługi obozowe, tem samem zaś oddzielała się wyraźnie od drugiej części ludności, która, jako »milites«, walczyła z nieprzyjacielem.

Jeszcze atoli wybitniej wyróżniało się rycerstwo przez to, że panujący, przedsięwzięciami nieustannie zaczepne wyprawy, powoływali do nich tylko sam wybór ludzi zbrojnych, i to przedewszystkiem konnych.

»Convocata multitudine bellatorum, cum paucis electis penetravit meditullium patriae paganorum« (443, 16);

»in Glogov exercitu convocato, nullum peditem sed milites tantum electos equosque praecipuos duxit secum« (446, 2);

»cum expeditis militibus Bohemis obviam properavit« (451, 3);

»Non statim exercitum tanto itinere fatigatum ire domum permisit, sed terram Pomoranorum cum electis de exercitu militibus requisivit« (473, 30);

»exercitu relicto cum electis militibus in antea properavit« (483, 24).

Nieustanne wojny wytwarzały więc rycerstwo, które się od reszty ludności wyróżniało swoim zawodem, uzbrojeniem, służbą konną i sztuką wojenną zachodnią, na którą wielki kładziono nacisk:

»erant (Pomorani) pedites fere cuncti nec ad proelium more Christianorum ordinati« (464, 15).

c) Największy jednak wpływ na wytworzenie się rycerstwa w Polsce wywierała drużyna królewska, o której Gallus wyraźnie wspomina:

»milites et feminae curiales« (401, 4);

»acies curialis curialiter armata« (476, 5).

Jest to zapewne kwiat rycerstwa, który króla nieustannie otaczał, z którym Bolesław Krzywousty przedsiębrał owe mnóstwo niestrudzonych wycieczek wojennych w kraje nieprzyjacielskie za jeńcami i łupem, jedną po drugiej:

»Aliquantulum equis et militibus recreatis« (458, 20; 436, 9; 447, 29).

Dróbny to jest zastęp, tysiąca głów nie wynosi:

»A militibus minus mille peracta fuit tanta strages« (465, 4; por. 462, 4), służy jednak do odparcia nagłego napadu, nim się zbierze ludność powołana do broni:

»Zbigneus cum paucis nondum collecta multitudine adveniens« (438, 2).

»Boleslavus cum exercitu parvo stabat . . . ibi suum exercitum exspectabat« (467, 6).

Drużyna ta dworska, »acies curialis« (476, 5), ubierana (413, 7), uzbrojona (curialiter armata 476, 5) i żywiona niewątpliwie przez króla, oddana wyłącznie wojnie, stanowiła też główny zawiązek i szkołę polskiego rycerstwa. Wspomina o niej już za Mieszka I podróżnik arabski w swoim opisie Polski, świeżo odkrytym.

Chociaż też Gallus w czasie wojny zowie wszystkich żołnierzy »milites«, to jednak »miles«, jako rycerz, ma u niego drugie szczególne znaczenie. Spotykamy ludzi nazywających się »milites« poza wojną, i to zarówno w Gallu, n. p. podczas łowów »quidam miles eius

occurit« (435, 4), jakoteż w dyplomatach, n. p. w album klasztoru lubińskiego: »Vlostonis miles, Petri militis, Bogusae militis, Floriani militis« i t. p.

Stwierdziwszy w ten sposób byt rycerstwa, jako stanu wyróżniającego się od reszty ludności, zapytajmy się, jakie były jego prawa i obowiązki.

a) Pojęcie rycerstwa, jako osobnego, osobistego zawodu i stanu, istnieje już za Chrobrego, o którym mówi Gallus:

»Cum . . . probisque militibus abundaret, querebatur tamen semper, quod solis militibus indigeret. Et quicumque probus hospes apud eum in militia probabatur, non miles ille sed regis filius vocabatur« (410, 5, 6).

Przybywając do Polski z urządzeniami politycznymi Zachodu, przynosiło rycerstwo ze sobą swoje tamtejsze zwyczaje, a mianowicie pasowanie na rycerza:

»Vladislaus (Herman) eum (Boleslaum) accingi gladio disposuit« (440, 20) »Boleslavo milite noviter instituto« (441, 2), i łańcuch rycerski:

»Vos qui torques portabatis in signum militiae« (413, 7).

Nie daje Gallus wskazówek, czy w stosunku rycerza do monarchy polskiego były jakie reminiscencje zachodniego wasalstwa, pojmuje jednak ten stosunek w sposób nader ściśle:

»Sicut miles domino semper et in omnibus obediret« (479, 4);

»non ut domini sed ut milites vel servi suum obsequium pronis mentibus et cervicibus obtulerunt« (439, 2).

Nazywa wreszcie załogę grodową »sui (t. j. regis) fideles« (410, 14; 405, 25).

W każdym razie stała służba rycerska była czemś więcej, niż zwykły obowiązek straży grodowej i pospolitego ruszenia w razie napadu nieprzyjaciół, i opierać się musiała na osobnem wykształceniu a zarazem na osobnem, zapewne dobrowolnie przyjętem, zobowiązaniu. Dlatego za Chrobrego brak było jeszcze w Polsce rycerstwa i chętnie widziano przybywających z zagranicy rycerzy.

Nie byłby potrzebował Chrobry o nich się ubiegać, gdyby jedna z klas narodu była zajęta — jak to wielu historyków przypuszcza — stanowisko rycerstwa.

Stan rycerski jest zaszczytem, do niego liczą się, a raczej z niego wychodzą, najwyżsi nawet dostojnicy, jak wojewoda Sieciech; rycerzami są sami panujący:

»Mescho (II) miles probus fuit« (414, 9);

»rex Boleslavus secundus audax fuit miles et strenuus« (419, 11);

»Boleslaus (Krzywousty) officium suum probi militis ac strenui ducis exercebat« (447, 3);

»Boleslaus suos sicut miles animosus ammonuit« (467, 4).

Z ustępów tych wyprowadzamy wniosek, że rycerstwo było obowiązane pełnić służbę wojenną na każde zawołanie księcia (semper et in omnibus), nawet wówczas, gdy reszta ludności zostawała w spokoju, oraz, że obowiązek ten był ściśle osobistym, że ciążył na osobach, nie zaś na ich majątku i posiadłościach, o których niżej.

b) Prawem rycerstwa jest piastowanie wszelkich urzędów i dostojnictw, czyto urzędów nadwornych (princeps militiae, palatinus, signifer, dapifer, pincerna), czy też terytorjalnych (comites, vastandiones), bo wszystkie te urzędy obok innych prerogatyw były dowództwami wojskowemi, a dowódcą nie mógł zostać, kto nie był pierwaj rycerzem.

c) Tem samem każdy rycerz miał zupełną wolność osobistą prawnoprywatną i odpowiadał przed sądem publicznym. »Si quemlibet (rex) a conspectu suo removebat, quamvis ille rerum suique dominio frueretur, non esse liberum sed trusum carceri reputat« (408, 8). Rycerze-urzędnicy odpowiadali przed samym królem:

»si rusticus de quovis duce vel comite quereretur . . . Boleslaus rem pertractabat« (405, 16);

nie można jednak dowieść ze źródeł, że przywilej ten rozciągał się na całe rycerstwo.

d) mogli (lecz nie musieli) posiadać na własność ziemię, a raczej otrzymać ją z daru monarchy:

»nam et civitatem ei (militi) contulit« (418, 11);

»Boleslaus dare munera non quievit, aliis scilicet pelles palliis coopertas et aurifrisiis delimbatas, principibus pallia, vasa aurea et argentea, aliis civitates et castella, aliis villas et praedia« (444, 23). Obdarowywał król oczywiście tych, którzy mu się zasłużyli, a więc rycerzy.

Przykład nadania grodu spotykamy też w dyplomacie trzemeszeńskim z r. 1145:

»et quia castrum Wisegrad tam ipse quam uxor eius Suli-slava a nobis (Mieszko II) habuerunt pro munere«.

Potwierdzają też dyplomata XII wieku fakt, że w posiadaniu rycerstwa znajdują się liczne nader dobra, któremi rycerstwo jak swą własnością dziedziczną rozporządza.

Jest to własność dziedziczna, zwana dlatego »hereditas« lub »patrimonium«. I tak Zbilut nadaje klasztorowi trzemeszeńskiemu: »patrimonii mei liberi portione, villas . . .« (dypl. 1146), zaś kościołowi w Mogilnie »hereditatem Bogussino« (dypl. 1165). Jan arcybiskup nadaje klasztorowi jędrzejowskiemu: »patrimonii mei liberam portione, villas scilicet has . . .« (dypl. 1154), później zaś: »hereditatem totam, quam habui ex parte cognati mei, cui nomen erat Zmil, filii Bozate, hoc est . . .« (dypl. 1166). Dobrogost temuż klasztorowi darował »hereditatem Padnyewo« (dypl. 1165). Dzierżek kościołowi w Busku darował »hereditates meas, scilicet partem meam . . .« (dypl. 1190). Z daru Korany posiadł kościół wrocławski »villas hereditatis suae quattuor« (dypl. 1155).

Nazwa posiadłości utworzoną jest od imienia pierwszego zapewne właściciela, i to w podwójny sposób: *a*) przez dodanie końcówki dzierzawczej, oznaczającej własność: »ad castellum sui nominis Setheo fugiente«, t. j. do Sieciechowa (Gallus 438, 28), »comes Wlosto contulit villam suo nomine vocitatum Wlostowo« (dypl. trzemeszeński z r. 1145), »comes Stoyslaus contulit villam suo nomine vocitatum Stoyslave« (tamże), »ex dono comitis Zlavonis villam, quae dicitur Zlavno« (wrocł. z r. 1155); — *b*) przez dodanie końcówki patronimicznej, oznaczającej ludność niewolną (familiam), osadzoną we wsi: »ex dono comitis Sulizelavi villam, quae dicitur

Sulizelavici« (dypl. wrocł. z r. 1155), »dominus Nyegoslaus dedit villam suam Nyegoslavice« (dypl. jędrzejowski z r. 1192).

Posiadłości te tworzą własność wyłączną i zupełną, z prawem budowania i utrzymywania młynów, karczem, targów (z opłatą), rybołówstwa w stawach i jeziorach, barci, warzelnii soli, przewozów przez rzekę (z opłatą), myta (teloneum), a zatem z tem wszystkim, co spotykamy we własności książęcej. Zdzisław nadał klasztorowi trzemeszeńskiemu »duas villas cum teloneo«, Trojan dwie wsi »cum clausura super Wislam«, Saul dziesięcinę z barci swoich »decimam cellarii sui«, Janusz w Wyszegrodzie nadał »medietatem tabernarum, foralium, telonei cum villa Lozcuna, cum clausura super Dbram« (dypl. z r. 1145), Pakosław nadał kościołowi na Piasku we Wrocławiu »villam et molendinum« (dypl. z r. 1149) Zbilut klasztorowi łekneńskiemu »in Lokna forum cum taberna« (dypl. z r. 1153), Radosław klasztorowi miechowskiemu wieś oraz »forum et tabernam«, a Mikora nadał »villam cum ecclesia et decimis et forum et tabernam, item sal de Bohegna, aliud sal in Prevenchna, tertium sal Sidignam et aliam tabernam Studencam« (dypl. z r. 1198).

Posiadłości te uprawiało rycerstwo przez czeladź swoją nie wolną, na co w rozdziale 1-ym przytoczyliśmy dowody.

Stanowią one przedmiot nietylko darowizny, na co w dyplomatach liczne przykłady, lecz także kupna-sprzedaży i zamiany. Jan arcybiskup nadał klasztorowi jędrzejowskiemu pięć »villas, quas emeram« (dypl. z r. 1166), kto inny klasztorowi miechowskiemu nadał »villam quae decambita fuit a fratre eius Matheo pro Gostiradic« (dypl. z r. 1198); o zamianach dóbr czytamy też w dyplomie sulejowskim z r. 1178 i lubiążskim z r. 1177.

Powstają tu jeszcze ważne pytania:

1) Czy każdy, kto był rycerzem, posiadał dobra? Odpowiedzieć na to musimy przecząco, wiedząc, że obowiązek rycerski był osobistym, że najważniejsza część rycerstwa, stanowiąca załogi grodów i drużynę książęcą, znajdowała się w zupełności na utrzymaniu króla, że nareszcie dobra ziemskie mogły się stać własnością nawet żydów (rczd. 4), a więc nie stanowiły cechy charakterystycznej rycerstwa.

2) Czy rycerstwo, posiadające dobra, uiszczalo jakie z nich daniny lub powinności? Odpowiedź również przecząca. Widzieliśmy (w rozdz. 2), że wszystkie ciężary poddańcze opierały się nie na ziemi samej, lecz na ludności poddanej. Mogliby więc rycerze ze swoich dóbr tylko o tyle uiszczać daniny i powinności, o ileby w tych dobrach posiadali ludność do ciężarów takichże obowiązana. Wiemy jednak, że niewolnicy prywatni — a tych tylko posiadało rycerstwo — nie podlegali żadnym ciężarom książęcym, bo inaczej nie mogliby być rzeczą w rękę panów, nie mogliby stanowić przedmiotu kupna-sprzedaży nawet zagranicę bez oczywistej dla panującego szkody.

Nigdzie też, ani w Gallu ani w dyplomatach, o daninach lub powinnościach spoczywających na dobrach rycerskich lub na czełdazi ich niewolnej najmniejszej nie spotykamy wzmianki.

3) w czym objawiała się różnica pomiędzy rycerstwem posiadającym dobra a rycerstwem nie posiadającym dóbr? Oto ci drudzy nie mieli samoistnego stanowiska ekonomicznego i, utrzymywani przez księcia, pełnili służbę rycerską nieustannie. Pierwsi zaś, mając własne utrzymanie, pełnili służbę rycerską tylko na zawołanie księcia lub też w tym wypadku, jeżeli specjalnie do druzyny lub do służby urzędniczej się zaciągnęli.

4) Czy rycerstwo było już stanem dziedzicznym? Żadnej o tem wzmianki nie podaje nam ani Gallus, ani też dyplomata XII wieku. Przypuszczać też musimy, że dziedzicznym nie było. Rycerstwo jest zawodem ściśle osobistym, do którego oczywiście, jako do zawodu szaczytnego, rodzice, zaprawiali dzieci. Nadanie dóbr z obowiązkiem służby rycerskiej zapewniało wprowadzić rycerskość potomkom obdarzonego, jeżeli jednak rycerz znajdował się tylko na utrzymaniu księcia, a książę usług jego lub jego synów więcej nie potrzebował, to zawód rycerski się przed nimi zamykał, nie pozostawało nic, jak szukać innego utrzymania i stanowiska, t. j. albo pójść w służbę za kontraktem u jakiego wielkiego pana, albo też w charakterze czynszownika-dzierżawcy osiąść na cudzej roli. W każdym zaś razie rycerz, który przestawał być rycerzem, zachowywał zupełną wolność osobistą i wchodził w stan ludzi wol-

nych. Tenże sam los czekał rycerza, który utracił majątek swój ziemski, a na utrzymanie książęce się nie dostał.

5) Czy istnieli rycerze w służbie osób prywatnych, mianowicie możnych panów? Mamy na to dowód w dyplomie gnieźnieńskim z r. 1136, gdzie wyliczeni są »milites hi...« po imieniu, obok innych sług arcybiskupich. Są oni też sługami, nie mają żadnych posiadłości. Mógł arcybiskup przyjąć na służbę rycerską w swoim dworze ludzi wolnych za kontraktem, albo też nawet z pośród swoich poddanych pewną liczbę do posługi rycerskiej przeznaczyć.

6) Nakoniec, jedno jeszcze spostrzeżenie: Oto cała własność ziemska rycerstwa pochodzi z nadań monarszych, albowiem:

a) w XII wieku nie całe rycerstwo, lecz tylko część jego dobra ziemskiego posiada, a rycerstwo jest czysto osobistym zawodem i przymiotem.

b) w XI wieku istniały jeszcze całe kasztelanje, jak żnińska, w których dowodnie nie było ani własności indywidualnej gruntowej, ani złączonego z nią rycerstwa.

c) niepodobna nam sobie przedstawić takiego ustroju pierwotnych ludów słowiańskich, w którymbym obok »heredes«, nie mających własności gruntowej a mieszkających na gruncie publicznym, istnieli jeszcze niezależnie drobni właściciele ziemscy jako druga liczna i pierwotna klasa. W stosunkach pierwotnych panuje zasada równości. Albo znano już własność indywidualną gruntową, a w takim razie wszyscy wolni, — wszak »heredes«, nie zależą od osób prywatnych, do nich się pierwotnie liczyli — byli właścicielami, albo też znano tylko własność wspólną, a w takim razie wszyscy wolni uprawiali jako owi »heredes« własność wspólną gruntową. Jeżeli zaś mamy do wyboru własność wspólną i własność indywidualną, to oczywiście pierwszej przyznamy chronologiczne pierwszeństwo, najpierw dlatego, że przedstawia nam niższy stopień ekonomicznego rozwoju, a następnie dlatego, że dopiero monarchja piastowska powstanie i rację bytu własności indywidualnej rycerskiej może nam wytłumaczyć.

d) gdyby pierwotnie istniała własność indywidualna jako typ

ogólny, to najpierw trudno byłoby wytłumaczyć późniejsze rozdawnictwo dóbr przez panujących, a dalej —

e) ciężary publiczne byłyby musiały opierać się na ziemi, nie zaś na ludności, i cała znana nam organizacja patriarcalna państwa polskiego, opierająca się na osobistym, patriarcalnym stosunku monarchy do jego poddanych oraz na własności ziemi skupionej w rękę monarchy, byłaby niemożliwą i niedającą się wytłumaczyć.

6. Szlachta rodowa.

Nie pozostawia kronika Galla wątpliwości, że szlachta, »nobiles«, wyróżniała się wybitnie od nie-szlachty:

»Ignobiles nobilibus praeponerat« (431, 22), — rozumie się w obrębie rycerstwa.

Szlachectwo było dziedzicznym, nabywało się jedynie przez urodzenie z rodziców a przynajmniej z ojca szlacheca. Mówią wyrażnie o »genus« następujące ustępy:

»ex occasione forte generis illorum dampnatorum« i dalej: »vos tali, vos tanta prosapia exortos« (408, 22);

»Quidam non de nobilium genere« (418, 11);

»Non solum comites (urzędnicy) verum etiam quique nobiles« (407, 29);

»Setheus palatinus comes, vir sapiens, nobilis et formosus erat« (431, 18) i w związku z tem, »Setheus in castellis aut sui generis aut inferioris comites praeponerat«.

Wysokie miano wyobrażenie o szlachectwie, skoro książętom panującym przyznawano także tylko szlacheckie pochodzenie:

»Swatopole dux Moraviensis hereditarius, genere quidem nobilis, natura ferox, militia strenuus« (472, 25);

»Kazimirus (Odnowiciel, król) de Rusia nobilem uxorem (Marję, siostrę Jarosława, w. ks. kijowskiego) accepit« (417, 2);

»Quamvis sit puerorum nobilium (mowa o Krzywoustym) in canibus et volucris delectari« (434, 24).

Chociaż też w jednym miejscu używa Gallus wyrazu »nobiles« w znaczeniu może tylko: »znakomity«:

»quidam viri nobiles et discreti mirabantur« (471, 2), gdziein-dziej zaś w nagłówku rozdziału pisze:

»De virtute et nobilitate gloriosi Boleslai« (406, 6),

to jednak w ustępach powyżej przytoczonych szlachetne pochodzenie odróżnione jest wyraźnie od rycerskiego stanowiska i przymiotów osobistych, a w szczególności od urzędu »comes« i od zawodu rycerskiego »militia«, wątpić więc nie można, iż szlachta ówczesna nie była ani szlachtą urzędniczą, ani stanem rycerskim, lecz szlachtą rodową. Potwierdza to zdanie wybitnie ta okoliczność, iż nie znano jeszcze nobilitacji. Kazimierz Odnowiciel człowieka, który mu uratował życie, ale był »non de nobilium genere«, udarował nadaniem grodu i urzędu, a przez to podniósł go między znakomitszych, »nobiliores« w narodzie, ale nie zrobił go »nobilis«, t. j. szlachcicem:

»et civitatem ei contulit et eum dignitate inter nobiliores extulit« (418, 11).¹

Czy jednak »nobiles« nie kryją się u Galla pod innemi jeszcze nazwami, które tu możnaby wziąć w rachubę?

a) »Proceres, principes« spotykamy w następujących ustępach:

»omnibus suis ad se principibus et amicis undique congregatis, de regni gubernatione et statu secretius (Boleslaus) ordinavit« (411, 1);

»interrogatus pater (Zbignevi et Boleslai Vladislaus) a principibus« (434, 13);

»interventu episcoporum et principum eum (Zbigneum Vladislaus) advocavit« (433, 19);

¹ Że ustępu tego nie można brać za najdawniejszy przykład nobilitacji, skoro Gallus zamiast powiedzieć »inter nobiles extulit« lub »nobilem creavit« mówi »dignitate (t. j. przez nadanie urzędu) inter nobiliores (znakomitszych) extulit«, o tem świadczą jeszcze następujące ustępy kroniki:

»praecepit nobiliores ex obsidibus ipsius civitatis. . .« (468, 5);

»gens Bohemorum pene militibus probis et nobilioribus est exacta« (478, 18);

»quanta nobilioribus dona dedit, cum nec inquilinus sine munere non recessit« (402, 8).

We wszystkich tych ustępach wyraz »nobiliores« oznacza tylko »znakomitszych«.

»consiliis procerum Zetheum dimittere senem pueri (Vladislaum Zbigneus et Boleslaus) coegerunt« (438, 24);

»cuncti proceres couniti Zetheum sunt secuti . . . facto consilio decreverunt« (339, 5, 17).

Jest tu mowa o możnowładztwie duchownem i świeckiem, o najznakomitszych urzędnikach kościelnych i świeckich, i o wpływie ich na panującego. »Proceres« oznacza toż samo co »principes«, a obejmuje zwykle także i biskupów. Niewątpliwie byli pomiędzy nimi i panowie szlacheckiego rodu, ale niema żadnej podstawy do przypuszczenia, że oni jedni stanowili »proceres, principes«.

b) »Majores, magnates«, oznacza to samo, tylko nieraz w pniejszych jeszcze rozmiarach, n. p. »Setheus maiores inter eos (Wrathislavienses) callide promissis et muneribus attemptabat« (432, 24);

»comes Magnus Wrotislaviensis communicato consilio maiorum et laudato . . . Igitur legatum Magno Wratislaviensisque magnatibus regionis transmiserunt« (431, 17, 22).

c) »Comites«, są to urzędnicy książęcy — »in castellis aut sui generis aut inferioris comites vel pristaldos (Setheus) praeponerat« (437, 5) — bez względu na swoje pochodzenie.

d) »Duces vero suosque comites ac principes, acsi fratres vel filios diligebat« (Boleslaus). Są tu »duces« tak wyraźnie odróżnieni od »sui comites ac principes«, że możnaby przypuszczać, iż w Polsce obok znakomitych panów, czyli urzędników duchownych i świeckich, wyróżniali się jeszcze »duces«, książęta. Gdy zaś nazwę »dux« przyznaje Gallus stale panującym, przypuszczaćby dalej należało, że w Polsce obok pierwotnej dynastji panującej istnieli jeszcze jacyś książęta lub potomkowie książąt, noszący nawet tę nazwę. Może to właśnie oni stanowili owych »nobiles«, t. j. szlachtę rodową; przypuszczenie tem prawdopodobniejsze, że panujący, jak widzieliśmy, przez Galla nazywani są również »nobiles.«

Dodajmy do tego okoliczność, że według Galla szlachty w Polsce jest nader mało, — gdy bowiem Krzywousty, wybrawszy się z osiemdziesięciu towarzyszami na łowy, wpadł w zasadzkę Pomorzan i pięćdziesięciu towarzyszy utracił, powstał krzyk w narodzie, skargi na lekkomyślność króla »de dampno tantae nobilita-

tis« (450, 4). Czyżby ta mała ilość szlachty rodowej nie potwierdziła hipotezy, że szlachtą są tylko potomkowie książęcych rodów?

Jakież jest, pytamy dalej, stanowisko szlachty?

1) Z niej monarcha dobiera sobie najbliższe swe otoczenie, z którym dzieli zabawy, polowania (450, 4); szlachta jest mu jakby pokrewną, n. p. po śmierci Chrobrego żałoba ogółu ludności trwa jeden rok,

»Sed viris nobilibus et faeminis plorare Boleslavum est cum vitae termino terminatum« (412, 10);

nie jest jednak przebywanie w otoczeniu króla wyłącznym prawem czy przywilejem szlachty. Król otacza się dostojnikami.

2) Posiada szlachta pewne pierwszeństwo w piastowaniu urzędów i godności przed nie-szlachtą; źle jest widzianem, że:

»Setheus ignobiles nobilibus praeponebat« (431, 22), lub że:

»contra nobiles liberati se ipsos in dominium extulerunt«

(415, 13),

lecz piastowanie urzędów, choćby najwyższych, nie jest również przywilejem szlachty.

3) Posiada niewątpliwie obok wolności osobistej wielką własność gruntową, w której stawia kościoły:

»quidam nobilis in confinio terrae ecclesiam construxit« (449, 10),

lub buduje zamki warowne, dając im nazwę od swego imienia, n. p. Sieciech — Sieciechów:

»in castro Sethei« (433, 17), »Zetheum ad castellum, quod

fecerat« (439, 6), »ad castrum sui nominis Setheo fugiente« (438, 28);

lecz nie-szlachta mogła także od króla zamki i wsie otrzymywać i dzierżyć.

4) Najważniejszym wreszeie, lecz również nie wyłącznym, bo z urzędnikami królewskimi wspólnie posiadaniem prawem szlachty, zdaje się, było, że ona tylko przed sądem samego króla odpowiadała. Na tę myśl naprowadza ustęp 13 księgi I. kroniki, w którym mowa o skazaniu, ułaskawieniu i łaźni sprawionej złoczyńcom szlachetnym, do których się odzywa Bolesław, sprawiając im łaźnię »sicut pater filiis« i: »vos tanta, vos tali prosapia exortos, talia committere non decebat« (409, 25).

Nie ma więc szlachta rodowa żadnego odrębnego, sobie tylko

właściwego prawa czy prerogatywy — dowód najlepszy, że była ona tylko pozostałością jakichś dawnych, zamartwych już stosunków, nie zaś żywołem świeżo się rozwijającym. Stanowisko jej opiera się na tradycji, polega na uważaniu, nie zaś na rzeczywistych prawnych stosunkach i formach.

Wchodzi też szlachta w obręb rycerskiego zawodu i stanu, najznakomitsi z pośród niej, jak Sieciech, nazwani są »miltes«, a tam, gdzie mowa jest o rycerstwie, nigdzie szlachta nie jest mu przeciwstawiona jako coś odrębnego.

Kilka z powyższych spostrzeżeń znajdujemy stwierdzonych lub uzupełnionych w dyplomatach XII wieku, które z natury rzeczy mało się zajmują rycerstwem i szlachtą.

Występuje tam przed nami cały szereg możnych panów, którzy znajdują się w posiadaniu licznych dóbr i z tychże albo sami zakładają klasztory, albo też uposażenie fundacyj monarszych zwiększają, albo wreszcie w wiecach pod przewodem księcia biorą udział i na dyplomatach w charakterze świadków są wypisani. Jest to jednak hierarchja urzędnicza państwa, nie zaś szlachta rodowa, jak to wskazują ich nazwy:

1) Niekiedy spotykamy ich bez żadnego tytułu oprócz nazwy urzędu, n. p. »princeps militiae Wszeborius« (dypl. jędrzejowski z r. 1165), »Petrus Magnus filius Wszeborii palatinus Cuiaviensis et castellanus Crusvicensis« (dypl. mogilneński 1176), »Paulus sub-camerarius« (dypl. zagojski 1173), »Voyteg dapifer« (dypl. krakowski 1189), »Radvanus cancellarius« (dypl. łekneński 1153) i t. p., a przy każdym biskupie stoi zawsze po imieniu: »episcopus«.

2) Najczęściej nie mają nazwy urzędu, tylko ogólny tytuł »comes«, oznaczający każdego, przynajmniej wyższego, urzędnika. Całe szeregi takich »comites« występują n. p. w dyplomie trzemeszeńskim z r. 1145, św. Wincentego wrocławskim z r. 1149, wrocławskim z r. 1155, łekneńskim z r. 1153, miechowskim z r. 1198. Czasem obok »comes« jest jeszcze nazwa urzędu, n. p. »comes Nicolaus palatinus« (dypl. miechowski z r. 1198, jędrzejowski z r. 1192). Że jednak tytuł »comes« nie oznacza stanu, dowód najlep-

szy w tem, iż bracia owych »comites nie mają tego tytułu, n. p. »Boguslaus frater comitis Petri, Coceborius cognatus comitis Petri« (zapiski kościoła na Piasku z końca XII wieku).

3) Bardzo często występują osoby bez żadnego tytułu. Nie możemy jednak wyciągać stąd żadnych wniosków, bo jest to okoliczność przypadkowa, a raczej właściwość pewnych dyplomatów, mianowicie dawniejszych, że pomiędzy osobami bez tytułu spotykamy najwyższych nieraz dostojników, którzy w innych dyplomatach mają tytuł »comes«.

4) Trudniejsza kwestja z nazwą »nobiles«, którą spotykamy w dyplomatach z drugiej połowy XII wieku:

»petitioni comitis palatini Petri et uxoris eius Mariae et filii Swentoslai ceterorumque nobilium condescendere non distuli« (dypl. św. Wincentego wrocławski z r. 1153);

»multis astantibus nobilibus, quorum haec sunt nomina...« (dypl. jędrzejowski z r. 1153), między nimi arcybiskup;

»Nobiles multi et episcopi, qui convenerunt ad colloquium« (dypl. zagojski z r. 1173);

»coram vicinitate tam nobilium quam simplicium« (dypl. mogilneński z r. 1176, podejrzany);

»testimonio... et aliorum quam plurimorum nobilium« (dypl. krakowski z r. 1189).

Wyraz »nobilis«, użyty w tak ogólnem znaczeniu, odnoszący się do osób, które z innych dyplomatów niemal wszystkie jako »comites« możemy stwierdzić, nie oznacza tu nic innego jak: osoby znakomite, panów i t. p. Jeżeli go -zaś weźmiemy dosłownie, to oprzemy na nim wniosek, który istnieniu pierwotnej szlachty rodowej w niczem nie ubliża, a mianowicie, że w drugiej połowie XII wieku znakomitym panom, dostojnikom duchownym i świeckim zaczęto już dodawać nazwę »nobiles«, nie pojedynczo, ale ogółem wziętym, i że pojęcie szlachty, pierwotnie ściśle rodowe, zaczęło się rozszerzać na arystokrację urzędniczą.

5) Ważniejsze spostrzeżenia czerpiemy z tych dyplomatów, w których znakomici panowie nazywają się »miles«. I tak znany nam z dyplomatu lękneńskiego z r. 1153 »comes Dobrogost« zowie się w dyplomacie jędrzejowskim z r. 1165 »miles magnus

Dobrogostius«. Znany fundator klasztoru łekneńskiego Zbilut, nazwany »comes« w dypl. trzemeszeńskim z r. 1145, zaliczony do »nobiles« w dypl. jędrzejowskim z r. 1153, zowie się »Sbyluth miles« w dyplomacie jędrzejowskim z r. 1165, a »Zbilud Poloniae civis« w dyplomacie łekneńskim z r. 1153. Dowód, że i wielcy panowie należeli do rycerskiego stanu. Toteż:

»Quum Janus comes edificasset ecclesiam in fundo claustrii Cheremesensis, nos omnes duces: Mesconem, Boleslaum, Henricum, Kazimirum una cum archiepiscopo et episcopis et tota militia Poloniae ad eam dedicandam convocavit« (dypl. trzemeszeński z r. 1145).

6) Spotykamy nareszcie niektóre osobistości w dyplomatach z tytułem »dominus«, i to tam, gdzie inni znakomici dostojnicy tytułu tego wcale nie posiadają. I tak w dyplomacie św. Wincentego wrocławskim z r. 1149:

»praesentibus... comitibus: domino Jaxa, Michora, Clemente...«

W dyplomacie jędrzejowskim z r. 1153:

»astantibus nobilibus, quorum haec sunt nomina: ego Ioannes archiepiscopus et Clemens frater meus, dominus Jaczo, Michora, Meczeslaus, Martinus, Zbylut, Micholaus tribunus, comes Bohumilus.«

W dyplomacie czerwieńskim z r. 1161:

»praesentibus etiam terrae nobilibus, scilicet domino Jaszone, Suentoslaos, Syra, Iano, Sassino, Ilic, Gneomiro, Gregorio comite...«

W dyplomacie zagojskim z r. 1173:

»dominum Henricum ducem fratrem meum (Casimiri) dedisse terram Zagost... sicuti comes Petrus Magnus eam circumivit... testes huius facti: ego Kazimirus dux, dominus Lupus episcopus Plozensis, dominus Suentoslaus, Radoslaus, Paulus subcamerarius, praeter hos quoque dominus Saxo (Iaxo?) et alii nobiles multi.«

W dyplomacie jędrzejowskim z r. 1192:

»dominus Nyegoslaus dedit villam suam Nyegoslavice«.

Widzimy z tych ustępów, że tytuł »dominus«, służący podów-

czas stale biskupom i panującym, nadawany jest nadto wyjątkowo pewnym osobistościom; czy dlatego, że one pochodziły z książęcego rodu i że świadomość tego pochodzenia w społeczeństwie się utrzymała? Jest to jedyny fakt, który z dyplomatów XII wieku na rzecz książęcego pochodzenia rodzin pierwotnych możnaby przytoczyć. I tu jednak spotykamy się ze zjawiskiem, że tytuł »dominus« coraz staje się częstszym. W dyplomacie miechowskim z r. 1198 ma go już wielu dostojników.

7. Duchowni.

Odrębną warstwę tworzą w Polsce pierwotnej duchowni, na zasadzie swego powołania i święceń kapłańskich. Jest to hierarchja publiczna, odpowiadająca ściśle rycerstwu.

»Archiepiscopi, episcopi, abbates, monachi, presbyteri« stoją obok »duces, comites, aliiq[ue] proceres« (411, 10).

Drużynie książęcej rycerskiej odpowiadają »capellani ducales«, którym Gallus trzecią księgę swego dzieła poświęca (459, 23).

Biskupi tworzą wreszcie arystokrację urzędniczą kościelną i jak to widzieliśmy (zob. nadto 439, 7; 443, 25; 453, 7), idą ręką w rękę z arystokracją urzędniczą rycerską.

Wiadomości te uzupełniamy z dyplomatów i roczników genezją duchowieństwa. Tworzyło się duchowieństwo:

1) z przybyszów, jak świadczą liczne nazwy cudzoziemskie duchownych;

2) z synów szlachty i rycerstwa, gdyż niektórzy duchowni, n. p. Jan arcybiskup gnieźnieński, nadaje liczne dobra kościołowi jako »hereditatis suae liberam portionem« (dypl. jędrzejowski z r. 1166);

3) niewątpliwie z synów księżych, gdyż duchowieństwo jest jeszcze żonate. W album klasztoru lubińskiego spotykamy:

»Filomena sacerdos cum uxore Bogodar et filiabus«;

4) z włościan poddanych, oczywiście za zezwoleniem pana, o czym świadczą dyplomata papieskie, zezwalające przyjmować do klasztorów tylko ludzi wolnych:

»Liceat vobis (t. j. klasztorowi) clericos vel laicos liberos et absolutos a saeculo fugientes ad conversionem recipere et eos absque contradictione aliqua retinere« (dypl. wrocławski z r. 1193, i t. d.).¹

Małżeństwo księży musiało też wytwarzać osobną warstwę księdzowiczów, która oczywiście, o ile opuszczała powołanie duchowne, wchodziła w stan ludzi »liberi«, jak o tem wspomnieliśmy już w rozdz. 4.

Wyniki badania.

A więc składając cegielkę do cegielki, możemy sobie stworzyć zupełny obraz społeczeństwa polskiego z XII wieku z samych źródeł współczesnych.

Znaleźliśmy siedm klas społecznych i przynajmniej w głównych zarysach nakreśliśmy każdej z nich stanowisko, a w szczególności:

- a) niewolników prywatnych i książęcych,
- b) poddanych kościelnych,
- c) dziedziców-czynszowników książęcych,
- d) ludzi wolnych,
- e) rycerstwo,
- f) szlachtę rodową,
- g) duchowieństwo.

Zastanowiwszy się nad każdą z tych klas z osobna, spróbujmy teraz zestawić ją z sobą i zapytajmy się, czy one w tem znaczeniu, któreśmy podali, mogły razem obok siebie istnieć, czy, nawzajem się uzupełniając, mogły sobie wystarczyć, czy wreszcie odpowiadały danym warunkom ekonomicznym, cywilizacyjnym i politycznym?

¹ W ciągu całej rozprawy pominąłem bliższe cytaty dyplomatów XII wieku, odsyłając w tym względzie czytelnika do regestrów Smolki, umieszczonych w dziele jego *Mieszko Stary*.

Otóż odpowiedź twierdząca na to pytanie już na pierwszy rzut oka okazuje się trudną. Aż siedm klas, to na pierwotny ustrój społeczeństwa za wiele, a niejasne ich od siebie odgraniczenie oraz brak jednolitości wewnętrznej czynią rzeczą niemal niepodobną zestawienie ich w jeden system jasny i zrozumiały. I wniosek ten byłby zupełnie sprawiedliwym, gdybyśmy owe siedm klas myśleć mieli obok siebie jako siedm kast społecznych równie żywotnych, równie znacznych i uprawnionych. Tak jednak bynajmniej nie jest.

Dzięki stosunkowej mowności źródeł naszych z XII wieku mogliśmy uchwycić społeczeństwo ówczesne w pełnym jego rozwoju i ruchu. Ten ruch wytlumaczy nam zagadkę i usunie pozorną sprzeczność.

Pomiędzy owemi siedmioma klasami znaleźliśmy trzy, mianowicie niewolników, dziedziców i szlachtę, w XII wieku już tylko w postaci stanów obumierających, nie mających warunków bytu a tem samem odrębności ekonomicznej i politycznej, gasnących przed naszymi oczami.

Całkiem przeciwnie trzy inne klasy, t. j. włościanie poddani, rycerstwo i duchowieństwo, przedstawiły nam się w postaci stanów żywotnych, rozwijających się nieustannie, odgraniczających się od siebie coraz to wyraźniej, zlewających się każdy w swoim obrębie ku coraz to wybitniejszej jednolitości.

Jedna wreszcie klasa, ludzie wolni, wystąpiła przed nami dopiero w słabych i pierwszych swoich zawiązkach, o których niepodobna nawet odgadnąć, jak się następnie rozwina, jakim ulegną kolejom.

Mamy zatem przed sobą ślady przeszłości, terażniejszości (t. j. wiek XII) i zawiązki przyszłości.

Jakiej przeszłości sięgają owe ślady? Odpowiedź nader prosta.

Organizacja społeczna, która się przedstawia żywotną w XII wieku, odpowiadała oczywiście ówczesnym warunkom, t. j. wielkiemu, jednolitemu państwu polskiemu z silną, monarchiczną, patryarchalną władzą. Ta zatem organizacja społeczna, z której w wieku XII pozostały już tylko zmartwiałe szczegóły i ślady, musiała istnieć

w czasach, poprzedzających utworzenie jednolitego państwa polskiego i monarchji, w czasach, w których na terytorjum późniejszej Polski mieszkali tylko drobne ludy i szczepy słowiańskie.

Pomyślmy sobie teraz, że owa organizacja, znana nam tylko z jej śladów, istnieje w całej swojej żywotności i sile, to będziemy mogli się zapytać, czy ona owym przedhistorycznym stosunkom odpowiada?

W niewolnikach XII wieku widzimy dalszy ciąg twardszej niegdyś niewoli, która u ludów stojących na stopniu przedpaństwowej organizacji rzeczą jest zwykłą. I wówczas, tem więcej niż w XII wieku, dostarczali ich jeńcy wojenni, i wówczas stanowili oni niewątpliwie przedmiot zamiennego handlu, sięgającego niezmiernie daleko.

W szlachcie XII wieku widzimy ślad dynastji książęcych, które nad drobnymi ludami słowiańskimi władaly, i o których przechowała się żywa jeszcze w XII wieku tradycja.

W dziedzicach książęcych XII wieku posiadamy nareszcie najwerniejszy typ ludności, która tworzyła pierwotne ludy i szczepy. Była ona wolną, bo, tak jak dziedzice w XII wieku, odpowiadała przed sądem publicznym, pełniła służbę wojenną i zależała wyłącznie od władzy publicznej.

Czy miała własność indywidualną gruntową? Oto sądząc po stanowisku dziedziców książęcych z XII wieku, wnioskować musimy, że jej nie miała, t. j. że pojęcia własności indywidualnej gruntowej w prastarych czasach nie znano. Ziemi było tak podostatkiem, ludności stosunkowo tak mało, uprawa na tak pierwotnym stała stopniu, że tylko praca ludzka, nie zaś ziemia, przedstawiała wartość. Lud jako taki strzegł swojego terytorjum, ale jednostki zajmowały sobie z tego terytorjum dowolnie pewne części, nie przywiązując do nich wartości. Ciężary, daniny i powinności, przywiązane były, tak jak w XII wieku, do osób, nie zaś do ziemi i do jej obszaru. Istniało zatem tylko pojęcie własności nieruchomości wspólnej, publicznej, książęcej, a pojęcie własności indywidualnej nie miało jeszcze czasu i warunków, aby się mogło wytworzyć. Ważny na to dowód znajdujemy w tej okoliczności, stwierdzonej w dyplomatach najstarszych, że później jeszcze monarchowie piastowscy uposażali

biskupstwa całemi okręgami (kasztelanjami), z wszelką mieszkającą w ich obrębie ludnością (n. p. arcybiskupstwo gnieźnieńskie otrzymało »totam provinciam de Znein his contentam villis... cum his possessoribus...«). Nie mógłby tego panujący czynić, gdyby nie cała ziemia była jego własnością, gdyby nie wszyscy mieszkańcy byli pierwotnie jego ludnością poddaną, gdyby własność indywidualna była podstawą całej organizacji społecznej, a tem samem w każdym zakątku istniała.

Organizacja zatem pierwotna, z której w XII wieku tylko martwe pozostały ślady, odtworzona z tych śladów, odpowiadała pierwotnym warunkom i sama przez się mogła do bytu drobnych ludów i szczepów zupełnie wystarczyć, tak, iż niema żadnej podstawy i potrzeby, ażeby w sposób sztuczny fantazją w czemkolwiek ją uzupełniać.

Cóż się z nią stało w chwili, kiedy warunki jej dawne zupełnie się zmieniły, kiedy w miejscu drobnych ludów stanęło wielkie państwo, w miejscu drobnych książątek jeden monarcha, w miejscu pogaństwa chrześcijańska cywilizacja?

Otóż przedewszystkiem wszystkie prawa drobnych książątek, lub — gdzie tych nie było — władz republikańskich, przeszły teraz na monarchę. W jednych okolicach stało się to drogą fizycznej przewagi i walki, w drugich siłą spokojnego poddania się słabszych mocniejszemu. Jedna szczęśliwa dynastia Piastów — połączyła luźne dotychczas ludy i szczepy i w miejsce ich władz najwyższych stanęła. Do niej należała teraz cała ziemia i cała ludność.

Cóż się stało z dynastjami książęcymi pozbawionemi władzy? Zatrzymały one tylko tradycyjne poszanowanie u ludności, zamieniły się w szlachtę rodową, która nie mogła się uzupełniać, bo nie było już sposobu uzyskania władzy książęcej. Ci atoli książęta i te dynastje, które dobrowolnie poddały się Piastom, musiały za to otrzymać pewne korzyści, musieli im Piastowie wydzielić pewne kawały ziemi na własność prawnoprywatną i pozostawić niewolników. W tej postaci widzimy też potomków rodzin książęcych w XII stuleciu. Zamierają jako szlachta rodowa, ale tworzą

rdzeń nowego czynnika: możnowładztwa opartego na wielkiej własności ziemskiej, z której hojną dłońią uposażają kościoły i klasztory,

Ogół ludności, t. j. dziedziców, przeszedł pod wyłączną władzę Piastów i na dawnych pozostał warunkach. Dawny jego podział na ludy posłużył niewątpliwie za podstawę nowej organizacji w kasztelanje.

W losie niewolników zaszła chyba ta zmiana, że dawniej byli własnością samych książąt, teraz zaś część ich stanowiła własność monarchy, druga zaś część własność szlachty.

Wkrótce atoli organizacja ta społeczna: szlachty, dziedziców książęcych i niewolników, zaczęła się przeobrażać pod wpływem kościoła i monarchji. Zmiany te i ich przyczyny możemy z całą dokładnością wytłumaczyć.

Pierwszym, który się pod wpływem nowego kościoła wytworzył, był stan duchowny. Oparł się on na wielkiej własności gruntowej, którą mu wraz z ludnością wydzielili panujący, a którą następcy jego i możni panowie następnie zwiększali. Związkiem jego byli duchowni, przybywający do nas nieustannie z Zachodu, a rozradzający się tu, gdyż zasada celibatu nie była jeszcze przeprowadzoną. Wkrótce atoli stan ten zaczął się zasiląć krajowcami, poczęści szlachtą, poczęści włóścianami dóbr kościelnych lub książęcych, oczywiście za zezwoleniem ich panów duchownych a względnie monarchy. Takim widzimy go w XII stuleciu.

Drugim, który się wytworzył pod wpływem nowej monarchji, był stan rycerski. W dawnych czasach nie było go wcale, bo obowiązek powszechnej służby wojennej czynił zadość potrzebie drobnych ludów, a dopiero wielkie państwo, nie mogąc ogółu ludności odrywać nieustannie od produkcyjnej pracy, musiało jedną warstwę wyłącznie rzemiosłu wojennemu poświęcić. Nie jest to, tak samo jak duchowieństwo, żaden stan ściśle w sobie zamknięty, rodowy, lecz jest to warstwa ludzi odrębna swoim powołaniem i zawodem, w czym leży drugi dowód świeżej jej egzystencji. Monarcha pewną część swojej ludności — wolnej, t. j. dziedziców, a może także i niewolnej — odrywa od roli i przeznaczają na załogę grodów i do swojej przyboecznej drużyny, część też rycerstwa, lubo

niewątpliwie mniejszą, wabi do służby swojej z zagranicy. Rycerstwo nie ponosi ciężarów książęcych — oprócz służby rycerskiej — bo jest na utrzymaniu księcia i jako klasa nieprodukcyjna nie ma z czego ciężarów tych uiszczać.¹ Droga zasługi prowadzi jednostki z pośród rycerstwa do urzędów, zaszczytów i majątku w ruchomościach, a w szczególności w jeńcach. Wówczas to panujący zaczynają rycerstwu nadawać ziemię i rozdawnictwo to trwa nieustannie, na coraz to szerszą skalę, przez cały wiek XI i XII. Przyczyny jego są nader jasne i zrozumiałe. Im więcej się rozradza rycerstwo, tem trudniej staje się panującemu trzymać je na swoim wyłącznym koszcie. Rad więc przynajmniej części rycerstwa tworzy samoistne stanowisko ekonomiczne. Ziemia nie kosztuje monarchę, bo ma jej do zbytku, szafuje więc nią hojnie, nadaje ją każdemu, kto sobie zarobił kapitał, głównie w jeńcach, wystarczający do jej uprawy. W ten sposób część rycerstwa z ulgą skarbu książęcego a z korzyścią ekonomiczną dla kraju osiada na roli i zaczyna ze względu na majątek i stanowisko urzędowe równać się ze szlachtą rodową, która również w służbie monarszej: rycerskiej i urzędniczej, szuka zajęcia i korzyści.

Wytworzenie się stanu duchownego i rycerskiego nie pozostało bez wpływu na tych, którzy pozostali »dziedzicami« w dobrach monarszych. Niegdyś tworzyli oni ogół ludności oprócz książąt i niewolników, teraz stali się tylko jednym ze stanów, i to z wolnych najniższym. Oni jedynie ponosili wszystkie ciężary publiczne, oni wszyscy nie mieli własności gruntowej, która była dostępną duchowieństwu i rycerstwu. Wreszcie część dziedziców dostała się pod władzę kościoła, a przywiązana do dóbr kościelnych, ujrzała osłabionym związek swój z władzą publiczną, książęcą.

Co się nareszcie tyczy niewolników, to część ich w dobrach monarszych i kościelnych, która zbywa od posług dworskich, osiada na roli i zdobywa sobie samoistne stanowisko ekonomiczne, w dobrach monarszych zdobywa sobie nawet stalszą organizację gro-

¹ Gallus przeciwstawia »nobiles« i »liberati«. Czy ci »liberati« nie są rycerstwem zwolnionem od ciężarów poddańczych, a przez to usamowolnionem? Byłby to dowód źródłowy powyższego zdania o powstaniu rycerstwa.

dową, pewną opiekę prawa i udział w obronie kraju, który umożliwiał jej przejście do wolności i rycerstwa. Tylko w dobrach prywatnych los niewolników nie doznaje widocznej ulgi.

Oto obraz organizacji naszej społecznej XI i XII wieku, odpowiadający ściśle ówczesnym politycznym i ekonomicznym warunkom i dla siebie zupełnie wystarczający.

W organizacji tej spotykamy jednak pewne zawiązki organizacji przyszłej, a mianowicie:

a) W drugiej połowie XII wieku zaczyna się zacierać pojęcie szlachty rodowej; nazwa szlachty rozciąga się zwolna na możnowładztwo rycerskie powstałe drogą zasług, a całem swem stanowiskiem ze szlachtą rodową w rzeczywistości się równające.

b) W dobrach kościelnych ludność wieśniacza, dziedzice i niewolnicy, zaczyna się spływać w jeden stan poddanych kościoła środkujący pomiędzy dziedzicami książęcymi a niewolnikami prywatnymi.

c) Z ludności wieśniaczej, odrywającej się wyzwoleniem od roli, z obcych przybyszów nie-rycerstwa, z odpadków wreszcie stanu duchownego i rycerskiego — zaczyna się zwolna wytwarzać nowy stan, ludzi wolnych.

Mamy więc już w źródłach XII wieku wskazówki, że później powstanie stan szlachecki oparty na posiadłościach ziemskich, na który złoży się dawna szlachta rodowa i rycerstwo z zasługi, że później wyrobi się stan włościan poddanych i przywiązanych do roli prywatnej a niewola zniknie, że wreszcie wytworzy się stan włościan wolnych czynszowników. Czy to nastąpiło, na to odpowiedź można znaleźć w troskliwym zbadaniu źródeł następnego stulecia, co już granice pracy niniejszej przekracza.

Czy te źródła późniejsze do lepszego poznania stosunków naszych pierwotnych nie mogłyby nam jednak posłużyć? Zdanie moje w tym względzie wypowiedziałem we wstępie do niniejszej rozprawy. Tutaj je jeszcze powtórzę. Oto pożytek ze źródeł naszych, mianowicie XIII wieku, jest dla zbadania pierwotnej naszej organizacji społecznej wielki i niewątpliwy. Nieraz, układając z lakonicznych

źródeł XII wieku mozolnie niektóre spostrzeżenia, musiałem się przezwyciężyć, ażeby nie przytoczyć znanego mi dyplomatu z początków XIII wieku, w którym spostrzeżenie to wybitnie i szeroko się uwidocznia. A jednak pozostałem wiernym zasadzie wypowiedzianej we wstępie, ażeby do źródeł XII wieku się ograniczyć. Mam bowiem silne przekonanie, że geneza naszego społeczeństwa tylko dlatego po dziś dzień jest do tego stopnia kwestją wątpliwą i sporną, że w badaniu jej nadużyto i błędnie użyto metody wstecznego wnioskowania. Dawniej posługiwano się nią prawie bez świadomości, od czasu zaś Wojciechowskiego, który pół książki swej o Chrobacji teorią wstecznego wnioskowania zappełnił, — ze świadomością lecz bez należytej ścisłości.

Otóż jednym z celów niniejszej rozprawy jest wykazanie, że spór naukowy o pierwotną naszą organizację społeczną powinien się stoczyć i rozstrzygnąć w obrębie źródeł XII stulecia, kiedy jeszcze organizacja ta stanowczego nie doznała przeobrażenia. W wieku XIII i w jego źródłach znajdujemy ją już w chwili zasadniczego przełomu. Możemy więc z tych źródeł do naszego zadania korzystać, ale tylko pomocniczo, możemy, zdając sobie uważnie sprawę z dodonywającego się przeobrażenia, te tylko szczegóły z XIII wieku w czasy dawniejsze przenosić, *a*) które zdołamy uczepić o źródła XII wieku, *b*) które będą się zgadzać z duchem i systemem organizacji pierwotnej, na źródłach XII wieku dającym się stwierdzić, a o całe niebo odmiennym od ducha i systemu organizacji, do której wiek XIII kładzie główne podstawy.

Dodatek.

Nie uważałbym pracy mojej za zupełną, gdybym wkońcu nie zastanowił się nad hipotezą, która zasadniczo jest odmienną od mojej, a w ostatnich czasach w St. Smolce znalazła swego wymownego obrońcę.¹

¹ Inne hipotezy dawniejsze, mianowicie Lelewela i Maciejowskiego, pomijam tu dlatego, że wyprowadzone są głównie z analogji stosunków społecznych innych ludów słowiańskich, a nawet niemieckich — którą w obecnej

Hipotezie tej przygotował spory materiał źródłowy G. Stenzel w przedmowie do:

Urkundensammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte und der Einführung und Verbreitung deutscher Kolonisten und Rechte in Schlesien. Hamburg, 1832, str. 54—70, a pomnożył go następnie w rozprawach:

Beiträge zur Geschichte des alten einheimischen schlesischen Adels, — Beiträge zur Geschichte des alten Ritterrechts in Schlesien, — Von den Hörigen Schlesiens in XIII und XIV Jhdte, umieszczonych w »*Übersicht der Arbeiten der schlesischen Gesellschaft für vaterländische Kultur im J. 1841.*« Breslau, 1842.

Był to zbiór wiadomości, wyjętych głównie z dyplomatów śląskich XII i XIII wieku, a odnoszących się do pewnych klas ludności, bez próby powiązania ich w jedną całość i przyczynowego wyjaśnienia.

Uczył to dopiero R. Roepell w swojej: *Geschichte Polens*, Hamburg, 1840, gdzie na str. 82—92; 151—154; 305—322, korzystając ze Stenzla a wciągając inne dostępne mu źródła, postawił zupełną, jasną i zrozumiałą hipotezę genezy naszego społeczeństwa. Przez długi czas nie zwracano na nią u nas uwagi, dziś zato tem gorliwszych znalazła zwolenników. Przyjmują ją z małemi zmianami A. Małecki,¹ J. Szujski,² a wreszcie St. Smolka, który w dziele *Mieszko Stary i jego wiek* (Warszawa, 1881, str. 39—100 i 413—424) z jej pomocą źródła nasze z XII i XIII wieku, o ile się do organizacji społecznej odnoszą, tłumaczy, a tem samem

rozprawie zupełnie wykluczam — główny zaś materiał dowodowy, t. j. źródła nasze z XII i XIII wieku przytaczają rzadko i tylko sposobem przykładu. Nie znajdując zaś przy hipotezach tych dowodów, ogół naszych źródeł obejmujących, niepodobna z niemi na polu ściśle źródłowym polemizować. Wiele wniosków Lelewela i Maciejowskiego jest całkiem trafnych, ale tuż obok znajdują się dziwactwa, a zrozumienie istotnej myśli autorów dla zawilego jak rzadko stylu i chwiejności wyrażeń staje się często rzeczą wręcz niemożliwą.

¹ *We wnętrznym ustrój w pierwotnej Polsce.* (»Przewodnik naukowy i literacki«. Lwów 1875, zeszyt lutowy).

² *Historji polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście.* Warszawa, 1880.

hipotezę nowymi dowodami poprzeć i uzasadnić się stara. Wystąpienie to Smolki tem większego jest dla mnie znaczenia, że Smolka znał już w głównych zarysach hipotezę moją z *Dziejów Polski* (Warszawa, wyd. 1. 1879, wyd. 2. 1880), prawda, że podówczas jeszcze żadnym dowodem źródłowym nie popartą, a znając ją, przecież na podstawie swego zbadania źródeł przeciw niej stanowczo się oświadczył. Skąd pochodzi różnica?

Nie uważając widocznie źródeł naszych z XII wieku za dostateczne do nakreślenia z nich samych organizacji pierwotnego naszego społeczeństwa, nakreślił Smolka z obfitych źródeł XIII stulecia przedewszystkiem obraz społeczeństwa polskiego w XIII wieku, i z niego dopiero na wcześniejszy ustrój społeczny wnioskował.

Otóż w XIII wieku znalazł Smolka — oprócz duchowieństwa — trzy warstwy ludności:

a) właściciele wielkich i małych gruntów, do których przywiązaną jest służba rycerska;

b) poddanych, przywiązanych do gleby w dobrach książęcych, kościelnych i rycerskich;

c) czynszowników, osobiście wolnych, pracujących za czynszem na gruntach wypuszczonych im w dzierżawę.

Z pośród tych trzech warstw ostatnią, t. j. czynszowników, uznać należało za warstwę świeżo wytworzoną. Pozostały więc tylko dwie klasy, różniące się między sobą wybitnie własnością gruntową a względnie jej brakiem, i dwie te klasy przeniósł Smolka w najdawniejsze czasy, szukając w nich pierwotnych typów naszego społeczeństwa już w jego pogańskiej, przedmonarchicznej epoce bytu.

Różnicę dwóch klas tak wybitną najłatwiej było wytłumaczyć hipotezą podboju, t. j. przypuszczeniem, że naród polski powstał z najeźdźców i z tubylców podbitych. Hipotezy tej, nie znajdując dla niej podstawy w źródłach, nie przyjął atoli Smolka, lecz zastąpił ją inną: zamiast sprowadzać z zagranicy całe rycerstwo, sprowadził z zagranicy wszystkich poddanych-włościan, wywiódł ich z jeńców wojennych niewolników. Hipoteza to o wiele bliższa źródłom, bo wszakże w źródłach XII wieku niewola da się u nas stwierdzić najwyraźniej. Określając też bardzo trafnie i źródłowo niewolę

w Polsce pierwotnej, podciągnął Smolka pod jej pojęcie wszystkich włościan poddanych, stanowiących przedmiot nadań, bez żadnej pomiędzy nimi różnicy.

W tem pierwszy, niewątpliwy błąd Smolki, który wynikł z pospiesznego przenoszenia stosunków XIII wieku w dawniejsze czasy, bez należytego liczenia się ze źródłami XII wieku. W XIII wieku rozliczne rodzaje włościan poddanych zlały się ostatecznie w jedno pojęcie »glebae adscripti«, ale pojęcie to i nazwa nie istnieje wcale w źródłach XII wieku. Nazwa »adscripti« istnieje tylko w połączeniu z »ecclesiae«, a oprócz tej warstwy włościan poddanych kościołowi, którzy zatem w czasach przedchrześcijańskich nie mogli istnieć, spotykamy w XII wieku (jak to wykazałem w rozdz. 1. i 2.) liczną klasę włościan poddanych księciu, zwaną »heredes, possessores«, która jak najwybitniej i nazwą i stanowiskiem swoim wyróżnia się od niewolników, i której już dla samej nazwy z jeńców wojennych wyprowadzać niepodobna. Tę oto klasę, tych »heredes« pominął najbezwzględniej Smolka i żadnej o nich nie czyniąc wzmianki, utopił ich w jeńcach wojennych niewolnikach.¹

Pierwszy ten błąd pociągnął za sobą wszystkie inne. Gdyby bowiem Smolka musiał się liczyć z faktem, że istnieli w XI i XII wieku liczni włościanie, odpowiadający przed sądem publicznym i pełniący służbę wojenną, a nie mający własności gruntowej lecz jedynie dzierżawy w dobrach książęcych, to nie byłby mógł dojść do wniosku, że istotną cechą pierwotnej wolnej warstwy społeczeństwa polskiego jest indywidualna

¹ Wspomina Smolka trafnie, że niewola miała także źródło swe w handlu i w skazaniu za karę, ale były to oczywiście źródła podrzędne. Roepell, a za nim Szujski, mówi o »heredes«, zalicza ich jednak do wolnych czynszowników; jakim sposobem, jeśli stanowili przedmiot nadań? Wskutek tego, prawda że błędnego założenia nie wyprowadza też Roepell, jak Smolka, wszystkich włościan z jeńców wojennych niewolników, lecz w części z wolnych osób tubylców.

własność gruntowa. Twierdzenie to stawia jednak Smolka, bo według niego, kto nie miał własności gruntowej — z wyjątkiem późniejszych wolnych czynszowników — był w pierwotnych czasach jeńcem wojennym — niewolnikiem.

Obok tego pośredniego, logicznego dowodu prowadzi jednak Smolka na swoje twierdzenie dowód bezpośredni, źródłowy. Znalazł w źródłach XIII wieku, a mianowicie w *Liber de Heinrichow*, fakt, że istnieli drobni właściciele gruntu, który własnymi rękami uprawiali i z którego służbę wojenną pełnili, i przenosząc te stosunki w odległe czasy, widzi w tych drobnych właścicielach gruntowych zamierający już, a niegdyś panujący typ polskiego wolnego społeczeństwa. Wsteczne to wnioskowanie nie da się jednak utrzymać, albowiem:

a) Służba wojenna stała się u nas ciężarem gruntowym, przywiązany do własności ziemskiej, dopiero w XIV wieku (Statuty Kazimierza W.: »secundum facultatem bonorum«); stawała się nim w ciągu XIII stulecia, lecz nawet ze źródeł XIII wieku niepodobna dowieść, że każdy, kto własność ziemską posiadał, służbę wojenną z niej, i to w miarę jej rozległości i dochodów, pełnić musiał. Cóż dopiero w XII wieku i wcześniej! Pomiął tu Smolka fakt, że żydzi posiadali dobra ziemskie, pomiął fakt, wynikający jasno z kroniki Galla i dyplomatów, że służba rycerska i wogóle wojenna, jak wszystkie ciężary w państwie patriarcalnem, była obowiązkiem przywiązany tylko do osoby, nie zaś do gruntu, że wielka część rycerstwa znajdowała się na utrzymaniu ksiądzem i żadnej własności ziemskiej nie posiadała (zob. rozdz. 5.)¹. Tych kwestyj Smolka nawet nie porusza.

¹ Co się tyczy rycerstwa, prostuje zresztą Smolka zgodnie z prawdą błędne zdanie Roepella (oparte na dowodach z XV wieku), jakoby szlachta była pierwotnie tem samym co rycerstwo. Szujski wyróżnia aż cztery klasy rycerstwa: a) »duces«, dawnych książąt udzielnich; b) »comites«, których identyfikuje z drużyną ksiądzem (na jakiej podstawie?); c) szlachtę, która powstaje przez pasowanie na rycerza (pomysł nie poparty nawet analogją Zachodu, bo pasowanie jest osobistym zaszczytem); d) resztę, t. j. wszystkich właścicieli gruntowych, do których zalicza »milites«, »liberi« (?), »heredes« (?) a nawet

b) Myli się też Smolka, gdy już w źródłach XII wieku dostrzega przykłady drobnej własności gruntowej. Jeżeli bowiem Gallus wspomina o »quidam non de nobilium genere sed de gregariis militibus« lub »ignobiles nobilibus praeponebat«, to mamy w tem dowód, że oprócz rycerzy-szlachty istniało jeszcze rycerstwo-nieszlachta lub żołnierze pospolici, w czasie wojny oderwani od innych zajęć, ale niema w tem — jak Smolka chce — najmniejszego dowodu,

»decimi«, których ja uważam za niewolników. Małeki, idąc w tym względzie za Szajnochą, nie robi wprawdzie, równo z Roepellem, różnicy między rycerstwem a szlachtą, ale robi różnicę między szlachtą a resztą właścicieli gruntowych. Właściciele gruntowi, zdaniem Małeckiego, stawali się szlachtą wskutek »przywileju«, udzielonego im przez księcia za zastugi a polegającego na tem, iż:

1) dobra ich mogły przechodzić drogą spadku nietylko w linii prostej, jak u reszty właścicieli, lecz także w linii bocznej. Dowód na to miał się zachować w postanowieniu synodu łęczyckiego z r. 1180: »aby po zmarłym duchownym, z rodu szlacheckiego nie pochodzącym, dobra nieruchomości i wogóle cała jego puścizna nie przechodziła na rzecz publicznego już skarbu, lecz przypadała albo krewnym ubocznym albo też kościołowi«. Postanowienia tej treści niepodobna jednak wycytać w uchwałach synodu łęczyckiego:

»ne bona decedentium episcoporum amplius confiscarentur« (Kodeks Wielkopolski I. 32, z bulli Aleksandra III);

»qui demortui bona praesulis invaserit, aut invadi iusserit, sive princeps ille fuerit, sive quaelibet illustris persona, seu quivis officialium, sine omni exceptione anathema sit« (Kadłubek. — *Mon. Pol.* II. 400).

Wszak tu ani śladu różnicy pomiędzy spadkiem biskupa szlachezca a biskupa nie-szlachezca, pomiędzy prawem spadkobrania krewnych zstępnych lub ubocznych.

2) mieli razem z dobrami swemi »immunitatem« od podatków i ciężarów, zarówno osobistych jakoteż ludu pospolitego, a zarazem prawo do pobierania różnych prestacji od kmieci-czynszowników;

3) mieli sądownictwo nietylko nad niewolnikami, ale nawet nad kmieciami osiadłymi w ich dobrach.

Otóż pomijając, że przenoszenie przywilejów, zjawiających się w połowie XIII wieku, w czasy dawniejsze wielkim jest anachronizmem, treść owych przywilejów nie potrzebuje się na przywilejach opierać. Osobiście wolną była szlachta rycerstwo od danin bez przywileju, bo oddając się rycerskiemu zawodowi, nieprodukcyjnemu, nie miała z czego danin składać. Poddani jej niewolnicy nie składali danin, bo byli rzeczą i nie stali w żadnym stosunku do panują-

ażeby ci rycerze »ignobiles, gregarii« mieli jakąkolwiek własność gruntową. Wszak ów »gregarius miles« dopiero za męstwo swoje dobra od panującego otrzymał.

c) Idąc za Wojciechowskim, dopatruje się Smolka prastarej własności indywidualnej w nazwach miejscowości z końcówkami dzierżawczemi, a mianowicie w »Zębocinie«, który przypuszczalnie (dypl. gnieźnieński z r. 1136) istnieć miał już w X wieku. Istniało takich nazw zapewne więcej w najdawniejszych czasach, n. p. Kraków, ale nazwy te nie będą nas zastanawiać, bo wszakże książęta szczepowi obok własności ziemi wspólnej, którą reprezentowali, musieli mieć swoje grody, dwory a może i folwarki, które od ich imienia brały swą nazwę. Mogli je także posiadać członkowie rodziny panującej jako wydzielone im uposażenie, ale nie miał ich ogół ludności.

d) Choćbyśmy zresztą w XI wieku drobną własność gruntową (a istniała już pewnie) źródłowo stwierdzić mogli, to skąd podstawa do wniosku, który czyni Smolka, że własność ta wyprzedzała monarchję? Przynajmniej równem prawem możnaby wnioskować, że własność ta była wynikiem nowszego nadania. Czy ona była wielką, czy małą, to przecież nic nie stanowi. Wsie ówczesne (a nawet, jak ze źródeł XIII wieku widoczna, jeszcze w XIII wieku) nie miały nawet granic, zajmowały taką przestrzeń wśród pustyk i lasów, ile właściciel zdołał uprawić. Kto nie miał czeladzi, ten oczywiście uprawiał mało. Jeśli zaś pierwszy właściciel, przypuścimy wielkich dóbr, miał licznych potomków, to cóż się miało z nimi stać? Musieli przejść w drobnych właścicieli, nie dla tego samego, żeby im ziemi brakło, ale że brakło im kapitału, t. j. rąk ludzkich

cego i dla tego samego nie podlegali jego sądowi. O poddanych zaś kmieciach, t. j. wolnych czynszownikach, choćby ich już pierwotnie posiadała szlachta, co niczem nie jest udowodnionem, twierdzić w żaden sposób nie można żeby byli wolnymi od ciężarów książęcych, lub żeby podlegali sądownictwu panów, bo w takim razie jakieżby miały cel ich znane uwolnienia z drugiej połowy XIII wieku? Z »comites« tworzy Małecki stan dziedziczny, czemu przeczą źródła.

i była do uprawy.¹ Żadnym też sposobem niepodobna, jak to z naciskiem czyni Smolka, uważać za resztkę prastarych drobnych właścicieli gruntowych Boguchwałę Brucalą, o którym mówi *Liber de Heinrichow*, bo wszakże był to świeży przybysz, Czech, a potem »dux dedit« mu grunt jego za usługi »in diebus antiquis, cum domini huius Slesiensis provinciae duces diversis in locis nobilibus et mediocribus hereditates et praedia distribuerent.«

e) Natomiast pomija Smolka wszystkie względy (streszczone w rozdz. 5.), przemawiające za tem, że wszelka własność ziemską indywidualna, którą u nas spotykamy, była wynikiem nadań książęcych za zasługi rycerskie i nierycerskie, nie zwraca uwagi na to, że zarówno Gallus, jak *Liber de Heinrichow* mówią o systematycznym rozdawnictwie dóbr książęcych, że w dobrach prywatnych niema »heredes« lecz tylko niewolnicy, że panujący nadają pierwotnie całe kasztelanje, w których niema śladu własności indywidualnej, i t. p. Tych wszystkich względów Smolka nie rozstrząsa wcale, nie mówiąc o najważniejszym, który hipotezę pierwotnej własności indywidualnej czyni rzeczą wręcz niemożliwą, a jest nim, jak wspomniałem wyżej, byt włościan »heredes« książęcych, którzy w czasach poprzedzających monarchję nie byliby mogli istnieć obok owych drobnych właścicieli gruntowych.

Choćbyśmy zresztą przypuścili, że już przed powstaniem monarchji piastowskiej wszyscy ludzie wolni posiadali własność gruntową, to i tak nie moglibyśmy stąd wyciągnąć wniosku, który z Roepellem czyni Smolka, że następnie cała ta klasa wolnych właścicieli ipso facto, a mianowicie o ile zachowała swą własność gruntową, przeszła w rycerstwo. Sprzeciwiają się temu źródła XII wieku (zob. rozdz. 5.), które do-

¹ Różniąc się w tej mierze z Wojciechowskim, nie widzę przyczyny, dlaczegoby wieś, zamieszkała przez rycerzy-właścicieli, nie miała mieć końcówki patronimicznej na »ice«. Jeżeli bowiem rozrodzeni potomkowie pierwszego rycerza dzielili się wsią i tworzyli zaścianek rycerski, to momentem wybitnym przy nazwaniu wsi przestała być własność, a stało się zamieszkanie jej wspólne przez ludzi jednej nazwy patronimicznej, t. j. »iców«, i dlatego nazwa dzierżawcza wsi zmieniała się na nazwę patronimiczną. Przykłady w *Liber de Heinrichow*.

wodzą, że służba rycerska jest czemś odrębnem od obowiązku pospolitego ruszenia na wojnę, że ten tylko stawał się rycerzem, kto »in militia probabatur«, czyli, że rycerstwo wytwarzało się drogą zasługi. Okoliczność to również przez Smolkę pominięta.

Dla uzasadnienia wreszcie swojej hipotezy o prastarej indywidualnej własności skrzywił Smolka genezę trzeciej warstwy, którą napotkał w źródłach XII i XIII wieku, t. zw. »liberi«, t. j. wolnych czynszowników. Klasa to dopiero tworząca się, a jak źródła wykazują (zob rozdz. 4.), z »hospites«, t. j. cudzoziemców, i z włościan książęcych wyzwolonych z poddaństwa; w małej wreszcie części — możebnie — z rycerstwa i synów księży, porzucających swój zawód. Smolka jednak nie zadowolnia się tem tłumaczeniem, lecz przypuściwszy raz, że pierwotnie istniała własność gruntowa indywidualna, nader rozgałęziona, wpada na myśl, że własność tę można było utracić, pyta się, co się działo z wywłaszczonymi właścicielami, tworzy sobie — bez najmniejszego dowodu źródłowego — hipotezę zorganizowanego bankrutowania drobnych właścicieli i każe im przyjmować stanowisko wolnych czynszowników. Do zupełności obrazu nie brak nawet i żydów, bo skądżeby oni przyszli do własności owej wsi Tyniec na Śląsku w końcu XII wieku! Owi »hospites« to nawet, według Smolki, nie cudzoziemcy, lecz wywłaszczeni właściciele gruntowi. Nowy stąd ma być dowód, że niegdyś indywidualna własność gruntowa istniała.¹

Z całym tem przypuszczeniem niepodobna się zgodzić. Mógł się zdarzyć wypadek, że ktoś dobra swe sprzedał, choćby i ży-

¹ Teorię bankrutowania przejął Smolka również z Roepella, z tą różnicą, że Roepell czynszowników, t. j. zbankrutowanych właścicieli, jako liczną klasę widzi już przed Bolesławem Chrobrym, Smolka zaś każe im zjawiać się później, głównie wskutek ciężarów książęcych, gniotących drobną własność za czasów monarchji piastowskiej. Szujski nie zna zupełnie klasy czynszowników-wolnych, lecz ludzi »liberi« zalicza do właścicieli, zaś »hospites« do niewolników. Małecki wyróżnia wolnych-czynszowników zgodnie z Roepellem, ale »hospites« zalicza do niewolników.

dom, o ile krewni już wówczas nie stawili temu przeszkody, ale o bankrutowaniu systematycznym nie może być mowy, albowiem:

a) fakt tego rodzaju nie mógłby być minąć niepostrzeżony w źródłach XII wieku;

b) nie znajdując go w źródłach, nie potrzebujemy go tworzyć, skoro powstawanie ludzi »liberi« możemy sobie ze źródeł uzupełnić a inaczej wytłumaczyć;

c) nie istniała niewątpliwie w czasach tak pierwotnych egzekucja za długi na nieruchomości, skoro niema jej u nas później, a bez takiej egzekucji trudniej myśleć o bankrutowaniu;

d) tak dobrze bankrutować mogli właściciele pierwotni, t. j. których własność wyprzedzała monarchję, jak właściciele gruntów nadanych im przez panującego, żaden więc z bankrutowania dowód własności pierwotnej;

e) »milites« arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nie potrzebują być bynajmniej zbankrutowanymi właścicielami-wojakami, którzy utraciwszy grunt, służbę u arcybiskupa przyjęli, — jak to twierdzi Smolka — lecz o wiele jest prawdopodobniejszem przypuszczenie, że arcybiskup niektórych ze swych sług niewolnych, czeladzi dworskiej, — do służby zbrojnej, do straży swojego dworu przetransferyował.

Do jakiego też stopnia idea wprowadzenia naszej pierwotnej organizacji społecznej z indywidualnej własności gruntowej nie da się poprzeć źródłowo, tego najlepszym dowodem dzieło Smolki, w innych swoich rozdziałach tak znakomite, zaś w rozdziale o społeczeństwie uciekające się do zbyt licznych i sprzecznych ze źródłami domysłów.

Gdzie brak jest źródeł, wykluczających wszelką wątpliwość, tam hipoteza naukowa uprawnioną jest i konieczną, tam możebnym jest nawet powstanie kilku hipotez ze sobą sprzecznych. Jeżeli jednak hipotezy te mają z równym uprawnieniem obok siebie stać, to muszą uczynić zadość następującym wymogom nauki: 1) nie sprzeciwiać się w żadnym szczególe źródłom; 2) wszystkie źródła i wszystkie kwestje w jakiś, i to zgodny sposób tłumaczyć. Tymczasem hipoteza genezy społeczeństwa polskiego, w dziele

Smolki podana, nietylko w wielu szczegółach sprzeczna jest ze źródłami, ale nadto wszystkich kwestyj związanych z przedmiotem nie rozwiązuje, wielu z nich nawet nie porusza, i dlatego sama przez się nawet wystarczyć nie może. Nimby autor chciał jej bronić, musiałby ją najpierw uzupełnić.

R. 1881.

VI.

BUNT WÓJTA KRAKOWSKIEGO ALBERTA Z ROKU 1311.

Wykład publiczny, miany w listopadzie 1876 r. w Krakowie.

Chodząc dziś po ulicach Krakowa, niepodobna stworzyć sobie obrazu jego minionej świetności. Tylko oko znawcy może rozpoznać dzieło zniszczenia, nad którym pracował koniec XVIII wieku i smutniejsze jeszcze czasy byłej Krakowskiej Rzeczypospolitej. Przeszły przez nasz starożytny gród nędza materialna i ubóstwo ducha, które zamiast w przeszłości czerpać do nowej pracy i do nowego rozwoju otuchę, starało się ją wszelkimi sposobami z pamięci i widoku swojego wykreślić. Osobliwszy wandalizm prześladował każdy strop dębowy w komnatach, każdy łuk gotycki w podwojach i sieniach, każdą kolumnę w facjacie domów; łamał śmiało dachówkowe szczyty, zacierał tynkiem każdy ślad rzeźby i ciosu, bo przez wszystkie te resztki i ślady dawna wielkość przemawiała gorzkim wyrzutem do umysłów pokolenia, które tak głęboko upadło. Trzeba dziś szerokiej znajomości dziejów, trzeba gruntownych studjów, trzeba ujrzeć miasto jak Norymberga, które dawną swą szatę umiało zachować, ażeby stworzyć sobie obraz stolicy polskiej z XV, XVI i XVII stulecia, ażeby stawić sobie przed oczy tę barwną a zarazem poważną mozaikę gotyku, renesansu i baroka, na którą w Krakowie składały się świątynie i gmachy publiczne, drobne ale urocze, artystyczne domy i domki mieszczańskie i wspa-

niałe dwory senatorskich rodzin i miejskich magnatów, Morsztynów, Bonarów, Pipanów, Lubomirskich, Wielopolskich, Kmitów, i... ktoiby ich wszystkich wyliczył?

Ale Kraków ten wielki, wspaniały, sięga początkami swojemi co najwyżej czasów Kazimierza Wielkiego. Jakże wyglądał przedtem, przed Kazimierzem, w XIII i w początkach XIV stulecia? Podróżnego, który wówczas przebiwszy się przez gęste lasy znalazł się w obliczu Krakowa, inny uderzał widok. Nie było jeszcze przedmieść, nie było Kazimierza, Kleparza, które osobne później stanowiły miasta. Kraków zamykał się w obrębie dzisiejszych plantacyj, strzegły go nietyle słabe mury, ile szerokie rowy i ostrokoły. Jeśli je gość przekroczył, znalazł już też same, co dzisiaj, i tak samo nazwane ulice, przy nich domy chędogie, ale skromne, wystawione przeważnie z drzewa, poczęści jeszcze strzechą słomianą pokryte, ogrodami od siebie zwykle odgraniczone; znalazł rynek w pośrodku z ratuszem i handlowemi kramami, w miejscu późniejszych świątyń ujrzał kościołki, w których styl gotycki łamał się dopiero z romańskim. Było się gdzie pomodlić, można było znaleźć gospodę i posiłek; ale jeżeli gościem owym był Polak i na ulicy do przechodnia w ojczystym języku przemówił, przekonał się, że go nie rozumiano, że mowa polska kończy się u bram miasta, a w obrębie jego żywioł i język niemiecki wszechwładnie panuje. Przekonał się, że tylko gród książęcy na Wawelu, groźnie nad miastem wiszący, zapewnia mu, jako Polakowi, bezpieczeństwo i przymuszoną gościnność.

Takim był Kraków w chwili, w której jedną kartę z jego dziejów zamyślamy odtworzyć. Musiały straszne klęski spaść na biedną Polskę, że na jej ziemi powstało, na jej łonie wykarmiło się gniazdo z narodowym żywiołem i duchem tak sprzeczne, tak mu przeciwne i wrogie. W takie klęski obfitowało rzeczywiście trzynaste stulecie. Komuż nie stanęły w pamięci, kto raz o nich zasłyszał, owe straszne napady Mongołów, które tylekroć Polskę ówczesną załazy. Pierwsza nawała, prowadzona przez samego Batuschana, spaliwszy Sandomierz, Kraków i Wrocław, a oparłszy się dopiero o Lignicę, nie pozostawiła po sobie kamienia na kamieniu, a otworzyła wrota nieustannym najazdom barbarzyńskiej dzicy.

Słabi wskutek podziałów po śmierci Krzywoustego księżęta — nie mogli im stawić skutecznego oporu, a tak w krótkim przeciągu czasu dzielnica, na której niegdyś pierwsi Bolesławowie swoją opierali potęgę, gdzie kwitnęło rolnictwo, a pod osłoną grodów polskie zaczynały się rozwijać miasta, stała się jedną wielką, przerażającą pustynią. Resztki ludności, które nie padły pod mieczem i ogniem najeźdźców, które nie poszły w gorszy od śmierci jasyr, błąkały się po lasach wystraszone, wylękle; społeczeństwo straciło swoją spójnię, brakło do pracy rąk, kapitału, a nadewszystko otuchy. Wówczas to dla kraju, pogrążonego w ostatniej ruinie, pozostał jeden środek ratunku, obosieczny, ale ostatni, jedyny: sprowadzenie i osiedlenie Niemców, chętnych zawsze do pochodu na Wschód, w słowiańskie dziedziny. Nie było chwili do stracenia, — chwycili się go oburącz księżęta, a osobliwie panujący podówczas w ziemi krakowskiej, sandomierskiej i sądeckiej, Bolesław Wstydlivy. Przykład księcia naśladowali biskupi krakowscy, naśladowały przedewszystkiem zamożne i Niemcami obsadzone opactwa w Miechowie, na Świętym Krzyżu, w Sieciechowie, na Tyńcu, w Mogile i t. p. Kolonizowały się Niemcami ze Śląska, z Saksonji, z Frankonji, a nawet z Flandrii, wsie polskie, miasteczka i miasta. Wówczas też na zgłiszczach dawnego polskiego Krakowa odbudował się nowy, niemiecki Kraków. Obraz tej kolonizacji skreślony jest w przywileju wydanym miastu w r. 1257 przez Bolesława Wstydliwego, a przechowanym dotychczas w oryginale w tutejszem miejskiem archiwum. Jest to formalny kontrakt, zawarty między panującym a przedsiębiorcami kolonizacji.

Przedsiębiorców takich było trzech: Gedeon zwany Stylwoyt, Jakub, niegdyś sędzia z miasta śląskiego Nisy, i Dytmar Wolk, wszyscy trzej oczywiście Niemcy, prawdopodobnie ze Śląska przybyli. Zobowiązali się oni miasto Kraków samymi cudzoziemcami zaludnić i odbudować, ale pod warunkami, które im książe Bolesław w przywileju zapewniał.

Zakreślono obszar ziemi, na którym miało się wznieść i z niego użytkować nowo powstające miasto. Wisła stanowiła jego południową granicę, Mogiła wschodnią, rzeczka Prądnik północną, posiadłości klasztoru zwierzynieckiego zachodnią. Wsie Rybitwy

i Krowodrza, leżące w tym obrębie, pastwisko na Błoniach i łąki, las na górze Chwacimech, dziś św. Bronisławy, rybołostwo, młyny wodne na Prądniku i Wiśle — wszystko to stanowić miało wieczyścą i nieograniczoną własność Krakowa. Na tym obszarze gromadzili się koloniści, których przedsiębiorcom ze wszystkich stron Niemiec stosunkami i wpływem swoim udało się ściągnąć, i których wieść o zakładającym się wielkiem mieście, o korzystnych dla jego rozwoju warunkach, o łaskawości książąt i udzielonych przywilejach wabiła. Najważniejszym z tych przywilejów było nadanie miastu prawa magdeburgskiego. Było to zapewnieniem, że przybyłe niemieccy, osiedlający się w Krakowie, znajdą tu drugą swoją ojczyznę, urządzoną na wzór najgłośniejszego podówczas w całych północnych Niemczech Magdeburga. Na modłę magdeburgską miały się w Krakowie zorganizować cechy, urządzić rada miejska i wójtowskie sądy. Kraków otrzymał samorząd w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu. Żaden urzędnik książęcy nie śmiał granicy miasta w urzędowym charakterze przestąpić, żadnego urzędnika nie śmiał książę do nadzoru nad sprawami miejskimi ustanawiać. Ludność polska włościańska do obywatelstwa miejskiego nie miała przystępu. Miasto posiadało prawo bicia monety, swobodę od podatków na lat sześć, wolność podróżowania z towarzyszami po całym kraju bez opłaty ceł na lat dziesięć, obowiązek służby wojennej w granicach krakowskiego księstwa¹.

Korzystając z tyłu przywilejów, a nie mając ciężarów, urządził się też i zabudowywał Kraków sposobem niemieckim. Podług planu zgóry obmyślanego stanęły najpierw domy stanowiące czterokątny rynek, *Ring*, większy niż gdziekolwiek w Niemczech, jak na stolicę wielkiego wkrótce państwa przystało; dalej ulice: *Burggasse*, Grodzka, prowadząca do wawelskiego grodu, *Spiteler-*, *Florians-*, *Johannis-*, *Slavkovsen-*, *Stephanis-*, *Schuh-*, *Juden-*, *Wissner-*, *Bruder-gasse*, to jest Szpitalna, Florjańska, Świętojań-

¹ Przywilej ten lokacyjny, drukowany już kilkakrotnie, między innymi w Wiszniewskiego *Historji literatury*, wydany jest: *in colloquio juxta villam quae Coporina vulgariter appellatur a. d. MCCLVII nonas Junii*. Tekst jego, jak i późniejszych przywilejów krakowskich, opieramy na Kodeksie praw miasta Krakowa, przygotowanym do druku przez dr. Fr. Piekosińskiego.

ska, Sławkowska, Szczepańska, Szewska, Żydowska, Wiślana, Bracka, i inne pomniejsze. Ofiarami ogółu i szczodroblowością Iwona Odrowąża wznosiły się częścią z gruzów, częścią z nowego, oprócz kapliczki św. Wojciecha, kościoły: *Unserer lieben Frau, heligen Crucis, sinte Marc* i *sinte Stephanis*, t. j. marjacki, św. Krzyża, św. Marka i św. Szczepana, obok klasztorów Franciszkanów i Dominikanów. Książę Bolesław wystawił wreszcie własnym nakładem Sukiennice i kramy na środku rynku, obok miejskiego *rathhausu*, ratusza¹. Wszystko to otoczone rowami, wałami i jakim takim obwarowaniem, przedstawiało całość w sobie zamkniętą, pełną ruchliwego życia, a o ile początkowo skromną, o tyle z każdym dniem silniej się rozwijającą, i nieustannym napływem obcej ludności, osobliwie ze Śląska, wzmaganą.

Niemcy krakowscy pojęli wybornie geograficzne swe stanowisko. Położeni tuż prawie przy granicy swojej dawnej ojczyzny, zachowawszy z nią ściśle stosunki, a widząc przed sobą niezmierzone przestrzenie Wschodu, chwycili w swoje ręce pośrednictwo w handlu między Zachodem a Wschodem. Dwie wielkie drogi handlowe w Krakowie się krzyżowały: jedna prowadziła od brzegów Morza Czarnego przez Lwów do Wrocławia, druga z Moskwy i Nowogrodu przez Sącz do Węgier i Wiednia. Otóż mieszczenie krakowscy, otrzymawszy najpierw od Bolesława czasowe, następnie zaś od Leszka Czarnego zupełne uwolnienie od ceł, a wyrabiając sobie pomału wolność handlu na Mazowszu, w Węgrzech, Raku-siech, na Rusi, a nawet w odległej Moskwie², skupiali w swoich rękach handel całego Wschodu i olbrzymie zeń ciągnęli korzyści. Druga połowa XIII w. zesłała im rzeczywiście na ciężkiej, ale płodnej i dla nich i dla całego kraju w błogie następstwa pracy. Społeczeństwo polskie, słowiańskie, nie mogło im w tej pracy niewątpliwie równego dotrzymać kroku, toteż przedział między jednym a drugim żywiołem coraz to więcej wzmagał się i zaostrzał. Bru-

¹ Nieoszacowanym źródłem do ówczesnej topografii Krakowa jest świeżo przez dr. Fr. Piekosińskiego wydany: *Liber actorum, resignationum nec non ordinationum civitatis Cracoviae, 1300—1375 (Monumenta medii aevi historica. Tom IV)*.

² Przywileje z Kodeksu praw miasta Krakowa.

talna pycha niemiecka rozpostarła się w krakowskich murach, a ciężąc jawnie ku Niemcom, naród polski, który jej użyczył gościny, traktowała na każdym kroku ze wzgardą i lekceważeniem.

Dawali do tego, niestety, niemało powodu sami Polacy. Śmierć Przemysława w okropną całą kraj pogrążyła przepaść. Władysław Łokietek nie był w stanie utrzymać się wobec Leszka kujawskiego i Henryka głogowskiego, którzy do różnych części jego dziedzictwa rościli sobie prawa, i pomimo walk i układów tracił jedną po drugiej dzielnicę. Zmuszony do ucieczki zagranicę, rozpoczął ową sławną wędrówkę, w której z człowieka słabego charakteru i ciasnych poglądów wyrość miał późniejszy wielki król i bohater. Tymczasem w państwie jego rozprzęgły się wszystkie węzły społeczne i polityczne, i dopiero Wacław, król czeski, w r. 1300 siłą podboju ład mu i porządek wewnętrzny przywracał. Wpłynęło to jednak na naród otrzeźwiająco. Pod obcem jarzmem zbliżyły się ku sobie dzielnice, złożyły na bok nienawiści i waśnie, i poznały się na dobrodziejstwie silnego i jednolitego rządu. Myśl jedności narodowej wy dobyła się w całym kraju z taką potęgą, że kiedy Łokietek zahartowany w tułaczce stanął u jego granic, jarzmo czeskie prysnęło i bezpowrotnie upadło. Skończyła się epoka podziałów, rozpoczęła epoka historycznych unii.

Jaką wśród tych wszystkich minionych przewrotów rolę odgrywał Kraków, nie tu miejsce szczegółowo opowiadać i kreślić. Wystarczy zaznaczyć, że występował jako odrębna, samoistna potęga, z którą każdy, obcy czy swój, musiał koniecznie się liczyć, o którą się musiał ubiegać. Posiadanie Krakowa rozstrzygało niemal o posiadaniu całej małopolskiej dzielnicy, bo na stolicę wszystkie tak liczne wsie i miasteczka niemieckie okoliczne się zapatrywały. Kraków pilnował przede wszystkim swych interesów, przechylał się na stronę tego, kto mu większe przywileje, większą samoistność zapewniał, i kto mu dawał rękojmię, że przyrzeczeń dotrzyma. Zawiedziony na Czechach, dotknięty nieraz do żywego przez Ulrycha Boskowicza, starostę króla Wacława, którego groźne zastępy, na grodzie wawelskim kwatrujące, żadnego nie znosiły oporu, — ujrawszy teraz Łokietka powracającego zwycięsko do dzielnicy przodków, Kraków przechylił się na jego stronę, nie pierwszej

jednak, aż nowy monarcha nowym przywilejem z r. 1306 dawne prawa zatwierdził i nowych, ile tylko miasto mogło zażądać, udzielił. Mieściło się tu przedewszystkiem prawo przymusowego składu. Żaden obcy kupiec w myśl tego prawa nie miał mijać Krakowa, lecz przybywszy tu ze swoim towarem, musiał go mieszczanom krakowskim odprzedać. Postanowienie to łatwo było podówczas wykonać. W kraju zupełnie bezdrożnym — drogi wiodące przez Kraków były to szlaki jedyne, wijące się wśród nieprzebranych dziewiczych lasów i jeszcze więcej niedostępnych moczarów, mirem, to jest opieką księżęcą nad podróżnymi i towarem ich obwarowane. Zboczyć z nich dla karawany kupieckiej było istnem niepodobieństwem. Teraz więc mieszczanie krakowscy kupowali tanio towar, przychodzący zarówno z Zachodu jak z Północy, Południa i Wschodu, a nałożywszy mu dowolną cenę, wysyłali go i jeździli z nim w przeciwnym kierunku. Konkurencja upadła, Kraków chwycił w swoje ręce najzupełniejszy monopol. Podobne skupienie wszystkich korzyści handlowych w rękach jednego miasta, połączone z uszczerbkiem drugich, dałoby się zresztą wytłumaczyć, gdyby Kraków był się nawzajem poczuwał do ciężarów publicznych, do wspierania środkami swemi materialnemi państwa, które mu tak wyjątkowe zapewniało stanowisko. Ale niemiecka ludność Krakowa nie troszczyła się w dziwnym swym egoizmie o losy państwa, wymówiła sobie zupełną wolność od ceł, podatków i służby wojennej, a Łokietek, pragnąc za jakąbądź cenę mieć ją za sobą, musiał w owym pamiętnym przywileju z r. 1306 na wszystko zezwolić¹. Niedosć jednakże na tem. Za przykładem Krakowa wszystkie miasta, miasteczka, kościoły, klasztory, zaczęły się podobnych uwolnień od ciężarów publicznych domagać. Żadne z nich nie chciało za Krakowem pozostać w tyle, ani Sącz, ani Sandomierz, najmniej zaś biskupstwo krakowskie, na którym siedział niemiecki Ślązak — Muskata. Posypały się przywileje². Następstwa nie dały długo na sie-

¹ Przywilej składu z r. 1306 *pridie Idus Septembris Cracoviae*. Przywilej ogólny z tegoż roku, drukowany w rozprawie Helcla o klasztorze jędrzejowskim.

² Zob. przywileje w Kodeksie dyplomatycznym małopolskim, str. 165 i n., w Kodeksie kapitulnym krakowskim, str. 147 i n.

bie czekać. Nie minęło lat kilka, a objawił się w państwie Łokietkowem stan nienaturalny, nieznośny, wiodący z nieubłaganą koniecznością do katastrofy.

1

Trudnemi były dla Łokietka rządy. Łączenie i utrzymanie dzielnic, przyzwyczajonych do chodzenia samopas, nieustanne najazdy wschodniej dziczy, pretensje Czech i Niemiec, budząca się nakoniec z Zakonem krzyżackim śmiertelna walka, wymagały nieustannych wysiłków i ofiar od kraju, który dopiero co tak ciężkie przesilenie przeżył, wymagały skupienia wszystkich sił i zasobów, jakimi mógł rozporządzać. A jednak wskutek przywilejów, udzielonych niemieckim osadom, część społeczeństwa najzamożniejsza, korzystając z opieki państwa, usuwała się upoczywie od jego wspierania i zwałała ciężary publiczne na ludność polską, na szlachcica i chłopą. Ludność ta dźwigała podwójny ciężar patriotycznie, lecz rozpaczliwie. Rola była jedynem jej utrzymaniem, ale hasło wojenne i nagi miecz, przebiegający po wsiach na znak pospolitego ruszenia, nieustannie od pługa odwoływały. Nędza zaglądała pod strzechy, a tu pod bokiem kwitnęły miasta, zamykając się w świeżo odbudowanych i wzmocnionych murach, rozpieęły się opactwa i zamożne klasztory. Zrodziła się straszliwa zawieść społeczna, zaostzona różnością pochodzenia i mowy, zaczęły rabunki przejeżdżających kupców i najazdy kościelnych włóści, którym skołatany książę żadną miarą nie mógł położyć tamy. Nie raz może i książę w ostatecznem niebezpieczeństwie zażądał posiłków, a spotkawszy odmowę, przywilejami jurystycznie uzasadnioną, w krewkości swojej utracił resztę cierpliwości, nałożył cło lub zbrojne zastępy na jednej lub drugiej posiadłości kościelnej rozmieścił. Naprężyła się struna, aż raz pęknąć musiała z łoskotem.

Dziwnem zaślepieniem, niepohamowaną tylko dumą wytłumaczyć możemy, że tym, który ją pierwszy przeciął, były osady niemieckie, a na czele ich miasto Kraków. Zapominając, nie chcąc się domyślić, że przyczyna złego leży w nich samych, w egoizmie

ich własnym, osady niemieckie całą winę składały na panującego, skarżyły się na naruszanie i złamanie ich przywilejów, gardziły żywiołem polskim, a przecież obawiały się ruchu narodowego, który się wśród niego rozbudził, postanowiły zerwać umowę, mocą której się uroczyście Łokietkowi poddały, obce niemieckie ksiąźtka na tron powołać i Małopolskę ostatecznie do wielkiej niemieckiej przyłączyć ojczyzny. Takim był plan, który, długo knowany, w r. 1311 do wybuchu ostatecznie dojrzał. Przypatrzmy się aktorom, którzy wystąpili w wielkim tym naszym dziejach dramacie.¹

Poznać tu należy przedewszystkiem organizację wewnętrzną Krakowa. Na czele miasta stały dwa kolegia urzędnicze. Jedno z nich tworzyli rajcy miejscy, w liczbie sześciu wybierani corocznie przez miasto. Oni tu sprawowali zarząd, pilnowali przedewszystkiem interesów, przemysłu i handlu, prowadzili politykę handlową, która zarazem rozstrzygała o całym stanowisku miasta. Drugie kolegium składało się z siedmiu ławników, mianowanych przez radę, i całą władzę sądową wykonywało. Organizacja miejska była więc

¹ Źródła do buntu Alberta: 1) Przebieg buntu opowiadają nam wiarogodnie lecz wielce lakonicznie współczesne roczniki, mianowicie zaś rocznik kapitulny krakowski w swem dopełnieniu i rocznik kujawski. Opowiadanie Długosza (Tom III, nowego wydania pag. 68) zupełnie wiarogodne, opiera się zapewne na rocznikach i na tradycji. Tradycja ta musiała się żywo przechować, bo po uśmierzeniu buntu nastąpiły konfiskaty, które dobrze zapamiętali następcy poszkodowanych, starający się przez cały XIV wiek o ich odwołanie. Nie można dla tego samego gardzić Miechowitą (pag. 205) i Nakielskim (pag. 236), którzy mogli nadto posiadać nieznanne nam zapiski miechowskie, a pierwszy w każdym razie tradycję. 2) Dyplomaty, obejmujące konfiskaty zarządzane po buncie, uzupełniają historję buntu wybornie, dając nam poznać, po czyjej stronie w czasie buntu stanęły pojedyncze osoby, instytucje i miasta. 3) *Liber actorum civitatis Cracoviensis* podaje nam nareszcie dokładną chronologję buntu i spisy urzędników miejskich w czasie buntu wybieranych, i po jego uśmierzeniu przez Łokietka usuniętych lub pozostawionych.

Zachowując pracy naszej pierwotną cechę popularnego wykładu, objaśnimy go w odpowiednich miejscach dokładnie zebranymi ustępami źródeł, przez co i uczonym badaczom daną będzie sposobność przekonania się, co w opowiadaniu naszym wprost jest ze źródeł wyjętem, a co jest tylko mniej lub więcej zawiętej kombinacji wynikiem.

republikańską, jednakże wśród tej małej rzeczypospolitej przeważny głos i stanowisko zajmowali wójtowie. Przypomnijmy sobie owych przedsiębiorców, których Bolesław Wstydlivy użył do kolonizacji i odbudowania zniszczonego przez Tatarów miasta. W nagrodę zasług, jakie około tego dzieła łożyli, nadał im władzę wójtowską dziedziczną, i hojnie ją uposażył. Trzydzieści łanów roli, szósta część dochodów z kramów sukiennych, dochody z wszelkich kramów i rzeźni, szósta część gruntów w mieście, a przede wszystkim opłaty i kary, w które tak dalece obfitowało sądownictwo ówczesne, wszystko to było ich udziałem i wyposażeniem. Toteż potomkowie owych kolonizatorów Krakowa wzrosli na wójtostwie miejskiem w pierwszorzędnym magnatów. Wójtostwo swe uważali oni jako prawnoprywatne podzielne dziedzictwo, stąd też rozrozdziwszy się licznie, rozmaite udziały w niem posiadali. Z początkiem XIV stulecia jedni z nich, jak Henryk, zadawali się pobieraniem przypadających na nich dochodów,¹ drudzy, jak Jaske, ubiegali się o urzędy radzieckie i przewodniczyli w radzie miejskiej lub wójtowskim sądzie,² inni reprezentowali miasto na zewnątrz, prowadzili jego sprawy dyplomatyczne na dworze książęcym, oraz z postronnymi dworami i miastami, z którymi Kraków w najrozmaitsze się zapuszczał stosunki. Takim wójtem najwyższym był Albert. Czyto tej zasadzie, że największa część w dziedzictwie wójtowskiem jemu przypadła w udziale, czy też swoim osobistym talentem i charakterem — wznosił się on tak wysoko, że wszystkich

¹ Do rozwikłania nader zamąconych ówczesnych stosunków krakowskiego wójtostwa, zbyt mało posiadamy źródeł. Rozklasyfikowanie osób z nazwą »wójta krakowskiego« występujących opieram na następujących wnioskach:

Henryk występuje jako *advocatus Cracoviensis* i sołtys w Wilkowie w przywileju tyńieckim (Kod. tyn. str. 78) wraz z *Liber actorum* zapiska 208 jako *Heyndenrich der Woyt*, lecz też sama księga nie wymienia go nigdy jako sprawującego obowiązki wójtostwa.

² *Jasco, Jescho* według *Liber actorum* przewodniczy radzie jako *advocatus Cracoviensis* w r. 1289—1300, zaś w latach 1307, 1309 i 1311 cytamy: *Vorden dise ratherren gecorn: Her Jeske der voyt*. Wspomniany jest jako wójt także w zapiskach 97, 153. W przywilejach i rocznikach o nim żadnej wzmianki, ale Nakielski mieni go krewnym Alberta i zowie *advocatus inferior*.

innych za sobą pociągnął i na drugi plan stanowczo usunął. Zwykle, codzienne obowiązki urzędu nużyły go, zastępował się Jaskem, lub też inne osoby z pośród krakowskiego mieszczaństwa do przewodniczenia radzie i sądom w swoim imieniu przeznaczał.¹ On sam z wielmożami małopolskiej dzielnicy przestawał, świadcował im na przywilejach, odnoszących się do nowych niemieckich kolonizacji, ze starostą Ulrychem Boskowiczem trudne utrzymywał stosunki, później prowadził rokowania z Łokietkiem i umowę uroczystą z r. 1306 imieniem miasta z nim zawarł². W osobie jego skupiały się dwa dążenia, dwie władze. Wobec miasta, jako posiadacz książecego wójtostwa, przedstawiał interes książece i publiczną władzę; wobec samego księcia, jako wójt dziedziczny, nieusuwalny, strzegł samorządu miasta i jego samoistności. Potęga więc jego, na którąkolwiekby się stronę przerwucił, dla drugiej stawała się niebezpieczną i groźną. Na nieszczęście wzgarda dla polskości i niepomowana ambicja i duma nie pozwoliły Albertowi w pięknej roli pośrednika między dwoma żywiołami wytrwać; sprawiły, że sam jako herszt, jako głowa rokoszu miejskiego wystąpił. Obmyślenie środków i planu rokoszu świadczy o jego niepospolitej energii i zdolnościach.

Zapewnienie się ze strony miasta żadnych nie przedstawiało trudności. Byli i tutaj — chociaż Niemcy z krwi i kości, ale ludzie spokojniejsi, z głębszem poczuciem obowiązków zaciągniętych wobec kraju i tronu. Do tych należeli przed innymi: Heynmann von Muchow, Hincza von Dornburch, Peter Morizii, Wilhelm i Vigrant

¹ Za takiego wójta urzędnika uważaćby należało niejakiego *Peter Gu s*, o którym w *Liber act.* czytamy pod r. 1306: *Her Peter Guis der vas voyt...*, pod r. 1310: *Her Peter der Guisse vas zchu demele voyt*. Zapiski odnoszą się do spraw sądowych, pod r. 1300 występuje zaś *Peter Guis cum septem scabinis*, prezydował więc w sądzie. Pod r. 1311: *Her Ortlieb unde her Petzcolz waren voyte in deme selben Jare*.

² Albert występuje jako wójt sam jeden we wszystkich rocznikach i przywilejach w r. 1295 (Kodeks małop. str. 147), 1299 (Kod. małop. str. 158), 1303 (Kod. kapit. str. 147), 1306 (Kod. małop. str. 166), 1307 (Kod. kap str 151), 1311 (Kod. małop. str. 178). W *Liber actorum* wspomniany jest w zapiskach prawnoprywatnych nr. 2, 133, 214, nigdzie zaś w urzędowym charakterze.

łon Lupecz, celujący dostatkami, statecznością, zaszczytami niejednokrotnie urzędem radzieckim. Ale prąd ogólny, który ludność krakowską w przepaść unosił, przerósł ich. Nie mogąc stawić mu czoła, usunęli się, kiedy stanowcza zbliżała się chwila. W dniu 17 maja 1311 r. odbyły się wybory. Wyszli z nich rajcami najzagorzalsi nieprzyjaciele księcia polskiego i kraju, tacy Jaske der woyt, Herman von Rathibor, Tylman Brant, Hincza von Ketzser. Kierowała wyborami widocznie ręka Alberta. Petzcolz von Rosna i Ortlieb sprawowali z jego ramienia sądy.¹

Zapewniwszy sobie miasto, należało zliczyć sprzymierzeńców. Najważniejsi zgóry już zostali ujęci. Wójtowie sandomierscy, Wittek i Zygfryd, związali się najściślej z przygotowanym zamachem. Spodziewano się słusznie, że przykład dany przez obie stolice znajdzie w mniejszych miasteczkach niemieckich niewątpliwy odgłos. Licznie podówczas na prawie niemieckim poosadzane wsie tem więcej również mogły wchodzić w ogólną rachubę, że znakomitsi mieszczenie krakowscy i sandomierscy mieli w nich dziedziczne sołtystwa.

Chodziło jeszcze o pozyskanie duchowieństwa. Klasztory obsadzone Niemcami — liczono do sprzymierzeńców. Zajmował między nimi jedno z pierwszych miejsc klasztor Bożogrobców w Miechowie, a na jego czele stał opat Henryk, brat rodziny wójta krakowskiego Alberta.² Jemu też przeznaczono propagandę w duchowieństwie zakonnem, rozporządzającym niezmierniemi, przez kolonistów niemieckich zaludnionemi dobrami. Duchowieństwo świeckie, polskiego pochodzenia, do przeciwnego należało obozu, ale na stolicę biskupią wdarł się jeszcze za panowania czeskiego Jan Muskata, Ślązak ziemczyły, osobisty nieprzyjaciel Łokietka. Udobruchany w r. 1306 przywilejami, zatwierdzającemi go w posiadaniu miasta Sławkowa, kasztelanji kieleckiej, tarczeńskiej, iłżeckiej, bieckiej

¹ *Liber actorum*, pag. 22.

² Według Miechowity i Nakielskiego. Opowiadanie ich, że Henryk nie należał do buntu i że tylko za jego pokrewieństwo z Albertem mścił się na klasztorze Łokietek, nie zasługuje oczywiście na żadną wiarę.

z wieloma dobrami, nadaniem zamku checińskiego i całego szeregu wsi,¹ pokłócił się wkrótce z Łokietkiem. Zajęcie dóbr i miasta biskupiego Biecza przez wojsko książęce, groźny list sprzyjającego Łokietkowi papieża Bonifacego — ugięły na chwilę hardego biskupa.² Znowu jednak wybuchły spory, Łokietek wtrąca go do więzienia, papież wyzwala, ale upokarza i surowo karci.³ Zemsta zawrzała w sercu Muskaty; — Albert z niej umiał wybornie korzystać i wraz z proboszczem krakowskim, Adamem, duszą i ciałem dla planów swoich go zyskał.

Nie było chwili do stracenia. Żył na Śląsku, na drobnej opolskiej dzielnicy, książętko imieniem Bolesław, wyrodek krwi piastowskiej, nawskroś zgermanizowany, a im słabszy i chudszy, tem żądniejszy dostatków i panowania. Z nim to porozumiał się Albert, jego za narzędzie buntowniczego zamachu obmyślił.

2

Pod jesień 1311 r. buchnął rokosz groźnym płomieniem w Krakowie. Zjawia się książę Bolesław ze swoją drużyną, mieszczanie otwierają mu bramy, ofiarują ich klucze, prowadzą w triumfie i sadzają na książęcej stolicy.⁴ Miasta i wsie niemieckie w ziemi krakowskiej i sandomierskiej pospieszają z hołdem, rządowi Łokietka usuwa się pod stopami ziemia; on sam, zaskoczony znieścacka buntem na zamku krakowskim, broni się jak lew z garstką wiernej

¹ Kodeks dypl. kapit. krak., str. 147.

² Długosz z wielką oględnością opowiada te zajścia. Prawdziwe światło rzucają na nie *Monumenta* Theinera, I, p. 113.

³ *Mon.* Thein I, 116.

⁴ Rocznik kapitulny, Dopełnienie. *Monumenta Poloniae* Bielowskiego I, 815:

»Anno incarnationis d. n. J. Chr. 1312 (mylnie, zob. dalszą uwagę) cives Cracovienses, *rabie furoris germanici perusti*, fraudis amici pacisque palleati hostes et occulti, domino Wladyzlao duci Cracovie, Sandomirie ac domino tocius regni Polonie, quemadmodum Judas osculum prebentes, vice iuramenti prestantes cautelam, deposito Dei timore contradixerunt et Bolezlaum ducem Opoliensem induxerunt...«

drużyny i odpiera coraz to groźniejsze szturmy.¹ Albert stoi na szczycie potęgi, Łokietek widzi przed sobą pewną tułaczkę. Ale zahartowany tyłoma przejściami umysł jego nie rozpacza, wola budzi się do tem większej energii, im straszniejsze niebezpieczeństwo. Ani Albert wójt, ani Henryk opat, ani Muskata biskup — nie wiedzieli, jakiego mają przeciwnika, z kim do śmiertelnej porwali się walki.

Spieszą na odsiecz Łokietkowi zbrojne hufce polskiego rycerstwa i włościan, skupiają się około narodowego sztandaru; ale drobna to tylko garstka w porównaniu z siłami rokoszu, zagrożona w swoich własnych domostwach, niezdolna rozbić kamiennych murów miast i groźnych baszt, klasztorów i zamków. Łokietek znajduje jednak sposób, jakby je można pokonać; postanawia zdobyć je z wewnątrz, nie mogąc z zewnątrz skutecznie wyłomu. Zaprawiony na zatargach z Zakonem krzyżackim, przyzwyczajony walczyć w nich bronią samego Zakonu, ocenia jednym rzutem oka, że bunt niemiecki wtedy tylko pokona, jeżeli w łono jego zdoła rzucić żagiew wewnętrznej niezgody. Znał nawskróś nieprzyjaciół, wiedział w którą stronę uderzyć, działał z zimną krwią, stanowczo, z pewnością zwycięstwa, z niezrównanem mistrzostwem.

Zostawiwszy w krakowskim grodzie dostateczną załogę, rzuca się do Wiślicy, zwołuje wiec, a Sandomierz ma głównie na myśli. Panowali tam buntowniczy wójtowie: Witko i Zygfryd, ale istniało również stronnictwo przeciwne, skupiające się około Ruperta i Marka, synów Marka, niegdyś wójta sandomierskiego, którego Witko i Zygfryd jeszcze za Leszka Czarnego pozbawili wójtostwa. Tych to deposedowanych właścicieli wójtostwa sandomierskiego przemysłny książę za swoje narzędzie używa. Zjawiają się w Wiślicy, przed wiec zgromadzony wytaczają swą sprawę; zapada

¹ Rocznik kujawski. *Mon. Pol.* III, 208:

»Revolutis autem sex annis (od r. 1306) Albertus advocatus et cives Cracovienses iterum se dicto duci Wladislawo opposentes, clausa civitate Boleslawum ducem Opolie sibi in dominum et defensorem vocaverunt, quem venientem cum magno gaudio suscipientes, ei claves omnium portarum tradiderunt. Sed castrum Cracoviense per ducem Wladislawum et suos fideles milites tenebatur ...«

w d. 13 października 1311 roku wyrok,¹ skazujący Witka i Zygryda za zbrodnię majestatu na utratę wójtostwa, a przysadzający je uroczyście Markowi i Rupertowi. Zaopatrzeni formalnym wyrokiem, wsparci hucem księżęcym, zbierają Marek i Rupert stronników i rozpoczynają walkę domową z uzurpatorami i ich poplecznikami, wskutek której Sandomierz i pomoc jego jest dla buntu krakowskiego straconą. Łokietek postanawia odosobnić Kraków, z całą swą siłą zbrojną rzuca się na drobniejsze osady, poskramia je pojedynczo i porządek przywraca.² Mieszczanie krakowscy — niezdobyci w swych murach, w szerszym polu nieprzyzwyczajeni do walki, czoła mu stawić i walnej wydać bitwy nie śmieją.

Miał zresztą i Kraków swojego rywala w Nowym Sączu, mieście założonem niedawno w ziemi sądeckiej, stanowiącej wiano żony Łokietka, Jadwigi. Droga handlowa z Krakowa do Węgier na Sącz prowadziła. Sądeczanie pragnęli ją opanować, a z nią handel węgierski posiąść. Kraków im w tem przeszkadzał. Kupcy krakowscy przechodzili do Węgier, mijając wolno komorę księżęcą celną w Ryttrze; Sądeczanie musieli wszelkie towary odprzedawać w Kra-

¹ Kodeks dypl. małopolski, str. 176:

...»Nos Wladyslaus Dei gratia... quod ispectis fidelitatibus et fidelibus servitiis, quae Nobis, baronibus et dominiis nostris fideles et constantes viri ministri nostri Rupertus et Marcus filii Marci quondam advocati Sandomiriensis plurimis annis in omnibus necessitatibus nostris publice, iucunde et hilariter praestiterunt, bona sua et proprias pro salute nostra et dominiorum nostrorum diversis et variis periculis liberaliter exponentes, advocatiam civitatis nostrae Sandomiriensis, quam ex successione hereditaria et paterna habebant de iure sed per dolos et fraudes et tempora contraria contra Deum et iustitiam de facto nefarie fuerunt privati, sicut publice coram nobis et Senatus nostri consultu in audientia publica comprobarunt... restituumus... veros et legitimis heredes eiusdem advocatiae faciendo. Verum si privilegia cuiuscumque Witkoni, Zyffrido vel filiis eorum concessa super eadem advocatia apparerent, propter fraudes, dolos et traditiones ac excessus, quos contra nos consortemque nostram et nostra dominia commiserunt, laese Maiestatis crimen atrociter perpetrantes, ex consilio et unanimi assensu baronum nostrorum decrevimus et pronuntiamus esse nulla... Actum apud Wisliciam in colloquio sub a. 1311, II calendas novembris«.

² Rocznik kujawski. *Mon. Pol.* III, 209: »Demum castris omnibus in terra Cracoviensi et Sandomiriensi potenter expugnatis...«

kwie i dalej z nimi nie mogli postąpić. Stąd śmiertelna w Sączu przeciw Krakowowi nienawiść. Obawiał się jej nie bez przyczyny wójt Albert i dlatego bezpośrednio przed wybuchem rokoszu wstał się u Łokietka za Sądeczanami. Chcąc ich przynajmniej zobowiązać, wyjednał im przywilej, uwalniający ich od ceł w całym Łokietkowym księstwie.¹ Późne to jednak były umizgi. Na wieść o buncie Sądeczanie poznali, że godzina ich działania wybiła; zachęteni nadto przez panią swoją, Jadwigę, obdarzeni w d. 21 lutego 1312 r. nowym przywilejem, wolność przewozu towarów im gwarantującym,² stanęli po stronie Łokietka ze zbrojną pomocą i wspierali go wytrwale z uczuciem radości z niechybnego upadku swoich współzawodników.

Zwiększały się więc z każdym dniem zastępy Łokietka. Przemądry książę zresztą i na poskromienie opata miechowskiego i zwerbowanych przezeń klasztorów skuteczny znalazł środek. Opat benedyktyński na Tyńcu, *abbas centum villarum*, patrzy niemiłe na przeważny wpływ i rosnącą rolę swego miechowskiego sąsiada. Chociaż sam Niemiec i klasztor jego niemiecki i wsie osadzone Niemcami, nic to jednak nie zmniejsza jego nienawistnych uczuć do miechowskiego opata. W dobrach tynieckich wiele sołtystw znajduje się w posiadaniu zbuntowanych krakowskich mieszczan. W Kaszowie, Pisarach i Śmierdzącej, tuż pod bokiem opata,

¹ Inaczej trudno wytłumaczyć sobie rację bytu przywileju tego, wydanego w r. 1311 w Sączu bez daty dnia i miesiąca, na którym świadczy Albert Kod. dypl. małop. str. 177).

² Kodeks dypl. Mucz. i Rzyszcz. III, 174: »...Hedvigis Dei gratia ducissa... obsequiorum merita plurimorum, quibus viri discreti et fideles cives nostri Sandecenses necessitate urgente nobis placere et grati esse didicerunt, cum cives Cracovienses a consorte nostro carissimo et a nobis puerisque nostris per infidelitatem recesserunt, alium ducem nobis in subversionem et eliminationem de dominiis nostris, iam praedictis, inducere laborantes *ad omnes partes terrarum*; sed prae habitis cives Sandecenses, nolentes consentire traditionibus ipsorum, tamquam viri veraces et constantes nobis adhaerentes in fide qua nobis tenebantur, inviolabiliter praestiterunt, cuius de causa, benignitate, prout dignitati nostrae convenit, diligenter intuentes fidelis servitia et continua, psis et eorum posteris damus... Actum in castro Cracoviensi ab a. 1313. X Kal. Martii...«

rządzi Suderman, w Prądniku, Rożnowie i Krzywej Dąbrowie bracia Jakób i Paczold, ostatni świeżo na wójtostwo sądowe w Krakowie wyniesiony, w Radziszowie Jan, w Prądniku między wielu mieszczanami ma swoje grunta także Hincza de Kaczer, a nawet wójt krakowski Henryk sołtystwo w Wilkowie posiada. Niezłe byłoby przechylić się na stronę Łokietka, przyczynić do zupełnej zagłady Miechowa, a w nagrodę nadto zagarnąć sołtystwa. Czy opat z tą myślą wystąpił, czy Łokietek mu ją podsunął, niepodobna odgadnąć, dość, że w d. 21 grudnia 1311 r. wobec Wojciecha wojewody i Prandoty kasztelana sandomierskiego, wobec Jana z Brzeska kasztelana i Florjana podkomorzego krakowskiego, wobec całej hierarchii urzędniczej i rycerstwa w obozie pod Dobzycami zgromadzonego, zapada wyrok,¹ w którym Łokietek mieszczanom krakowskim »za występki publiczne, złamanie przysięgi, zdradę i zbrodnię obrażonego majestatu, które bezbożnie i srodze przeciw nam i potomstwu naszemu oraz narodowi polskiemu popełnili« — wszystkie sołtystwa w dobrach klasztoru tynieckiego leżące odbiera i klasztorowi na własność przyznaje. Ogromne zasoby tego klasztoru otwierają się Łokietkowi, Miechów szturmem zdobyty, opat Henryk i zakonnicy ratują się ucieczką do Węgier, dobra ich zabrane na skarb, klasztor zamieniony w gród książęcy i osadzony za-

¹ Kodeks dypl. tyniecki, str. 77:»nos Wladizlaus Dei gratia.... quod propter demerita publica, periuria, traditiones, prodiciones, commissiones criminis laesae Maiestatis, quas cives civitatis nostrae Cracoviensis nephandissime in nos heredesque nostros ac gentem Polonicam atrociter perpetrarunt, tradentes civitatem dictam principibus peregrinis, evellendo et exterminando nos suos veros et legitimos dominos et heredes: et maxime Zudrmannus de Pissar, Casow et Smirdenza, Johannes de Radesow et Vola, Jacobus et Paczoldus de Rosnow, de Prandnik, de Kriua Dubrova scolteti, Heyncha de Kaczer et alii sui ibidem in Prandnik mansos habentes, Henricus advocatus Cracoviensis in Uilkov et omnes alii, quicunque habent bona mobilia et immobilia a monasterio Thynciensi, eosdem iustitia exigente de maturo consultu nostrorum baronum et heredes ipsorum nomine Domini invocato omnibus possessionibus.... exnunc sententialiter et perpetuo exuimus.... et reducimus dicta bona plene et integre ad ius et proprietatem cum omni dominio et iure ad monasterium et conventum Thynciensem.... Actum apud Dobsicz in castris anno d. 1311 in die beati Thomae apostoli praesentibus fidelibus nostris....«

łogą pod dowództwem Jana Budziejowego.¹ Kara była bezwzględna, przykład stanowczy działał otrzeźwiająco na buntownicze osady, wszystko poddaje się Łokietkowi, tylko jeden Kraków tem większą się wściekłością zapala.

3

Przywódcy buntu wiedzieli już, że nic do stracenia nie mają; postanowili rzecz prowadzić do ostatka. Piątego maja (1312 r.) przyszyły nowe wybory.² Oczyszczono radę miejską z żywiołów, które jeszcze za mało wydały się zdecydowanemi, wszedł w jej skład między innemi Suderman, przywódca całego pospólstwa, roznamiętniony odebraniem mu sołtystw na rzecz tynieckiego klasztoru, rozpoczął się teroryzm tem straszniejszy, im bliżej, im niechybniej upadek się zbliżał. Ludność zamożniejsza cierpiała na tem niezmiernie, zaczęła coraz to bierniej się zachowywać, coraz to więcej od sprawy buntu odwracać. Zaczęły się pomału tajne z Łokietkiem konszachty. Były rajca Hincza Ketzer, ten sam, któremu Łokietek odebrał posiadłość w Prądniku, — czyto z obawy sroższej kary, czy też w nadziei nagrody za zdradę — na jego rzecz pracował; tak samo Mikołaj z Zawichostu, rajca, a co dziwniejsza, wszyscy nowowyrabiani ławnicy stanęli po stronie Łokietka, który wiedząc o wszystkim, co w mieście się dzieje, czekał teraz i z umysłu pomału do Krakowa z wojskiem swoim się zbliżał.

Trwoga opanowała umysły. Niejeden już pragnął ocalić się zdradą. Pierwszym jednak, który zdradził otwarcie miasto, był

¹ Rocznik miechowski, *Mon. Pol.* II, 883: »a. 1311 ecclesia Mechoviensis incastellata per Johannem filium Budivogii.« (Nakielski p. 236, Miechovita p. 205).

² *Liber actorum*, pag. 25. »In den iaren gotis driehundert vnde in deme zwelftem iare worden dise ratherren gecorne an deme vritage in der Crucevoychen: Her Herman von rathibor, Her Suderman, Her Petzcholtz von ronsna, Her Hencé von deme Hoynhuse, Her Nyclas von zavicostz, Her Pael von deme Brige, Her Moritz, Her Peter de bemisse. Vnde dis sint seppen des selben iaris....«

książę opolski Bolesław. Po krótkich rokowaniach opuszcza z druzyną swoją, z Albertem i kilkoma najwinniejszymi miasto i bez walki wydaje je Łokietkowi.¹ W Krakowie po ich ucieczce sądny dzień nastał. Słaby opór ulicznej czeredy hufce Łokietka złamały bez trudu i rozpoczęły rzeź bez litości! Kogo na ulicach schwytano, kazano mu wymówić: »soczewica, koło, miele młyn«, a poznawszy po wymowie Niemca, — ścinano.² Głównych sprawców rokoszu pochwytyanych włóczono końmi po ulicach, ćwiertowano za miastem, a poszarpane ich ciała, wystawione na pastwę krukowi, długo jeszcze świadczyły, że Łokietek, najlepszy pan dla wiernych poddanych, — dla zdrajców jest bez litości.

Żelazna jego dłoń nad Krakowem zawisała. W miejscu, gdzie niegdyś stał dworzec wójta Alberta, pomiędzy murami miasta, ulicą Mikołajską i św. Rocha, wznosił się zamek książęcy przewany »gródkiem«. Brama Mikołajska z basztą w skład jego wchodziła. Książę miał odtąd w każdej chwili wolny przystęp do miasta, a załoga trzymana na gródku zapewniała posłuszeństwo jego stanowczym rozkazom.³ Przeciął Łokietek i odebrał przywilej udzielony miastu w roku 1306.⁴

¹ Rocznik małopolski, *Mon. Pol.* III: »a. 1312 civitas Crac. duci Wladislao contradicit et ducem opoliensem induxit, qui mox post duos menses (?) advocatum et potiores recepit et civitatem duci Wladislao vendidit, et tradidit per fraudem.«

² Rocznik Krasieńskich, *Mon. Pol.* III: »a. d. 1332 (mylnie) Albertus advocatus Cracoviensis cum concivibus suis Boleslao duci Opaviensi (mylnie) civitatem Cracoviensem tradiderunt et privati sunt advocatia et qui nesciebant dicere soczowicza, koło, mylye młyn, decolati sunt omnes.«

³ Rocznik kapit., dopeln. *Mon. Pol.* II, 815 ciąg dalszy: ...»qui (Bolezlaus) tandem cum dicto Wladizlao Loketcone concordavit illatissime quam pluribus dampnis civibus, captivato advocato Alberto omnis iniquitatis principio de civitate recesit et ad propria remeavit. Eidem immediate illustrissimus princeps Wladizlaus civitatem praedictam subintrans denuo civium aliquos captivavit carcerumque custodiae recluserit. Hos captivos seviriter per totam civitatem miserabiliter suspendit, ibidemque funera tam diu pendere fecit, quoadusque nervi putrefacti ossium compaginem dissolverunt. Eodemque anno castrum in civitate, destructa domo praefati advocati construxit et turrim in salva ducente ad sanctum Nicolaum aedificavit.«

⁴ W kopjarzuszach przywilejów m. Krakowa przywilej ów z r. 1306 zao-

W d. 14 czerwca 1312 r., zaraz po opanowaniu miasta, mianował Łokietek sam po raz pierwszy nową radę i wójtów z pośród mieszczan, którzy zdala od buntu umieli się utrzymać, lub w czasie buntu, jak Hincza von Ketzser i Mikołaj z Zawichostu, po jego stronie stanęli; dla tego też samego ławników wybranych w maju, spokojnie się zachowujących, w ich urzędowaniu zatwierdził.¹ Posiadłości buntowników skonfiskowane — służyły na wynagrodzenie tych, którzy dla sprawy książęcej położyli zasługi;² biskup Muskata nie ujrzał już swojego Biecza, a ile miał do zniesienia ucisków i prześladowań;³ — mieszczanie zato sądeccy, obok zatwierdzenia wszystkich swych przywilejów, osiągnęli cel swoich życzeń: rozporządzenie zmagające mieszczan krakowskich do opłaty cła w Rytrze, a tymczasem drogę do Węgier im zamykające.⁴ Najdotkliwszą jednak dla Krakowa karą były zmiany zaprowadzone w jego dotychczasowej wewnętrznej organizacji. Łokietek zniósł dziedziczne wójtostwo, mianował wójtów urzędników, zniósł prawo wolnego wyboru rajców i wojewodzie krakowskiemu corocznie ich miano-

patrzony jest uwagą: »Privilegium Advocatiae, quod libertatem summam Cracoviensium civium continet, propter excessum advocati hereditarii a civitate alienatum et in thesauro regio asservatum....«

¹ *Liber actorum*, pag. 25: »In deme selben iare, als die stat Cracove vnder wart vnserem heren Herchogen Wladizlauen gegeben von deme Herchogen von Opulle, der nach an sente Vites abent, an eyne mittevoychen vrden dise ratheren gecorn: Her Hince von Dorneburch, Her Hence von deme Ketzser, Her Peter Moritz, Her Vilhelm, Her Nycolas von Zavicostz, Her Vigant von Lupcitz vnde Her Anyles von Muchow von hercogen Vladizlas gebote. Vnde dis sint dy seppen:.... Her Heynus von Muchow vnde Her Peter Moricz varen de woyte.«

² Liczne zapiski w *Liber actorum*, np. zap. n. 237: »Unde in deme selben dinge Her Heyman von Muchow gab uf eyne gance hofstat heren Adamis des probestis deme abte von Andreow unde heren Vilhelme an siner stat in des helygen crucis gasse von des ursten gebote unsers heren Hercogen Vladizlas.« Przywilej z archiwum krak. z d. 23 października 1336 r., nadający kamienicę, odebraną niegdyś Hermanowi z Raciborza za bunt, Wisławowi, służebnikowi królewskiemu.

³ Długosz, *Hist.* T. III, 68.

⁴ Przywilej ten czytałem dwa lata temu, obecnie do zacytowania go otrzymać nie mogłem.

wać polecił.¹ W autonomji miejskiej był to wyłom, nie dający się żadnym sposobem zapełnić. Tracąc dziedzicznego wójta, tracił Kraków naturalnego reprezentanta interesów swych na dworze książęcym; wójtowie bowiem, przewodniczący odtąd sądom i działalność swoją do spraw sądowych ściśle ograniczający, podrzędne zajmowali stanowisko. Rada miejska w braku dziedzicznego wójta zyskała zupełną w zarządzie miasta z tej strony swobodę, ale utraciła ją ze strony drugiej: — uległa wpływowi wojewody, który wcześniej lub później musiał się stać nieprzyjaznym dla miast dążenia szlachty reprezentantem.

Było to jedyne może buntu Albertowskiego dla dalszego rozwoju stosunków naszych politycznych szkodliwe następstwo. Kiedy bowiem później, w XV stuleciu, wszystkie stany walczyły o zdobycie sobie stanowiska w nowym ustroju Rzeczypospolitej, wówczas stolica państwa, która najsmadniej mogła być stanowczy głos w sejmowym ustawodawstwie zapewnić mieszczaństwu, pozbawiona swej autonomji nie mogła zadaniu temu należycie sprostać. Stosunki miejskie, od życia politycznego odosobnione, nie dawały też należytego pola, nie zaspokajały ambicji możnych mieszczańskich rodzin. Wierzyńkowie, Bonarowie, Betmany, Szembeki, Morsztyny — zamiast stanąć na czele miasta i przed zgubną przewagą szlachty je skutecznie zasłonić, przenosili się z urzędów miejskich na senatorskie krzesła, i szeregi przeciwnego mieszczaństwu żywiołu dostatkami swemi, stanowiskiem i inteligencją zwiększali. Do powstania tej zgubnej teorji uszlachcania mieszczan, która jeszcze na sejmie

¹ Rocznik kujawski, *Mon. Pol.* III, 208 ciąg dalszy:qui (Wladislaus tandem cum exercitu valido ante Cracoviam veniens, ipsam civitatem et ducem Opoliensem in ea existentem circumvallaverat. At ille potentiori resistere non valens eandem civitatem duci Wladislao aperuit et solus Alberto advocato recepto ad propria remeavit. Et pro huius modi crimine laesae maiestatis impio eundem Albertum advocatum, filios et heredes suos dux Wladislaus advocatia Cracoviensi et omnibus redditibus suis et iuribus ad eandem pertinentibus perpetuo privavit; cives autem quosdam, qui culpabiliores huius criminis erant, equis trahi et extra civitatem suspendi praecepit. « Miechowita:» Sic quoque ius eligendorum consulum quondam in communitate perhenne in palatinum loci mittit. «

czteroletnim niefortunny ostatni znalazła odgłos, bunt Alberta w ten sposób pierwszą położył podstawę.

Zresztą miał on dla całej Polski znaczenie próby ogniowej. Idea narodowa odniosła głośne zwycięstwo, zbudzona gwałtownie z uśpienia stała się myślą przewodnią dla jednoczącego się państwa, a tłumiąc przeciwne sobie żywioły, wskazywała jego polityce zewnętrznej szerokie dążenia i cele. Władza książęca stanęła na czele wszystkich czynników społecznych, dobro publiczne ponad prywatą i zaściankowością. Bez tego buntu nie mielibyśmy panowania Łokietka i Kazimierza, najświetniejszych naszego w średnich wiekach wewnętrznego rozwoju.

Kilkanaście lat następnych żył Kraków na łasce i niełasce Łokietka, ślepo jego skinieniom powolny. Wymierało buntownicze pokolenie, powstawało nowe, które interes miasta i narodowości swojej niemieckiej umiało lepiej z interesem Polski i posłuszeństwem dla Łokietka — nie księcia już, ale króla — połączyć. Zagoiły się rany, łaska królewska spłynęła na miasto, które za Kazimierza wzrosło do niesłychanej świetności, a odznaczało się patriotyzmem. Wierzynek, mieszczanin krakowski, podejmował już cesarskiego u króla polskiego gościa. Wspomnienie buntu stało się śmiertelną obrazą. Gdy jakiś szlachcic polski, Pietrasz z Zabawy, mieszczanom krakowskim w r. 1398 bunt ów Albertowski wyrzucał i potomkami zdrajców ich mienił,¹ Jagiełło, zasiadłszy na sędzię i biorąc w opiekę doświadczone w wierności miasto, wieczne milczenie w tej sprawie Pietraszowi i komukolwiek innemu zalecił.

O wójcie tylko Albercie przechowała się szydercza pieśń, włożona mu przez muzę ówczesną w usta.² Pieśń ta daje nam zgodne z innemi historycznemi źródłami wyobrażenie o potędze Alberta; opowiada dalsze jego losy po ucieczce z Krakowa, i — co ją czyni najwięcej charakterystyczną — wylewa całą żołą społeczeństwa polskiego na żywioł niemiecki. Podajemy ją w polskim (z łacińskiego) doskonałym przekładzie:

¹ Wyrok — *Actum Cracoviae in vigilia s. Mathiae apostoli a. 1398* Kod. praw m. Krakowa

² Z Kodeksu wrocławskiego wydrukowana w *Miscellaneorum Cracoviensium fasciculus II*, Cracoviae 1815 r., pag. 85—87.

W szczęściu kto nadzieję pokłada
 I chce na jego koło
 Wstąpić wesolo,
 Obcą jest temu szczęścia zasada.
 Kto patrzy z wiarą w szczęścia oblicze,
 Zwiedzie go szczęście ślepe, zwodnicze.
 O losie hardy!
 Komu uśmiechem okrasiełeś lica,
 Temu łzą wkrótce zachodzi źrenica:
 Godzienesz wzgardy.

Moja za przykład niech służy osoba,
 Ja, który Albertem zwany,
 Wójt założyciel wielkiego Krakowa,
 Możny byłem, szanowany.
 Na mnie się każdy oglądał,
 Komes, baro, i kto żądał,
 Bym za nim u książąt się stawił
 I z ciężkiej go doli wybawił.
 Szukali mię król i książę:
 Bez ciebie nigdy nie zdążę
 Trudnemi sterować, mawiali, rządami.
 Między wszystkimi możnymi pany
 Pierwszy ja byłem, czczony, kochany,
 Żupnik — solnemi rządziłem szybami.
 W dostatkach, mogłem rzec śmieie,
 Nikt mi nie zrównał, ilością grodów,
 Wsi i miasteczek, nie miał powodów
 Tylu, by stanąć na czele
 I dostojeństwem jaśnieć wszelakiem.
 Lecz szczęście jednym koła swego zwrotem
 Tak mną o ziemię rzuciło pokotem,
 Z magnata zrobiło żebrakiem.
 Słusznie się stało, nie mogę się dziwić,
 W wielkości mojej utrzymać się stale
 Pragnąłem, któżby się miał mi sprzeciwić,
 Któżby odważył, pytałem zuchwale.

W jednej godzinie zmieniła się rola,
 Książę Bolko rozgniewany,
 Gdy mnie uwięził i wziął do Opola,
 I tam mnie zakuł w kajdany.
 Głód mnie dręczył i pragnienie,

Postaniem były kamienie.
 Gdy siedział pięć lat w cuchnącem więzieniu,
 Uległo moje imię zapomnieniu;
 Odbieżeli sąsiedzi, wszyscy przyjaciele,
 Póki mi pieniądz nie otworzył snadnie
 Wrzeczadźwów, stając za rękojmi wiele;
 Lecz się nie dźwignie, kto raz tak upadnie.

Choć uwolniony, pod zarzutem owej
 Mej niewdzięczności dla polskiej królowej
 Do Czech musiałem uciekać,
 I tam wolałem doczekać
 Skonu w dobrego człowieka gospodzie,
 Za cò występki niech mu Bóg przebaczy,
 Gościnność niechaj wynagrodzi w rodzcie.

Ja po tylu zaszczytach tak strasznym sposobem
 W tak wielkich zniewag dostałem się matnią,
 Iżbym choć pragnął przemilczeć ostatnią.
 Ciało me pod tym spoczywa tu grobem
 Na wspak i z jakimś topielcem złączone;
 Tak się tym fortuna odplaca,
 Co ją czczą, gdy koło swe zwraca
 Szalonym ruchem w nieszczęścia stronę.
 Przywyknień swoich nigdy się ona nie zrzeka,
 Biorąc życie i sławę, wysła do piekła.

O! gdybym, co dziś wiem, był wiedział,
 Innego na tron nie przyzywał pana,
 Pomędzy Szwaba nie wstąpił rycerze,
 Któremu ziemia przezemnie wydana.
 Tutaj początek me nieszczęście bierze,
 W tem mnie fortuna zdradziła,
 W zamiarze moim zgubiła.
 Bóg go pomścił ciężką moją karą
 A sprawiedliwą splacił mi miarą.

Natura niemiecka do tego mię wiodła,
 Niemiec, gdziekolwiek stąpi swoją nogą,
 Trzyma się stale zawsze tego godła:
 Wszystkich poniżyć, nie słuchać nikogo.
 Żaden natury swej zmienić nie zdoła,
 Pokornie zrazu chyłą swoje czoła,
 Wkrótce im swoje ofiarują córy,
 Sami ich dziewczki znów biorą za żony,
 I tak do zgody wznoszą silne mury,

Podstępem wszystko się dzieje. z ich strony.

Gdy się dał poznać niemiecki włóczęga,
Już zaraz wyżej jego duma sięga,
Przed dziedzicem wobec staje,
Tysiąc groszy jemu daje,
By mu włość puścił w dzierżawę,
I tak prowadzi swą sprawę,
Że wkrótce się staje dziedzicem,
Więcej pieniędzy wydobywszy z trzосу,
I wójtę wioski, a panów swych z niczem
Wyprawia, którego przynieśli tu w koszu.

Tak są Czechowie wyparci z swych włości
Podstępem niemieckim bez żadnej litości,
Już oni przepadli, strwoniwszy swe mienie
Na strojne obuwie, zbytkowne odzienie.

1877.

VII

SEJMY POLSKIE ZA OLBRACHTA I ALEKSANDRA.

Summ cuique.

Był czas, kiedy historję każdego narodu starano się jak najściślej od historii innych ludów oddzielić i odgraniczyć, kiedy się zdawało, że rozwój każdego z nich zupełnie odmiennemi szedł tory i tylko sam z siebie da się pojąć i wytłumaczyć. Głębsze badania nad historją wewnętrzną, a osobliwie nad historją prawa, przekonały dowodnie, że są pewne zjawiska, które w dziejach każdego ludu w tenże sam sposób się objawiają. O jednym z takich zjawisk, na które u nas dotychczas pospolicie mało zwracano uwagi, wspomnieć musimy dokładniej, gdyż tylko na jego tle da się dokładniej przedstawić rzecz, którąśmy za przedmiot pracy niniejszej obrali.

Wiadomo było oddawna, że instytucje rzymskie zawdzięczają świetny swój rozwój działaniu dwóch czynników, tak zwanego *ius civile* i *ius honorarium*. Pierwsze z nich było to prawo ludowe rzymskie, nadzwyczaj surowe, ściśle i formalistyczne. Pierwotnie zwyczajowe, zmieniło się następnie w ustawowe w prawach dwunastu tablic, zyskało przez to na swojej ściśłości i wyrobionych jasno pojęciach; ale w skrajnym swoim konserwatyzmie stało się niewystarczającym dla ludu, który się z niesłychanym pośpie-

chem rozwijał, i nie mogło samo przez się zdobyć się na stosowną postępową reformę. Przedsiębiorczy jednak duch rzymski, szanując prawo ludowe i bojąc się go w czemkolwiek naruszać, stworzył poważną magistraturę pretora i uposażył ją tak obszernym zakresem działania, że pretor w każdym danym wypadku, trzymając się zasad słuszności i ogólnego przeświadczenia prawnego, mógł był luki prawa ludowego, t. j. *ius civile*, uzupełniać, postanowienia jego rozszerzać, tłumaczyć, a przedewszystkiem łagodzić. Odtąd pretorowie stanęli na czele rozwoju prawa, a zasadom prawnym, wprowadzanym przez nich z coraz to większą śmiałością, czyli tak zwanemu *ius honorarium*, zawdzięcza Rzym późniejszy swój tak świetny rozwój prawa i ustawodawstwa.

To samo współdziałanie dwóch czynników, konserwatywnego i postępowego, wykrył jeden z najzdolniejszych dzisiejszych profesorów prawa niemieckiego, Rudolf Sohm, w znakomitem ze wszech miar dziele o ustroju frankońskiego państwa,¹ i jednym tem spostrzeżeniem daleko prędzej wyjaśnił rozwój wewnętrzny monarchji Merowingów i Karolingów, niżby to inni uczeni badaniami ubranymi w największą erudycję kiedykolwiek osiągnąć zdołali. Sohm przedstawił, jak wobec formalistycznych praw ludowych (szczepowych) germańskich (t. zw. *leges barbarorum*, — *Volksrechte*) stanęła władza królewska z nowszem, szerszem, łagodniejszym pojęciem prawa. Królowie nie mogli prawa ludowego naruszać i przeistaczać, bo nie mieli władzy ustawodawczej, ale kiedy sądzili, kiedy wyrokowali, nie byli oni, jak każdy zwykły sędzia, tem prawem związani. Jedną z ich donioślejszych prerogatyw stanowiło to właśnie, że przed prawem stali i w każdym danym wypadku mogli w dziedzinę prawa nowe, światlejsze, słuszniejsze wprowadzać pojęcia. Mieli oni niejako rzymskie *imperium*, tak zwaną *Banngewalt*, i na zasadzie tej władzy wydawali rozporządzenia, w których zapowiadali, jak w danych wypadkach stale postępować będą. Rozporządzenia te zwano *capitularia*, a stanowiły one, w przeciwieństwie do prawa ludowego, prawo królewskie, rządowe (*Amtsrecht*).

¹ *De altddeutsche Reichs- und Gerichtsverfassung*. I. Bd. Weimar 1871, str. 102 i n.

Jeżeli więc t. zw. *leges barbarorum* zajmują toż samo stanowisko, co dawne *ius civile* rzymskie, to *capitularia* frankońskie odpowiadają w zupełności rzymskiemu *ius honorarium* pretorów. Winą też było późniejszych królów i cesarzów niemieckich, że samowolnie ze służącego sobie prawa nie umieli zrobić należytego użytku i dalszy samoistny rozwój prawa w wiekach średnich zupełnie wstrzymali.

Pierwotne państwo polskie, pod tylu względami państwo frankońskie nam przypominając, wykazuje również najdowodniej współzawodnictwo dwóch powyżej wspomnianych czynników w dalszym rozwoju i budowie naszego prawa. Z ostatniego dzieła Romualda Hubego¹ możemy już powziąć wyobrażenie, jak niegibkiem, konserwatywnem i nawskroś formalistycznym było prawo polskie ziemskie, na zwyczaju polegające (*ius commune terrestre, quod in consuetudine consistit*). Było ono najściślejszą własnością społeczności ziemiańskiej w każdej z osobna dzielnicy, z jakich się Polska ówczesna składała. Społeczność ta nie miała żadnego organu ustawodawczego, zapomocą którego mogłaby prawo to odpowiednio do zmieniających się i rosnących potrzeb nagiąć i zmieniać, i tylko w zwyczaju prawnym objawiała swe przeświadczenie i stała na jego straży.

Podnieść tu należy fakt, że statuta Kazimierza Wielkiego nie były wcale kodyfikacją, spisaniem rzeczzonego prawa ziemskiego i np. ze wspomnianemi już *leges barbarorum* nic nie miały wspólnego. Statuta te wystąpiły owszem wobec istniejącego prawa ziemskiego z wybitnem dążeniem, ażeby prawo to powoli i ostrożnie uzupełniać, łagodzić i reformować.² Jakże się to dziać mogło, spytamy, jeżeli prawo ziemskie było wyłączną własnością społeczności ziemiańskiej i jeżeli król w dziedzinie prawa ziemskiego nie mógł mieć tem samem władzy ustawodawczej? Trudną tę do rozwiązania zagadkę tłumaczy nam toż samo pojęcie *iuris honorarii*, jakie widzieliśmy w państwie frankońskim i rzymskim.

¹ *Prawo polskie w wieku XIII*. Warszawa 1875 str. 24 i n.

² Uwagi te przedstawiłem już szczegółowiej w rozprawie: *O ustawodawstwie nieszwaskiem Kazimierza Jagiellończyka*. Kraków 1872.

Królowie polscy nie mieli niewątpliwie w średnich wiekach w zakresie prawa ziemskiego władzy ustawodawczej, ale każdy dany wypadek natury administracyjnej lub czysto sądowej mogli powoływać przed siebie (t. zw. *litterae inhibitoriae*) i rozstrzygać ostatecznie, bez żadnej sąd przed kimkolwiek odpowiedzialności. Z prawa tego nie omieszkali też panujący polscy, już od pierwszych Piastów poczynawszy, najszerszego robić użytku. Nie mogli wydawać ustaw, zmieniających prawo ziemskie, i czuli fizyczną niemożebność, aby ustawie takiej zdobyć poszanowanie, ale wyrokując, starali się prawo ziemskie w duchu postępowym tłumaczyć rozwijać i uzupełniać, wybitnie ponad niem się stawiali. Wyroki nabywały mocy prejudykatów, zmieniały się powoli w legalną interpretację istniejących zwyczajów; w ten sposób np. obok dawnego prawa karnego, polegającego na grzywnach płaconych pokrzywdzonemu lub jego rodzinie, wytworzył się nowy system kar publicznych królewskich. Panujący wydawali nawet luźne rozporządzenia, a Kazimierzowi Wielkiemu ta się wreszcie należy chwala, że korzystając ze służącej sobie w tym zakresie mocy, starał się wpłynąć na rozwój prawa zwyczajowego zapomocą obszernych statutów w rodzaju Karolińskich Capitulariów. Nie były to ustawy prawa ziemskiego, lecz projekta do prawa, które o tyle tylko przechodziły rzeczywiście w prawo, o ile zwyczaj ziemski sankcji im swojej udzielił. Wiele z postanowień Kazimierza Wielkiego otrzymało sankcję tę dopiero daleko później, w XV wieku, wśród zmienionych zupełnie okoliczności. Od czegoż zależała ta sankcja?

Ważną było rzeczą, ażeby tenże sam panujący, który statut pewien wydał, przez dłuższy czas pozostał przy życiu i w sądach mu zdobył powagę. Inaczej, po śmierci króla zasada, która była niepopularną, traciła zupełnie moc, jeżeli następca jej nie ponowił i z równą energią nie przestrzegał. Tak np. wiele z postanowień wiślickich, które za Ludwika węgierskiego zupełnie na bok usunięto, odświeżył dopiero Jagiełło. Powtarzanie przepisów raz wydanych wynikało więc z natury rzeczy i było nieuniknionem.

Lepszą ręką przyjęcia statutu przez prawo zwyczajowe było takie obmyślenie przepisu, ażeby odpowiadał potrzebom rzeczywiście uznanej i przeświadczeniu prawnemu społeczności zie-

miańskiej. Rzecz ta prowadzi nas do bliższego poznania »wiewców« czyli urzędniczych zjazdów.

Panujący, chcąc się o usposobieniu ogołu przekonać, nie mógł dojść prędzej i lepiej do celu, jak zasięgając zdania tych, którzy usposobienie to i cały stan rzeczy najlepiej znać byli powinni, to jest dostojników i urzędników ziemskich. Urzędnicy zgromadzali się i tak corocznie w każdej ziemi na wielkie wiece czyli kadencje sądowe (*colloquia magna*). Korzystali więc królowie z tych wiewców sądowych, lub też w miarę potrzeby zwoływali oddzielne wiece, naradzali się z przybyłymi dostojnikami nad rozporządzeniami wydać się mającemi, a obeznanym z treścią przepisów poruczali dalsze ich wykonanie i przeprowadzenie. Wiece, czyli zjazdy urzędników (*conventus, colloquia*), nabierały przez to coraz większego znaczenia, mianowicie wobec słabych Jagiellonów, ale charakteru swego zasadniczego się nie wyparły. Ubiegały się one przede wszystkim o wpływ na politykę wyższą, i w niej, nie zaś w pracach prawodawczych, główne swoje zadanie widziały. Pozostały atoli zawsze »radą królewską.« Król, ogłaszając statuta, wymieniał wyraźnie, że je wydaje za radą, a nawet za przyzwoleniem i wolą (*consilio, assensu, voluntate*) prałatów i panów świeckich, zgromadzonych na zjeździe, nie czynił tego jednak dlatego, żeby radę swoją jako organ jego władzę prawnie ograniczający uznawał, tylko raczej w tym celu, aby postanowieniom swym nadać większą powagę i zapewnić ogół o dojrzałym ich obmyśleniu i przygotowaniu. Dla tego samego wiece zapowiadano publicznie, patrzano chętnie na liczny zjazd rycerstwa, znakomitszych z pośród szlachty, chociażby nie-urzędników, przyzywano do rady, wspominano o ich przyzwoleniu i radzie w wydanem postanowieniu, a postanowienie ogłaszano zaraz całej szlachcie na wiec przybyłej. Obecność ta jednak szlachty na wiecach, a nawet coraz to częstsze przyzywanie znakomitszych z pośród niej do rady, nie zmieniało wiewców na sejmy, bo szlachcie nie-urzędnik, który zasiadł w radzie, czuł, że tam znajduje się z woli króla, nie zaś jako pełnomocnik ogołu swej braci. Faktem jest przeto, mającym zasadniczą doniosłość, że zjazdy czyli wiece nie stały się nigdy ciałem parlamentarnem, któreby występowało z pełnomocnictwa społeczności ziemskiej, i któreby

tem samym w zakresie prawa ziemskiego posiadało choćby razem z królem pełną władzę ustawodawczą.

Znając teraz zakres działania i stanowisko króla i wieców wobec prawa ziemskiego, postawmy pytanie, jak też król i wiece z zadania swego się wywiązali? Odpowiedź nie wypadnie korzystnie. Wiece nie tylko nie starały się uzurpować sobie coraz to większego znaczenia na polu prawodawstwa, ale do pracy tej przystępowały tylko z największym przymusem. Oprócz statutów wieca warteńskiego z roku 1423, wywołanych gwałtownym wystąpieniem i żądaniem szlachty w Czerwieńsku, i krótkiego statutu z r. 1447, nie znajdziemy od Kazimierza Wielkiego aż do Olbrachta żadnych wybitniejszych pomników ich działalności. Przykład dany przez Kazimierza Wielkiego nie znalazł naśladowców. Prawdziwe to nieszczęście dla Polski, że następcy Kazimierza Wielkiego rządów kraju nie prowadzili własną ręką, — Jagiełło dla braku wykształcenia i słabości charakteru, Ludwik Węgierski i Władysław Warneńczyk dlatego, że na Węgrzech ustawicznie bawili. W braku silnej ręki królewskiej nic zaś dziwnego, że wiec urzędniczy tracił poczucie najważniejszego, ale cichego powołania, rozbił się na stronnictwa, walczące z sobą o władzę, i wszystkie siły swoje w gorączce wielkiej polityki trawił. Kiedy Kazimierz Jagiellończyk zasiadł na tronie, przyszło do otwartych zatargów pomiędzy panami, stojącymi pod przewodem Zbigniewa Oleśnickiego, a królem; zatargi te, przeciągając się bez końca, sprowadzały ogólny zamęt i rozstrój.

Cierpiała na tem najwięcej społeczność ziemiańska — szlachta, która nie widziała nikąd poparcia najżywoźniejszych swych interesów. Mijał już czas, w którym ludność polska, stojąc jeszcze na niskim stopniu oświaty i rozwoju ekonomicznego i nie znając większych potrzeb, zadowalała się dochodem swej produkcji, a od państwa żądała tylko utrzymania porządku i bezpieczeństwa. Z ogólnym rozwojem stosunków gospodarczych, przemysłu i handlu, ze wzrostem ludności a rozszerzeniem się oświaty, wzmogły się potrzeby i wymagania. Ogromnie zwiększone państwo dla utrzymania swego stanowiska wymagało nadto coraz to większych nakładów, które znów przedewszystkiem na stan rolniczy, najmniej dotych-

czas uprzywilejowany, spadały. W połowie XV wieku powstało więc w Polsce mnóstwo najgorętszych kwestyj społeczno-ekonomicznych, a społeczeństwo zaczęło już głośno domagać się rozwiązania tych kwestyj i wszechstronnej pomocy od państwa. Tymczasem w miarę tego, im więcej rozszerzało się zadanie państwa, tem więcej, wskutek wymienionych już przyczyn, władza rządowa okazywała się w popieraniu pracy wewnętrznej narodu niedbałą i słabą. Stan taki doprowadzić więc musiał do gwałtownego wybuchu.

Któż go miał spowodować? Oczywiście nie duchowieństwo, które usuwając się od wszelkich ciężarów publicznych, żyło kosztem innych stanów wystawnie i do zatargów politycznych najczynniejszą przykładało rękę; nie miasta ziemczące, które zamknąwszy się w obrębie swych obronnych murów, cieszyły się najbujniejszym rozkwitem przemysłu i handlu, a do spraw państwa niezbyt wielkie przywiązywały znaczenie; nie możni panowie, którzy obdzierając króla z dóbr koronnych, zakładali ogromne latifundja i marzyli tylko o tem, ażeby szlachty narówni z chłopami użyć za robotnika w dziele kolonizacji obszernych wschodnich pustkowi. Wybuch wyszedł od najbardziej uciążonej, a najmniej w interesach swych popieranej społeczności rycerskiej — ziemiańskiej.

W roku 1454, na pierwszej wyprawie pruskiej, rycerstwo, zwołane na pospolite ruszenie wszystkich ziem Rzeczypospolitej, zgromadziło się ziemiami w obozowe koła, uchwaliło kategorycznie swoje żądania i wymogło ich zatwierdzenie na królu. W ten sposób powstały w formie przywilejów, dla każdej ziemi zosobna wydanych, ustawy nieszawskie, które stanowią pod każdym względem punkt wyjścia w całym dalszym rozwoju narodu i państwa.

Nie są to już dawne królewskie statuta, które były rodzajem *iuris honorarii*, starały się wpływać na rozwój prawa ziemskiego, ale dopiero od prawa tego ostateczną sankcję otrzymywały. W roku 1454 ogół szlachty każdej ziemi, zebrany na wyprawie wojennej, wykonywując władzę swą prawodawczą, wyraził wolę swą prawną — zamiast w prawie zwyczajowem, w obszernych ustawach. Przywiłeje nieszawskie są to więc ostatnie przywileje polityczne, a zarazem pierwsze w Polsce ustawy prawa ziemskiego w całym tego słowa znaczeniu, które z prawa ziemskiego wprost wyszły, ale nad

prawo to zaraz się wzniosły. Osobliwsze to — choć nieuniknione zjawisko. Kiedy czynniki, powołane w pierwszym rządzie do rozwoju prawa, od zadania tego się uchylają, prawo ziemskie samo z siebie wydobywa twórczą, samoistną siłę i zakreśla jej daleko sięgające zadanie.

Ustawy niezawskie nie zapomniały odnowić postanowienia, zawartego jeszcze w przywileju kaszowskim z roku 1374, mocą którego szlachta tylko do zwykłego podatku dwóch groszy z łanu była obowiązana (art. 6.), a tem samem na wszelkie nadzwyczajne podatki musiała dobrowolnie zezwolić. Ustawy te jednak idą w innym kierunku dalej, bo naruszają już podstawy dotychczasowego patrymonjalnego państwa, a mianowicie zupełną odrębność i samorząd różnych stanów, z jakich się Polska składała. Szlachta, broniąc głównie ekonomicznego swego stanowiska, występuje w nich przeciw wyzyskującym ją mieszczanom i Żydom, oraz przeciw dowolności i nadużyciom urzędów i sądów. Przepisy nie są zgóry teoretycznie obmyślane, lecz wyciśnięte potrzebą, na którą skądinąd napróżno oczekiwano lekarstwa. Zadanie władzy królewskiej określone jest na podstawie zdawien dawna istniejących przepisów, szlachta pragnie jednak, ażeby król spory polityczne uchylił (art. 9.), a razem ze wszystkimi urzędnikami pilnował jak najściślej sądownictwa i administracji. Widocznem jest zresztą dążenie, aby panującego poddać istniejącemu prawu, ażeby mu odebrać dotychczasowe stanowisko ponad prawem i wypływającą stąd możność wpływania na to prawo zapomocą statutów i rozporządzeń. W artykule ósmym podniesiona jest wyraźnie niezawisłość sądownictwa, a król listami swemi nie ma wpływać na bieg sprawiedliwości. W artykule dwudziestym dziewiątym wypowiedziana jest po raz pierwszy zasada, że król nie ma wydawać nowych konstytucyj (ani też ogłaszać pospolitego ruszenia) bez zwołania sejmików w każdej dzielnicy. Postanowienia te wypływały konsekwentnie z natury całego wystąpienia szlachty. Odkąd szlachta wzięła na siebie rozwój prawa ziemskiego, odtąd należało usunąć samowolną w tym względzie działalność króla, a obmyślić organa ustawodawcze, na których dotychczas zbywało. Przed rokiem 1454, troskliwie szukając, możemy wprawdzie wynaleźć pewne ślady udziału

ogółu szlachty w zagadnieniach społecznych i politycznych¹, ślady sejmików, a nawet posłów, ale były to chwilowe, nieudane próby. Ustawy nieszawskie stały się dla Polski podstawą nowego dziejowego ruchu przez to, że stworzyły organ ustawodawczy w sejmikach, czyli zgromadzeniach ogółu szlachty, w każdej z osobna dzielnicy.

Nie zapuszczamy się tu w ocenienie historjograficzne tego tak wybitnego faktu, bo fakt ten nie stanowi przedmiotu naszej rozprawy; zapisaliśmy go we wstępie tylko dlatego, że znajomość jego konieczną jest do zrozumienia parlamentaryzmu polskiego za Olbrachta i Aleksandra. Przeskakujemy zato całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka po roku 1454, chociaż było ono rzeczywiście okresem, na który przypadają zawiązki parlamentaryzmu na podstawie zasady, wypowiedzianej w statutach nieszawskich. Przyczyną tego jest dla nas brak dostatecznych źródeł. Do roku 1480 podaje jeszcze Długosz liczne wzmianki o rozwijającym się gwałtownie ruchu parlamentarnym, który coraz to nowsze wytwarza sobie formy i coraz to ciekawsze przechodzi próby. Na podstawie tych wzmianek, których zresztą na teraz niepodobna skądinąd sprawdzić i uzupełnić, ułożono sobie u nas już oddawna całą teorię rozwoju parlamentaryzmu polskiego, której fundamentalnym punktem jest rozdział sejmu na dwie izby, dokonany jakoby w r. 1458. Postępując atoli więcej krytycznie, a nadewszystko więcej sumiennie, przyznaćby raczej należało, że wzmianki Długoszowe o sejmach i sejmikach są jak na dziś albo niezrozumiałe, albo też że do utworzenia sobie całkowitego obrazu nie wystarczają. Wśród zaciętej walki między szlachtą a innymi stanami i królem — widać nieustanne falowanie parlamentaryzmu. Król i panowie stają, w miarę potrzeby, raz po stronie świeżo powstających sejmów przeciw sejmikom, drugi raz zwołują sejmiki, aby uzyskać to, czego sejmy im odmówiły. Cóż dopiero mówić o czasie między rokiem 1480 a 1493, t. j. od czasu, na którym Długosz kończy swoją opowieść, aż do czasu, z którego dochowały nam się obszerne kon-

¹ Zapisuje je R. Hube w rozprawie: *Statuta nieszawskie z 1454 roku* Warszawa 1874 str. 9 i nast.

stytucje piotrkowskie, rzucające na sejmowanie polskie jasne i szerokie światło. O rozwoju sejmów w przeciągu tych lat kilkunastu dla braku źródeł nic nam prawie nie jest wiadomem. Łatwo nam przeto przychodzi oprzeć się pokusie prowadzenia dalej dziejów parlamentaryzmu polskiego z lat między rokiem 1454 a 1493, a pracę naszą obecną zwrócić raczej ku rozpoznaniu sejmów i sejmików za panowania królów Olbrachta i Aleksandra. Spotykamy tu bowiem, nie mówiąc wcale o tem, co nam podają tak mierni kronikarze jak Wapowski i Miechowita, kilka statutów czyli raczej konstytucyj sejmowych, które dość jest dokładnie wyłuszczyć i zbadać, żeby już do pewnych dojść rezultatów. Profesor Szujski udzielił nam nadto znakomity swój zbiór aktów historycznych do panowania Olbrachta i Aleksandra, z którego niejedną wiadomość zdołaliśmy zaczerpnąć. Nie taimy zresztą przed czytelnikiem, że do pracy tej popchnęło nas oddawna żywione uprzedzenie przeciw dotychczasowemu zapatrywaniu się na rozwój parlamentaryzmu polskiego z początkiem XVI stulecia, zapatrywaniu, które zrodziło się pod wpływem chwilowych politycznych pobudek, ale zdrowszemu i sprawiedliwzszemu sądowi miejsca powinno ustąpić. Pragnąc należy gorąco rehabilitacji epoki, którą potępiono ryczałtem dlatego, że zacząwszy raz ganić, najłatwiej było zganić wszystko, a postawiwszy się raz na stanowisku niedościgłej wyższości, najłatwiej również utracić zmysł i poczucie prawdy a poszanowanie dla tego, co mimo wad swoich i późniejszego rozstroju było przez długi czas istotnie wielkiem i pięknem.

1

Za Jana Olbrachta (1492—1501) parlamentaryzm płynie już pełnem korytem i pozostawia po sobie cały szereg pomników, z których bieg jego możemy z pewną dokładnością rozpoznać i skreślić.

Dawne zjazdy urzędnicze nie ustąpiły bynajmniej z widowni publicznego życia. Na wielu dyplomatach ówczesnych występują

jako świadkowie aktu, przez króla wystawionego, urzędnicy i dostojnicy królestwa w pełnym niemal komplecie, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, podkomorzowie, starostowie i t. d. obok kanclerza, podkanclerzego, podskarbiego, marszałka, sekretarzów i dworzan królewskich. Obecność ich w jednym miejscu i czasie przy boku królewskim jest dowodem, że umyślnie zostali zwołani. Król nazywa ich swoją »radą« (*consilarii*). Obfite w wypadki i przedsięwzięcia panowanie Olbrachta podawało radzie tej pole do wielkiej działalności i czyniło częstą obecność jej przy królu konieczną. Król wzywał zwykle listownie wszystkich panów rady swojej na zjazd, którego czas i miejsce wyznaczał, a przedmiot obrad wyłuszczał i zapowiadał.¹ Przedmiotem tym były oczywiście przeważnie sprawy dyplomatyczne, prowadzone na ogromną skalę z całym światem, a obracające się głównie około krucjaty przeciw Turkom i odparcia ich strasznych napadów. Rada ta Jana Olbrachta, która poczynała się już nazywać senatem, nie ustępuje zresztą w niczem arystokracją swoją, a tem mniej wykształceniem, radom dawniejszym. Spotykamy w niej same nazwiska Tarnowskich, Kurozwęckich, Oleśnickich, Pileckich, Czarnkowskich, Pampowskich, Ostrogów, Kmitów, Tęczyńskich, Lubrańskich i t. p. Tem więcej też uderzać nas może, że historia panowania Olbrachta nie zapisała nam ani jednego wybitniejszego starcia pomiędzy senatem i królem, ani jednej głośniejszej rozterki pomiędzy panami, w które tak obfitują panowania Jagiełły, Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka. Jeżeli kiedy może być mowa o jednolitej polityce gabinetu polskiego, to z pewnością najprędzej za Jana Olbrachta. Zjazdy urzędnicze przy boku królewskim odprawiają się często, ale nie występują wcale z roszczeniem jakiejś samoistności wobec króla, nie przemawiają do króla w imieniu narodu. Skądże ta zmiana, jakaż jej istotna przyczyna?

Mamyż przyczyny tej szukać w usposobieniu Olbrachta? Wapowski, chcąc skreślić samodzielność, z jaką występował młody

¹ Listy mss. do Łukasza biskupa warmińskiego z r. 1500, ze zbioru Szujskiego.

monarcha, podaje nam znaną odpowiedź, którą tenże dał kancelarzowi swemu, występującemu z namowy brata królewskiego, kardynała Fryderyka, z nieproszoną i niemiłą królowi radą: »Wyzulbym się — zawołał Olbracht — z koszuli mojej, gdybym mniemał, że świadoma jest moich istotnych zamiarów. Idź więc i przestań być natrętnym; twoja rzecz nabożeństwa pilnować, nie zaś badać mię, jaką wojnę i przeciw komu rozpocznę.« Ależ absolutny charakter Olbrachta wyjaśnia nam tylko fakt, że król ten korzystał rzeczywiście z danej mu władzy i na radę swoją o tyle się tylko oglądał, o ile to w jego zamiarach leżało; nie tłumaczy nam wcale, jakim sposobem Olbracht mógł postępować do tego stopnia bezwzględnie; dlaczego wolno mu było czynić to, co za panowania jego ojca byłoby wywołało otwarty rozruch, chociaż Kazimierz Jagiellończyk i siłą charakteru i despotycznym usposobieniem przewyższał niewątpliwie Olbrachta; dlaczego arystokracja z czasów Olbrachta złagodniała tak dalece i z wysokich swoich uroszczeń zstępując, zadawała się skromniejszą rolą w radzie urzędniczej królewskiej.

Na zmianę tę w stanowisku i usposobieniu senatu wpłynąć więc musiał jakiś nowy, świeżo powstały czynnik, a czynnikiem tym nie był żaden inny, tylko sejm walny królestwa.

Nim atoli twierdzenie to usprawiedliwimy, zauważyć należy, że sejmy świeżo powstałe zmieniły wprawdzie stanowisko dawniejsze rady królewskiej czyli senatu, ale nie myślały wcale o tem, żeby senat ten znieść i usunąć. Nikt bowiem nie miał prawa zabronić królowi, żeby nie otaczał się radą swych urzędników i zdania ich, o ile tego pragnął i potrzebował, nie zasięgał. Owszem, hierarchja urzędnicza znalazła przystęp nawet do sejmów. Król nie tylko za każdym razem, kiedy sejm zwołać zamierzał, radę swą o zdanie w tej mierze pytał, ale i podczas trwania sejmów potrzebował mieć przy boku swym radę, któraby w trudnych pracach sejmowych była mu pożądaną pomocą. Rozbierano przytem w senacie wiele spraw, które nie należąc do kompetencji sejmu, wcale nie przychodziły na stół obrad sejmowych. Rada więc królewska brała w sejmie udział tylko dla króla i przez króla, lecz nie mo-

gła mieć samoistnego stanowiska¹ w instytucji, która, jak to we wstępie już powiedzieliśmy, na całkiem odrębnych podstawach się wytworzyła. Właściwie więc sejm walny koronny składał się tylko z dwóch czynników: — z króla, otoczonego swą radą, i z izby poselskiej.

Sejmy z czasów panowania Jana Olbrachta możemy najlepiej ocenić, porównyując je ze stanem rzeczy, wytworzonym przez ustawy niezawskie w roku 1454. Czyniąc to, przyjdziemy do przekonania, że w ciągu lat czterdziestu dokonano się ogromne przeobrażenie. Ustawy niezawskie, przypominamy, uświęcają jedynie sejmiki pojedynczych ziem, na których ogół szlachty się zbierał. Ustawy sejmu piotrkowskiego z r. 1496 świadczą, że dwie nowe idee zdobyły sobie uznanie.

Pierwszą z nich jest idea centralizacji. W roku 1496 nie przestały istnieć sejmiki. Owszem, ustawy piotrkowskie potwierdzają postanowienie niezawskie, że król nie ma prawa wydawać nowych konstytucyj i ogłaszać pospolitego ruszenia bez zwołania sejmiku w każdej dzielnicy królestwa,² określają nawet dokładniej postanowienie to, wymieniając miejsca, w których się miały odprawiać sejmiki.³ Dla ziemi krakowskiej miejscem zebrania miały być

¹ Twierdzenie to zasadnicze czynimy na podstawie historycznego powstania i rozwoju »rady królewskiej« i »izby poselskiej«. W ustawach sejmowych z czasów Olbrachta mowa jest zwykle »de consilio et consensu« lub »de consilio et voluntate consiliariorum (prelatorum, baronum) et nuntiorum terrestrium.« Zdaniem naszym, stylizację tę należałoby poprawić i rozumieć: »de consilio consiliariorum et de voluntate (consensu) nuntiorum«, w czym nas utwierdza ta okoliczność, że wszystkie akta, wydane na radzie królewskiej bez udziału izby poselskiej, wspominają co najwyżej o »radzie« panów rad, nigdy zaś o ich »przyzwoleniu«; np. przywilej dla miasta Krakowa, wystawiony na sejmie piotrkowskim z r. 1493 (Mss.) bez udziału izby poselskiej, na którym wszyscy dygnitarze i urzędnicy są wymienieni, brzmi: »Joannes Albertus... de consilio itaque consiliariorum nostrorum tam spiritualium quam secularium concedimus...« Na rzecz tę, która zresztą jeszcze za Zygmunta Augusta była przedmiotem częstej dyskusji sejmowej, przyjdziemy raz jeszcze.

² »item pollicemur, quod nullas novas constitutiones faciemus, neque terribilis ad bellum moveri mandabimus absque conventionie communi (t. j. ogółu szlachty) in singulis terris instituenda«. *Vol. leg.* I, 254.

³ »Item quoniam convenimus cum universis subditis nostris, ut quamlibet

Proszowice, sądeckiej i bieckiej Czchów, sandomierskiej Nowe-Miasto (Korczyn), Wielkopolski i ziemi wschowskiej Szroda, sieradzkiej i wieluńskiej Sieradz, łęczyckiej Łęczyca, kujawskiej i brzeskiej Brześć, dobrzyńskiej Rypin, gostyńskiej i sochaczewskiej Gąbin, rawskiej Rawa, lubelskiej i łukowskiej Urzędów, chełmskiej Rubieszów, betzkiej Busko, przemyskiej Mościska, podolskiej Kamieniec, sanockiej Sanok, lwowskiej Wiśnia, halickiej Trębowla. O sejmie generalnym, czyli walnym, nie znajdujemy zaś w ustawach z czasów Olbrachta żadnego osobnego postanowienia, ale ustawy te, przez sejm wydane i uchwalone, świadczą same sobą, że obok sejmików powstał nowy organ ustawodawczy, występujący w imieniu całej Rzeczypospolitej i wydający ustawy, które miały w całym kraju bez różnicy ziem obowiązywać. Jedność ustawodawstwa była już zapewniona.

Drugą ideą jest myśl reprezentacji. Na sejmikach (*conventiones particulares*) zbierał się ogół szlachty, na sejmie (*conventio generalis*) tylko wysłańcy sejmików. Zamiast tłumów rozstrzygać miała inteligencja. Rozchodzi się teraz o odpowiedź na pytanie, czy posłowie sejmowi mogli głosować według własnego przekonania, każdy jako reprezentant całego narodu? Na pytanie to odpowiedzieć musimy przecząco. Sam fakt, że w ustawach z r. 1496 mowa jest o władzy ustawodawczej jedynie sejmików, świadczy, że władza ta pozostała jeszcze w zasadzie przy sejmikach, że każdy poseł występował na sejmie jako wysłaniec (*nuntius*) swego sejmiku, jego instrukcją i uchwałami związany, a sejm był tylko miejscem, w którym uchwały sejmikowe miały się z sobą zetknąć i w jedną powszechną ustawę zamienić. Zasadę tę znajdujemy jak najwyraźniej wypowiedzianą w uniwersałach podatkowych sejmów

expeditionem bellicam generalem conventiones particulares in locis consuetis secundum consuetudines ex antiquo servatas praecedent, itaque statuimus, quod nos successoresque nostri, quotiescunque expeditionem bellicam vellemus indicere seu vellent necessitate quacumque exposcente, toties conventiones particulares instituire debemus et debebunt videlicet... ad consulendum necessitati tunc fortasse nobis et reipublicae regni nostri imminenti» *Vol. leg. I, 270.*

z r. 1493 i 1499,¹ które wydane zostały »za radą i wolą wszystkich panów rad... oraz społeczności szlacheckich (*communitatum*), których posłowie ze wszystkich ziem się zebrali,« w innym zaś uniwersale podatkowym, z roku 1496, mowa jest wprost o »zgodzie wszystkich ziem.« Dla tego też samego, że na sejmach głosowali nie posłowie, lecz sejmiki przez usta swych posłów, — jednomyślność wszystkich głosów rzeczą była konieczną. Nie wiemy wprawdzie, jaki był porządek wewnętrzny obrad sejmowych za Jana Olbrachta, ale we wstępie do każdego ustaw sejmowych ówczesnych czytamy wyraźnie, że ustawy te zapadały »jednomyślnością« (*unanimi voluntate*).²

Stosunek ten pomiędzy sejmem a sejmikami nie był jednak zbyt dogodnym i jasnym; równowaga musiała się bądź na jedną, bądź na drugą stronę przechylić. Za Olbrachta widzimy jawne dążenie do zapewnienia jak największej powagi wobec sejmików — sejmowi. Najpierw z czasów tych nie mamy najmniejszego śladu o jakichś odrębnych sejmikowych uchwałach i wogóle o samoistnem występowaniu sejmików, jakie za panowania Kazimierza Jagiellończyka na każdym kroku napotykaemy. Dalej ustawa piotrkowska z r. 1496, objaśniając postanowienie nieszawskie, mówi o zwoływaniu sejmików tylko na wypadek wojny,³ nie wspomina zaś przytem wcale o ich zadaniu prawodawczem, coby można w ten sposób tłumaczyć, że sejm walny przejmował na siebie pracę około ustawodawstwa, podczas kiedy władza zezwalania na nadzwyczajne podatki i pospolite ruszenie zostawała jeszcze przy sejmikach i daleko ich się wytrwalej trzymała. We wstępie do wspomnianych ustaw z r. 1496 niema wreszcie już mowy o zezwoleniu »ziem,« tylko wprost o zezwoleniu posłów, »którzy na sejmie przedstawiają całe ciało Rzeczypospolitej z zupełnem

¹ Posiadamy w zbiorze Szujskiego uniwersały podatkowe mss., jeden z roku 1493, dwa z r. 1496, dwa z r. 1498, jeden z r. 1499.

² Na czem polega różnica wyrazów »communis« i »unanimis« w stylu urzędowym ówczesnym, wyjaśnimy przy ustawie z r. 1505.

³ Przytoczyliśmy ją wyżej.

pełnomocnictwem nieobecnych.«¹ Zasada ta ogromnego znaczenia, wyraźnie wypowiedziana, świadczy najlepiej o kierunku, w którym się parlamentaryzm polski podówczas rozwijał.

Chcąc teraz ocenić stanowisko króla w sejmie, zapisać przede wszystkim należy, że zakres działania sejmów nie stał się szerszym, niż był w roku 1454 zakres działania sejmików, — ograniczał się do ustawodawstwa i zezwalania na nadzwyczajne podatki i pospolite ruszenie. Władza rządowa pozostała samoistnie w całej swej rozciągłości przy królu, a dążeniem było naturalnym parlamentaryzmu, ażeby władzę tę wzmocnić, a ustawom sejmowym zapewnić przez to ścisłe przeprowadzenie.

Ustawy niesławskie przysły do skutku bez współdziałania króla, szlachta zaś zmuszała Kazimierza Jagiellończyka do zatwierdzenia uchwał pospolitych dlatego, że podówczas była ona tylko jednym ze stanów państwa, a jedynym reprezentantem idei państwa był panujący. Uchwały każdego stanu musiały więc ubiegać się o sankcję królewską, t. j. potwierdzenie, że nie przekraczają swego zakresu i nie naruszają równowagi społecznej.

Za Olbrachta, jak to dalej rozwinąć będziemy mieli sposobność, sejmy występują już w imieniu całej Rzeczypospolitej, uzurpacja szlachty zdobyła sobie prawne znaczenie. Stanowisko króla wobec tego jest zupełnie zmienionem. Przedewszystkiem król przestał być jedynym reprezentantem państwa, lecz podzielił tę władzę, dopuścił do niej spórzędnie reprezentację szlachty. Szlachta nawzajem zrzekła się swojej odrębności stanowej i idącego z nią w parze samoistnego rozwoju prawa, wprowadzie tylko przez to, że narzuciła je całemu państwu i w sobie cały naród ujrzała. Tem samem więc musiała ona przyznać panującemu bezsprzeczny, spórzędny udział w świeżo powstałej władzy ustawodawczej. Król z izbą poselską tworzą razem najwyższy organ Rzeczypospolitej — sejm. Ustawy zapadać mogą tylko za wspólną zgodą (*communis consensus*) obu czynników. Postanawia je król, zasięgnąwszy zdania rady swej urzędniczej, za przyzwoleniem posłów. Król jednak

¹ »in hac conventione generali Petricoviensi existentibus corpus ejusdem regni cum plena facultate absentium repraesentantibus.« *Vol. leg. I, 255.*

nabywa teraz nową władzę, której dawniej nie miał, a raczej tę, którą w nader szczupłym zakresie piastował, ogromnie rozszerza: władzę wykonawczą, rządową. Niegdyś zadania i obowiązek króla ograniczały się do tego, że bronić miał kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych, a na wewnątrz utrzymywać porządek i równowagę stanów. Zresztą cały rozwój wewnętrzny, administracja, prawodawstwo, a w wielkiej części nawet i sądownictwo, było sprawą wewnętrzną każdego ze stanów przez państwo uznanych, rzeczą ich samorządu, który królowi częstokroć nawet prawa zwierzchniego nadzoru zaprzeczał. Teraz stosunki zmieniły się do niepoznania. Wykonanie i przeprowadzenie wszystkich postanowień sejmowych należało do króla. Gdy zaś uchwały sejmowe rozciągały się na wszystkie sprawy wewnętrzne zarządu i sądownictwa, więc też zakres władzy rządowej królewskiej ogromnie się zwiększył i zbliżał się do nowszych w tej mierze pojęć. Nikt też inny jak tylko król nie miał prawa wydawać uchwalonych na sejmie ustaw. Był to pierwszy krok ich wykonania. Królowie rozsyłali je wszystkim starostom z poleceniem, aby je należycie ogłaszali i czuwali nad ich wykonaniem.¹

Tyle powiemy o stronie zewnętrznej parlamentaryzmu polskiego z czasów Jana Olbrachta. Ważniejszą może rzeczą jest zajrzeć w jego dążenie i ducha. Przedewszystkiem pozbyć się tu należy mylnego pojęcia, jakoby król i sejm w XV stuleciu były dwoma wrogami sobie żywiołami, które do ciągłej z sobą występowały walki. Mógł Olbracht mieć pewne obawy, kiedy i jeżeli się zastanawiał nad nową zasadą parlamentaryzmu, która z tak wielką siłą przeobrażała cały ustrój Rzeczypospolitej, mógł zżymać się i niepokoić, jeżeli izba poselska nie okazywała jeszcze zupełnej samostności i nie umiała otrząsnąć się we wszystkim z pod wpływu możnych. Ale były to obawy i niepokoje raczej życzliwego sprzymierzeńca niż nieprzyjaciela. Sejmy złamały hierarchję urzędniczą,

¹ Mandat taki Olbrachta, polecający Piotrowi z Kurozwek, staroście krakowskiemu, ogłoszenie i wykonanie ustaw sejmu z r. 1493, w Bandtkiego *Jus polonicum*, pag. 323.

która przedtem mieszając się do wszystkiego, obdzierała króla ze służącej mu władzy, a następnie sama między sobą o władzę tę śmiertelne staczała boje. Sejmy wybawiły królów od najgroźniejszego nieprzyjaciela, bo wypowiedziały zasadę, że król tylko w ustawodawstwie i zaciąganiu nowych podatków przyzwolenia posłów winien zasięgać, a tem samem przyznały, że we wszystkich innych sprawach nieograniczoną ma władzę. Faktem jest, że sejm nie wydierał królowi władzy, bo ustawodawstwo i nakładanie podatków i pierwej, przed r. 1454 lub 1493, do króla nie należały. Owszem, kiedy dawniej przedsiębiorcy królowie z projektami swemi podatków i ustaw nie wiedzieli właściwie do kogo mają się udać i sztucznych się środków chwytać musieli, teraz Olbracht stał już wobec poważnego ciała, z którem mógł skutecznie traktować i legalnie pomysły swe przeprowadzać. Gdyby sejmy były naruszeniem praw królewskich, to nie byłyby one zaiste utrwaliły się w epoce w której władza rządowa w Polsce zdobyła się na największą siłę w której na tronie Polski, Litwy, Czech i Węgier siedzieli synowie Kazimierza Jagiellończyka, związani z sobą tajnem przymierzem, że jeden drugiemu na pomoc przeciw poddanym, gdyby ci buntować się mieli, pospieszy; kiedy wreszcie w Polsce ster rządu uchwycił młody Jan Olbracht, mąż niezmiernego ducha, jak powiada Wapowski, i do wielkich przedsięwzięć stworzony, człowiek, który dniami i nocami nad tem tylko myślał, aby świetnemi czynami pamięć o sobie uwieńczyć. Klęska stryja Władysława pod Warną wywoływała w nim, ilekroć o niej wspominał, ciężkie westchnienie; hańbę tę wielkiego rodu Gedyminów postanowił zmyć i pomścić na Turkach. Z gorączkową też skwapliwością krząta się Olbracht około zawarcia silnych przymierzy, ale na chwilę nie zapomina, że najściślejsem przymierzem ład i porządek domowy. Z niezmierną rozważą gotuje się młody monarcha do dzieła. Zezwoliwszy Bajaeetowi na kilkoletnie zawieszenie broni, zwraca się do wewnętrznej reformy królestwa. Sprawie tej poświęcone są dwa wielkie jmy z r. 1493 i 1496 i noszą też na sobie jej wybitne piętno. Wdzięczną była królowi za ducha inicjatywy szlachta, i dlatego też pomiędzy królem a izbą poselską widzimy tak budującą, tak

plodną w owoce harmonję i zgodę.¹ Sejm stał się polem, na którym łączyły się dwa różne pierwiastki: inicjatywa połączona z wiedzą, z poczuciem potrzeb i przeświadczeniem narodu; prawo zwyczajowe ziemskie i prawo rządowe królewskie, spóldziałając, spływały się w konstytucje sejmowe czyli ustawy o bezwzględnie obowiązującej mocy. W ustawach czyli konstytucjach² sejmu z roku 1493 obok uchwał, będących wynikiem życzeń szlachty, widzimy cały szereg postanowień wnoszonych od króla. Zmierzają one do powstrzymania surowemi karami mnożącej się swawoli i gwałtów.

a zranienie kogokolwiek w sądzie lub w napadzie na dom kara śmierci, za zabójstwo oprócz kary pieniężnej wieża przez rok i sześć niedziel, za gwałt niewieści infamja, za oszustwo infamja i piętno-

¹ Najważniejszym argumentem, który przeciw temu zapatrywaniu przemawia i który wszystkich historyków naszych nakłonił do zdania, że Olbracht walczył ze szlachtą i przeciw niej zamysły swoje kierował, są tak zwane *Rady Kallimachowe*. Świstek to nader ciekawy, ale — razem z całą postacią Kallimacha i stanowiskiem jego w Polsce — dotychczas zgoła niewyjaśniony. Publiczność nasza miała świeżo sposobność zapoznać się z przekładem najnowszej pracy Zeissberga. Rozprawie tej, niestety, przyznać możemy tylko drobiazgowość pracy, ale z wynikami jej zupełnie się nie zgadzamy, bo autorowi brakło znajomości ówczesnych stosunków wewnętrznych. Inaczej, nie byłby traktował *Rad Kallimachowych* na serjo, jako rzeczy, której ojcostwo możnaby Kallimachowi przypisać. Bliższy rozbiór tej kwestji zostawiamy sobie do osobnej rozprawy; tu ograniczymy się jedynie do wypowiedzenia zdania naszego, że *Rady Kallimacha* są pamfletem, napisanym na politykę Bony i Zygmunta Starego. Świadczy o tem nie tylko ich treść rozważona dokładniej, ale jeszcze więcej porównanie przechowanych tekstów. (Tomicianów, Broel-Plater, Biblioteka wiedeńska, Wiszniewski. — Do Tomicianów wlepiono je na osobnej karcie, na której napisane są pismem z drugiej połowy XVI wieku). Z tekstów tych widoczną jest rzeczą, że dowcip szlachecki silił się przez cały XVI wiek na to, żeby redakcję pierwotną coraz to nowemi radami Kallimacha pomnażać. Że rady te wiązano z postacią Kallimacha, było w tem tyle prawdy, że Kallimach należał rzeczywiście do stronnictwa popierającego Olbrachta w walce z uzurpacją senatu. Na pierwszym też miejscu »rad« postawiono radę: »znieś senat,« i rada ta była w ustach Kallimacha prawdziwą. Ale zaraz następna rada: »znieś posłów ziemskich«, podana z motywami wyjętymi niemal z Kromera, jest już wpływem bujnej imaginacji szlachty lub chęci zastraszenia jej przez możnowładców XVI wieku.

² Tak nazwane w promulgacji. Ob. *Jus. pol.*

wanie, dawne kary na nieposłuszeństwo prawu przypomniane z naskisem. Przepisy te, uchwalone zrazu na trzy lata, przeszły w roku 1496 w postanowienie stale obowiązujące mające. Dość zresztą spojrzeć na uchwały poborowe z lat 1493, 1496 i 1498, ażeby nabrać przekonania, że sejm w popieraniu śmiałych przedsięwzięć Jana Olbrachta nie powodował się małodusznym egoizmem, lecz owszem cały kraj do niezwykłych wzywał wysileni.¹

Z sejmików i sejmów wydobywała się gwałtownie nowa idea państwa prawnego, łamiącego polityczną odrębność stanów i podciągającego wszystkie stany do tych samych ciężarów publicznych. »Postanawiamy, — są słowa uniwersału podatkowego z r. 1498 — ażeby podatki te płacone były od wszystkich miast, wsi i miasteczek, oraz od wszystkich osób duchownych i świeckich, nie dopuszczając wyjątku żadnym osobom i miejscom, podciągając pod nie nawet dobra nasze królewskie.« Uniwersał ten i inne spóźniejsze, wypowiadając zasadę równości ciężarów publicznych, druzgocą też najgłówniejsze podstawy średniowiecznego państwa.

Atoli szlachta nie umiała zasady tej prawdziwie konsekwentnie przeprowadzić. Przypomnijmy sobie, że izba poselska wyszła z sejmików ziemskich, w których ani duchowieństwo, ani mieszczenie, nie mówiąc już o włościanach, nie mieli swoich reprezentantów. Zanim jeszcze słyhać było o sejmikach, duchowieństwo miało już swoje synody, mieszczenie swoje zgromadzenia ludu, które im zastępowały miejsce sejmików. Gdy sejmiki powstały, ani jedni, ani drudzy do nich się nie garnęli. Nie przeczuwali, żeby z nich miała wyjść władza ustawodawcza całego państwa, która opierając się na nowych pojęciach, będzie miała odwagę i moc złamania ich przywilejów. Od sejmików tych usuwali się nadto duchowni i miesz-

¹ Według uniwersału z roku 1498, zaprowadzającego nadzwyczajny podatek osobisty, płacić mieli: 1) Właściciel z każdej wsi jedną grzywnę. 2) Każdy zresztą mieszkaniec, bez różnicy płci i wieku jeden grosz. 3) Obywatel miejski dwa grosze, dzieci, kobiety i służba po jednym groszu od głowy. 4) Kobiety publiczne po groszu co tydzień. 5) Żydzi i cudzoziemcy po jednym złotym, od żony, dzieci i sług po 12 groszy od głowy. 6) Sołtysi i wójtowie po grzywnie. 7) Lichwiarze pół czystego dochodu podług fasji. 8) Osobne podatki nałożono na młynarzy, fabrykantów, żupników i t. p.

czanie już dla tego samego, że sejmiki uchwalały podatki i popo-
 lite ruszenie, w czem ani jedni, ani drudzy, jakoby na zasadzie
 swych przywilejów, brać nie chcieli udziału. Otoż szlachta, jeżeli
 chciała przeprowadzić przymusem zasadę równości ciężarów publicz-
 nych, powinna była wyprowadzić stąd wnioszek, że skoro wszyscy
 mają równo ciężary publiczne ponosić, to wszyscy razem powinni
 je uchwalać, to wszyscy, duchowieństwo i mieszczenie, powinni
 w sejmach brać udział. Zamiast tego, dała się szlachta zrazić opo-
rem, jaki duchowieństwo i miasta przeciw podatkom i powszech-
nej służbie wojennej stawiały, a raczej wyzyskała samolubnie ten
opór na wyłączną swą korzyść. Tylko ten, co mieniem i krwią
swoją broni kraju — rozumowała szlachta — ma o prawach publicz-
nych stanowić; kto się od podatków i służby wojennej uchylił
pragnie, ten z życia politycznego powinien być wyłączony. Zgubną
tę nad wszelki wyraz zasadę przeprowadził sejm piotrkowski
z r. 1496. »Postanawiamy (tak brzmi konstytucja rzeczona¹), że
mieszczanom i nie-szlachcie nie ma być wolno kupować, posiadać
na własność lub zastaw i trzymać miast, wsi i gruntów prawu
ziemskiemu podległych, a to dlatego, że ci na wyprawach
wojennych i w szyku bojowym nie zajmują miejsca
w szeregach rycerstwa, a mając tego rodzaju dobra,
chwytają się wszelkich sposobów, aby się od służby
wojennej uchylić.« Stan mieszczański pozbawiono przeto zna-
czenia politycznego; zabraniając mu posiadać dóbr ziemskich, ode-
brano mu najważniejsze prawo obywatelstwa, wyłączono go z nowo-
powstającego społeczeństwa narodowego. Duchowieństwo za silne
było, aby w podobny sposób dało się złamać. Chwycono się innej
drogi. Z małym wyjątkiem odjęto przystęp do dostojństw kościel-
nych nie-szlachcie, »ponieważ ta do obrony kościołów w króle-
stwie naszym niezbędnej, osobliwie dla wielu ludzi swawolnych oraz
częstych wypraw wojennych, mało lub wcale nie jest przydatną.«²
 Spodziewano się, że szlachta, zajmwszy wyższe posady kościelne,
 prędzej ducha ogółu szlachty zatrzyma i w duchowieństwie go

¹ *Vol. leg. I, 271.*

² *Vol. leg. I, 262.*

zdoła rozszerzyć. Zszlachcono duchowieństwo, przyznano mu wpływ, o ile ono było szlacheckiem, a odjęto zupełnie owo stanowisko samostne, jakim się odznaczało przedtem.

Cios ten, wymierzony przeciwko duchowieństwu i miastom, — tem więcej, że włościanie już dawniej opieki prawa publicznego byli pozbawieni, — był ujemną stroną sojuszu, zawartego przez króla i szlachtę. Król, otrzymując od izby poselskiej wszystko, czego żądał, okazywał się ze swej strony pobłażliwym na dążenia szlachty i zatwierdzał je nawet wtedy, kiedy, dalej sięgając rozmysłem, powinien był przeciw nim veto swoje położyć. Olbracht postanowienia sejmowe z r. 1496 uświęcił, nie widząc w nich ukrócenia swej władzy, ale nie bacząc, jaką one w dalszych swoich następstwach szkodę przynoszą krajowi, jak pozbawiają tron królewski żywiołów, na którychby się tenże przeciw możliwym uroszczeniom szlachty mógł oprzeć. Był to zasadniczy błąd w rozwoju politycznym i społecznym Polski w końcu XV stulecia; podnosimy go też w całej jego nagości, nie sądźmy jednak, jakoby Polska już dla tego samego skazana była na upadek. Niewola ludu, zszlachcenie duchowieństwa, odsunięcie od życia politycznego miast — wszystko to dawało się jeszcze naprawić, byleby rozwój narodu w innych kierunkach postępował nieustannie naprzód, a warunkiem tego rozwoju było zbudowanie silnej, poczuciem swego powołania przyjętej władzy rządowej.

Sięgnąć tu musimy nieco dalej w przeszłość, ażeby usprawiedliwić zapatrywania nasze, które od znanych dotychczas poglądów na tę najważniejszą może kwestję znacznie się różnią.

Władza rządowa w Polsce, stosując się do rozwoju i przeobrażeń państwa, dwa razy się już przed szesnastym wiekiem zmieniła. Pierwsi Piastowie, zbijając drobne ludy, osiadłe na obszarze późniejszej Polski, w jeden naród, znieśli zupełnie dawniejsze ich polityczne związki, a położwszy sobie za cel zbudowanie silnego państwa, utworzyli odpowiednią temu celowi hierarchję urzędniczą, centralistyczną i zupełnie rozkazom panującego poddaną. Cały kraj podzielony był na powiaty, na których czele stali kasztelanowie (*comites*) jako bezpośredni wykonawcy rozkazów królewskich. Osobni urzędnicy skarbowi, których Gallus nazywa *vastandiones*,

i *villici*, administrowali niezmiernymi dobrami królewskimi, pośród których zrzadka tylko wyłaniały się wsie darowane kościołom i rycerstwu. Na dworze panującego występuje wojewoda (*palatinus*), chorąży (*signifer*), stolnik (*dapifer*), cześnik (*pincerna*), skarbnik (*thesaurarius*), kanclerz (*cancellarius*) i komornicy (*camerarii*). Podział kraju pomiędzy synów Krzywoustego nie zmienił w niczem organizacji, tylko że każdy z książąt otoczył się teraz dworem i urzędami dworskimi, jakie przedtem tylko na dworze panującego nad całą Polską monarchy istniały.

Z początkiem dopiero XIV wieku nastąpiło zasadnicze przeobrażenie. Usiłowaniom Przemysława, Wacława, Łokietka i Kazimierza powiodło się złączyć pojedyncze dzielnice w jedno królestwo. Była to jednak unja personalna, wskutek czego każda dzielnica zatrzymała swój samorząd, a urzędy w każdej dzielnicy czyli ziemi istniejące stały się z książęcych i centralistycznych autonomicznymi, ziemskimi. Nowe państwo potrzebowało jednak, jeżeli miało całość swoją utrzymać, nowych urzędników, w imieniu władzy królewskiej centralnej występujących. Powoli więc na dworze królewskim zaczynają w ciągu czternastego wieku powstawać nowe urzędy królewskie dworskie: podkanclerzy, podskarbi, kanclerz, marszałek, których władza na cały kraj się rozciągała. Atoli rząd ten królewski nie miał jeszcze w całym kraju urzędników podwładnych, którzyby byli od niego bezpośrednio zależni i stali na straży rozkazów królewskich. Urzędy ziemskie, jako autonomiczne, do tego celu wcale nie dały się użyć. Dlatego z końcem XIV wieku ustanowiono w całym kraju, obok hierarchji urzędniczej ziemskiej, starostów grodowych, jako władze, które w ręku swoich dzierżyły siłę zbrojną i wykonywały bez zwłoki w każdym zakątku kraju rozkazy centralnego rządu. Na tych starostach opierali groźną powagę swego rządu pierwsi Jagiellonowie, posługiwali się nimi w przeprowadzeniu polityki, która nieraz nie zgadzała się z ogólnem usposobieniem narodu i do której władze ziemskie nigdyby z należytą energją nie przyłożyły ręki. Dość czytać Długosza, gdzie opisuje spór kapituły krakowskiej z Kazimierzem Jagiellończykiem, ażeby poznać, jaką rolę w podobnych wypadkach odgrywał starosta, ażeby się

przekonać, jaką siłę mógł rząd polski podówczas na wewnątrz rozwinąć.

Ogólna jednak zmiana stosunków w drugiej połowie XV stulecia uczyniła i ten rząd niedostatecznym i postawiła na pierwszym planie jego nową reformę. W XIV i XV wieku, w państwie polskim patrymonjalnym, społeczeństwo podzielone na stany rządziło się, jak to wyżej już podnieśliśmy, samo, a władza państwowa miała jedynie zadanie, aby utrzymać bezpieczeństwo i równowagę wewnętrzną. Zadaniu temu czyniła ona zadość nietylę przez jakąś ciągłą działalność i presję, ile raczej przez to, że w chwilach stanowczych występowała szybko i doraźnie, a rozwijając całą swą siłę, przywracała naruszony porządek i znów na uboczu stawiała. Z końcem XV wieku zmieniała się atoli istota państwa, znikła odrębność polityczna stanów, a zadaniem stało się państwa, ażeby kierować i wspierać rozwój i pracę społeczeństwa we wszystkich kierunkach. Teraz wymagała konieczność, ażeby działanie władzy rządowej stało się nieustannem, obmyślanem, systematycznym. Od chwilowego, gwałtownego występu ważniejszym był wpływ stały, rozciągnięty na wszystkie stosunki, poparty przymusem w miarę potrzeby, przeprowadzony podług pewnego, zgóry podanego, planu. Jednolitość całej maszyny rządowej, wewnętrzna jej zgodność i karność i szerokie rozprzestrzenienie stały się koniecznym wymaganiem. Przymiotów tych dotychczasowa organizacja urzędnicza nie mogła wykazać.

Urzędy podwładne, starościńskie, należało pomnożyć zarówno co się tyczy ogólnej liczby, jako też pod względem wewnętrznego ich składu. Należało niemniej przeprowadzić ich niepołączalność z innymi urzędami, usunąć zwyczaj szkodliwy, że starostami bywali wojewodowie, jak tego na polach nieszwawskich domagała się szlachta. Inaczej nie było pewności, że starosta czynności swego urzędu nie zaniedba, że polecenia, dane sobie z góry, bez oporu wykona. Ważniejszą jeszcze była reforma centralnego rządu.

W państwie średniowiecznym panujący a państwo były to jednoznaczne pojęcia; majątek państwa był majątkiem panującego, bo panujący własnymi środkami obowiązany był rządzić i z własnych funduszków koszta rządu pokrywać. Pojęcia te z nastaniem

nowej epoki zupełnie się zmieniły. Państwo, które w Polsce doskonale nazwano rzecząpospolitą, stało się samoistnie, samo miało obmyślić swój rząd, samo miało dostarczyć rządowi temu potrzebnych do rządzenia środków. Tron polski, dzierżąc zawsze najwyższą, nieodpowiedzialną władzę, był już tylko jedną z instytucyj państwa. Czynności jego podzieliły się zasadniczo: jedne odnosiły się do jego dworu i majątku, drugie do spraw publicznych. Urzędy dworskie nie mogły już bez zamieszania łączyć w sobie zarządu spraw prywatnych króla, a zarazem spraw publicznych Rzeczypospolitej. Rozdział ich na publiczne i ściśle dworskie stał się prawie nieunikniony i dokonywał się zwolna samą siłą stosunków z końcem XV i początkiem XVI stulecia. Kanclerz i podkanclerzy byli oczywiście tylko urzędnikami państwa, ale marszałek musiał być jeden nadworny, drugi koronny, toż samo podskarbi. Rozdział ten władz naczelnych był atoli tylko połową reformy. Uświęcając go, należało obmyślić, ażeby naczelne urzędy koronne nie wymknęły się z pod powagi króla i nie zaczęły postępować samopas. Chociaż w końcu XV wieku ustawodawstwo stało się rzeczą sejmu, jednak cała władza rządowa została przy królu, król miał utrzymać jej jednolitość i zgodność.

Jakaż do tego celu prowadziła droga? Dzisiaj łatwoby nam ją przyszło obmyślić — ministerjum parlamentarne, władzę, która zachowuje całą wewnętrzną sprężystość i jedność, która postępuje w duchu większości sejmowej, reprezentującej kraj, a nie narusza przez to w niczem praw tronu, która wreszcie zastępuje brak zdolności i charakteru ze strony panującego. Byłoby jednak wielkiem doktrynerstwem, ażeby żądać czegoś podobnego od Polski ówczesnej. Rozchodziło się tu jedynie o to, aby zapobiec możliwemu rozstrojowi władzy rządowej, ażeby utrzymać jej zgodność; — reszta byłaby się zczasem znalazła i rozwinęła. Nie było zaś innego sposobu urzeczywistnienia tego zadania, tylko uchylić dotychczasową dożywotność wszystkich urzędów, która osobiwie w urzędach wyższych prowadziła niechybnie do nieposłuszeństwa i polityki na swoją rękę. U nas tylko na mocy sądowego wyroku pozbawiano urzędu. Rzadko zaś kiedy urzędnika, który nie działał w duchu udzielonych sobie rozkazów, można było tem samem przed

kratki sądowe pociągać. Sprawa była w każdym razie przewlekła i długa, rząd się tymczasem rozprzęgał i tracił na swojej powadze. Król powinien był, obok władzy obsadzania urzędów, mieć także moc usuwania z nich dowolnie ludzi, którzy niedość okazywali gorliwości i posłuszeństwa.

Posiadając to prawo, byłby król utrzymał jedność władzy naczelnej, czyli swego ministerjum, byłby mógł wielkie urzędy koronne złączyć w jeden rząd, a rząd ten królewski byłby sobie nawet sam przez się wytworzył pewien program i znalazłby również możność przeprowadzania swych rozkazów i rozporządzeń.

W braku tego wszystkiego siła rządów zależała wyłącznie od osobistych przymiotów panującego. Król wielkich zdolności, chętny do pracy, a nadewszystko żelaznej woli, mógł wszystkiego dokonać i nie tylko w pracach sejmowych chwycić śmiało inicjatywę i nadać im głębszy kierunek, ale, co było rzeczą o wiele trudniejszą, utrzymać w przyzwoitych karbach machinę rządową, jaka podówczas istniała. Jeżeli zaś król był słabym lub niedbałym, cały rząd się rozprzęgał, a rozprężenie to oddziaływało zgubnie na działalność sejmu i na rozwój samego parlamentaryzmu. Dopóki ludzie są ludźmi, trudno zaprawdę od nich wymagać, ażeby nakładali na kraj podatki, jeżeli podatki te będą strwonione i jeżeli od nich uchylają się skutecznie ci, coby je najłatwiej mogli ponosić. Zapominają o tem zwykle ci, co przeciw sejmom polskim najcięższe podnoszą zarzuty. Należałoby natomiast okazać większą — nie pochwałą, ale wyrozumiałość dla sejmów, które, widząc rozstrój władzy rządowej, występowały z próżnemi skargami, a nie widząc skutku swych żalów, poczynają się burzyć i do króla i władzy zniechęcać.

Symptomata te zaczęły występować już w ostatnich latach panowania Jana Olbrachta, którego po strasznej klęsce bukowińskiej i upadku śmiałych zamiarów zupełnie opuściły siły. Sejmy, które aż do roku 1498 postępowały ręką w rękę z królem i zarówno w pracy ustawodawczej, jako też w uchwalaniu podatków starały się gorliwość króla prześcignąć, teraz, kiedy Olbracht upadł w swoich zamiarach i oddał się rozpuście, osłabły w swej działalności i żadnych jej nawet nie pozostawiły śladów. Gdybyśmy znali ich przebieg, moglibyśmy niewątpliwie opowiedzieć pierw-

sze objawy rozstroju pomiędzy dwoma czynnikami, które powołane były do tego, ażeby zgodnem działaniem wielkie rzeczy zbudować.

Kwestja utworzenia silnego rządu jest więc z rozwojem parlamentaryzmu polskiego jak najściślej spleciona, i aż do samego upadku Rzeczypospolitej nieodstępnie jej towarzyszy.

2

Dnia 17 czerwca 1501 r. umarł nagle Jan Olbracht w Toruniu, a już 12 grudnia tegoż samego roku Aleksander odprawił uroczystą koronację w Krakowie. Krótkie to jednak bezkrólewie rzuca ogromne światło na stosunki, które powstały lub utrwały się za panowania Olbrachta, przedewszystkiem więc na instytucję sejmów. Jest ono bijącym dowodem, że sejmy polskie ówczesne były rośliną jeszcze nadzwyczaj wątłą, która się utrzymywała głównie ściśłem przymierzem z tronem i tylko z jego pomocą była w stanie ostać się wobec tak przemożnego nieprzyjaciela i współzawodnika, jakiego miała w senacie. Panowie polscy, dopóki żelazna ręka Olbrachta trzymała ich na wodzy, musieli się ograniczać do skromnego stanowiska rady królewskiej, ale niechęć ich długo tłumiona w chwili, kiedy Jan Olbracht zamknął oczy, wybuchła zarówno przeciw władzy rządowej królewskiej, jako też przeciw władzy ustawodawczej sejmowej.

Bezkrólewie bardzo im do tego pożądaną podawało sposobność. Po zgonie króla władza rządowa przechodziła na senat pod prezydencją prymasa. I rzeczywiście, jak tylko wiadomość o zgonie Olbrachta doszła do Krakowa, kardynał prymas Fryderyk chwyta inicjatywę w swoje ręce, zwołuje senatorów to do Krakowa, to do Nowego-Korczyna, to wreszcie do Koła, i z nimi razem wszystkie sprawy załatwia. Nie prymas, ale senat cały z prymasem na czele prowadzi rządy i wyznacza dzień 15 września na zjazd powszechny w Piotrkowie, na którym nowy król ma być wybrany i obwołany.

Zjazd ten elekcyjny nie był sejmem, bo prawo elekcji królów

było dawniejszem od sejmów, pochodziło z czasów jeszcze piastowskich i stało się udziałem wieców urzędniczych, które podówczas same jedne mogły być tłumaczem woli narodu. Z prawa tego nie myśleli też panowie polscy po śmierci Olbrachta żadnego robić ustępstwa, jakkolwiek licząc się więcej z duchem czasu i ostatnim rozwojem stosunków, do udziału w elekcji izbę poselską zaważać byli powinni. Szlachta zaś nie umiała się o udział ten w elekcji przez posłów upomnieć, bo sejmiki i posłowie ich na sejmie mieli przyznaną tylko władzę przyzwalania na nowe ustawy i nadzwyczajne podatki, a senatorowie umieli się zresztą, lepiej nawet niż izba poselska, z usposobieniem tłumów rachować. Senatorowie usuwali, gdzie tylko mogli, zasadę reprezentacji, a opierali się, gdzie im na tem zależało, nawet przeciw izbie poselskiej na ogóle szlachty. Wiedzieli dobrze, że nieoświecone i chwilowym porywom poddane tłumy łatwiej się dają kierować, a na samoistne wystąpienie nigdy prawie nie mogą się zdobyć. Zamiast więc przyzwać na elekcję tylko izbę poselską, zwołali panowie polscy cały naród, szlachtę, a nawet i miasta do Piotrkowa, i zgodę ich i przyzwolenie wypisali na akcie elekcji.¹

Ale jakaż to była zgoda? Senat polski z przybyłym na elekcję orszakiem panów litewskich zamknął się w Piotrkowie na tajne rady. Gdy zgoda zapadła na Aleksandra, wystawiono formalny akt elekcji, przeczytano go na uroczystym posiedzeniu, a marszałek zbierał głosy porządkiem miejsc. Stwierdziwszy wynik głosowania, wychodził marszałek z sali senatorskiej do tłumów, czekających na dworze w milczeniu, i ogłaszał im wybór. Wybór ten zgromadzony naród powinien był głośnym okrzykiem przywitać i na tem się rola jego w elekcji kończyła. Osobni posłowie oznajmiali elektowi dokonany wybór, a nowo obrany król obowiązany był przed koronacją zatwierdzić uroczystym aktem wszystkie prawa i przywileje królestwa w formie przez senat podanej.² Otóż z tego ostat-

¹ »...communitates terrarum et civitatum de jure et consuetudine ad electionem regiam pertinentium...« Mss.

² Opis powyższy elekcji opieram na podstawie mss., który się w zbiorze prof. Szujskiego znajduje. Na podstawie wyboru Aleksandra napisał jakiś naoczny

niego prawa postanowili panowie polscy po wyborze Aleksandra skorzystać. Chwyciwszy za ster rządów podczas bezkrólewia, nie chcieli ze stanowiska tego na rzecz króla i sejmów ustąpić, lecz jednym śmiałym zamachem zamierzali stanowisko to nadal utrwalić, a króla i sejm ubezwładnić.

Przedsięwzięciu temu sprzyjały nader okoliczności. Wybór Aleksandra nie był wyrazem sympatji dla jego osoby, lecz wynikiem położenia politycznego. Prusy na chwilę nie mogły się uspokoić, a nawała Tatarów i Turków groziła Polsce nieustannie zupełną zagładą. Z drugiej strony wojna moskiewska, od kilku lat nieszczęśliwie toczona, przekonała Litwinów, że samoistnie utrzymać się nie zdołają. Oba narody zbliżyły się też do siebie więcej niż kiedykolwiek, poselstwo panów litewskich przybyło na zjazd piotrkowski, i w dniu 3 października stanęła unja, która Polskę z Litwą w jedno ciało łączyła, a w obu krajach podnosiła i utrwalała powagę senatu. Z chwilą, odkąd unja stanęła, nikt już inny nie mógł być wybrany królem polskim tylko Aleksander, panujący wówczas na Litwie. W ten sposób dostąpił też Aleksander tronu polskiego, chociaż usposobienie narodu więcej skłaniało się ku Władysławowi, królowi Czech i Węgier, i chociaż Zygmunt, wówczas księżę głogowski, najświetniejsze rokował nadzieje. Aleksandra nie lubiono powszechnie, raz dla jego słabego charakteru, a niemniej także dlatego, że zamęście jego z Heleną, wielką księżną moskiewską, i powodowanie się radami Glińskiego, głowy stronnictwa ruskiego na Litwie, podawało go w podejrzenie, że politykę ruską, ze szkodą polityki katolickiej i polskiej, popierać jest gotów.

Otóż niechęć tę narodu do króla umiał senat polski po mi-

świadek i zapewne urzędowa osoba traktat, jak króla wybierać należy, powołując się wszędzie na fakta zaszłe przy wyborze Aleksandra i cytując dosłownie akt elekcji. Z traktatu tego przytaczamy najważniejszy ustęp: »Perlecto itaque decreto votabant omnes secundum loca sua, quem deberent dominum eligere et mareschalculus terrestris ab unoquoque debet votum exquirere secundum ordinem, exceptis praelatis qui voluntate sua dabunt vota; facta vero concordia votorum pro uno domino, mareschalculus debet exire ad communitatem publicando electum dominum, quem communitas debet exclamare...«

strzowski dla celów swoich wyzyskać. Zamiast zażegnać, starał się ją rozbudzić, bo niechęć ta powszechna dawała mu sposobność postawienia się za obrońcę praw i polityki narodu wobec nielubianego króla, do zajęcia stanowiska, na którym przez cały czas rządów Olbrachta nie mógł, o ile wiemy, stanąć. Senat, narzucając się na przywódcę narodu, podyktował królowi warunki, które zmierzwały do zwiększenia władzy senatu jako instytucji stojącej na straży praw narodowych. W podstępnej tej polityce senat był pewien poparcia przez ogół narodu, Aleksander zaś zmuszonym się ujrzał zatwierdzić w d. 25 listopada 1501 r. w Mielniku akt, jaki mu podali senatorowie.

W ten sposób powstał pamiętny przywilej mielnicki, który w całej historii polskiej drugiego równego lub podobnego sobie nie ma. Gdy zaś dotychczas mało nań zwracano uwagi, tem więcej mamy powodów, aby go bliżej i szczegółowiej rozważyć. Czytając go (drukowany w *Jus polonicum* Bandtkiego), odnosimy wrażenie, jakbyśmy mieli przed sobą jakąś konstytucję Rzeczypospolitej Weneckiej, a nie możemy prawie uwierzyć, ażeby coś podobnego zrodzić się mogło w Rzeczypospolitej Polskiej, jaką znamy dokładniej poczynając od czasów Zygmunta Augusta i Waleczusza. Widzimy w nim nakreśloną wyrazistymi rysami formę rządu arystokratyczną, i to arystokrację w najsłabszym tego słowa znaczeniu.

Na samym wstępie umieszczone jest porównanie monarchji z arystokracją. Nie byłoby rzeczy pożądansej na świecie, powiada przywilej, jak żyć pod dobrym i sprawiedliwym panującym; jednakże częste doświadczenie nauczyło, że panujący rządzić chcą jedynie dowolnością swą, a gdy przedniejsi z pośród rady sprzeciwiają się ich zamachom, wtedy srożą się bezmiernie, zwracając wszystkie swe siły i myśli przeciw ich prawu, osobom i mieniu. Lepiej więc poddanym być radzie ludzi roztropnych i prawom, niż dowolności i namiętności panującego, a póki senat powagą swoją rozstrzyga i stanowi, póty Rzeczpospolita (państwo) w sile swojej się utrzymuje.

Skoro jednak senat ma rządzić, powstaje pytanie, kto ma ten

senat stanowić i jak daleko sięgać ma władza senatu? Na jedno i drugie odpowiada przywilej stanowczo.

Senat składać się będzie z dostojników i urzędników, którzy dotychczas brali w nim udział; jednakże hierarchja ta urzędnicza, do udziału w radzie uprawniona, tworzy niejako odrębny, uprzywilejowany stan pośród szlachty. Członkowie jej odpowiadać mają przed samym senatem (art. 1). W posuwaniu się zaś na coraz to wyższe godności panuje, dla uniknięcia zatargów, zasada bezwzględnej kolejności, a panujący ma prawo obsadzać tylko najmniejsze urzędy w dwóch miesiącach po ich opróżnieniu, i to za zgodą panów (art. 3).

Władza senatu jest najwyższą w państwie. Senat postanawia o wszystkim na swoich zebraniach pod przewodnictwem panującego, który w razie niezgody zdań ogłosić ma to postanowienie, za którym stoi niekoniecznie większa liczba senatorów, ale część senatu przedniejsza powagą i dostojenstwem. Król jest niczem więcej, tylko przewodniczącym w obradach senatu i poddanym jest jego orzeczeniom zarówno w sprawach sądowych, w drodze apelacji przed senat przychodzących, jako też we wszystkich sprawach prywatnych i publicznych (art. 2). Król postanowienia senatu oddawać powinien w wykonanie (art. 2), jednakże władze wykonawcze w każdej ziemi, a więc przedewszystkiem starostowie, nie podlegają królowi, tylko komisjom wykonawczym senatu, złożonym z miejscowego biskupa, wojewody i kasztelana (art. 7).

Na straży wszystkich tych zasad stoi sankcja, że gdyby król przeciw osobie senatora dopuścił się gwałtu, lub też okazał się nieposłusznym postanowieniom senatu, w takim razie całe państwo uwalnia się od przysięgi na wierność i nie ma go uważać za pana, lecz za tyrana i nieprzyjaciela (koniec art. 1). Rzeczą jest godną uwagi, że panujący w całym przywileju, z wyjątkiem dodanej przez Aleksandra klauzuli zatwierdzającej, nazywany jest stale nie *rex*, lecz *princeps*. Czyżby w nowej arystokracji i nazwę króla zamierzano usunąć?

Przedstawiliśmy niemal dosłownie zasady nowej formy rządu, złożone w przywileju mielnickim; wytłumaczyliśmy poprzednio, skąd pomysł ten mógł powstać, i staraliśmy się podać okoliczności, które

Aleksandra do zatwierdzenia tych przez senat postawionych mn warunków skłoniły. Ze zdaniem naszym o całym tym tak śmiałym kroku senatu nie mamy się potrzeby ociągać. Podnosimy przede wszystkim z pociechą, że przywilej mielnicki nie jest w niczem podobny do późniejszych *pactów conventów*. Kiedy *pacta conventa* ograniczały tylko władzę królewską i odejmowały jej środki rządzenia, a więc tworzyły anarchję, — przywilej mielnicki stawiał w miejsce władzy królewskiej władzę senatu, jaka istniała przedtem tylko podczas bezkrólewioń, a więc zawsze władzę dobrze obmyślaną i z zupełnym programem działania. Czy władza ta była lepszą od dotychczasowej? — oto najtrudniejsze pytanie.

Nie należymy zgoda do tych, którzy szczęście narodu uważają zależnem od jednej, ulubionej przez nich formy rządu, czy to republiki, czy monarchji, czy wreszcie arystokracji. Każda forma rządu jest dobrą, która w danych warunkach zapewnia narodowi i państwu pieczę jego interesów, silny rząd i ogólny rozwój. Otóż w Polsce, w granicach państwa prawnego, z początkiem XVI wieku nowo się tworzącego, dwie formy rządu znaleźć mogły rzeczywistą podstawę i warunki swojego bytu: monarchja i arystokracja.

Monarchja miała za sobą to, że była formą legalnie od najdawniejszych czasów istniejącą, nie wymagała więc żadnego przewrotu, tylko potrzebowała zmienić się odpowiednio do zmienionej natury państwa, obowiązki swoje rozszerzyć i wewnątrznie się zorganizować. Jednakże najpożądany do takiej reformy czas — już był za Kazimierza Jagiellończyka przeminął. Monarchja nie zwalczyła bródźdzącego możnowładztwa, nie stanęła na czele rozwoju narodu i jego organicznej pracy, a bezczynnością swoją w tym kierunku wywołała i przygotowała dojście do władzy szlachty. Monarchja nie mogła pozostać absolutną, dopuściła do udziału w ustawodawstwie i uchwalaniu podatków reprezentację szlachty. Udział zaś szlachty w rządzie miał tę słabą stronę, że szlachta nie była jeszcze żywołem politycznie dojrzałym, a więc danej sobie władzy mogła łatwo czyto w swoich samolubnych celach, czy też obalamucona przez możnych, nadużyć. Potrzeba było Polsce panujących, odznaczających się zdolnościami i siłą woli, którzyby nie zrażali

się błędami popełnianymi przez szlachtę, lecz stanąwszy z izbą poseską, na jej czele, poprowadzili ją głębszem zrozumieniem rzeczy, wyzwolili z pod wpływu możnych wicherzycieli i opór hierarchji urzędniczej złamali. Takiego jednak panującego poskąpiła nam Opatrzność w rodzie Jagiellonów, który wprowadzie wielką miłością kraju i dobrymi chęciami się odznaczał, ale ani wytrwałością pracy, ani też konsekwentną siłą woli zgoła się nie mógł poszczycić. Dlatego też rząd monarchiczny mało rokować mógł nadziei, że doprowadzi do silnej władzy rządowej, że ją zdobędzie i z rąk nie wypuści.

Całkiem przeciwnie arystokracja. Z początkiem XVI wieku posiadała Polska nie tę późniejszą arystokrację pieniężną, która na żupach i cłach królewskich lub na ciemństwie chłopów dorabiała się majątków i politycznego znaczenia, lecz prawdziwą arystokrację z rodu i inteligencji, która w drugiej połowie XVI wieku dziwnym wypadkiem częścią zupełnie wymarła, częścią też upadła i tradycję swą zatraciła. Przytoczyliśmy już raz kilkanaście jej nazwisk. Zanadto skąpe są ówczesne historyczne źródła, żeby nam pozwoliły scharakteryzować wybitniejsze postaci, ale jeżeli były tam osobistości tego odlewu, co Jan Ostroróg, autor sławnego *Monumentum pro ordinanda republica*, jeżeli z ich szkoły wyszli wszyscy późniejsi senatorowie z pierwszej połowy rządów Zygmunta Starego, to nie ulega wątpliwości, że arystokracja ta wiedziała, czego chce, i posiadała gotowy materiał, ażeby silny rząd utworzyć. Jedyną słabą stroną arystokracji było więc to, że przyjść mogła do władzy tylko przez mniej lub więcej gwałtowny wywrót istniejących stosunków. Przywilej mielnicki był dopiero programem na papierze, należało go urzeczywistnić. W tym zaś punkcie spotykała się arystokracja z wyrobionem od wieków w narodzie pojęciem i wyobrażeniem władzy królewskiej. Możliwość wywierali wielki wpływ na rząd już od najdawniejszych czasów; im słabszy był panujący, tem więcej wpływ ten postępował, ale występowali oni zawsze w imieniu króla, naród słyszał tylko o rządzie królewskim. Najnieodolniejszy król mógł się do tego poczucia narodu odwołać, a w takim razie arystokracja groźną z całym narodem rozpoczynając musiała walkę.

Walkę tę powitaćbyśmy musieli z radością, bo wobec równowagi monarchji i arystokracji, z których żadna nie miała bezwzględnego pierwszeństwa, tylko po stanowczej walce spodziewać się było można, że jedna albo druga strona zwycięży i silny rząd wewnętrzny zbuduje.

Do takich wniosków doprowadziło nas rozważanie stosunków wewnętrznych Polki w pierwszych chwilach panowania Aleksandra Jagiellończyka. Spodziewamy się walki pomiędzy senatem a królem, walki o władzę rządową. Historia owych czasów, na jaką dotychczas zdobyć się byliśmy w stanie, nie nam wprawdzie o podobnem starciu się dwóch czynników dominujących w państwie i społeczeństwie nie opowiada, ale wiemy przecież, na jak słabych podstawach historia ta się opiera, wiemy, że wewnętrznego rozwoju zupełnie niemal nie uwzględniła. Szukajmy więc, czy przypuszczenie nasze sprawdzi się w źródłach rękopiśmiennych, o wiele pod tym względem wymowniejszych, do których nam w rozwiązaniu tak ważnego pytania jedyna pozostaje ucieczka. Z niezmierną ciekawością przystąpiliśmy też do badania źródeł ówczesnych, których prof. Szujski we wspomnianym już zbiorze zadziwiająco nagromadził obfitość.¹ Odpowiedź na pytanie nasze znalazła się w nich tak szczegółowa, tak jasna, jakiej tylko mogliśmy pożądać. Niechaj jednak czytelnik nie spodziewa się, że wydobędziemy z zapomnienia i stawimy mu przed oczy obraz jakiego gwałtownego wstrząśnienia i wojny domowej. Walka pomiędzy monarchją i arystokracją, jaka się za panowania Aleksandra stoczyła, inne sobie obrała tory. Rozegrała się ona w dwóch epizodach, z których pierwszy wywołany został nie postanowieniem tych, którzy w niej wzięli udział, ale zbiegiem okoliczności.

Przypomnijmy sobie, że odnowienie unji i wybór Aleksandra królem polskim były tylko wynikiem wojny, która wybuchła pomiędzy Litwą a Moskwą i wypadła coraz to jawniej na nieko-

¹ Spodziewając się prędkiego wydania tych aktów, a nie mogąc pracy naszej ciągłymi cytatai źródeł przeciążać, uprzedzamy tylko łaskawego czytelnika, że wszelkie wiadomości faktyczne, w dalszym ciągu podane, opierają się na zbiorze prof. Szujskiego.

rzyć Litwinów. W posiłkach polskich szukała Litwa ratunku. Ażeby je uzyskać, zatwierdził Aleksander bez oporu przywilej, jaki mu panowie polscy za warunek elekcji podali, przybył do Krakowa i w d. 13 grudnia 1501 r. koronował się królem. Umysł jego atoli zanadto był w inną stronę zwrócony, ażeby sprawom Polski poświęcić mógł czas i uwagę. Kiedy wieść po wieści nadchodziła o ogromnych przygotowaniach wojennych Iwana, kiedy poselstwa Szach - Achmeta, hana sprzymierzonych z Polską zawołańskich Tatarów, wzywały raz po raz do rozpoczęcia kroków wojennych i uprzedzenia nieprzyjaciela, — Aleksandra, bawiącego w Krakowie, paliła ziemia pod stopami z obawy i niecierpliwości. Czekał też tylko na przeprowadzenie koniecznych podatków i »nie urządziwszy spraw wewnętrznych państwa«, wyruszył już w dniu 3 maja z zaciężnym zastępem ku Litwie.

Wyjazd ten postawił Polskę w nowem położeniu, bo król, wyjeżdżając, oddał rządy w ręce senatu, któremu z urzędu swego i upoważnienia Aleksandra kardynał-prymas Fryderyk miał przewodniczyć. Hierarchja urzędnicza, czyli arystokracja, zamiast walczyć o wpływ i zakresłone w przywileju mielnickim znaczenie, osiągnęła od jednego razu wszystko, czego pragnęła. A jednak — gdybyśmy wbrew wszystkim świadectwom historycznym mogli przypuszczać, że Aleksander był politykiem genialnym i wszystkie kroki swoje na głębokiem znawstwie ludzi i stosunków opierał, to musielibyśmy prawie powiedzieć, że oddanie to całej władzy rządowej w ręce przeciwnika swego — senatu, było z jego strony mistrzowskim fortem. Aleksander uczynił to tylko pod naciskiem niezawisłych od niego okoliczności, ale zapewne bezwiednie wystawił senat polski na ciężką próbę, która miała okazać, czy senat rządy całego kraju zdoła prowadzić skutecznie i samoistnie bez większego ze strony króla współdziałania niż to, które mu sam w przywileju mielnickim naznaczył.

Brzemie tych rządów nie było zbyt ciężkiem. Rokowania, prowadzone z Turcją o przedłużenie pokoju, pomyślnym szły torem; rozchodziło się więc o to jedynie, ażeby wschodnią granicę kraju zabezpieczyć od napadów Tatarów krymskich i od knowań zdradliwej zawsze Wołoszy. Kilka tysięcy zaciężnego żołnierza, posta-

wionego na straży ziem ruskich, i gotowość do pospolitego ruszenia czyniły potrzebie tej zadość. Na wyćwiczonym żołnierzu nie zbywało, trzeba mu było jedynie zapewnić żołąd dostateczny. Zaspokoiwszy domowe potrzeby, wypadało zaś wesprzeć króla, wojującego na Litwie, a w ten sposób świeżo zawartej unji okazać praktyczną doniosłość.

Jakże z tego zadania wywiązał się senat? Nie nasza rzecz kreślić tu cały przebieg wypadków; zaznaczymy tylko wyniki rządów senatu w pamiętnym roku 1502.

Sejm walny, odprawiony w lutym, jeszcze przed wyjazdem króla na Litwę uchwalił znaczne podatki i cła, oraz pospolite ruszenie na wypadek niebezpieczeństwa. Już w dniu 14 marca wydał król pierwsze wici. Wojsko zaciężne stanęło na kresach Rusi. Sejmik ziem małopolskich, odprawiony z początkiem czerwca w Nowym-Korczynie, w drodze Aleksandra na Litwę, ponowił te uchwały i postanowił nadto bicie nowej monety. A jednak po wyjeździe króla, pomimo nieustannych jego, rozpaczliwych niemal listów, ani moneta bić się nie zaczęła, ani też podatki zebrać się nie mogły do skarbu. Wojsko zaciężne — niepłacone rozeszło się, pustosząc własne ziemie, do domu. Senat zaś po długich i rozmaitych naradach zbiera się jeszcze raz na walny zjazd w Kole, »ażebym wszystko jednomyślnie mogło być postanowione«. Tam zapada uchwała, że kraj, wyczerpany tylu podatkami, a wstrząśnięty takimi przejściami, widzi jedyny ratunek w zakończeniu wojny moskiewskiej, a przynajmniej w otrzymaniu jak najdłuższego zawieszenia broni. Zamiast oczekiwanych posiłków, z naiwną tą zaiste i oburzającą radą udaje się poselstwo senatu polskiego na Litwę, osobno do króla, osobno do panów litewskich, osobno do królowej, ażebym pośredniczyła między zwaśnionymi ojcem i mężem. Litwa pomimo natarczywych upomnień nie ujrzała polskich posiłków. Szczęściem, że inny sprzymierzeniec Aleksandra, mistrz inflancki Plettenberg, wielkiem zwycięstwem odniesionem dnia 13 września pod Pskowem, — oraz mężna obrona Smoleńska uchroniły Litwę od ostatniej zagłady. Mniej zato pomyślny obrót wzięły wypadki w dzielnicach południowych, które podówczas wprawdzie należały do Litwy, ale faktycznie zostawały pod przewagą i pieczę Korony. Sprzymierzona z nami horda

Szach-Achmeta, nie doczekawszy się posiłków, zdradza swojego hana i przechodzi do hana Tatarów perekopskich, największego wroga Polski, Mendli-Gereja. Gotuje się straszna na Polskę wyprawa, — senat przestrzeżony o niej nie jednak nie przedsięwzię; niepamiętny napad dziczy zalewa kraje ruskie, rozciąga zagony swoje aż pod Opatów, i nie doznawszy żadnego oporu, wraca z ogromnym łupem w swoje łożyska.

Usiłowania Fryderyka, ażeby szlachtę przynajmniej z najbliższych ziem w pogoń za uchodzącymi Tatarami ruszyć, dla braku zdolnego wodza żadnego nie odniosły skutku. Na domiar złego Stefan, gospodar wołoski, który już oddawna knuł z Tatarami konszachty, korzystając z zamieszania, wpada ze swej strony na Ruś, grabi, czego nie spustoszyły Tatary, i przywłaszcza sobie zupełnie Pokucie.

Takie były wyniki rządów pozostawionych przez Aleksandra możnowładczej hierarchji. Przypatrzmy im się bliżej, o ile zdolamy odgadnąć ich wewnętrzne sprężyny i wytłumaczyć rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się niepojęte. Przedewszystkiem rozważmy, czy wina tych wszystkich niepowodzeń spada rzeczywiście na senat, czy senat ten w rządach swoich istotnie wolne miał ręce, czy nie potrzebował walczyć z posłami ziemskimi lub z królem?

Otóż co się tyczy posłów szlacheckich, możemy to tylko powiedzieć, że w aktach historycznych ówczesnych nie znajdujemy żadnego śladu jakiejś samoistnej ich działalności. Nie możemy się dopatrzeć, żeby występowali z własnym programem, z roszczeniem do rządów, żeby tworzyli osobne stronnictwo polityczne szlacheckie. Gdyby nie to, że wspominają o nich uchwały sejmowe, moglibyśmy nie bezzasadnie twierdzić, że nie istnieli wcale. Senatorowie, licząc się też z tem stanowiskiem posłów, nie tylko że ich z sejmów nie myśleli wyłączać, czego też przywilej mielnicki nie orzekał, ale przyzywali ich owszem na sejmy i wspominali o nich w uchwałach sejmowych, ażeby uchwałam tym i rządóm swoim, osobliwie w chwilach krytycznych, zdobyć potrzebną popularność. Zresztą senat kierował tak dalece i tak niezawisłe rządami, że historycy społeczeńsi, Wapowski i Miechowita, każdy krok rządu od-

noszą tylko do postanowień *senatus* lub *optimatum*, a o posłach ziemskich zgoła nie wspominają.

Aleksander zaś, wyjechawszy na Litwę, zajął stanowisko zupełnie bierne, a odzywając się w listach swych do senatu polskiego i domagając się posiłków, występował niemal jak obcy sprzymierzony monarcha, nie zaś jakby na króla we własnem jęgo państwie przystało. Z bratem Fryderykiem, jako prezesem senatu, utrzymywał nieustanną korespondencję poufną, do senatu wysyłał od czasu do czasu formalne poselstwa, w których przedstawiał swoje życzenia i wnioski. Zamiast rozkazywać, nieustannie prosił i prosił, pozostawiając obmyślenie wszystkiego senatowi i podnosząc wyraźnie, że »sam spraw polskich nie zna«, »nowym jest gospodarzem w tem państwie«, a »wolą senatu kierować się przyrzekł.« Donosząc np. Fryderykowi, że Tatarzy na Polskę już wyruszyli, pisze król d. 22 września 1502 r.: »Obawiając się już pierwszej napadu Tatarów, pisaliśmy wówczas do P. W., prosząc o wykonanie uchwał nowo-korczyńskich, najpierw, aby dwa tysiące jazdy broniło Rusi, a potem wszyscy za broń chwycili... Dlaczego nie się z tego nie stało, nie rozumiemy, prosimy więc, radz z senatorami i działaj co za stosowne uznasz.«

Król pozostawił senatowi zupełne pełnomocnictwo. Senat, który już na pierwszym sejmie, odprawionym z początkiem r. 1502 przez Aleksandra, udzielał swego »przyzwolenia«, nie zaś — jak to dawniej bywało — »rady,« teraz po wyjeździe króla sam pod przewodnictwem prymasa zbierał się na rady, odprawiał sejmy, wydawał ustawy, ogłaszał podatki i pospolite ruszenie »z pełnomocnictwa przez Jego Królewską Mość mu udzielonego.«

Niestety, z pełnomocnictwa tego senat żadnego nie umiał zrobić użytku. Rada królewska nie umiała zamienić się w rząd, w wykonawczą władzę. Ludzie, którzy po największej części przez całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka walczyli z królem otwarcie, a za Olbrachta, szukającego podpory w posłach ziemskich, zajmowali stanowisko opozycyjne, wyczekujące, — teraz, przyszedłszy tak niespodziewanie do zupełnej władzy, nie umieli jej użyć. Prawda, że cały rząd, jaki istniał w dotychczasowej Polsce, był rządem osobistym króla, który powagą swoją sprzeczne żywioły jednoczył,

niebezpieczne ambicje ukrócał i czyto rozkazami swemi, czy też groźbą swego gniewu, czy wreszcie nieustanną własną pracą i działalnością, mógł sam jeden przeprowadzić konsekwentnie rzecz raz postanowioną. W nieobecności króla brakowało zupełnie tego centralnego rządu, rozprzęgały się zupełnie organa wykonawcze w kraju.

Otóż senatorowie nie zdobyli się na to, ażeby koło osoby prymasa skupić np. jakąś nieustającą komisję, z łona senatu wybraną, lecz pozostawili rząd bez takiego koniecznego ze swej strony poparcia. Rząd ten spoczywał w rękach trzech ludzi: kardynała prymasa Fryderyka, kanclerza Krzesława Kurozwęckiego, biskupa kujawskiego, i podskarbiego Jakóba Szydłowieckiego. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ludzie, którzy piastowali te wysokie urzędy, wcale do nich nie dorosli. Fryderyk, człowiek słabego charakteru, lekkomyślny, ociążały z natury, trapiiony ciężką niemocą, o jaką go przypawiła rozpusta, nie umiał zastąpić króla i użyć skutecznie powagi i władzy, jaką mu król i senat pozostawili. Kanclerz Kurozwęcki dla zgrzybiatego wieku obowiązków swego urzędu pełnić wcale już prawie nie mógł. Osoby podskarbiego dokładniej nie znamy, urzędowanie jego jednak świadczy jeżeli nie o złej woli i niedbalstwie, to przynajmniej o braku wszelkiej energii i sprężystości. Co więcej, wszyscy trzej dostojnicy bawili zdala od siebie, — kanclerz w Kujawach, podskarbi w Krakowie, prymas w swoich dobrach biskupich. W chwilach najbardziej stanowczych musieli się dopiero albo zjeżdżać, a w tem przeszkadzała Fryderykowi choroba, a kanclerzowi starość, — albo też listownie się porozumiewać. Nie wspominamy o tem, że najmniejszego kroku bez zasięgnięcia zdania ogółu senatorów przedsiębrać się obawiali. Tak np. kiedy żołnierz zaciężny, postawiony na straży ziem ruskich, dla niewypłaconego żołdu grabiąc własny kraj, do domu rozchodźć się poeżął, Fryderyk, żądając rady senatorów, pisze im:

»Już przed kilku dniami zamysłaliśmy udać się do Krakowa i tam z panami radzić o wszystkim, lecz stanęła nam na przeszkodzie słabość, która nas tu aż do lepszego zdrowia wstrzymała. Odzyskawszy takowe, wyruszymy i za radą panów zapobiegniemy, ażeby zaciężni z Rusi nie odchodzili.«

Kiedy znów na wieść o napadzie Tatarów wypadło wydać ostatnie wici, a Aleksander nalegał natarczywie o zbieranie podatków, o bicie monety, — Fryderyk odesłał wszystko do kanclerza i pisze mu w liście:

»Oddano nam listy ostatnich wici, które nam WP. posłał. Nie chcieliśmy ich jednak pierwaj wydać, nimbyśmy nie zasięgnęli rady i przyzwolenia panów rad, do których o tem z zapytaniem napisaliśmy. Pamiętamy bowiem wybornie uchwałę i postanowienie zjazdu kolskiego, że pospolite ruszenie ma nastąpić tylko w razie, gdyby tego wymagała konieczność i gdy panowie rada na to się zgodzą; nie miała to bowiem rzecz całą szlachtę pod broń zwoływać... Byłoby wiele rzeczy do zrobienia... lecz w takim zamęcie nie wiemy, do czego się najpierw zwrócić. Od poborców bowiem nic pieniędzy nie możemy zebrać, któremibyśmy takie wydatki pokryli... Dlatego prosimy WP., radź nam, skąd wziąć pieniędzy na tyle i tak wielkich potrzeb. My całą pracą i usilnością starać się będziemy, ażeby zapobiec nieszczęściu.«

Brakło do tego wszystkiego dzielnego wodza, któryby przynajmniej, gdy klęska już spadła, pod jej wrażeniem zdołał obudzić otuchę, popchnąć do czynu i pokierować działaniem. Stanisław z Chodczy, starosta lwowski, któremu obrona granicy wschodniej była pozostawiona, mężem takim nie był i niczego nie zdołał dokażać. Zwalono też całą winę na niego. Że jednak nie on jeden był winien, świadczy o tem list Fryderyka do Aleksandra: »Nie uważamy za potrzebne, ażebyśmy rozwodzili się nad klęską, jaką sprawili Tatarzy, lub też nad tem, czyjąby tu opieszałość należało winować... Przewidywaliśmy to wszystko w razie, jeśli się temu zawczasu nie zapobieży środkami, które na zjazdach były obmyślanemi. Wiemy zaś, że W. K. Mość o wszystkim już się dowiedział...«

Kiedy zaś władza naczelna w takich zostawała rękach, a chwając się pomiędzy prymasem, kanclerzem i podskarbinem, nie miała nawet żadnej stałej siedziby, o wykonaniu uchwał zapadłych na sejmie i na radach senatu nikt w całym kraju nie myślał. Senat nie przeprowadził postanowienia przywileju mielnickiego, że w każ-

dej ziemi rządzić ma komisja senatorska, złożona z biskupa, wojewody i kasztelana.

Było też rzeczą zupełnie niewyjaśnioną, na kogo spadać ma odpowiedzialność za wykonanie uchwał: na wojewodów i kasztelanów, czy też na starostów grodowych.

Zakres działania urzędów tych wcale nie był ograniczony. Urząd starostów stworzyli i podtrzymywali zawsze królowie, jako urząd bezpośrednio sobie podległy. Pragnęli królowie w ten sposób zapewnić wykonanie swoim rozkazom od tego czasu, kiedy wojewodowie i kasztelanowie, zamiast wykonywać polecenia królewskie, narzucali się panującym na obowiązkowych doradców i przywłaszczali sobie nawet kontrolę nad czynnościami rządu. Otóż starostowie, przyzwyczajeni do samoistności wobec senatorów, teraz, po odjeździe króla i zlanu przezeń władzy na senat, nie mogli się pogodzić z nowem położeniem i do wykonania zleceń senatu tylko z największą niechęcią przykładali rękę. Senatorowie zaś nietylko że nie zdołali do tego ich zmusić, ale sami nie umieli władzy wykonawczej miejscowej w ręce swe uchwycić, nie chcieli na siebie podjąć ciężaru, któryby władza ta na nich koniecznie wkładała. W antagonizmie tym pomiędzy senatorami i starostami trawiły się wzajemnie siły, a nic nie przychodziło do skutku.

Niedość na tem. Trzy dzielnice polskie: Małopolska, Wielkopolsk i Prusy, które dotychczas prawie tylko unją personalną w osobie króla były ze sobą złączone, rozpadały się zupełnie za rządów senatu.

Nietylko Prusy, ale nawet i Wielkopolska o potrzebach ziem krakowskich i ruskich wiedzieć zupełnie nie chciała. Uchwały sejmów z r. 1502 i 1503, skierowane ku obronie ziem ruskich, tak dalece dla Wielkopolski były martwą literą, że po każdym z tych sejmów ziemie wystawione na napady Tatarów zbierały się na osobny sejm w Nowym-Korczynie, uchwalały na nim pospolite ruszenie, a do ziem wielkopolskich jakby do obcego państwa słały poselstwa z prośbą o posiłki pieniężne na zebranie i utrzymanie zaciężnych. A jednak — w chwili kiedy straszne napady pustoszyły Ruś, Wielkopolsanie ściągnięte u siebie podatki obracali na

spłacanie starych długów lub wymyślali wprost urojone potrzeby i wydatki.

Najsmutniejszą jednak stroną rządów senatu było gospodarstwo skarbowe. Korespondencja prowadzona pomiędzy królem a prymasem i senatorami rzuca na nie ogromne światło. Wobec uniwersałów sejmowych z r. 1502 i 1503, ustanawiających wysokie podatki, nie mógł się Aleksander skarżyć na szlachtę, żeby na potrzeby publiczne skąpiła grosza; nie skarży się też na nią, żeby usuwała się od płacenia uchwalonych ciężarów, ale zato każdy list królewski pełen jest wyrzutów, że panowie ściągniętych podatków nie oddają do publicznego skarbu. Bicie nowej monety, czy dla niedołęstwa podskarbiego, czy dla jego złej woli, nie mogło przyjść w żaden sposób do skutku, senatorowie »odradzili« królowi wykonanie uchwały sejmowej ustanawiającej cła, a kardynał Fryderyk pisze wreszcie na swe usprawiedliwienie do króla:

»Wasza Królewska Mość przekazałeś nam nałożone podatki i dochód z mającej się bić monety na pokrycie wydatków publicznych. Moneta jednak dotychczas się nie bije, bo srebra niema. Poborecy zaś nic nie mają, lecz nie mieć nie będą, jak donoszą, gdyż WKM. rozporządziłeś pieniędzmi zapomocą kwitancyj, nim jeszcze były zebrane; co zaś pozostać mogło, tego zebrać nie można narazie. My wszelkim namysłem i trudem staramy się zapobiec klęskom i trudnemu położeniu Królestwa, lecz zaiste w takim niedostatku nie możemy wydołać, i dlatego WKM. najusilniej prosimy, aby raczył nam wskazać, skąd mamy wziąć środków na pokrycie tylu wydatków; a jeżeli cokolwiek ma się z owych podatków okroić, racz WKM. wstrzymać się od owych kwitancyj, i te, któreś już wydał, zakaż wypłacać...«

Na szczęście odpowiedź, którą Aleksander na list ten udzielił Fryderykowi, nie pozwala nam całej winy złożyć istotnie na króla. Pisze Aleksander:

»Zbieraj więc pieniądze, czyto z owych nałożonych podatków, czy też z naszych jakichkolwiek dochodów. Pewni jesteśmy, że przedtem nie mniejszemi niebezpieczeństwami Królestwo było wzruszane, utrzymywało się jednak z tych samych dochodów, z których się i teraz, choć nie tak dobrze, przecież utrzymać może. Co

się zaś tego tyczy zarzutu, że w tak krótkim przeciągu czasu myśmy tak wiele wydali pieniędzy, któremiby się teraz Rzeczpospolita mogła podźwignąć, nie przeczymy, że tak się stało; ale zarzut ten nie przeciw nam może być skierowany. Rozdaliśmy pieniądze poczęści naszym panom radom, poczęści zaś wielu innym, którzy sprowadzili nas na tron polski, którzy, gdyśmy przybyli, wyszli naprzeciw nam, i których wielka liczba była nam w Krakowie ozdobą i którzy potem tutaj nam towarzyszą.«

Nie kończyło się jednak na tem, że król zmuszonym się widział pieniądze, na wydatki publiczne złożone, hojną, zbyt niestety hojną dłonią na zjednanie sobie możnych rodzin rozrzucić. Brak pieniędzy w skarbie prowadził naturalnym biegiem rzeczy do zaciągania pożyczek u tych, którzy ich mogli udzielić, t. j. u panów. Pożyczki te, udzielane skąpo, nie mogły nigdy wystarczyć, a zaciągane zawsze dopiero w chwilach, kiedy już spadło nieszczęście, zawsze przychodziły zapóźno. Ale zato na zabezpieczenie pożyczek brali senatorowie w zastaw antychretyczny ogromne dobra i miasta królewskie, powiększając w ten sposób i tak niezmierne swoje fortuny. Trzebaby poświęcić osobne studjum zbadaniu pytania, w jakim stopniu i w których wypadkach gospodarka ta finansowa graniczyła z lichwą. Rzeczą jest pewną, że Aleksander w ten sposób niezmierne dobra koronne, przeznaczone na potrzeby króla i Rzeczypospolitej, niemal zupełnie roztrwonił. Wszystko to zaś przekonywa nas dowodnie, że senat polski widział w poruczonej mu władzy tylko sposób podniesienia kilkunastu rodzin kosztem publicznego dobra, a od ponoszenia ciężarów, od trudu rządzenia, sam się o ile można uchylał.

Kiedy Aleksander zapowiedział rzewnymi słowy przybycie poselstwa litewskiego z prośbą o nadesłanie posiłków, kiedy od posiłków tych czynił zależnem utrzymanie godności i całości ojczyzny, kiedy pisał Polakom, »że Litwini wiedzieć chcą ostatecznie, czy w myśl świeżej unji otrzymają z Korony posiłki, inaczej bowiem całą unję za nicby uważali,« wówczas senatorowie, nie chcąc o niczem słyszeć, zebrać się nawet nie chcieli na radę. Podajemy tu ustęp z listu Fryderyka do arcybiskupa lwowskiego, w którym smutny ten fakt w całej nagości jest opisany:

»...Gdy JKM. zapowiedział nam bliskie przybycie posłów litewskich, pisaliśmy WW., jako i innym panom, ażebyś się prędko rozmyślił i zdanie swoje oznajmił, które miejsce na zebranie ma być przeznaczonem, i gdzie posłowie litewscy celem wysłuchania ich mają się udać. Prawie wszyscy panowie rada Wielkopolski chcieli mieć zjazd wyznaczony do Piotrkowa dla wysłuchania posłów i obmyślenia innych potrzeb, gdyż miejsce to wydawało się najdogodniejszym dla wszystkich. Wymówili się jednak panowie rada ziem ruskich i krakowskich, że przybyć tam nie mogą dla obawy nieprzyjaciół, którzy po ustąpieniu senatu z ziem owych odważnieby się puścili na łupy, jako też dla zacieężnych, którzy powracając z Rusi, po drodze wszystko rozdrapują z powodu niewypłaconego im żołdu. WW. również tego zdajesz się być zdania. Przytaczają i trzeci powód, dla którego przyjść nie chcą, bo musieliby wielkie łożyć wydatki i dla niepewności dróg z większym jechać orszakiem. W takiej niezgodzie panów rad, gdybyśmy rozważyli, że zjazd powszechny zebrać się nie może, a posłów trzeba koniecznie wysłuchać, za kilka dni wyruszymy do Krakowa gwoli wysłuchaniu posłów i dopilnowaniu, ażeby monetę bić zaczęto.«

Gdy więc na domiar złego spadła nawała Tatarów, wszystko tak się rozprzęgło, że senatorom nie pozostało nic innego, tylko uroczystem poselstwem wezwać króla, aby do Polski jak najprędzej przybywał.

»Długośmy się tu [w Korczynie] ważyli z myślami, czy dla takich potrzeb i tak wielkiej i ostatecznej prawie klęski... godzi się wołać tu WKMość. Wiemy wprawdzie, że obecność WKMości na Litwie potrzebną jest także w takiej zawierusze wojennej i niebezpieczeństwie, ale sądzimy, że WKM. z pomocą Bożą pozostawić możesz obronę tamtego kraju, ustanowiwszy porządek tego, coby się w nieobecności WKM. dziać miało. Jeżeli jednak WKM. utrzymać chcesz Podole, które, upadając pod tyłoma klęskami, odpadać zaczyna do Wołoszy, konieczną jest rzeczą, abys WKM. bez żadnej zwłoki na skrzydłach się tu przeniósł i wpośród nas w takim miejscu się usadowił, abys potrzebom i tej Korony i Wielkiego Księstwa mógł radzić. Wówczas cała obrona wejdzie w należyty porządek, bo wszyscy tu gotowi jesteśmy ponieść najcięższe

trudy dla obrony Podola i Litwy, tego tylko pragniemy, o to błagamy, ażebyś WKM. zaprowadził ład i porządek w działaniu. O to błaga cię JKsiążdz kardynał i reszta panów rad z całą szlachtą i ludem, abyś nas nie opuszczał.»

Trudno o jawniejsze przyznanie się do bezsilności, o szerszą abdykację z dawnych uroszczeń senatu. Poselstwo jednak wspomniane nie odniosło spodziewanego skutku. Aleksander przez cały jeszcze rok czy nie chciał, czy też rzeczywiście nie mógł przybyć do Polski. Senat przez ten czas pozostał jeszcze u władzy, jednakże rola, którą król zadowalał się dotychczas, teraz się wielce zmieniła. Aleksander wszedł w bezpośrednią styczność z krajem, i, o ile to było możebnem, chociaż z oddalenia starał się w najważniejszych przynajmniej sprawach czynną mieć rękę.

Wpływ króla objawił się przedewszystkiem w zorganizowaniu rządów senatu. Gdy senatorowie zaczęli sami żalić się w poselstwach, że »wiele dobrego radzą i ustanawiają, lecz z powodu ciągłej słabości kardynała nic się wykonać nie da«, Aleksander, zwołując sejm walny do Piotrkowa na 12 marca 1503, nadał trzem senatorom, Jędrzejowi Róża, arcybiskupowi lwowskiemu, Krzesławowi Kurozwękiemu, biskupowi kujawskiemu i kanclerzowi, i Spytkowi z Jarosławia, kasztelanowi krakowskiemu, »władzę przewodniczenia obradom, zatwierdzania i postanawiania wszystkiego«, zaś Mikołaja Kamienieckiego, kasztelana sandomierskiego i generała starostę krakowskiego, mianował naczelnym wodzem czyli hetmanem, a tem samem ustanowił widomy rząd, z łona senatu wybrany. Zaledwie zaś sejm uchwalił i w dniu 28 marca ogłosił żądane podatki i pospolite ruszenie, król mandatami, wysłanemi z końcem kwietnia z Wilna, starał się usunąć przeszkody, które pierwiej wykonaniu uchwał zawsze stawały w drodze. Przedewszystkiem podskarbiemu Jakóbowi Szydłowieckiemu dodaje Aleksander do kontroli i pomocy dwóch asesorów, w osobie Piotra Kmity, wojewody krakowskiego, i Mikołaja z Brzezia, starosty lanckorońskiego. Wojewodowie i kasztelanowie otrzymują surowe rozkazy, ażeby ściągawszy podatki w swoich powiatach i ziemiach, oddawali je niezwłocznie do Krakowa w ręce rzeczzonej komisji skarbowej. Chcąc zaś zapewnić wykonanie tych rozkazów i usunąć spory o kompe-

tencję władzy, stawia król ponad wojewodami i kasztelanami generał-sarostów: poznańskiego Ambrożego Pampowskiego i krakowskiego Mikołaja Kamienieckiego, każdego w swojej dzielnicy, i zaleca im, ażeby wojewodów dopilnowali i potrzebnej im udzielili pomocy.

Mądre te rozporządzenia nie wykorzeniły wprawdzie wszystkiego złego, jakie się od tylu lat nagromadziło, ale odniosły narazie pożądany skutek. Wojsko zaciężne, chociaż w szczupłej ilości stanęło na Rusi, a nieprzyjaciel, obawiając się spotkać naród do boju przygotowany, pozostawił go w zupełnym spokoju. Dwa razy w ciągu roku 1503 przechodzili Tatarzy przez Dniepr, ale za każdym razem wstrzymali się u granic Polski i obracali na Litwę.

Aleksander nie ograniczał się jednak do zaprowadzenia koniecznej reformy władzy rządowej w Polsce, lecz dał w roku 1503 początek do ruchu politycznego, który przetrwał jego panowanie i zapełnił sobą całe XVI stulecie: Aleksander zbudził do życia politycznego szlachtę.

Ogół szlachty polskiej ani wykształceniem swoim, ani też stanowiskiem ekonomicznym nie mógł jeszcze z początkiem XVI wieku odgrywać większej politycznej roli; posiadał jednakże ogromną siłę, z którą się należało rachować, — siłę biernego oporu. Smutne jej położenie majątkowe wobec małej liczby rozwielmożnionych rodzin, wobec zamożnych miast, a nawet wobec stanu kmiecego, brak opieki z góry, brak sprawiedliwości — wszystko to popychało szlachtę od czasu do czasu do sporadycznych wystąpień jeszcze w XV wieku, skierowanych przeciw supremacji możnowładców miast, a dążących do zawładnięcia chłopem. Jeden Jan Olbracht umiał to usposobienie szlachty dla celów swoich zyskać i na niem politykę swoją wewnętrzną oprzeć. Po jego śmierci przyszła do władzy arystokracja. Szlachta nie umiała temu przeszkodzić, nie umiała z programem politycznym wystąpić, ale zżymała się na rządy prowadzone w interesie kilkunastu lub kilkudziesięciu rodzin.

Narzekala ona na swoje uciemżenie i brak sprawiedliwości i obrony, ale ze swojej strony nie uczyniła nic, coby się mogło do polepszenia tego stanu rzeczy, a tem samem do wzmocnienia rządów senatu przyczynić. Rządy te były u niej w wysokim stopniu

niepopularne, w królu widziała szlachta całą swoją nadzieję. Choć senatorowie schlebiali jej, chociaż zwywali ją na sejm i sejniki, chociaż w ustawach z roku 1503 uświęcali jej najgorętsze życzenia, t. j. przywiązywali włościan do roli, usuwali monopole cechowe po miastach i ustanawiali ceny maksymalne towarów, — nie mogli przecież nieufności szlachty przełamać. Jak dalece rządy senatu były między szlachtą niepopularne, o tem świadczy następująca okoliczność. Uniwersały sejmu z r. 1503 wydał senat pod własnym imieniem: »My, senatorowie Królestwa polskiego obojga stanów, na sejmie walnym piotrzkowskim zebrani, wszystkim... czynimy wiadomo, że na sejmie tu z polecenia J. K. M. odprawionym jednomyślną radą ustanowiliśmy...« Gdy jednak szlachta uniwersały takie w niewielkiej miała powadze i dalsze uniwersały wypadło wydać, senatorowie widzieli się zmuszeni zastronić się imieniem królewskim, i wydając je pod imieniem Aleksandra, dołączają na końcu: »Dan na wniosek panów rad z upoważnienia J. K. Mości.« Usposobienie to najznaczniejszej klasy w narodzie nie mogło się zapewne ukryć przed królem, i skłoniło go do przedsięwzięcia kroków, które dla dalszego rozwoju Polski miały mieć nieobliczoną doniosłość. Przed każdym sejmem walnym odprawiały się najpierw sejniki ziemskie, a następnie dwa sejniki dzielnicowe, małopolski w Korczynie, wielkopolski w Kole, na których szlachta, wysyłająca posłów, dawała im instrukcje i pełnomocnictwa. Na takie to sejniki, na dzień 14 lutego do Korczyna a na dzień 5 marca 1503 r. do Koła zwołane, wysłał Aleksander swych posłów, którzy według instrukcji swojej zalecać mieli szlachcie od króla, »ażebym wybrała posłów tak wielu, i owszem więcej, niż pierwej bywało, posłała ich na sejm i dała im pełnomocnictwo czynienia wszystkiego w imieniu szlachty tak, jakgdyby cała szlachta była na sejmie obecną.« Gdy się zaś sejm piotrkowski już zbierał, przygotował mu Aleksander niespodziankę, którą mu poselstwami swemi oznajmił. Poselstw tych było dwa: pierwsze zapowiadające przyjazd króla na sejm, drugie wymawiające go, że przybyć osobiście nie może. W instrukcjach ich czytamy między innymi:

»Do narady tych wszystkich rzeczy, a mianowicie obrony

Królestwa, należałoby wezwać konsulów Krakowa, Lublina, Lwowa i innych miast. J. K. Mośc sędzi, że na sejm obecny należy ich wezwać, co jeżeli uczynić raczy, wyśle za nami listy gotowe, ażebyście postanowili, do których miast je zatytułować i które mają być wezwane przed J. K. M. za szczęśliwym przyjazdem J. K. Mości, a to w tym celu, ażeby, gdy o obronie wspólnej postanowicie, miasta nie wymawiały się od tego, jak pierwiej to czyniły, i nie uchylały się od ciężarów, które ze wszystkimi ziemianami dla potrzeby Królestwa wspólnie powinny ponosić.« W następnej zaś instrukcji powiada Aleksander:

»Do miast J. K. M. listy (*nunc primum*) teraz po raz pierwszy [lub: teraz dopiero?] dał, ażeby wzięły udział w ustanowieniu nowego porządku obrony i innych rzeczy, w których ziemianie głosy swe będą oddawali.«

Fakt to historyczny, dotychczas zgoła nieznan a pierwszorzędnej wagi. Miały więc miasta polskie otwarty przystęp do sejmów, do życia politycznego. Że z niego nie umiały skorzystać, to już ich tylko wina. Miasta te, nawpół niemieckie, były w zgubnym obłądnie, że bronią swego znaczenia i stanowiska, im więcej od spraw publicznych się usuwają; trzymały się martwych liter swych przedawniałych już przywilejów, które im zapewniały wolność od publicznych ciężarów. Nie dziwić się tu jednak miastom, skoro i szlachta niezbyt gorąco wezwanie królewskie wzięła sobie do serca i tak mało postów na sejm piotrkowski wysłała, że król później za to jej robił wyrzuty.

Jeżeli jednak szlachta stroniła niemal od sejmów, na których zostawała pod zbytęcną przewagą senatu, to nie można powiedzieć, żeby nie chciała brać zupełnie udziału w życiu politycznym, żeby nie chwyciła sposobności objawienia swoich zażeń i życzeń. Sposobność taką znalazła ona po sejmie piotrkowskim, zarówno w Mało- jakoteż w Wielkopolsce. Sejm piotrkowski ogłosił na dzień św. Stanisława 1503 powszechny popis rycerstwa ziem małopolskich, a dla ziemi krakowskiej wyznaczył jako miejsce popisu Wojnicz. Skorzystało z tego rycerstwo, ażeby swemu naturalnemu opiekunowi, królowi, przedłożyć swoje życzenia, i sformuławszy takowe, posłało je Aleksandrowi do Wilna

przez osobnego posła. Oto w krótkości główne punkta żądań szlacheckich:

1. Kto się na wojnę nie stawi, temu konfiskować dobra.
2. Podatki egzekwować także z miasta Krakowa.
3. Starostowie powinni być osiedli w starostwie, ażeby urzędowali osobiście.
4. Starostowie z wojewodami mają się starać o utrzymanie porządku.
5. Oprócz pospolitego ruszenia szlachty, każdy dziesiąty włościanin, uzbrojony kosztem innych, ma służyć na wojnie.

Dnia 17 lipca odprawiał to poselstwo Jordan z Zakliczyna przed królem, a dnia 1 sierpnia zatwierdził Aleksander w całości uchwały wojnickiego sejmiku. I nie mógł postąpić inaczej. Bez wygórowanych roszczeń występowała szlachta w pierwszych czterech punktach z żądaniem, ażeby postanowienia, wielokrotnie na sejmach zapadłe, zostały wykonanemi; w ostatnim nakładała na kraj nowy ciężar, a dokładne obmyślenie sposobu wykonania służby wojennej włościan, ustanowienie dla nich w każdym powiecie dowódców świadczy, że uchwałę tę pojmano na serjo. Pierwsze uchwały pozostały bez skutku, bo Aleksander nie mógł, siedząc na Litwie, wprowadzić karności w szeregi urzędników i dostojników, którzy do niej nie byli przywykli. Uchwałę zaś ziemi krakowskiej o służbie wojennej włościan przesłał natychmiast innym małopolskim ziemiom z poleceniem, aby ją u siebie przyjęły i przeprowadziły.

Nie tak budujący przykład dała z siebie wielkopolska szlachta. Nie narażona bezpośrednio na niszczące napady nieprzyjaciół, nie wyrobiła w sobie poczucia dla publicznego dobra, lecz raczej zgubne zaściankowe dążności, a zarazem w uchwałach swoich nacechowała wybitnie rozjątrzenie, jakiego była pełna przeciw rządowi senatu.

Nie chcąc płacić podatków i pełnić służby wojennej, zebrali się Wielkopolanie na zjazd prywatny (*fraterna congregatio*) w Kostrzynie i stamtąd przełożyli królowi swe skargi:

że niema żadnej sprawiedliwości, a J. K. M. raczy ochronić ziemian od krzywd, wyrządzanych im przez magnatów;

że wici są wydawane bez pieczęci J.K.M. i tylko pod pieczęcią panów;

że trzech lub czterech panów, zszedłszy się razem, ustanawia niezwykle pobory i do nich nakłania;

że szlachta pełnić chce służbę wojenną pod dowództwem starosty, nie zaś wojewodów;

że gotowa jest złożyć podatki, byle jej był ustanowiony sejmik w Szrodzie podług dawnego zwyczaju, i t. d.

Królowi nie pozostało nic innego, tylko na sejmik przyzwolić, ale wysyłając na ten sejmik posła, napominając o podatki i nagląc do posłuszeństwa generał - staroście, wyraża się Aleksander ostremi słowy: »Przyjmuje J. K. M. nie bez oburzenia wiadomość, że obrona Królestwa i całej Rzeczypospolitej pomyślność zaniebdaną jest z waszej winy, na co mieszkańcy innych ziem skargi zanoszą.«

Oto pierwsze wystąpienie szlachty za Aleksandra; objawiła się w nich zaraz na początku i dodatnia i ujemna strona szlacheckiego ruchu. Na nich zamykają się rządy senatu polskiego, a w październiku 1503 r., kiedy Aleksander, zawarłszy pokój z Moskwą, stanął na ziemi polskiej, rozpoczyna się drugi ustęp walki pomiędzy senatem i królem. Senat podejmował ją po stanowczej klęsce. Okazało się, że rządy arystokracji w Polsce nie mają żadnych widoków. Program, postawiony w przywileju mielnickim, niepowrotnie upadł. Nie można jednak było powiedzieć, żeby tem samem przywilej mielnicki utracił wszelką praktyczną doniosłość. Można go było pojmować dwójako. Tłumacząc go szerzej, należało wnioskować, że senat przejmuje w nim na siebie całe rządy w Rzeczypospolitej, t. j. nietylko ich korzyści, ale i trudy; tłumacząc ciśnień, można było powiedzieć, że według przywileju tego cały ciężar rządów pozostaje przy królu, a senat zastrzega sobie tylko prawo nieustannej kontroli wszystkich czynności króla, prawo, aby je oceniać i sądzić. Tę drugą stronę przywileju mielnickiego pragnęło utrzymać możnowładztwo polskie wobec króla, i po powrocie Aleksandra do Polski zajęło nowe to stanowisko, stanowisko anarchiczne, które historyk musi bezwarunkowo potępić.

Aleksander, wracając do Polski, zastał w każdym razie położenie zupełnie odmienne od tego, które pozostawił przed swoim na Litwę odjazdem. Niegdyś obrano go królem z konieczności politycznej, ale przyjęto z uderzającym zimnem, z niedowierzaniem, z formalną obawą. On sam czuł się w Polsce zupełnie obcym, nieznającym stosunków, upokorzonym wobec zastępu magnatów, imponujących swoim rodem, fortuną, stanowiskiem i inteligencją. Teraz powracał do kraju gorąco upragniony przez naród, który w rządach senatu nie mógł się dopatrzeć szczęścia i pod rządy się królewskie uciekał. Już też rządy te nie były dla Aleksandra tajemnicą, bo chociaż od czasu swojej elekcji prawie tylko na Litwie przebywał, to jednak w r. 1503 wszystko już o niego się opierało, miał więc sposobność poznać stosunki polskie i dopatrzeć się żywiołu, na którymby mógł samoistnie się oprzeć.

Wszystko składało się na to, ażeby ułatwić dzieło reformy wewnętrznej, jakiej Polska średniowieczna potrzebowała, jeżeli w rządzie państw nowożytnych miała przynależne sobie stanowisko utrzymać. Ostatnie lata przekonały o konieczności reformy i wskazały jej kierunek, usuwając największe przeszkody. Współzawodnik, jakiego władza królewska posiadała w senacie, wskutek wypadków roku 1502 utracił poczucie swej siły i poparcie w narodzie, szlachta gotowa była wspierać króla w zorganizowaniu jego władzy wykonawczej rządowej.

Powróciwszy do Polski, przystąpił też Aleksander niezwłocznie do dzieła ogólnej reformy z pomocą ogółu szlachty, i na zasadzie rady senatu, odprawionej z początkiem listopada 1503 roku w Lublinie, zwołał walny sejm do Piotrkowa na dzień 21 stycznia 1504. Prace sejmu tego przeciągnęły się do 13 marca, a wyniki ich złożone mamy w znanych konstytucjach (*Vol. Leg. I, 294—299*), oraz w pięciu uniwersałach, które w Metryce Koronnej się przechowały.

Z pomników tych widzimy, że sejm musiał się przedewszyst-

kiem uporać z uprzątaniem ciężaru długów, jakie po sobie pozostawiła wojna moskiewska i niedołączna gospodarka senatu z lat poprzedzających. Wyплаты zaległego żołdu domagały się zaciężne zastępy, grożąc w przeciwnym razie grabieżą i rozejściem się w chwili, kiedy dla utrzymania samej godności narodowej wypadało zbrojną ręką odzyskać Pokucie i pomścić podły napad Wołoszy. Dobra królewskie zastano tak obciążone i pozastawiane, że nawet na utrzymanie króla nie mogły wystarczyć, a lepsze ich zagospodarowanie byłoby wymagało narazie więcej nakładów, niżby rokowało przychodu.

Jedyna więc ucieczka pozostała do nadzwyczajnych podatków, których też sejm piotrkowski cały szereg hojną ręką królowi otworzył. Dnia 11 marca 1504 r. wydał już Aleksander uniwersał, zaprowadzające za wspólną zgodą i wolą panów rad duchownych i świeckich, oraz panów ziemskich, wysokie podatki od wszelkich dóbr i dochodów, cła i czopowe. Rzeczą jest godną uwagi, że podatki te nałożono na wszystkie dobra, — nietylko na szlacheckie, ale i na dobra królewskie, duchowne i miejskie, że na przeciąg trzech lat zniesiono wszelkie, jakieby istniały, uwolnienia od cel i podatków, chociaż w osobnej ustawie zawarowano zasadę, że cła tylko od kupejących pobierane być winny. Polecono zarazem ściągać wszystkie podatki z lat poprzednich zaległe, określono dokładnie terminy zapłaty i podano sposób przymusowego ich ściągania i składania do rąk podskarbiego i dodanej mu komisji w Krakowie. Dość przeczytać wszystkie te szczegóły, żeby poznać drobiazgową troskliwość, z jaką obmyślano całą tę, tak ważną dla podźwignięcia upadłego kraju sprawę, ażeby się przekonać, że sejm do dzieła odrodzenia przystępował na serjo i największych nie szczędził ofiar. Pragnąc wreszcie raz na zawsze zamknąć drogę lekkomyślności królów, jaką w rozdarowywaniu i obciążaniu dóbr królewskich odznaczali się przedewszystkiem Jagiellonowie, wydał sejm ustawę, która zbyt jest ważną, ażeby w całości jej nie przytoczyć:

»Ponieważ z dóbr stołu królewskiego J. K. M. osobne swoje ma zaopatrzenie, a w braku takowych do posiłków publicznych na utrzymanie swoje koniecznieby się musiał uciekać, tyle zaś cięża-

rów spada i tak na kraj, że wydatkom publicznym niepodobna byłoby wydołać, — przeto obmyślając opatrzenie J. K. M. i zapobiegając potrzebom, ustanowionem jest i przez J. K. M. ma być zatwierdzonem, że o ile tylko dobra królewskie będą wykupione z zastawu lub w jakikolwiek sposób do J. K. M. powrócą, nie będą więcej zastawiane ani też rozdarowywane przez J. K. M., jeżeli na sejmie walnym ku potrzebie Rzeczypospolitej panowie rada nie zezwolą na ich zastawienie lub darowanie i sprzedanie... nikomu też J. K. M. nie ma zastawiać dóbr bez dołożenia warunku, że dług spłaca się przez posiadanie dóbr zastawionych przez pewien przeciąg czasu. Ktoby zaś wbrew niniejszej ustawie pieniądze na dobra królewskie dał, ten utracić ma część i pieniądze wypożyczone.«

Jest to też sama ustawa, która później służyła za punkt wyjścia wszystkich usiłowań reformy za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Obecnie miała ona tylko niezmierną doniosłość skarbową i zapobiegała ostatecznemu strwonieniu ogromnych dóbr stołowych królewskich. Reforma polityczna, dokonana na sejmie z r. 1504, na innych się opierała podstawach, odnosiła się głównie do organizacji naczelnej władzy rządowej, a mianowicie wielkich urzędów koronnych postawionych przy boku królewskim: marszałków, kanclerza, podkanclerzego i sekretarza, nakoniec podskarbach.

Przyczyną wielu nieporządków w najbliższym otoczeniu króla była dwoistość urzędu marszałkowskiego, z których jeden był koronnym, drugi nadwornym, a oba nie miały ściśle odgraniczzonego zakresu działania. Wynikały stąd, jak ustawa powiada, częste rozterki, zamieszania i zaniedbanie spraw, pieczy ich powierzonych. Otoż zle to uchylił radykalnie sejm z r. 1504, stanowiąc wyraźnie, że »marszałek koronny taką ma władzę, iż w jego obecności marszałek nadworny w żadne sprawy urzędu marszałkowskiego mieszać się nie ma. Gdy jednak marszałek koronny często zwykł się z dworu oddalać, ażeby więc marszałek nadworny umiał dalej prowadzić i wykonywać, co przez koronnego było postanowiono... przeto marszałek koronny do całego urzędowania swego przyzywać ma marszałka nadwornego i z jego wiedzą wszystko działać, ustę-

pując zaś z dworu, obowiązany jest oddać mu całe urządowanie i akta, tak, że marszałek nadworny, w nieobecności koronnego, posiadać ma całą jego powagę i władzę.»

Postanowieniem tem ziano więc dwa urzędy w jeden, a marszałka nadwornego uczyniono jedynie zastępcą koronnego w czasie jego nieobecności.

Usuwając wewnętrzną rozterkę, należało też oznaczyć zakres działania i władzę urzędu marszałkowskiego. Otóż marszałek ma być »mistrzem wszystkich ceremonij i przełożonym nad całym dworem królewskim. Zadanie jego polega na tem, ażeby utrzymywał spis dworzan, wypłacał ich, znał pilnych i niedbałych, złych i dobrych, a czyniących nieporządki od służby dworskiej oddalał, gości i senatorów Królestwa zawsze przyjmował i baczył, ażeby ze strony J. K. M. każdemu należna cześć według jego zasługi oddaną została, ażeby wszelkie nieprzystojności i występki usuwał i karał stosownie. Tak więc wszystkiem marszałek rządzić ma na dworze, w pałacu, domach i pokojach królewskich, jako też kierować innemi urzędami i urzędnikami, do dworu i orszaku J. K. M. należącymi, do czego daje się mu pełną władzę ustanawiania, znoszenia i czynienia wszystkiego najlepiej, z zezwolenia i z upoważnienia J. K. M.. Marszałkowi przynaję się nadto w urządowaniu jego władza pobierania targowego i ustanawiania ceny przedmiotów przyniesionych na sprzedaż na potrzeby dworu. Targowe to pobierać ma jednak z większem umiarkowaniem niż dotychczas, i nie inaczej, jak według prawa i zwyczaju w miastach i miasteczkach, w których król stanie, pobieranem bywa. Tylko na wyprawie wojennej władza ta zastrzega się hetmanowi, ażeby za wspólną radą cena rzeczy była ustanawiana. Cokolwiek zaś podczas pobytu króla w rezydencji lub w drodze marszałek lub hetman względem rzeczy lub ogólnego porządku postanowi, mają to publicznie ogłosić. Gdyby zaś marszałek w ustanawianiu cen i w poborze targowego słuszną miarę przekroczył, mają senatorowie przy królu bawiący moc miarkowania tego, i marszałek winien ich słuchać.»

W podobny sposób określono urzędy kanclerza i podkanclerzego, które w całej swej władzy i we wszystkich swych obowiązkach jako jeden urząd miały być uważane. Dodano im nadto do

pomocy i wyłączenia sekretarza większego, który »wtajemniczonym być miał we wszystko, co sprawowali kanclerz i podkanclerzy.« Orzeczono zaś, że kanclerz i podkanclerzy nie może równocześnie piastować biskupstwa gnieźnieńskiego, krakowskiego, kujawskiego, poznańskiego, warszawskiego albo płockiego, a względnie urzędu wojewody lub kasztelana, a tem ostatniem postanowieniem przypuszczono do kanclerstwa i podkanclerstwa także osoby świeckie, które zwyczaj dotychczasowy od dostojenstw tych z zasady wyłączała.

O zakresie działania kancelarji królewskiej ustawa z roku 1504 nie wspomina, wyraźnie orzeka jednak, że kancelarja ta nie ma wydawać rozkazów przeciwnych prawu, a w szczególności mieszać się do sądownictwa. Możemy tylko pośrednio wnioskować, że kancelarja Królestwa miała sobie oddane sprawy polityki zagranicznej i całą wewnętrzną administrację z wyłączeniem spraw dworu i skarbu, powierzonych odrębnym urządóm. Wojskowość zato należała do kancelarji; hetmani (*campiductores*) byli jedynie wodzami na wyprawie wojennej, i nie tylko nie należeli do rady królewskiej, ale podówczas nie stanowili jeszcze stałego urzędu.

Najważniejsze postanowienia sejmu piotrkowskiego z r. 1504 odnoszą się do wielkich urzędów skarbowych. Sejm ten zastał ich dwa: podskarbiego koronnego i nadwornego, ale zakres ich działania równie był chwiejny, jak to widzieliśmy już przy marszałkach. Zlewać ich w jeden urząd nie myślano wcale, bo od dłuższego już czasu dążeniem było powszechnem, ażeby wydatki dworu królewskiego odgraniczyć od wydatków publicznych; postanowiono więc owszem obadwa urzędy ściśle od siebie oddzielić. Uczyniono to w ten sposób, że cały pobór podatków i innych dochodów królewskich oraz monetę oddano wyłącznie podskarbiemu koronnemu. Z dochodów tych miał podskarbi pokrywać wszystkie wydatki wojskowości i administracji publicznej, pewną zaś część na utrzymanie dworu i króla wydzielać podskarbiemu nadwornemu, który niemi miał rozporządzać w swoim zakresie działania, jednakże z wiedzą i radą podskarbiego koronnego. Jednolitość zarządu skarbowego była więc zapewniona, bo podskarbiego nadwornego uczyniono urzędnikiem podwładnym, który podskarbiemu koronnemu w nic mieszać się nie mógł i tylko w razie nieobecności go zastępował. Obadwa nie mieli nic działać bez po-

lecenia J. K. M. i rady senatorów na dworze. Była więc zapewnioma pewna kontrola, którą uniwersał poborowy sejm z r. 1504 dokładniej określił, przydając podskarbiemu do boku komisję nieustającą, mającą go wspierać w sprawie poboru podatków przez sejm ustanowionych.

Taka była reforma władzy rządowej, przez sejm z r. 1504 postanowiona. Wykażemy jej słabe strony, ale zarazem podniesiemy tem silniej jej wybitne zalety.

Otóż słabą stroną ustaw z r. 1504 jest niewątpliwie to, że osobiste rządy króla zostały nadal utrzymane, a tem samem pomyślność kraju zawisa zawsze jeszcze od przypadkowych przymiotów, zdolności, oszczędności i energii panującego. Przeprowadzono reformę jedynie wielkich urzędów królewskich, ministerstw, urzędy zaś starościńskie i ziemskie pozostawiono jakimi były — nietknięte. Nie uczyniono mianowicie tego, żeby je podporządkować ministrom, lecz utrzymano w bezpośredniej zależności od króla. Jedynie marszałkowie mieli zupełną władzę nad dworem, toteż w otoczeniu królewskim panował porządek, powaga i rygor nawet wtedy, gdy później w całym kraju rządy i sądy nie były go w stanie utrzymać. Już zaś podskarbiowie rządili tylko urzędnikami swego ministerjum oraz dóbr królewskich; kanclerz i podkanclerzy nie mogli zgola rozkazywać wojewodom, kasztelanom i starostom, od których ostatecznie zależało przeprowadzenie wszystkich ustaw sejmowych i rozporządzeń królewskich. Kancelarja koronna była więc raczej prywatną kancelarją królewską, niż ministerstwem Rzeczypospolitej.

O ile zaś niżsi urzędnicy czuli się niezależnymi od ministrów, o tyle ministrowie ci nie byli znów, tak jakby to należało, zawisłymi od króla. Król mógł ich usuwać tylko w drodze sądowej, jeżeli się stawali winnymi przekroczenia swej władzy. Wspominają wyraźnie ustawy z r. 1504, że gdyby podskarbi nie chciał słuchać uchwały senatorów, polecających mu umiarkowanie ustanowionych przezeń cen lub pobieranego targowego, »w takim razie jako nieposłuszny postawionym ma być przed sąd najbliższego sejmu.« Toż samo odnosiło się niewątpliwie do kanclerzów i podskarbi. Nie było więc nikogo — bo władzy tej ani król, ani sejm nie po-

siadał — ktoby mógł usuwać ministrów niezdolnych lub takich, którzyby, nie przekraczając prawa, okazywali przecież pewną opieszałość lub opierali się polityce, jaką przyjął król i reszta ministrów. Ustawa, zakazująca kanclerzowi lub podkanclerzemu, ażeby nie wydawali rozporządzeń przeciwnych prawu, połączona z tą ich nieusuwalnością, była niebezpieczną, bo kanclerz niechętny królowi mógł pod lada pozorem odmówić swojej pieczęci, a droga procesu sądowego była wątpliwa i długa.

Kontrola wreszcie skarbowa nie była dość wykształcona, a przecież dokładność jej stała się konieczną od chwili, jak tylko rozgraniczono wydatki króla i jego dworu od wydatków publicznych i odkąd uchwalanie podatków stało się rzeczą sejmu. Widoczna nieraz nierzetelność lub podejrzana rzetelność podskarbich oraz rozrzutność królewska i nieobracanie uchwalonych poborów na uchwalone wydatki — działały wówczas i działałyby dziś, nawet w najlepiej uorganizowanym państwie, demoralizująco na naród, i prowadziły go wprost do uchylania się od ponoszenia ciężarów publicznych.

Wszystkie te jednak zarzuty przeciw reformie z r. 1504, które tak łatwo dzisiaj wynaleźć i poznać, inaczej się nam przedstawiają, jeżeli ustawy piotrkowskie ocenimy raczej w stosunku do całego ówczesnego położenia i stanu rzeczy. Z tego stanowiska na nie się zapatrując, oddamy im słuszne pochwały. Usunęły one zamęt, jaki dotychczas w naczelnej wykonawczej władzy w skutku dwoistości urzędów panował, oznaczyły dokładniej ich zakres działania, utworzyły z nich pewną całość nakształt ministerjum, a łącząc je w osobie królewskiej, zabezpieczały do pewnego stopnia jednolitość całego rządu. Urzędy kanclerza, podkanclerzego i sekretarza nie były wprawdzie pod względem zakresu działania ściśle od siebie odgraniczone, lecz wychodziło to raczej na dobre, bo król mógł dowolnie rozdzielać pomiędzy nie wydziały administracji wewnętrznej i spraw zagranicznych.

Ustawy piotrkowskie były więc ogromnym krokiem naprzód, zwłaszcza jeżeli zważymy, jak wielkie przeszkody napotykało każde usiłowanie reformy władzy rządowej. Nie pomagała tu tak dalece żadna ustawa, ile raczej potrzeba było energicznego monarchy,

któryby, nie leniąc się pracy, z pozostawionej sobie rozległej władzy umiał skorzystać i za jej pomocą całą organizację urzędniczą raz w regularny ruch wprowadzić, w ruchu tym ustalić i wzmocnić. Złamać należało przedewszystkiem niezawisłość wojewodów i kasztelanów, co było rzeczą nieskończenie trudną, póki dostojnicy ci posiadali punkt oparcia i wzajemną obronę w senacie. Przed ostateczną reformą władzy wykonawczej konieczną więc była reforma władzy ustawodawczej — senatu i sejmu, i do tej też Aleksander musiał niezwłocznie przystąpić.

Reforma ta wiele wymagała namysłu i przygotowania, żeby ją już sejm piotrkowski z r. 1504, zaprzątnięty tylu innemi sprawami, mógł skutecznie przedsięwziąć. Senat, opierając się na przywileju mielnickim, występował na sejmie tym nie w charakterze »rady królewskiej«, ale jako odrębny czynnik ustawodawczy. Król sam jeden był wobec senatu bezwładnym, potrzeba było dopiero potężnego żywiołu, któryby się w przymierzu z królem o zepchnięcie senatu na dawne jego stanowisko pokusił. O pozyskanie tego żywiołu czyni też Aleksander wszelkie możebne kroki już na sejmikach sejm piotrkowski z r. 1504 poprzedzających. Do sejmików tych odzywa się król znacząco: »Ustanowiliśmy sejm walny na dzień św. Agnieszki w Piotrkowie. Zachodzą sprawy największej wagi i tak trudne, jakich może od początków Królestwa tego nie było, nad któremi też nietylko sam J. K. M. i panowie rada, lecz także społeczności ziemiańskie radzić i postanowić powinny (*quibus consulendum erit non per solam R. M. et per consiliarios, sed etiam per communitates terrarum*). Wybierajcie więc z pośród siebie ludzi roztropnych, i dajcie im pełnomocnictwo uchwalenia wszystkiego, co będzie przedmiotem narad w Piotrkowie.«

Dbał zaś król nietylko o to, żeby posłowie ziemscy na sejm przybyli, lecz żeby wystąpienie ich było stanowczem i zgodnem. Wysyłając też posła swego na sejmik kolski, daje mu instrukcję do szlachty:

»Ponieważ dawny jest zwyczaj panów ziem tych zbierania się tu w Kole i postanawiania tego, co następnie w Piotrkowie ma być uchwalonem; gdy nadto i posłowie ziemscy niekiedy się

z sobą porozumiewali, ażeby następnie bez niezgody przystępowali do wszystkiego, co panowie starsi z wami ustalić zapragną«, przeto porozumieście się z sobą, »ażeby potem żaden nie śmiał twierdzić, że bez pełnomocnictwa przybył i nie działać nie może.«

Żąda więc król przedewszystkiem, ażeby posłowie mieli zupełne pełnomocnictwo działania, a zatem byli niezależnymi od krępujących ich instrukcyj sejmikowych i od panów, którzy przeprowadziwszy na sejmiku po swojej myśli instrukcję, teroryzowali następnie posłów ziemskich na sejmie groźbą odpowiedzialności przed sejmikami. Działo się wówczas z posłami szlachty w Polsce niewątpliwie toż samo, co później, jak nam dokładnie wiadomo, za Zygmunta Augusta działo się z posłami szlachty litewskiej i pruskiej, którzy razem z panami ziem swoich przybywali na sejmy polskie w toczących się rokowaniach o unję. Panowie litewscy i pruscy tak dalece teroryzowali wówczas posłów szlacheckich i sejmiki, że sejmiki te wydawały instrukcje wręcz życzeniom swoim przeciwne, że posłowie ziemscy obawiali się najmniejszym słowem na sejmie odezwać, i dopiero zetknąwszy się z izbą poselską polską, za jej namową i otuchą Zygmunta Augusta odważali się wystąpić otwarcie, odsłonić ciężącą na nich przewagę możnowładców i wykazać środki, do jakich ci ostatni w celu utrzymania przewagi swej się uciekali.

Nie inne musiały panować stosunki w Polsce przed sejmem zwołanym na dzień 30 marca 1505 do Radomia, na którym dzieło reformy wewnętrznej ostatecznie miało być dokonaniem. Szczegółów z ówczesnego życia politycznego nie jesteśmy w stanie podać; nie znaleźliśmy ich w dostępnych nam źródłach historycznych. Widzimy natomiast, że nagle przed sprawą reformy występuje na pierwszy plan sprawa unji. Król oświadcza chęć swoją, aby na sejmie radomskim unji dokonać, a raczej unję ściślejszą Litwy, Prus i Polski ostatecznie wprowadzić w życie. W tym celu zwołuje sejmiki pruskie, polecając im, ażeby posłów swoich razem z senatorami na sejm radomski wysłały. W tym celu z początkiem 1505 r. naznacza zjazd panów litewskich na granicę Polski, do

Brześcia, »ażeby ich namówić do przybycia do Radomia i zadośćuczynienia temu, do czego się wobec Korony zobowiązali.«

Czy Aleksander działał w tem wszystkiem szczerze? Nie sądzimy, żeby się unji z zasady sprzeciwiał, bo wypadki ostatnich lat przekonały dowodnie o potrzebie ściślejszego związku krajów, zostających pod jego berłem, celem wspólnej ubrony. Wierzymy jednak najmocniej, że nie król, lecz panowie polscy myśl unji podnieśli i zniewolili Aleksandra do podjęcia jej na sejmie radomskim. Twierdzenie to możemy usprawiedliwić.

Unja była myślą szczytną i popularną, ale unja ta dokonywała się powoli już od stu lat nieustannem parciem społeczeństwa polskiego i jego cywilizacji na Litwę i Prusy. Prusy położeniem swoim zależały zupełnie od Polski, i tylko w ścisłym z nią połączeniu spodziewać się mogły swego rozwoju i dobrobytu. Litwa i Ruś południowa, otoczona zewsząd nieprzyjaciółmi, odcięta na północy i na południu od morza, tylko w Polsce i przez Polskę szukać mogła związku ekonomicznego i umysłowego z cywilizowanym światem. Toteż unja głębsze miała podstawy, niż je dawały pergaminy wyciśnięte potrzebą chwili, a dotychczas w całej rozciągłości swej nie wykonane — bo nie mogły być wykonanemi. Jeżeli już Prusy stanowiły całość znacznie od Polski różną, to Litwa i połączona z nią Ruś tworzyły państwo, którego ustroj społeczny i polityczny był prostem przeciwieństwem tego wszystkiego, co w Polsce ówczesnej zdawien dawna istniało, a na teraz nowem rozwijało się życiem. I w Polsce i w Litwie wodzili rej magnaci, ale co u nas było uzurpacją, która upadała pod wpływem podnoszącej się z każdym dniem szlachty, to było kardynalną prawną zasadą całego wewnętrznego ustroju Litwy. Tylko możnowładcy mieli tam udział w życiu politycznym, mieli wolność; reszta narodu, podzielona na mnóstwo klas społecznych, jedna od drugiej zależnych, nietylko do spraw publicznych nie miała przystępu, ale zostawała w uznanej prawnie zależności od panów, ugięta się pod ciężarami poddaństwa. Co w Polsce było obowiązkiem powszechnym, obywatelskim, to na Litwie opierało się na związku feudalnym, który wszystkie stosunki przenikał. Dwóch takich organizmów niepodobna było więc połączyć z sobą unją ściślejszą od tej, jaka

istniała w osobie monarchy, bez wywołania rewolucji wewnętrznej w jednym lub drugim. Albo szlachta polska musiałaby się rzec swej wolności społecznej i politycznej i w ciężkie karby feudalizmu się podać, albo musiałby runąć feudalizm litewski, na którego utrzymanie panowie zbyt wiele posiadali siły wobec narodu, zupełnie jeszcze niedojrzałego do politycznej samodzielności.

Można też było zgóry przewidzieć, że rokowania w sprawie unji, zapowiedziane na sejm radomski, do żadnego nie doprowadzą celu, jak to rzeczywiście się stało. Wątpimy bardzo, żeby w roku 1505 pod tym względem ktokolwiek mógł się oddawać złudzeniu, czyto Aleksander, czy polscy panowie. Widząc zaś, jak gorąco panowie ci popierają sprawę unji, łatwo możemy przypuścić, że był to z ich strony manewr nader zręcznie przygotowany. Chcieli oni w ten sposób odwlec i udaremnić reformę wewnętrzną w Polsce, która ostrzem swoim w ich stanowisko godziła. Rokowania, podjęte w imię idei niewątpliwie wzniosłej i popularnej, odwracały uwagę od spraw wewnętrznych, stawiały senat w oczach narodu wysoko, bo unja była rzeczą polityki zewnętrznej, należała więc do senatu, który w imieniu całego narodu z tanim patriotyzmem mógł występować i na czele polityki narodowej stanąć. Pobudki te, na co mamy już jawne historyczne dowody, kierowały i później senatem za Zygmunta Augusta; tem więcej zatem musiały wpłynąć na postępowanie jego za Aleksandra, który nie chcąc utracić zupełnie zaufania narodu, nie mógł się żądaniu senatu sprzeciwić.

Z ogromną też uroczystością występuje świeżo mianowany kanclerzem Jan Łaski na zjeździe panów litewskich w dniu 25 lutego 1505 r. w Brześciu w imieniu polskiego senatu, wyluszcza punkta, któreby przy zawarciu unji należało obmyślić: jak wybierać wspólnego pana, jak zapewnić mu dochody z dóbr, ażeby sobie mógł z godnością utrzymać i państwa bronić, jak dwór jego urządzić i ustanowić w środku obu krajów stolicę, jak oba kraje rządzić i bronić, jak godzić spory pomiędzy nimi powstałe, jak prowadzić sprawy dyplomatyczne, jak urządzić wspólne narady, jak zabezpieczyć obronę. Wzywając zaś panów litewskich do przybycia na sejm radomski, ku ukończeniu unji postanowiony, odzywa się

Łaski z polotem: »Wiecie, jak sławna, jak straszna była potęga królów polskich, kiedy Korona razem z Wielkiem Księstwem występowała i wojny połączonymi siłami toczyła, wiecie, jak bogaty był wówczas nasz wspólny monarcha, a teraz jak upadła powaga imienia królewskiego i potęga obojga rzeczy pospolitej, naszej i waszej.«

Piękna ta mowa kanclerza polskiego nie mogła jednak ogromnych przeszkód w doprowadzeniu dzieła unji do skutku usunąć, nie mogła załagodzić sporów, które podówczas właśnie pomiędzy panami litewskimi z niesłychaną zaciętością wybuchły. Piszze o nich Wapowski: »Zjazd w Brześciu odprawił się z wielkiem panów litewskich wzajemnem rozjątrzeniem się i współzawodnictwem. Książ Michał Gliński, mąż potężnego i wzniosłego umysłu, zajmował pierwsze miejsce w łasce Aleksandra; stąd do wielkich dostatków przyszedł i największej na Litwie używał powagi, takiej mianowicie, że możniejszym swego narodu panom słusznie był straszny. Ci, czyto zazdrością powodowani, czy też posadzając go rzeczywiście o złe zamiary, oskarżali go w cichości pomiędzy sobą o niepomierną żądzę panowania i drżeli na myśl śmierci Aleksandra, ażeby wówczas książ Michał nie opanował sam wszystkiego i godności Wielkiego Księstwa Litewskiego siłą nie posiadał. Obawa ta tem więcej wydawała się uzasadnioną, że książ Michał wielkimi u wszystkich cieszył się względami, a wyznawcy greckiego obrządku, Rusini, zamiary jego z pewnościąby poparli, z którymi on, zwyczajem ludu tego, nie przestawał wesołych odprawiać uczt i biesiad. Powiększyło podejrzenia i nienawiść oddanie starostwa grodu lidzkiego, które Jerzy Iliński pierwaj dzierzył, krewnemu księcia Michała, Jędrzejowi Drozdzie. Ten, przybywszy z listem królewskim do panów litewskich, żądał, aby starostwo lidzkie było mu z polecenia króla oddanem. Moźnowładcy jednak, sądząc, że przez to potęga księcia Michała się wzmoże, naradziwszy się między sobą, odłożyli sprawę tę do obecności króla i rozkazu jego wcale nie usłuchali. Wówczas książ Michał, widząc, że się to dzieje na złość jemu i ku poniżeniu jego, począł otwarcie skarżyć przed Aleksandrem o bunt i obrazę Majestatu i spotwarzać Wojciecha Tabora biskupa wileńskiego, Jana Zabrzezińskiego wojewodę trockiego,

Stanisława Żarnowieckiego starostę żmudzkiego i Stanisława Kiszkę hetmana wojsk litewskich, ludzi w Litwie najznakomitszych, a swoich nieprzyjaciół otwartych, i nie poprzestał w wymyślaniu na nich różnych zbrodni i tyle codziennymi podszczuwaniem u panującego dokazał, że ich najpierw na gniew królewski, a następnie na otwarte niebezpieczeństwo utraty życia wystawił. Rozmawiano o zgubie ich na potajemnych radach, ażeby nie wiedzieli o gniewie panującego. Na zjazd też brzeski zawezwani, nie chcąc się jeszcze więcej okazać nieposłusznymi i podejrzanymi królowi, i oni wreszcie lubo ostatni przybyli.«

»Wierzoно (*creditum est*), że Aleksander, dostawszy ich w swoje ręce, chciał strącić ich z mostu w rzekę Bug, i że dał się od tego odwieść usilnemi naleganiami Jana Łaskiego kanclerza koronnego, za którego radą panowie ci tylko za listem żelaznym na zamek brzeski przybyć się odważyli, co im zbawienie i bezpieczeństwo przyniosło. Wielu inaczej mniemało, że Aleksander, pan łaskawy i łagodny, nigdyby nie pomyślał, ażeby mężów znakomych i w narodzie litewskim przedniejszych w taki sposób miał zgładzić, lecz że wszystko, co zrobił lub powiedział, dla przestraszenia jedynie i ze względów dla Michała Gliškiego uczynił. Ażeby zaś Gliškiego chociaż w części zadowolić, pozbawił największego jego wroga, Jana Zabrzezińskiego, posiadanych dostojenstw i odjął mu województwo trockie, które Mikołajowi Radziwiłłowi nadał. Biskupowi zaś wileńskiemu i innym wielu polecono, ażeby do rady królewskiej przybywali jedynie wezwani, a tymczasem Majestat królewski starali się przejednać. Innej ci ostatni nie odnieśli skazy. Niedługo potem Jan Zabrzeziński z innymi współnikami swej niewinności, pojednani z królem, do łaski zostali przyjęci.«

Cały więc dramat odegrał się na zjeździe brzeskim, a na sejmie radomskim nie przebrzmiała jeszcze sprawa, gdyż Miechowita pisze:

»Następnie panowie rada Królestwa Polskiego starali się przeprowadzić pojednanie panów litewskich, zniestawionych, jak mówią, bez przyczyny, z królem Aleksandrem. Nie mogli jednak dokazać dla niechęci królewskiej, którą podzegli ludzie złej woli. Dlatego

nie ukończywszy sprawy [unji], Litwini ustąpili [z sejmu] po niedzieli Św. Trójcy.«

Podajemy całą tę sprawę słowami historyków społecznych, bo nie mając innych, dokładniejszych historycznych świadectw, nie jesteśmy w stanie istotnego jej przebiegu przedstawić. Słowa jednak Wapowskiego i Miechowity są dla nas ogromnej wagi, jeżeli chcemy scharakteryzować zachowanie się i stanowisko Aleksandra i panów polskich na sejmie radomskim.

Istniały na Litwie dwa stronnictwa: jedno — spolszczonych panów litewskich, katolickie, ku Polsce ciężące i z panami polskimi w bezpośrednich zostające związkach; drugie — panów ruskich, wyznawców wschodniego obrządku, na którego czele stał potężny książę Michał Gliński. Ku temu ostatniemu stronnictwu skłaniał się Aleksander, czego nie mógł uczynić, żeby również z panami polskimi w otwartej nie stanął nieprzyjaźni. Jakich środków chwycili się panowie ci razem ze stronnictwem swoim na Litwie, wiadomem nam nie jest; nie musiały jednak być niewinnymi ich zamiary, skoro Aleksander nagle w styczniu 1505 r. wyrwał się z Polski do Brześcia, pozostawiając żonę i cały dwór w Krakowie. Z kroku tego usprawiedliwił się król przed panami polskimi, tłumacząc się przez Mikołaja Kotficza, że tylko dlatego do Litwy osobiście wyruszył, aby tem prędzej na zjeździe brzeskim przywieść Litwinów do unji. Unja ta była jednak jedynie pretekstem, bo król osądził, że tylko obecnością swoją i doraźnem wystąpieniem zdoła zachwiana swoją powagą na Litwie przywrócić. Panowie polscy, przewidując niebezpieczeństwo, gromadzą się jednak w Krakowie i wysyłają w trop za królem kanclerza Łaskiego, napozór z piękną mową w sprawie unji, w istocie zaś, aby całą swoją powagą poparł upadające swoje stronnictwo na Litwie. Jak i o ile tego Łaski dokażał, wiadomem nam nie jest, tyle jednak pewna, że potęga i wpływ Glińskiego na króla nie zostały złamane, a Aleksander, powróciwszy do Polski i stanąwszy na sejmie radomskim, zachował rozjątrzenie swoje przeciw panom polskim i nieprzystępnym się dla nich okazał. Sprawa unji podjętą też była w Radomiu jedynie dla zaślubin formalności i skończyła się odjazdem poselstw litewskich i pruskich. Natomiast stoczyła się na sejmie radomskim

walka pomiędzy senatem a królem, a przedmiotem tej walki była dalsza reforma wewnętrzna w tym punkcie, w którym na zeszłorocznym sejmie piotrkowskim stała.

Jaki był przebieg obrad radomskiego sejmiku, rzeczą jest dla nas zupełnie nieznaną; znamy tylko jego skład i wyniki jego dwumiesięcznej pracy, po których mamy go sądzić.

Dowiadujemy się z nich przede wszystkim, że w sejmie radomskim wzięli udział oprócz »panów rad duchownych i świeckich także posłowie ziem i miast rozkazem królewskim wezwani, którzy całe ciało Rzeczypospolitej imieniem obecnych i nieobecnych reprezentowali« (*Vol. Leg. I. 353*). Że zaś udział ten posłów był rzeczywistym, że w wielu nader uchwałach oni sami dali inicjatywę, o tem świadczy niewątpliwie sama treść kilkunastu ustaw na sejmie tym zapadłych. I tak: ustawa o rokach czyli terminach sądowych grodzkich, o niepociąganiu spraw świeckich przed sądy duchowne, o komisjach królewskich sądowych, o cłach prywatnych, o wyborze urzędników sądowych, o ustanowieniu cen towarów przez wojewodów, o osiadłości urzędników i inne, są bezsprzecznie wypływem żądań szlachty i mają zapobiec nadużyciom, na które szlachta, jak ustawy te wspominają, głośno podnosiła skargi. Inne ustawy, jak np. o więzieniu i ściganiu złoczyńców, wychodzą zato wprost od króla, a o najważniejszych można powiedzieć, że są wynikiem zgodnych życzeń Aleksandra i izby poselskiej. Sejm radomski przedstawia nam obraz wspólnej i zgodnej pracy narodu i króla, jakiej już od sejmiku piotrkowskiego z r. 1496 nie było przykładu. Uchwały z r. 1505 poruszają wszystko, co w r. 1496 na porządku dziennym stało, lecz na szerszą nieporównanie skalę, z większą ścisłością i głębszym pojmowaniem rzeczy.

I tak ustawy radomskie powtarzają postanowienie z r. 1496 o nieprzyjmowaniu nie-szlachty na biskupstwa i prelatury, ale zmieniają wprost w duchu prawdziwie liberalnym ustawę piotrkowską, zakazującą mieszczanom dobra ziemskie posiadać, uznają prawo mieszczan i wypowiadają tylko sprawiedliwą zasadę, że »mieszczanie, mający dobra dziedziczne ziemskie, na których służba wojenna ciąży, od służby tej nie mają być uwalniani, ilekroć będzie ustanowiona, wszelkie zaś listy królewskie zwalniające od wyprawy

wojennej miejsca mieć nadal nie powinny« (*Vol. leg. I. 305*). Ustawa ta, jak również obecność posłów miejskich na sejmie radomskim są widocznym dowodem, że wyłączenie szlachecka nie tylko od r. 1496 nie zrobiła postępów, lecz owszem po pierwszym zapędzie na siłę swojej niemało straciła.

Sejm radomski podjął również zadanie przedsięwzięte przez sejmy z r. 1493 i 1496, wśród podobnych jak wówczas okoliczności, przywrócić regularny bieg sprawiedliwości, która wśród nieobecności króla i zamieszek lat ostatnich nader się była rozprzegła. W dopięciu tego zamiaru okazał sejm ten rzadką stanowczość, skoro poważał się naruszyć zasadniczą ustawę *neminem captivabimus*, a raczej nowy z niej uczynić wyjątek. »Postanawiamy, że żaden szlachcic nie ma być więziony — tak brzmi nowa ustawa — który ma dobrą sławę, jeżeli pierwaj przekonany nie będzie. Nie uważa się zaś za człowieka dobrej sławy, kto trzy razy w spisach złoczyńców został zanotowany, taki więc, jako człowiek złej sławy, bez przewodu sądowego na podstawie niniejszej ustawy schwytanym i uwięzionym być może« (*Vol. leg. I. 300*). Postanowienie to stosowano natychmiast, skoro opowiadają nam historycy, że Aleksander na sejmie jeszcze radomskim wielu rozbójników, nawet szlachty, którzy kupców po drogach łupili, schwytać i śmiercią ukarać rozkazał. Zginęli wówczas od miecza głośni z rozbójów rycerze, Osuchowski i Mysowski, zaś niejaką Rusinowską, szlachciankę, którą konno, w męskim ubraniu, na rozbój schwymano, powieszono w tem samem ubraniu z ostrogami u butów.

Zapisujemy te fakta, aby dać poznać, jak wszechstronną była praca radomskiego sejmku. Rzeczy najważniejsze zostawiliśmy na koniec, mianowicie uzupełnienie reformy władzy rządowej, na sejmie z roku 1504 już rozpoczętej, i wielką reformę władzy ustawodawczej.

Co się tyczy pierwszego punktu, podnieść musimy, że reformę władzy rządowej uzupełniono jednym tylko, ale nieskończenie ważnym postanowieniem: »Ponieważ są niektórzy, co otrzymawszy przez różne względy urząd, czyto starościński czy inny, w ziemi od miejsca zwykłego ich zamieszkania odległej, następnie dla nie-

obecności w miejscu urzędowania dają powód do licznych nieporządków, gdy nikogo niema, ktoby swawolę zepsutej młodzieży i innych ludzi powściągnął, — przeto postanawiamy, że starostowie, urzędnicy i dostojnicy, mają być osiadłymi w ziemi i powiecie, w których posiadają urzędy. Gdyby zaś listami naszymi do zadośćuczynienia obowiązkom swym wezwani zostali, i trzy razy wezwani obowiązków swych nie wypełnili, mają być pozbawieni urzędów i dostojenstw *ipso facto*« (*Vol. leg. I. 307*). Mądre to postanowienie, gdyby je tylko król chciał i umiał roztropnie i energicznie wykonać, zapewniłoby mu niewątpliwie karność i posłuszeństwo całej maszyny urzędniczej.

Reforma władzy ustawodawczej zamykała się w dwóch, ściśle z sobą związanych dziełach, — w tak zwanym statucie Łaskiego i w ustawie rozpoczynającej się od słów: *Nihil novi* i pod nazwą tą powszechnie znanej.

Statut Łaskiego scharakteryzujemy najlepiej, powtarzając następujące słowa ustawy zatwierdzającej go, w której król tłumaczy przyczyny, jakie go nakłoniły do podjęcia tej pracy. »Gdy nie wszystkim było przystępne, co wszystkich obchodzi, gdyż przez pewne odzwyczajenie się i nieuważę i przywileje i księgi statutów tylko w komorach skarbowych publicznych i w ręku szczupłej liczby osób zachowane, całemu zaś narodowi zamknięte i nieznane dotychczas były, przeto na tym sejmie radomskim, na który ze wszystkich królestw i państw naszych ziem pałaci, baronowie i posłowie ziem i miast z rozkazu naszego przybyli, proszeni byliśmy głośno, ażebyśmy całemu królestwu wydali jeden zbiorowy przywilej (księgę), obejmujący w sobie wszystkie statuta obowiązujące w tem państwie, przez ś. p. przodków naszych, oraz dziada, ojca, stryja i Jana Olbrachta, brata, naszych wydane, z dołożeniem mnych statutów naszych, i abyśmy przywilej ten rozesłali po wszystkich starostwach i większych kościołach w oryginałach, aby znajomość jego z wyjątkowej — powszechną stać się mogła« (*Vol. leg. I. 353*).

Statut Łaskiego nie jest więc żadną kodyfikacją prawa, lecz jest uporządkowanym chronologicznie zbiorem ustaw od najdawniejszych czasów aż do sejmu radomskiego włącznie, mieści w so-

bie prawo zarówno ziemskie, jako też miejskie, ustawy do wewnętrznego porządku i zewnętrznych stosunków się odnoszące. Nie będziemy tu układu tego praw ze stanowiska prawniczo-krytycznego oceniali, już dla tego samego, że cała strona techniczna statutu dziełem jest nie sejmu i króla, lecz kancelarji królewskiej, pracującej pod przewodnictwem Jana Łaskiego, kanclerza. Że kancelarja w pracy tej miała swobodę, świadczy o tem zamieszczenie w statucie wielu praw ściśle kościelnych, w wyłącznym interesie kościoła, co później całemu dziełu odbierało powagę. Choćbyśmy jednak statutowi Łaskiego pod względem krytyki tekstu, wyboru i układu ustaw, zupełnie odmówili uznania, jednak podnieść koniecznie musimy, że zebranie i ogłoszenie drukiem ustaw nie mogło pozostać bez najdonioślejszych dla całego politycznego rozwoju następstw. Warunkiem i podstawą udziału jednostek i klas społecznych w politycznym życiu jest niewątpliwie znajomość ustaw, chociażby w najgłówniejszym zarysie. Otóż w skutku ogłoszenia statutu Łaskiego znajomość ta, będąca dotychczas przywilejem tylko nielicznej klasy możnych, stawała się udziałem ogółu narodu — szlachty, dawała jej podstawę do wytworzenia sobie pewnego samostanego poglądu i dążenia, jakiego szlachta dotychczas nie posiadała. Sejm radomski, wydając statut, stworzył, rzecz można, w szlachcie nowy polityczny żywioł, który wkrótce liczbą swoją, stanowiskiem i inteligencją zająć miał pierwsze miejsce w Rzeczypospolitej.

Zasadę udziału szlachty w życiu publicznem zapewnił zresztą sejm radomski nietylko przez wydanie zbioru ustaw, lecz wypowiedział ją nadto i skreślił w osobnej ustawie. Jest to głośna ustawa *Nihil novi*, ustawa zasadnicza, przedzielająca państwo polskie średniowieczne od nowożytnego.

»Quoniam iura communia et constitutiones publicae non unum sed communem populum afficiunt, itaque in hac radomiensi conventionione cum universis regni nostri praelatis, consiliariis, baronibus et nuntiis terrarum aequum et ratio-

»Ponieważ ogólne prawa i ustawy publiczne nie jednostki, lecz całego narodu dotyczą, przeto na tym radomskim sejmie ze wszystkimi królestwa naszego praelatami, senatorami, baronami i posłami ziemskimi uznaliśmy

nabile censuimus ac etiam statuimus, ut deinceps futuris temporibus perpetuis nihil novi constitui debeat per nos et successores nostros sine communicansiliariorum et nuntiorum terrestrium consensu, quod fieret in praeiudicium gravamenque Reipublicae et damnum atque incommodum cuiuslibet privatum, ad innovationemque iuris communis ac publicae libertatis.» (*Vol. leg. I. 299*).

Głośną tę w całych dziejach polskich ustawę uważać należy jako koronę wieńczącą całą reformę przedsięwziętą przez Aleksandra, jako ostateczny wynik walki stoczonej między senatem a królem. Całą naszą rozprawą staraliśmy się też przygotować materiał do ocenienia tej zasadniczej, a tak mylnie — zdaniem naszym — dotychczas pojmowanej ustawy.

Broniąc jej zas, będziemy raz jeszcze mieli sposobność poprzeć i uzasadnić pogląd nasz na instytucję sejmów, któryśmy już przy rozbiorze ustaw sejmowych z r. 1493 i 1496 w głównych skreślili zarzysach.

*

*

*

Czynią ustawie *Nihil novi* przedewszystkiem zarzut, że wyciśnięta została na królu przez szlachtę przemocą. Na to odpowiedzieć możemy z pewnością, że ustawa ta z roku 1505 powstanie swoje zawdzięcza przeważnie inicjatywie królewskiej. Aleksander nie był wprawdzie żadnym genialnym monarchą, nie był dobrym gospodarzem, wytrwałym administratorem, a żadnym już wodzem; ale całe panowanie jego może nas dowodnie przekonać, że nie był człowiekiem, na którymby można cokolwiek siłą lub podstępem wycisnąć. Kto tak zręcznie jak on umiał stawić czoło groźnej

przewadze senatu w Polsce, kto wobec niemiłych sobie dążeń stronnictwa polskiego na Litwie pojął z taką energją politykę swoją utrzymać, — ten nie byłby z pewnością dał się opanować i zastraszyć szlachcie polskiej, która jeszcze w walce politycznej żadnej nie miała wprawy i samoistości. Wszystkie zresztą okoliczności, towarzyszące powstaniu ustawy *Nihil novi*, świadczą przeciw przypuszczeniu porażki króla przez szlachtę. Miałab ta porażka nastąpić w chwili, kiedy Aleksander przeprowadził właśnie reformę władzy rządowej na sejmie piotrkowskim z roku 1504, w chwili, kiedy na sejmie radomskim z roku 1505 w najdrażliwszych punktach ją jeszcze wykończył, kiedy obalił przywilej mielnicki i władzę królewską, rzec można, najwyżej postawił? Byłoby to wręcz niepodobnem. Wykazaliśmy natomiast, że król ustawą z roku 1505 pragnął zapewnić sobie i rządowi swojemu trwały punkt oparcia w szlachcie przeciw uroszczeniom senatu. Nie jedna Polska, ale cała ówczesna Europa daje nam przykład, że królowie druzgoczą możnowładztwo średniowieczne tym samym sposobem, t. j. oparciem się na niższych warstwach narodu, które wołały jednego silnego pana, niż wielu drobnych, gniotących je tem srożej królików.

Jeżeliby zresztą ustawa *Nihil novi* miała być przez szlachtę istotnie na królu zdobytą, to musiałaby w treści swojej zawierać jakieś nowe, nieznanne przedtem ograniczenie władzy królewskiej. I o to częstokroć ją posądzają. Zastanówmy się, czy słusznie? Jakież to prawo miało być wydarte królowi? Czy władza ustawodawcza? Widzieliśmy, że w państwie średniowiecznym król słaby w niej udział posiadał; patrzyliśmy następnie na sejmy za Jana Olbrachta, kiedy *de iure* władza ta należała do sejmików, a faktycznie stała się rzeczą sejmu, złożonego z króla otoczonego senatem i szlachtą. Poznaliśmy wreszcie przywilej mielnicki z r. 1501, który władzę tę zupełnie odejmował królowi a na senat przenosił. Znając to wszystko, możemy więc śmiało powiedzieć, że ustawa *Nihil novi* była legalnem przywróceniem władzy ustawodawczej królewskiej, które w roku 1504 faktycznie już nastąpiło, była głośnym powrotem do stanu rzeczy za Jana Olbrachta. Przyznawała ona nie komu innemu, tylko samemu królowi władzę ustawodaw-

czą z prawem inicjatywy, a czyniła ją tylko zależną od zezwolenia dwóch czynników: — senatu i posłów ziemskich. Posłowie osiągnęli napowrót dawniejsze swe stanowisko, tylko senat utracił wprawdzie prerogatywę przywilejem mielnickim sobie przyznaną, ale otrzymał więcej niż miał przed tym przywilejem, zamiast prawa »obradowania« z królem nad ustawami zamierzonymi otrzymał moc »zezwalania« na nie lub »niezezwalania«, głos zupełnie stanowczy. Ustawa *Nihil novi* była zresztą w rozwoju sejmów i władzy ustawodawczej rzeczywistym postępem.

Naprzód sformułowała ona fakt, który już istniał, a usuwała tem samem niebezpieczeństwa jego dalszego samowolnego rozwoju. Dalej, przeniosła legalnie władzę ustawodawczą, służącą podług ustaw z r. 1454 i 1496 sejmikom, na sejm, z tłumów na inteligencję, była nawskróś centralistyczną i przyczyniła się niezmiernie do jednolitości narodu i państwa, której nie sprzyjały możnowładcze rządy. Nakoniec ustawa ta wypowiedziała otwarcie, w czem właściwie król ma być ograniczonym, a mianowicie: w wydawaniu nowych ustaw, zmieniających dawniejsze, i w nakładaniu nowych, publicznych ciężarów. Tem samem zaś przyznawała ona królowi we wszystkim innem nieograniczoną władzę. Że tak było w istocie, na to już z sejmu radomskiego możemy przytoczyć przykłady. Sejm ten, przyznając sejmom władzę zmieniania ustaw, nie usuwał innych źródeł istniejącego prawa, t. j. prawa zwyczajowego pojedynczych dzielnic i rozporządzeń królewskich, zapomocą których król mógł istniejące prawa objaśniać, uzupełniać i rozwijać. Wydając statut Łaskiego, polecił też Aleksander wszystkim ziemiom, ażeby spisały swoje partykularne zwyczaje, i zastrzegł sobie prawo ich potwierdzenia. Sam zaś z własnej mocy i inicjatywy ogłosił proces sądowy, jako instrukcję mającą być przez sądy przyjętą, a dążącą do skrócenia i ujednostajnienia postępowania. Rozporządzenie to było wypływem dawnego *iuris honorarii* królów, które Aleksander w całości zachował, a zaś nowe, niegdyś nieznanе źródło prawa — ustawodawstwo — zostało prawnie utrwalone i określone.

Jeżeli zaś ustawa *Nihil novi* nie odbierała królowi prawa wydawania rozporządzeń w zakresie istniejącego prawa, to tem

mniej naruszać mogła jego władzę wykonawczą, rządową. Władza ta wychodziła z sejmu radomskiego wielce wzmocnioną, bo przywilej mielnicki z roku 1501, który ją rzeczywiście usiłował skrepować, na sejmie tym niepowrotnie upadł. W statucie Łaskiego najmniejszej o nim nie znajdujemy wzmianki. Ażeby go zastąpić, wydał Aleksander w dniu 3 maja 1505 roku ogólne potwierdzenie praw i przywilejów, Królestwu i jego ziemiom słusznie i prawnie (*iuste et legitime*) udzielonych i przysługujących, a na zakończenie dodał:

»Gdybyśmy cokolwiek przeciw wolnościom, przywilejom, swobodom i prawom Królestwa uczynili, uznajemy to jako *ipso facto* nieważne i żadne.« (*Vol. leg. I. 356*).

Porównajmy tę sankcję z sankcją przywileju mielnickiego, grożącą królowi łamiącemu prawo buntem, i ogłaszającą go w takim razie za wyjętego z pod prawa, za tyrana i wroga całego narodu, a możemy ocenić, jaki postęp zrobiła u nas królewskość od r. 1501 do 1505.

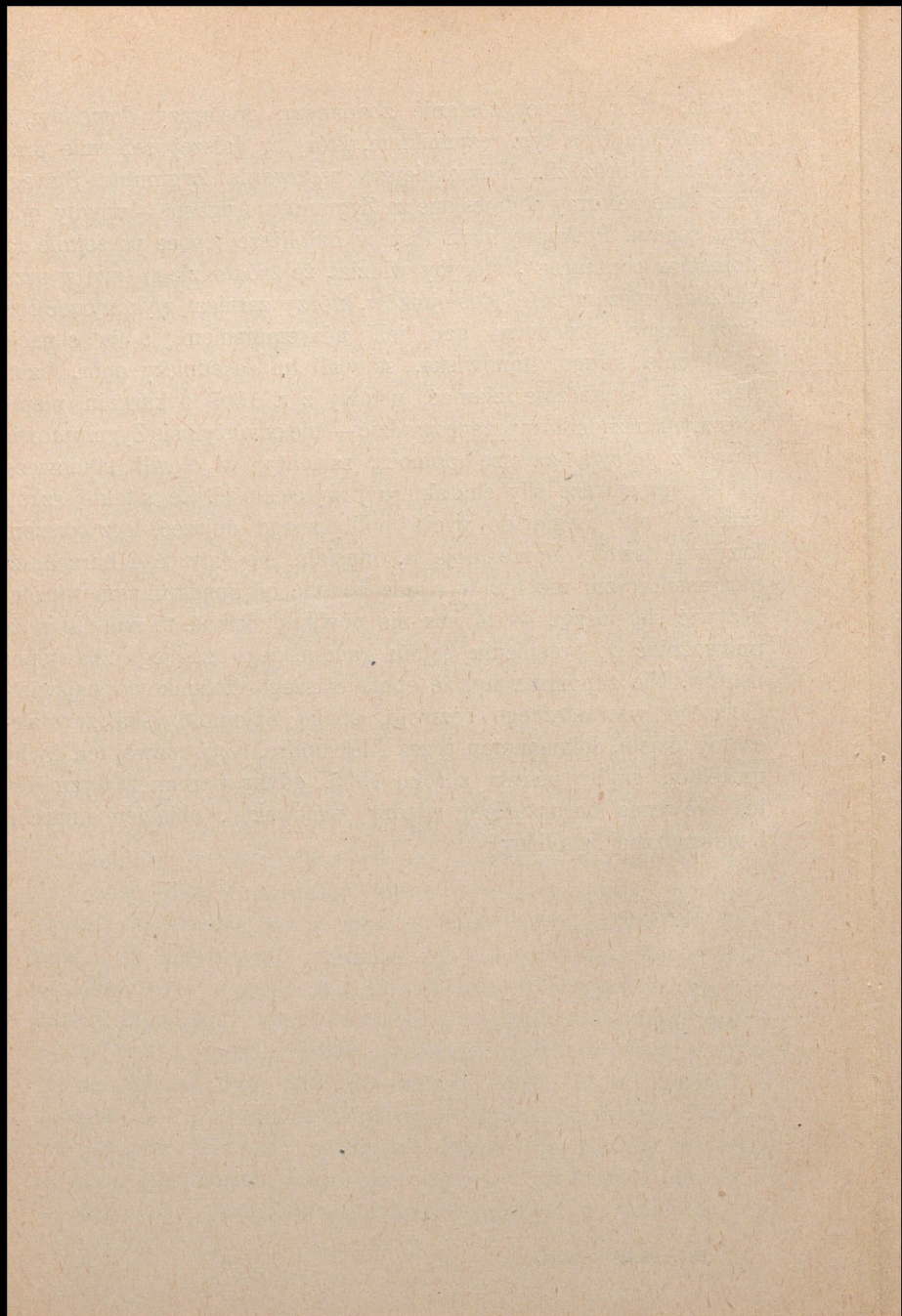
Powiadają nakoniec, że ustawa *Nihil novi* uświęca jednomyślność głosów i jest źródłem całej późniejszej anarchji z *liberum veto*. Otóż prawdą jest, że na sejmach za Jana Olbrachta i Aleksandra jednomyślnością stanowiono uchwały. Jednomyślność wynikała stąd, że władza ustawodawcza spoczywała w sejmikach, a sejm był tylko miejscem zebrania uchwał sejmikowych, przez posłów królowi przesłanych. W miarę jak sejm począł nad sejmikami zdobywać sobie przewagę i stawać się reprezentacją narodu, słabnąć musiał nacisk na jednomyślność, ale zasada ta prawa zwyczajowego przetrwała. We wszystkich aktach sejmowych spotykamy się z wyrażeniem: »za jednomyślną zgodą,« jak o tem mieliśmy już powyżej sposobność niejednokrotnie wspominać. Otóż zasługą jest Aleksandra, że nie mogąc widocznie samej zasady usunąć, starał się przynajmniej niebezpiecznym jej skutkom zapobiec. Przytoczyliśmy dosłownie, jak odzywając się do sejmików wzywał je, ażeby, obierając posłów, dawały im zupełne pełnomocnictwo stanowienia o wszystkim, a zatem instrukcjami ich nie kępowały. Ustawa zaś z roku 1505 pominęła całą tę sprawę milczeniem; wymagając zgody wspólnej dwóch ciał, senatu i posłów, nie okre-

śliła zupełnie sposobu głosowania w senacie i izbie poselskiej. Widzimy w tem wielką roztropność ze strony ustawodawczej, bo gdyby na sejmie radomskim sprawa głosowania jednogłośnie lub większością głosów miała być rozstrzyganą, szala musiałaby się niewątpliwie na stronę jednogłośności przechylić. Tak zaś pozostawiono drażliwą tę kwestję do rozstrzygnięcia na później, gdy parlamentaryzm naturalnym swoim rozwojem do stanowienia przez większość doprowadzi. Widzimy też rzeczywiście, że za najświetniejszych czasów sejmowania polskiego, za Zygmunta Augusta, na t. zw. sejmach egzekucyjnych, większość głosów rozstrzygała faktycznie zarówno w senacie jako i w izbie poselskiej w sprawach większej wagi, i oba ciała, pomimo sporów i rozpraw wewnętrznych, występowały z jednym zdaniem na zewnątrz przez usta swych mówców. Jeżeli zaś chcemy już wnieć ustawę *Nihil novi* o niedokładną stylizację, to zarzucić jej musimy, że nie wspominała wyraźnie o posłach miast, o których w innych ustawach sejmu radomskiego znajdują się wzmianki. Trzeba było dopiero interpretacji prawniczej, że przez posłów ziemskich rozumieją się także posłowie z miast, co dla rozwoju reprezentacji miast na sejmie było dotkliwym ciosem.

Na zakończenie podnosimy jeszcze przeciw ustawie z r. 1505 jeden, najbardziej zasadniczy, zarzut. Ustawa ta uświęciła niewątpliwie udział szlachty w życiu publicznym, stworzyła parlamentaryzm. Byłaż zaś szlachta żywiołem, któryby do życia politycznego już dojrzał? byłże parlamentaryzm formą rządu, któraby Polsce ówczesnej mogła zapewnić porządek i wewnętrzny rozwój? Na pytanie to trudno jest w istocie odpowiedzieć. Zważyć jednakże należy, że forma rządu polskiego, jak to na samym wstępie wspomnieliśmy, rozstrzygnęła się już za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Monarchja i absolutna władza rządowa nie mogły się w Polsce w żaden sposób wobec przewagi możnowładztwa utrzymać, możnowładztwo zaś dowiodło w roku 1502, że nie posiada warunków do zbudowania samoistnej władzy rządowej. Powołanie zaś szlachty, żywiołu niezupełnie jeszcze dojrzałego, do udziału w życiu politycznym, celem przywrócenia i utrwalenia rządów królewskich, było złem koniecznym najmniejszym. Panowanie zaś Zyg-

munta, skoro lepiej zostanie zbadanem, dostarczy dowodów, że nie szlachta była tym czynnikiem, który w dalszej reformie przeskadzał i brózdził. Najpiękniejsze usiłowania Zygmunta Starego, wszystkie reformy podniesione za Zygmunta Augusta — upadły oporem senatu. Poskąpiły nam losy w najbliższej epoce po sejmie radomskim panującego, któryby widział, że źródło złego tkwi w przesadzonej niezawisłości dostojników, którzy zamiast wykonywać rozkazy rządu, pracowali nad ich udaremnieniem, a w senacie, w obronie swego stanowiska, stawiali im zasadniczy opór. Uzurpacji tej ostatecznie złamać, ustawy z r. 1505 o karaniu nieposłuszných urzędników przeprowadzić — nie odważyli się Zygmuntomie, nawet z gotową zawsze pomocą szlachty; w chwili stanowczej brakło im zawsze siły charakteru i wytrwałości. Że w takiej szkole szlachta nie mogła do życia politycznego dojrzeć, lecz owszem, krzywiąc swoje lepsze pojęcia, musiała się jątrzyć i burzyć, że parlamentaryzm nie był w stanie zbawić od upadku i sam wkrótce krzywić się począł, — to nas nie powinno dziwić, to nas nie może upoważniać do potępienia sejmu radomskiego za jego zbawienne ustawy. Nie zapominajmy, że epokę naszego stosunkowo najświetniejszego wewnętrznego rozwoju, epokę Zygmuntofską, zawdzięczamy dziełu, dokonanemu przez Aleksandra. Czyż rozwój ten byłby możebny, gdyby ustawy z roku 1505, gdyby parlamentaryzm był już wówczas naruszeniem władzy królewskiej, objawem anarchji i wewnętrznej zgnilizny?

1876.



TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO

	Str.
Przedmowa. Napisał prof. Stan. Estreicher	V
I. W imię prawdy dziejowej. Rzecz o zadaniu historii i jej dzisiejszem stanowisku	1
II. O podziale historii polskiej na okresy	36
III. Przedmowa do drugiego wydania »Dziejów Polski w zarysie«	63
IV. Przedmowa do trzeciego wydania »Dziejów Polski w zarysie«	83
V. Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatorów XII w.	88
VI. Bunt wójta krakowskiego Alberta z r. 1311	159
VII. Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra	184

1/2 60-

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



C 47975



1
86157/1
H 81/2